

Fern Michaels

Decyzja Billie

(Texas Sunrise)

Przełożyła Ewa Spirydowicz

Tom 7

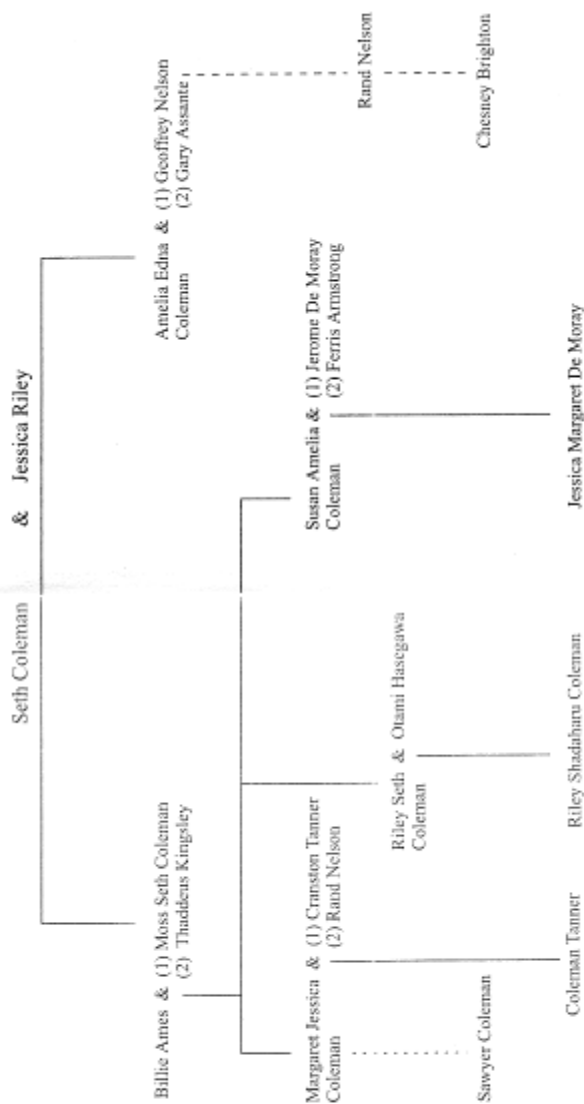
cykl

Saga Teksasu

*Chciałabym zadedykować tę książkę dwójce bardzo specjalnych osób,
Doris i Buzzowi Parmett.
Zawsze mogę na was liczyć,
poza tym, kochacie Freda i Gusa tak samo jak ja.*

FM.

Drzewo genealogiczne rodziny Colemanów



Prolog

Billie Kingsley poruszyła powiekami. Była to jedyna oznaka, że słyszała słowa lekarza. Czas się zatrzymał. Co będzie z rodziną, dziećmi, wnukami? Co z Thadem, jej mężem? Oni stanowili sens jej życia. Atu mężczyzna w pogniecionym białym fartuchu oznajmia jej, że wszystko dobiega końca. I wygląda tak, jakby miał się zaraz rozpląkać. Billie musi go jakoś pocieszyć. Wyciągnęła do niego chudą dłoń.

– To nie twoja wina, Aaronie. Wierzę, że dzień naszej śmierci jest ustalany w dniu narodzin.

Aaron Kopelman znał całą rodzinę Colemanów, bywał na ich ranchu w Teksasie, dzielił szkolną ławę z Mossem Colemanem, pierwszym mężem Billie. Pamiętał, kiedy mu ją przedstawiono. Zastanawiał się wtedy, jak sobie poradzi z gruboskórnymi Colemanami. Jak się będzie czuła taka ładna, nieśmiała, wrażliwa dziewczyna z Filadelfii w ich świecie? Wkrótce pokochał ją jak rodzoną siostrę. Billie Coleman Kingsley była wyjątkową osobą. Drugiej takiej ze świecą nie znajdziesz.

– Co powiesz Thadowi? – wykrztusił.

– Nie wiem. On jest przekonany, że się wybrałam na pokaz nowych tkanin, że znowu chcę się zająć projektowaniem. Nie jestem pewna, czy mi naprawdę uwierzył. Przez tyle lat naszego małżeństwa nie okłamałam go ani razu. Nie chciałam przysparzać mu zmartwień. Myślę że wrócę teraz do hotelu i tam się zastanowię, co powinnam zrobić.

– O, nie! – zaprotestował energicznie. – Zapraszam cię do nas. Porozmawiamy o możliwej kuracji. – Zauważył, że nigdy nie była równie piękna jak w tej chwili. Jak to możliwe? Czyżby sprawiały to jej dobroć, delikatność i szlachetność? Nawet teraz nie myślała o sobie, lecz o rodzinie i mężu, o tym w jaki sposób jej choroba odmieni ich życie. Lekarz poczuł, że musi ją chronić. Zastanawiał się, czy widać to

było na jego twarzy.

– Nie, Aaronie – sprzeciwiła się. – Muszę być sama i przemyśleć wszystko, co mi powiedziałeś, a to jest możliwe jedynie w samotności. Dziękuję bardzo za zaproszenie. Jesteś wspaniałym przyjacielem. A teraz – zmieniła temat, starając się mówić żywym, energicznym głosem – porozmawiajmy o moich ograniczonych... możliwościach. Było późne popołudnie, gdy odprowadził ją do drzwi. Złożyli sobie pewne obietnice, podjęli zobowiązania.

– Do zobaczenia za tydzień. Pozdrów Phyllis ode mnie.

Aaron Kopelman miał łzy w oczach. Zaraz się rozplacze, ale co z tego. Dlaczego zdarzyło się to Billie? Dlaczego nie jakiemuś mordercy, gwałcielowi, handlarzowi narkotyków?

– Gdyby istniała taka możliwość – stwierdził – zamieniłbym się z tobą. Bóg mi świadkiem, że zrobiłbym to.

Billie położyła mu palec na ustach. Jaki on dobry, szczerzy, troskliwy.

– Cśś. Jesteś tu potrzebny. Bóg o tym wie. Poza tym, nawet gdyby istniała taka możliwość, nigdy bym się na to nie zgodziła. Jesteś zbyt ważny, by wyruszać w tę podróż przed czasem. Ja również nie palę się do drogi, skoro jednak mój czas się kończy, nie mam wyjścia. Wierzę, że pójde do Stwórcy z taką godnością jak Amelia. Chcę być silna. Jak myślisz, czy Bóg spełni tę prośbę? Wiesz, nigdy nie zawierałam z nim umów, nigdy się nie targowałam. To znaczy, modliłam się, ale nigdy nie prosiłam o coś dla siebie. Może On nawet nie wie o moim istnieniu – zaniepokoiła się. – Czy ty się modlisz, Aaronie?

– Codziennie. Ale podobnie jak ty, zawsze za kogoś, nigdy za siebie. Pożegnali się. Odprowadzał ją wzrokiem i zmówił modlitwę tam, na progu. Prosił Boga, by oszczędził jej cierpienie i dał siłę i godność, których będzie potrzebowała.

Była szósta, kiedy Billie weszła do hotelu. Cieszyło ją, że zamiast pokoju wynajęła apartament. Nie znosiła ciasnych pomieszczeń, a ten miał nawet małą kuchenkę, w której mogła sobie przygotować filiżankę kawy czy herbaty bez potrzeby wzywania służby hotelowej. Dzięki temu czuła się jak w domu. Poza tym podobało jej się, że ma telefon w łazience, choć Thad uważał, że to trochę nieprzyzwoite. Uśmiechnęła się pod nosem.

Otworzyła puszkę 7UP, rzuciła pantofle i opadła na miękką kanapę w kolorze czekolady. Wyprostowała długie nogi. Ich chudość wywołała grymas na jej twarzy. Włączyła telewizor, jednocześnie maksymalnie ścisząc dźwięk.

Była sama. Teraz nie musi już udawać. Mogła płakać, wyć, przeklinać los. A tymczasem pomyślała o tych wszystkich, którzy odeszli przed nią, i o tych, których ma zostawić. Upiła łyk lemoniady. Zadzwoić do Thada. Zadzwoić do wszystkich. Chciała usłyszeć ich głosy. Najbliżsi dadzą jej siłę, której potrzebowała, by zrobić to, co należy.

Jej mąż podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Cześć, kochanie. Wszystko w porządku? – zapytała lekkim tonem.

– Kiedy wracasz? – burknął Thad w odpowiedzi.

– Jutro przed południem. Czekaj na mnie z bukietem wiosennych kwiatów. Mogą być sztuczne, jeśli nigdzie nie znajdziesz prawdziwych – uśmiechnęła się do siebie.

– Dla ciebie wszystko, kochanie: promień księżycy, plasterek słońca, gwiazdka z nieba. ja sam. O której?

– O jedenastej.

– Świetnie. Wpadniemy do O'Malley's na lunch. Odkąd wyjechałaś, nie miałem w ustach przyzwoitego posiłku. Nienawidzę grzanek z dżemem. Nie, tak naprawdę to nie znoszę jadać w

samotności. Boże, Billie, jak ja za tobą tęsknię. Dostałaś te tkaniny, na których ci zależało?

– Nie. W przyszłym tygodniu przyślą mi próbki nowych wzorów.

– Aha. A tak w ogóle, co nowego w Wielkim Jabłku?

– Niewiele. Ja też za tobą tęsknię, Thad. To miasto napawa mnie przerażeniem. Nie mogę się doczekać powrotu na farmę.

– A widzisz? Chciałem z tobą pojechać, ale sienie zgodziłaś. Dobrze ci tak, staruszek – zaśmiał się triumfująco.

Billie z trudem nadała głosowi beztrioskie brzmienie:

– Człowiek się uczy całe życie. Nigdy więcej nie popełnię tego błędu. Do zobaczenia jutro. Ja, to ta pani w czerwonej sukience.

– Skarbie, odnalazłbym cię w tłumie, choćbyś miała na sobie końską derkę. Kocham cię, Billie.

– Jutro przekonamy się, jak bardzo. Miłego wieczoru, kochany. Ja chyba jeszcze trochę poczytam. Albo zadzwonię do dzieci. Albo po prostu pójdę wcześniej spać. Dobranoc, Thad.

– Dobranoc, skarbie. Słodkich snów... o mnie.

– Żebyś się nie przeliczył – zażartowała Billie.

Wyczerpana rozmową, ciężko odłożyła słuchawkę i opadła na miękkie poduszki. Thad się załamał na wieść o jej chorobie. Myśląc o tym, uniosła głowę. Musi być silna. Dla niego i dla całej rodziny. Boże, jak ma tego dokonać? Pod zamkniętymi powiekami przesuwały się twarze najbliższych. Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. Otarła ją drżącą ręką.

Miała przed sobą długą samotną noc. Jak zabić czas? Może coś zjeść? I herbata, dużo herbaty. Po herbacie zawsze poprawiał się jej humor. Nie, to bez sensu; herbata zawiera teinę. W takim razie, może wino śliwkowe? I ona, i Thad uwielbiali wino śliwkowe. Nie, musi być trzeźwa, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer do recepcji. Złożyła zamówienie, zanim zdążyła się

zastanowić: dwa kieliszki wina śliwkowego, dzbanek herbaty, surowe warzywa i kanapka z serem i szynką.

Za pół godziny przyniosą jedzenie. Zajmij się czymś, upominała się. Zmyj. makijaż, przebierz się w ten mięciutki żółty szlafrok, który Thad tak lubi. Wyszczotkuj włosy; siwe włosy, których Thad zabronił ci farbować. Wyjmij z uszu perłowe kolczyki, które Thad dał ci na urodziny. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w obrączkę ślubną; prosty, skromny złoty pierścionek. Czy zostanie na jej palcu, kiedy... kiedy trzeba będzie odejść? Oczywiście, że tak. Będzie jej potrzebna, by odnaleźć Thada po tamtej stronie. *Zapisz to. Zapisz wszystko, żeby później nie było problemów:* Te słowa błędziły jej po głowie.

Odłożyła długopis akurat w tej chwili, gdy do drzwi zastukał kelner z kolacją.

Chciewie sięgnęła po kieliszki z winem i opróżniła je dwoma haustami. Jej żołądek zareagował natychmiast; ze łzami w oczach pobiegnęła do łazienki.

Po powrocie do salonu bez apetytu skubała kanapkę, niepodobną do niczego, co dotychczas widziała. Nawet Thad, wielki łakomczuch, nie zjadłby jej ze spokojnym sumieniem. Prawdziwe dzieło sztuki, stwierdziła, przyglądając się cieniutkim, jakby sprasowanym kawałkom chleba i niemal przezroczystym plasterkom szynki i sera. Musi pamiętać, by opisać to arcydzieło kulinarne mężowi.

Dość tego, upomniała się w myśli. Chwilę później podniosła słuchawkę do ucha.

– Mamo, co się stało? – zapytała Maggie przerażonym głosem.

– Och, kochanie, od rana miałam uczucie, że koniecznie muszę do ciebie zadzwonić. Czy między tobą a Randem wszystko w porządku?

– Poczekaj, nie odkładaj słuchawki. Przejdę na *lanai*. – Oczekiwanie, aż córka podniesie ponownie słuchawkę, Billie umiała sobie wspomnieniem *lanai*, przepięknego tarasu pełnego kwiatów i

barw. Niedawno Maggie opowiadała, że zmieniła obicia mebli na fioletowe.

– Bardzo się cieszę, że dzwonisz, mam – Maggie w końcu podniosła słuchawkę. – Co nowego w Vermont? Niedawno rozmawialiśmy, pamiętasz? Pewnie jesteś ciekawa, czy już podjęłam decyzję w sprawie Billie Limited, prawda?

Billie Ltd. to firma projektancka jej matki. Billie postanowiła się wycofać i zaproponowała Maggie przejęcie sterów.

– No cóż, naprawdę uważam, że powinnaś robić coś więcej oprócz pływania i wylegiwania się na słońcu całymi dniami. Słońce jest niezdrowe, Maggie. Czym ty się właściwie zajmujesz?

– Jestem z Randem, pływam, czytam, czasami gotuję, chodzę na spacer, jestem z Randem, znowu pływam i znowu jestem z Randem.

– Słuchając cię, mam wrażenie, że nie spuszczasz go z oczu – rzuciła Billie lekko. Zastanawiała się, czy córka wreszcie sobie uświadomiła, że jej mąż ogląda się za innymi kobietami.

W głosie Maggie pojawiła się nowa nuta:

– To rzeczywiście tak brzmi. Wiesz, jesteśmy więźniami tego miejsca. Nazywamy je naszym małym prywatnym rajem. Kilka razy w tygodniu Rand jeździ do Hilo, żeby zbadać, jak się mają sprawy w rafinerii cukrowej. Ja, przyznaję, ruszam się stąd o wiele rzadziej. Ostatnio dużo myślałam o twojej propozycji. Nie odpowiedziałam ci od razu chyba dlatego, że... wiesz, jaka jestem. Rzucam się w nowe wyzwania na łeb, na szyję, i nie mam czasu na nic innego. Rand... chyba nie byłby zadowolony. Chcesz teraz uzyskać jednoznaczną odpowiedź, czy... – urwała w połowie zdania.

Coś jest nie tak. Billie to czuła. Podpowiadała jej to matczyzna intuicja.

– Kochanie, chciałabym tylko wiedzieć, czy w ogóle bierzesz to pod uwagę. W innym wypadku... cóż, zgłosił się kupiec, a suma, którą

mi zaproponował, nie mieści mi się w głowie. Wyobrażasz sobie, że niewielkie przedsięwzięcie, które założyłam po twoich narodzinach, jest teraz warte ponad sto milionów dolarów? Jeśli nie tobie, Colemanom na pewno przydadzą się te pieniądze. – Nie powiedziała głośno, że w ten sposób choć częściowo zapewniłaby bezpieczeństwo rodzinie. Billie Ltd. nigdy nie należało do konsorcjum Colemanów, – Bój się Boga, mamo, nie wolno ci sprzedawać Billie Limited. Kto ci złożył taką ofertę? Japończycy, prawda? Tylko oni mają tyle pieniędzy. Na jakich warunkach?

– Wyplata gotówką skłamała. – Boże drogi!

– Sama nie mogłam w to uwierzyć, Maggie, zważywszy, że przez ostatnie półtora roku praktycznie nie zajmowałam się firmą. Chcę spędzać jak najwięcej czasu z Thadem.

– Porozmawiam z Randem. Dam ci odpowiedź za kilka dni, w porządku?

– Oczywiście. A teraz pomówmy o czymś naprawdę ciekawym. Co u Cole'a? I Sawyer? Jaką macie pogodę?

– Moje dzieci mają się znakomicie, mamo. Pogoda jest cudowna, wieje lekka bryza, a ja siedzę na *lancii*. To raj na ziemi. Czy mówiłam ci już, że zmieniłam obicia mebli? Teraz są różowe i fioletowe. Senność mija jak ręką odjął, ilekroć na nie spojrzę.

Billie uśmiechnęła się lekko.

– A co u Susan? – zapytała ostrożnie.

– Susy jak to Susy, wiesz przecież. W jednej chwili zachowuje się jak ostatnia suka, a w następnej tylko do rany przyłoż. Moim zdaniem, najwyższy czas, żeby dorosła. Ciągłe narzekania i bezradność są nie na miejscu, jeśli mam być szczerą. Posłuchaj, mamo: wiem, że bierzesz sobie to wszystko do serca i obwiniasz się za... los Susan. Nie powinnaś. Susy ma... ile, czterdzieści osiem lat? Najwyższy czas, powtarzam, by poczuła się odpowiedzialna za własne życie. Ciotka

Amelia była... przecież Susan chciała jechać do Anglii uczyć się muzyki. Sama chciała mieszkać z ciotką Amelią. I proszę, teraz jest znaną pianistką. Na jej miejscu, nie narzekałabym.

– Masz rację, jednak nie powinnam była wysyłać jej do Anglii. Uważam to za największy błąd mojego życia. Była zbyt młoda, zbyt wrażliwa. Potrzebowała mnie, a ja uległam perswazjom twojego ojca i Amelii. Spójrzmy prawdzie w oczy, Maggie: oddałam własną córkę Amelii. W głębi serca wiem, że mnie za to nienawidzi.

– Co ty, mamo! Jesteś dla niej najważniejszą osobą na świecie. To nieprawda!

– Owszem, skarbie. Susan chciała mieć wszystko naraz: Anglię, karierę, nadopiekuńczość ciotki Amelii i nas. Ale, jak sama powiedziałaś, czas, żeby dorosła. No, dosyć już. I tak zajęłam ci dużo czasu.

– Bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś. Pozdrów ode mnie Thada. Za kilka dni zadzwonię i powiem, co postanowiłam.

– Dobranoc, kochanie. Do usłyszenia niedługo. Uściskaj ode mnie Randa.

– Kocham cię, mamo.

– Ja też cię kocham. Do zobaczenia.

Billie otarła łzy. Ciężko opuściła głowę. Mimo że minęło już tyle lat, nie mogła pogodzić się z tym, że jej jedyny syn zginął w Wietnamie. Wspominała go każdego dnia. I Maggie, i Susan potrzebny był brat, teraz może bardziej niż kiedykolwiek. Czy ona będzie w stanie zapewnić im szczęśliwe życie? Czy w ogóle jest sens próbować? Musi mieć pewność, że jej bliskim wiedzie się dobrze, zanim... Zrobi, co tylko w jej mocy. Potrzeba jej tylko siły i odrobiny czasu. Jednak czas jest jej wrogiem. Nie wystarczy trwać. Musi walczyć.

Rozdział pierwszy

Coleman san, zawiodłeś.

Cole Tanner odwrócił się gwałtownie. W jego oczach widniało niebotyczne zdumienie. Był przekonany, że słuch go nie myli i poprzez kwietniowy wietrzyk naprawdę usłyszał głos teścia, Shadaharu Hasegawy. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że po prostu na głos wypowiedział własne myśli.

– Na to samo wychodzi – stwierdził z goryczą. Podniósł wzrok na gałęzie obsypane jasnoróżowym kwieciem. Przypomniał sobie, jak delikatne płatki opadały na schorowane ciało starego Japończyka, kiedy go znosił ze wzgórza. W ciągu minionych trzech lat często odwiedzał cichy zakątek. Unosił do góry ręce, rozchylając dłonie, aby napełniły się bladoróżowymi prześwitującymi płatkami kwiatów. Tego roku wiśnie zakwitły wyjątkowo pięknie. Zastanawiał się, czy to miał być jakiś znak, czy po prostu był to dobry rok dla tych drzewek.

Mówił, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Postępowałem jak mogłem najlepiej. Uczyłem się, wcielałem w życie twoje rady, ale to za mało. Pracowałem ze wszystkich sił, stawałem na głowie, żeby zrobić wszystko jak należy. Nigdy nie ryzykowałem niepotrzebnie, ani razu, a mimo to „Wschodzące Słońce” przeżywa stagnację. Nie wiem, gdzie tkwi błąd. Twój najbliżsi sądzą, że... że dokonałeś niewłaściwego wyboru. Czytam to w ich spojrzeniach i coraz częściej przyznaję im rację. Nie wiem, do kogo mam się zwrócić. Przychodzę tu, aby medytować, jak ty. Zawiodłem twoje zaufanie. To Riley powinien był przejąć kierownictwo koncernu, nie ja.

– Ze wstydem pochylił głowę. Pod powiekami paliły go łzy.

Medytował w milczeniu. W końcu zasnął; zmęczenie wzięło górę, uległ spokojowi Kwitnących Wiśni. W sennych koszmarach odwiedzał miejsca, w których nigdy nie był, o których nigdy nie słyszał. Obudził

się, raz po raz powtarzając nazwisko Shigata Mitsu. Nie znał nikogo, kto się tak nazywał. U jego boku klęczała Sumi.

– Dzwoniła Sawyer. Zadzwoń ponownie za godzinę. Mówi, że to pilne. – Łapała z trudem powietrze po wspinaczce na wzgórze.

Cole'a ogarnął niepokój.

– Czy nie wystarczyło mnie zawołać? Po co się przemęczasz? – zapytał delikatnie.

– Bo chciałam do ciebie przyjść. Trochę mchu dobrze mi zrobi, ale nie będę miała nic przeciwko temu, jeśli mnie zniesiesz na dół.

– Całe dziewięćdziesiąt siedem funtów? Taki ciężar? – zażartował.

– Przepraszam: dziś rano było dziewięćdziesiąt osiem i pół.

– To dlatego, że na śniadanie jadłaś lody i ciasto – stwierdził z komiczną powagą. – Za bardzo się mną przejmujesz. Nie powinnaś zwracać sobie tym głowy. Wszystko się ułoży.

Sumi oparła głowę o jego kolana.

– Wiem o tym. Cole, mój ojciec wybrał ciebie, a on nigdy sienie mylił w ocenie ludzi.

Miał ochotę powiedzieć, że zawsze jest jakiś pierwszy raz. Zamiast tego zapytał:

– Kim jest Shigata Mitsu? Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. To popularne nazwisko, podobnie jak Michael Jones w twoim kraju. Dlaczego pytasz?

Machinalnie gładził jej czarne włosy. Sumi nigdy dotąd nie słyszała w jego głosie takiego skupienia.

– Medytowałem i chyba zasnąłem. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem ciebie, a na końcu języka miałem nazwisko Shigata Mitsu. Nie wiem, czy mi się tylko przyśniło, czy też ma to jakieś symboliczne znaczenie. Prosiłem ducha twojego ojca o wsparcie. Czy możliwe, by to on podsunął mi to nazwisko?

W głębi duszy Sumi uważała tę rozmowę za głupią i niepotrzebną.

Przecież jest młodą, nowoczesną Japonką. Nie w głowie jej duchy czy legendy. Liczy się tylko teraźniejszość. Mało prawdopodobne, by jej ojciec opuścił owo tajemnicze miejsce, gdzie teraz przebywa, jedynie po to, by podszeptać jej mężowi jakieś głupie nazwisko. Nie. Gdyby jej ojciec naprawdę opuścił świat duchów, zażądałby sake i cygar.

– Nie wiem, Cole – powiedziała głośno. – To nazwisko brzmi znajomo, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie je słyszałam. Zapytamy moich sióstr i ich mężów. Może ktoś w biurze będzie wiedział. Mam! – krzyknęła nagle. – Bibliotekarze zawsze wiedzą wszystko.

– Miałem głowę na karku, żeniąc się z tobą – zażartował Cole. – Zajmę się tym jutro, z samego rana. Jak się dzisiaj czujesz, Sumi?

– Teraz, kiedy wreszcie zwróciłeś na mnie uwagę, znakomicie. – Westchnęła i przytuliła się do męża. Ostatnio, ku jej żalowi, spędzali razem coraz mniej czasu. Cole ciągle miał milion spraw do załatwienia, martwił się, analizował sytuację. Coraz bardziej zamykał się w sobie, co niepokoiło ją nie na żarty. Zamierzała nawet napisać do Sawyer długi list, z nadzieją, że ta podsunie jakieś rozwiązanie tej sytuacji.

– Czy ostatnio cię zaniedbywałem, Sumi?

– Tak, Cole. Wiem, co ci chodzi po głowie, ale zapewniam cię, że mój ojciec nie popełnił błędu powierzając ci „Wschodzące Słońce”. Musisz w to uwierzyć.

– Więc dlaczego czuję to, co czuję? – Czującym gestem położył bladoróżowy kwiatek na ustach żony. – Jest niemal równie piękny jak ty – szepnął, przesuwając palec wzdłuż płatków.

– Nie przypominam sobie, by wiśnie kiedykolwiek kwitły równie pięknie. Żałuję, że ojciec ich nie widzi. Darzył to miejsce specjalnym uczuciem. Kiedy byłam malutka, skradałam się w ślad za nim i chowałam za tamtymi krzakami. Modlił się za nas i... i...

– I co? – dopytywał się, zaciekawiony. Z zadumą spoglądał na

niemal przezroczyste płatki. – Wiesz, kiedyś babcia uszyła Sawyer sukienkę właśnie takiego koloru. Zainspiowały ją te kwiaty, bo zabrała je do domu po którejs wizycie. Sawyer wyglądała przepięknie. Widzisz? Ja też się znam na modzie – stwierdził z dumą.

– Mój ojciec składał podziękowania. Byłam wtedy dzieckiem, ale pamiętam, że mówił do kogoś, choć na wzgórzu nikogo nie było. Pobiegłam wtedy do domu i opowiedziałam o tym mamie. Wytłumaczyła mi, że prawdopodobnie rozmawiał ze swoim... przyjacielem. Nawet wtedy, jako siedmiolatka, odniosłam się do tego sceptycznie. Chciałam koniecznie wiedzieć, co to za przyjaciel i czy jest niewidzialny, jak moi wyimaginowani towarzysze zabaw. Mama powiedziała wtedy... powiedziała... ojej, nie pamiętam. To było tak dawno temu. Wracajmy już. Sawyer będzie dzwonić. Mówiła, że to pilne.

Opiekuńczym gestem otoczył ramieniem jej szczupłe plecy i pomógł wstać. Była drobniutka, sięgała mu zaledwie do połowy piersi. Gdyby nie niski wzrost, zauważyłby jej niespokojne spojrzenie, teraz czuł tylko, że lekko drży. Myślał, że to skutek zmęczenia, wziął ją więc na ręce i ruszył w stronę domu. Różowe płatki opadały na nich w zwolnionym tempie.

– Cole, najwyższy czas, żebyś się wybrał z wizytą do Teksasu – oznajmiła Sumi.

– Zrobię to, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Pojedziemy wszyscy razem. Przecież będziesz się chciała pochwalić naszym pierworodnym?

– Oczywiście. Ale teraz musisz jechać sam. Musisz porozmawiać z rodziną. Pozwolę ci jechać, jeśli przysięgniesz, że do mnie wrócisz.

– Wrócić? Do ciebie? Nigdy! – zażartował.

– Zobaczymy! – mruknęła w odpowiedzi.

Zeszli już ze wzgórza. Postawił ją na ścieżce.

– Usiądź sobie, Cole. Przyniosę ci zimne piwo. Muszę zażyć

witaminy i wypić tę okropną herbatkę, którą mi przepisał lekarz. Podam ci telefon, kiedy Sawyer zadzwoni. Odpoczywaj teraz.

– Najbardziej despotyczna kobieta, jaką znam – stwierdził i żartobliwie klepnął ją w pośladki. – Przynies mi piwo. No, szybko, szybko!

Ogród medytacji był najspokojniejszym miejscem na ziemi, prawie tak spokojnym, jak Wzgórze Kwitnących Wiśni. Zaplanował go i zasadził mistrz Zen. Shadaharu darzył ten zakątek głębokim uczuciem. Kiedyś powiedział nawet, że tylko dlatego nie chce tu umierać, żeby to miejsce nie kojarzyło się jego bliskim ze smutnymi wspomnieniami.

Cole minął wodospad, przeszedł przez drewniany mostek i usiadł na małej ławeczce. A on? Kiedy nadejdzie jego czas, czy będzie chciał umrzeć tu, na obcej ziemi, czy raczej wrócić do Teksasu? Potrząsnął głową, odpychając od siebie ponure myśli. Co mu w ogóle chodzi po głowie? Przed nim jeszcze długie życie. Zapatrzył się w dal. Prawie nie zauważył Sumi, gdy postawiła przed nim butelkę piwa i przerośnięty telefon. Czekala długą chwilę z nadzieją, że zaproponuje jej, by mu towarzyszyła. Ponieważ nie odrywał wzroku od kępy drzew, wycofała się cicho, łykając łzy. Coraz bardziej się od siebie oddalali.

Kimkolwiek, czymkolwiek jesteś, Shigata Mitsu, byłeś tutaj, w tym ogrodzie. Wyczuwam to. Przychodziły mu na myśl słowa takie, jak kanna, anioł stróż, duch, i Shadaharu Hasegawa. W starym Japończyku zawsze było coś niebiańskiego, jakieś wewnętrzne piękno. Powiedział mu to, gdy po raz pierwszy wszedł do tego ogrodu. Dziadek Rileya tylko się uśmiechnął. Cole zapamiętał jego uśmiech, bo właśnie on sprawił, że poczuł się potrzebny. Nie zapomniał również podziwu, jaki go ogarniał, ilekroć przebywał w towarzystwie teścia. To także wyjawiał Shadaharu, , ku wielkiej jego radości.

Wielokrotnie właśnie tu, w tym ogrodzie, Cole wyczuwał obecność starego Japończyka. Czuł jego rękę na ramieniu, gdy przytłaczała go

odpowiedzialność. Nie objawiały mu się kłęby mgły, zwiewne postacie, nie słyszał niesamowitych odgłosów. Nie, to było coś zupełnie innego. Po prostu wiedział, że starzec tu jest, a przez to uważniej wsłuchiwał się w szept wiatru i echo własnych kroków. Kiedyś, właściwie całkiem niedawno, kiedy popadł w głęboką depresję, bawił się dziecinne eksperymenty na potwierdzenie obecności ducha. Na małym stoliczku ustawił szklaneczkę sake, w popielniczce ułożył zapalone cygaro. On, Cole, nie lubił sake i nie palił cygar. Usiadł i czekał. Nie spuszczał wzroku ze stolika. Nagle któreś z dzieci zawołało go do telefonu. Wrócił dużo później. Sake zniknęła. Z cygara został tylko niedopałek. To sprawka dzieciaków, przekonywał się, albo, co bardziej prawdopodobne, cygaro samo się spaliło. Dopiero kiedy spacerował ulubioną ścieżką teścia, zmienił zdanie. Na dróżce widniały małe kupki popiołu. Nigdy nikomu o tym nie wspominał. To jego tajemnica. W głębi serca był przekonany, że duch Shadaharu chce mu pomóc. Jeśli tak nie było, oznaczałoby to, że traci rozum. Pytanie tylko, co stary Japończyk stara się mu przekazać? Czy chce go przed czymś ostrzec? Cole był nerwowy, spięty, a Japończycy z pogardą odnosili się do tych cech. Musi się odprężyć, więcej medytować. Kim lub czym jest Shigata Mitsu?

Zdał sobie sprawę, że czeka, choć sam dobrze nie wie na co. Na jakiś sygnał? Wypił resztkę piwa. Shigata Mitsu. Powtarzał nazwisko cichym, smutnym szeptem. Nic się nie wydarzyło.

– Rozumiem, stary przyjacielu. Nie wolno się spieszyć. Jedna wskazówka na raz. – Sam nie wiedział, co sądzić o swoim zachowaniu, i nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo zadzwonił telefon. To Sawyer, jego bezpieczna przystań podczas największej burzy. Zawsze mógł na nią liczyć. Kochał przyrodnią siostrę z całego serca, choć nie zawsze zasługiwała na miłość.

– Na Boga, Sawyer, czy zawsze musisz krzyczeć, jakby się paliło?

Słyszę cię doskonale i bez tego. Co nowego? Jak dzieciaki, zwłaszcza moja chrześnica?

Jaką macie pogodę w Nowym Jorku? Czy mówi ci coś nazwisko Shigata Mitsu? – ściszył głos do szeptu.

– Wszystko w porządku. Dzieci mają się dobrze, Adam też. Leje jak z cebra. Opiekunka do dzieci jest wspaniała, wreszcie mam trochę czasu dla siebie. Właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Cole, potrzebne mi pieniądze tego imperium, którym zarządzasz – zaszczebiotała. – O kogo pytałaś?

Poczuł, jak skręca mu się żołądek.

– Ile? – zapytał oschle. – Shigata Mitsu – burknął.

– Dużo. Słuchaj, muszę z tobą porozmawiać. Zaprojektowałam ten samolot... wiesz, on przeczy prawom aerodynamiki, w każdym razie zaprojektowałam go między zmienianiem pieluch a zapasami z Adamem. Coleman Aviation nie ma wystarczających rezerw finansowych. Będę potrzebowała dużej kasy, braciszku. – Była taka beztroska, taka pewna siebie. Cole skulił się w sobie. – Milionów. Może nawet setek milionów. – Jego żołądek ponownie fiknął kozła. – Nie chcesz się niczego dowiedzieć o tym cudenku? Adam nie może wyjść z podziwu. Riley powiedział, uwaga, cytuję: „Znów staniemy na nogi, kiedy Cole nam pomoże”, koniec cytatu. Chyba trochę namieszałam ci w głowie, co? Słuchaj, to będzie prawdziwa sensacja przyszłości. Niewiarygodna zwrotność, która daje przewagę w walce powietrznej. Nowa linia skrzydeł, nowatorskie rozwiązania techniczne. Co ty na to, Cole?

– A co ja z tego będę miał? – zapytał rzeczowo.

– Będziesz mnie wspierał finansowo, Cole. On poleci, zaufaj mi. Widzisz, koło się zamyka. Tak samo jak przy pierwszym samolocie dziadka Mossa. To nasza szansa na wyjście z dołka. Na wielką forszę. Wchodzisz w to?

Mówiła coraz szybciej, coraz niespokojniej, co nie umknęło jego uwagi. Nie spodziewała się sprzeciwu.

Cole myślał o sytuacji koncernu „Wschodzące Słońce”, o minionych trzech latach, o tym jak zawiódł pokładane w nim nadzieje.

– Dwanaście procent odsetek i siedemdziesiąt pięć procent zysków. Mógłbym zażądać piętnastu, ale ponieważ jesteśmy rodziną, niech będzie dwanaście. – To na to podświadomie czekał, był znak z tamtego świata, wiadomość od Shadaharu. Jezu, wreszcie jakaś cholerna wskazówka. Bo cóż innego? Zastanawiał się szybko. Siedemdziesiąt pięć procent udziału w zyskach i dwanaście procent odsetek dawały mu pełną kontrolę. Osiągnie to, czego chciał, wykaże, że pod jego kierownictwem firma przynosi zyski. Kosztem Sawyer i całej rodziny, dodał wewnętrzny głos. Czy to zbyt wysoka cena? Teraz musi być twardy. To duże sumy, a zważywszy niepewność kontraktów rządowych, może dojść do rozłamu w rodzinie. .. Na dodatek robił to, bo zaczyna wierzyć w duchy! Czyżby powoli tracił rozum? Cholera! Czemu od razu wyskoczył z konkretnymi liczbami? Miał właśnie powiedzieć o tym Sawyer, kiedy w słuchawce rozległ się jej wysoki głos.

– Czy dobrze usłyszałam, Cole? – zapytała lodowato. – Siedemdziesiąt pięć procent udziału w zyskach i dwanaście procent odsetek?

Nigdy dotąd nie słyszał u niej takiego tonu. W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, cofnąć poprzednie słowa. Zaraz jednak pomyślał o „Wschodzącym Słońcu”. Pomyślał o swoim teściu, duchu. Albo mu ufa, albo nie. Wybrał to pierwsze.

– Jestem otwarty na twoje propozycje – powiedział. – Wszystko można załatwić. Najlepiej będzie, jeśli tu przyjedziesz. Wypracujemy kompromis zadowolający obie strony.

– Chyba w twoich snach – warknęła. – Rzeczywiście, dobrze cię

usłyszałam. Oto efekty przekazywania władzy i pieniędzy nieodpowiednim ludziom.

Nie wyobrażał sobie, że w jej głosie może być jeszcze więcej chłodu. Teraz się o tym przekonał.

– Do widzenia, Cole.

– Cholerna dziwka – syknął.

Do tej pory Sumi czekała przy wejściu do ogrodu. Dopiero teraz podeszła do męża.

– Co się stało? – zapytała zaniepokojona. – Czy Sawyer...? Złe wieści?

– Zależy, jak na to patrzeć. Chce... żąda ode mnie, żebym sfinansował nowy samolot, który zaprojektowała dla Coleman Aviation.

– To wszystko? Sądząc z twojej miny spodziewałam się usłyszeć coś strasznego. Oczywiście się zgodziłeś, prawda? Podziwiam jej umiejętności. Pomyśleć, że wy oboje, brat i siostra, projektujecie samoloty... to wspaniale. Mój ojciec darzył Sawyer wielkim szacunkiem, nie mieściło mu się w głowie, że kobieta może dokonać takich rzeczy. Bardzo kochał całą twoją rodzinę.

Cole'a ogarnęła fala wstydu.

– Złożyłem jej pewną ofertę. Nie przyjęła. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że... że mógłbym potraktować to jako umowę w interesach i że mam prawo oczekiwać zysków. – Kiedy spojrzał w oczy Sumi, pojął, że nie może na tym poprzestać, musi powiedzieć więcej. – Nie rozumiesz tego, ja sam nie do końca się w tym orientuję, ale całym sercem wierzę, że to twój ojciec... – Jak ma to powiedzieć? – Skarbie, wierzę, że twój ojciec chce mi pomóc wyjść na prostą. Robię to, czego ode mnie oczekuje. – Nawet w jego uszach te słowa brzmiały nieprzekonywająco.

– Co właściwie powiedziałeś Sawyer? – zapytała Sumi cicho.

– Dwanaście procent, odsetek i siedemdziesiąt pięć procent udziału

w zyskach.

– Ach, tak.

– Wstydzisz się za mnie. Czytam to z twojej twarzy.

– Tak – odparła ze smutkiem. Wyrwała rękę z jego dłoni. Gwałtownie odwróciła się na pięcie, mało brakowało, a upadłaby wskutek potknięcia. – Ciekawe, jak potoczyłyby się losy twojej rodziny, gdyby ojciec postępował tak jak ty. – Spojrzała na niego przez ramię. – Nie chciał udziałów ani odsetek. Pożyczka była bezterminowa, a czek wystawiony in blanco. Tyle razy słyszałam tę opowieść, że znam ją na pamięć.

Odprowadzał ją wzrokiem. Czuł się jak ostatni śmieć. Ba, nawet gorzej. Do dziś w oczach żony zasługiwał wyłącznie na podziw, bez względu na to, co zrobił. A teraz jego piękna Sumi wstydziła się – przez niego.

Czy starczy mu odwagi, by powtórzyć wobec całej rodziny to, co powiedział Sawyer? Czy choć jedna osoba go zrozumie, zakładając, że będzie w stanie opisać im swoje uczucia? Kiedy przejmował stery japońskiego imperium, przechwalał się, że ma do dyspozycji dziewięćdziesiąt miliardów dolarów. Do swojej dyspozycji. Trzy lata później nadal miał dziewięćdziesiąt miliardów dolarów. Wyobrażał sobie ich miny, gdy Sawyer powtórzy im dzisiejszą rozmowę, a zrobi to z całą pewnością. Uznają, że te miliardy dolarów przewróciły mu w głowie. Pomyślał, że jest bezdusznym, chciwym skąpcem. Zrobiło mu się słabo.

Sięgnął po piwo. Butelka była pusta. Przecież upił tylko kilka łyków i nie nalał ani kropli do szklanki, która stała na tacy z czarnej laki. Nie zdziwiły go resztki piany na dnie szklanki. Stary Japończyk chętnie pijał piwo do posiłku, bez względu na to, co jadł. Cole zerknął na zegarek. Kwadrans po szóstej. Rozejrzał się niespokojnie. Popołudniowe słońce zniknęło za horyzontem. Kolejny znak. Był o tym

przekonany. Duch Shadaharu jest tu i słuca. Skoro w to wierzy, musi uwierzyć również, że słusznie postąpił w sprawie Sawyer. Liczby zawsze można zmienić. Mimo wszystko, jego siostra, znany dusigrosz, uzna to za zdradę. Trudno. Może uda mu się ją przekonać, że nie ma racji. Teraz najważniejsze to okazać się godnym zaufania Shadaharu. Stary Japończyk ma pierwszeństwo.

Nad jego głową ptaki trzepotały skrzydłami, szykując się do lotu. Zdawało mu się, że słyszy irytację w tym dźwięku. Cały ogród szeptał: Shigata Mitsu, Shigata Mitsu.

Sawyer Coleman Jarvis wpatrywała się z niedowierzaniem w słuchawkę. Chciało jej się płakać, ale powstrzymała łzy. Za jej plecami Kąty i Josie, bliźniaczki, z piskiem walczyły o szmacianego królika. Obie córeczki odziedziczyły po niej upór. Mogła z góry przewidzieć rezultat szamotaniny: skończą, ściskając w dłoni jedno ucho biednej zabawki. Nieważne, że każda miała swojego królika; Sawyer przyszywała uszy jednemu i drugiemu już setki razy. Diabelskie bliźniaczki. Rozkoszowała się każdą spędzaną z nimi chwilą. Jej zdaniem były podobne do Adama, choć po niej odziedziczyły jasne włosy i niebieskie oczy.

– Cholera – mruknęła, Ominęła pudło zabawek. Ze złości kopnęła lalkę z gałganków. Dziewczynki przestały się kłócić. Z zainteresowaniem obserwowały szybującą zabawkę.

– Adam! – wrzasnęła.

– Chcesz obudzić zmarłych, czy co? – odwrzasnął w odpowiedzi. – Dzięki Bogu, że nie mamy żadnych sąsiadów, robimy tyle hałasu. O co chodzi?

Sawyer usiadła na krześle przy swoim stole kreślarskim. Tuż obok stał stół kreślarski Adama. Zazwyczaj świadomość, że pracują obok siebie, ona projektując samoloty, on – rysując polityczne karykatury, wprawiała ją w dobry humor. Tym razem nie widziała w tym nic

zabawnego.

Powtórzyła mu swoją rozmowę z Cole'em.

– Wyobrażasz sobie? Naprawdę powiedział mi coś takiego! – zakończyła gniewnie.

Adam, wieczny rozjemca, starał się ją ułagodzić:

– Może zadzwoniłaś w nieodpowiedniej chwili. Sumi jest w ciąży, na pewno się o nią martwi. Ma tyle spraw na głowie. Przecież na nim spoczywa odpowiedzialność za cały koncern. Nie zostawiaj tego, zadzwoń jeszcze raz.

– Nie ma mowy! – warknęła.

Adam zmarszczył czoło w ponurym grymasie.

– Może teraz inaczej postępuje w interesach. – Pamiętał Cole'a i Rileya z dawnych lat, gdy był dla nich mądrym, starszym bratem. – Chcesz, żebym ja to zrobił? Jesteś w gorącej wodzie kąpana, Sawyer, a i Cole nie należy do najcierpliwszych. To nie jest... Na Boga, kobieto, przecież prosisz go o kilkaset milionów dolarów. Ja też chyba nie zgodziłbym się od razu. Pewnie chce to przemyśleć, skonsultować się z doradcami.

– Nie, nie, nie – Sawyer energicznie pokręciła głową. – Nad niczym się nie zastanawiał, zanim mi powiedział, że chce dwunastu procent odsetek i siedemdziesięciu pięciu procent udziału w zyskach. Nie miał zamiaru z nikim w tej sprawie się porozumiewać. Zresztą, Cole nie ma żadnych doradców. Jego słowo jest prawem. I jeszcze jedno, Adamie. Kiedy w zeszłym roku moja rodzina potrzebowała pieniędzy na proces, ty pierwszy zadeklarowałaś pomoc finansową. Babcia Billie nie musiała cię o nic prosić, więc nie wmawiaj mi, że na miejscu Cole'a musiałbyś to przemyśleć.

Podrapał się w głowę. Krótkie, sztywne rude włosy stały się dęba. Nie znosił kłótni z Sawyer, bo nigdy nie udawało mu się postawić na swoim. Pokonywała go uporem i niezłomną logiką wywodów. Mimo to

jednak nie poddawał się:

– Może bawię się w adwokata diabła, ale czy wam, Colemanom, w ogóle przyszło do głowy, że Cole nie jest waszym osobistym bankierem? Z jakiej racji ma sięgać do kieszeni, ilekroć wam brakuje gotówki?

Sawyer poruszyła się niespokojnie. Już raz kłócili się na ten temat. Przegrała wtedy, bo, prawdę mówiąc, Adam miał rację.

– Słuchaj – nie dawała za wygraną. – Po prostu nigdy by mi do głowy nie przyszło, że Cole może postąpić tak, jak to właśnie zrobił. To gnojek. Pieniądze i władza uderzyły mu do głowy.

– Co nie przeszkadza ci korzystać z tejże władzy i pieniędzy – Adam wpadł jej w słowo. – Uśmiechnął się kącikiem ust. Coś zaczynało do niej docierać. Najwyższy czas.

– Jeśli tak na to patrzysz, masz rację – przyznała niechętnie. – Ale i tak postąpił nie fair. Wszyscy moglibyśmy na tym zarobić. Nie było cię tutaj, gdy zbieraliśmy fundusze na samolot dziadka Mossa. Nigdy nie zapomnę tamtego koszmaru. Wtedy pomógł nam pan Hasegawa.

– Coś takiego...

– O nic nie prosiliśmy. Sam się zaoferował – dodała oschle.

– Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, skąd miał taką fortunę? Co zrobił on, a czego nie zrobili Colemanowie? Chyba Thad powiedział kiedyś, że pan Hasegawa nie pochodzi z bogatej rodziny. A gdy umierał, był jednym z trzech najbogatszych ludzi na świecie.

– Co to ma do rzeczy? Chodź tu, Josie. Mamusia to naprawi. – Sawyer wyjęła szmacianą lalkę z rąk córeczki. Gdy zobaczyła podarte ubranko i wyrwane włosy, westchnęła ciężko. – Adam, czy to nie twoja kolej reperować zabawki?

– Nie, to nie moja kolej. A do rzeczy ma to bardzo wiele. – Poczul przyływ czułości, widząc, jak sięga po koszyk z przyborami do szycia. – Ja przyszyję – odezwał się łagodniejszym głosem.

– Może masz rację. Może rzeczywiście tym razem zareagowałam zbyt gwałtownie. – Odgryzła koniec nitki. – Dobra, zadzwonię do niego i przeproszę. Jak myślisz, jaki procent będzie fair?

– O, nie. Nie wciągaj mnie w to. Sama załatwisz tę sprawę z Cole’em i rodziną. – Zerknął na jej stół kreślarski. W ogóle się nie orientował w skomplikowanych wykresach. Najczęściej nie rozumiał połowy z tego, co mówiła. Wiedział jedynie, co oznacza termin „bliskie starcie”, a i to tylko dlatego, że Sawyer zmusiła go do pięciokrotnego obejrzenia filmu „Top Gun”. Nie zapomniał swego zdumienia, gdy żona, w zaawansowanej ciąży z bliźniaczkami, oznajmiła, że chce jechać na pokazy samolotowe do Farnsworth, do Anglii. Po powrocie była nie do zniesienia, bezustannie paplała o migach 29. Nie mogła się nadziwić, jak startują niemal pionowo, osiągają pułap tysiąca stóp i opadają ogonem w dół. Jego żona, inżynier aerodynamiki. Jezu, nie potrafi nawet wymówić poprawnie tego słowa.

– Proszę, skarbie. Pokaż to Ellen. W kuchni, Josie.

– Gdzie Kąty? – zainteresował się Adam. – Zbyt łatwo zrezygnowała z lalki. – W kuchni. Wcina ciastka. – Sawyer się uśmiechnęła. – Muszę się wziąć do pracy. Dasz sobie radę? Na pewno? Adam podniósł głowę, urażony.

– Myślisz, że nie potrafię wsadzić im w buzie smoczków i ciasteczek? Potrafię także otworzyć puszkę. I przyszywać guziki. I nie zapominaj, że jest Ellen.

– Tak jest, szefie. – Sawyer sięgnęła po słuchawkę. Nie odrywała wzroku od wykresu.

– Zabieraj się do pracy – prychnął.

Równie dobrze mógł nic nie mówić. Sawyer zapomniała o bożym świecie. Pochylił się nad swoim stołem i dokończył karykaturę prezydenta Busha. Polityczne gierki to świat, który rozumiał.

Rozdział drugi

Był to piękny dom, być może najpiękniejszy na całych Hawajach. Wokół posiadłości pięły się bujne krzewy hibiskusa, w powietrzu unosił się upojny zapach plumerii. Olbrzymia palma jak wielki parasol ocieniała bramę, która prowadziła do rezydencji Maggie i Randa Nelsonów. Podjazd wił się jak wąż. Budynek był niski i rozłożysty. Za nim lśnił Pacyfik.

Był obszerny, ale nie przytłaczał wielkością. Sprawiał wrażenie miejsca przytulnego, jakże różniący się od Sunbridge, zastawionego skórzanymi meblami. Z każdego okna roztaczał się widok na piękny ogród. Spadzisty daszek osłaniał drzwi wiodące na patio. Roślinność zdawała się przenikać do wnętrza, zlewać w jedno z lekkimi bambusowymi meblami i biało-zielonymi ścianami. Na sufitach zainstalowane duże wentylatory, które dawały w pomieszczeniu przyjemny powiew. W całym domu unosił się zapach morza.

We wszystkich oknach wisiały zwiewne zasłony, kołysane ciepłym wietrzykiem. Dywany w kolorze zgaszonej bieli łagodziły surowość mahoniowych mebli w sypialniach i komponowały się z jasnym bambusem w innych pomieszczeniach.

Billie, pierwsza mieszkanka posiadłości, zwykła ją nazywać swoim prywatnym rajem. Dla Maggie i Randa był to po prostu dom.

Maggie Coleman Nelson usiadła na *lanai*. Miała na sobie dwuczęściowy kostium kąpielowy. Łagodny wietrzyk kołysał czubkami roślin.

Rozejrzała się dokoła, niepewna. Ilekroć coś wydaje się doskonałe, los płata ci figla. Ukłucie w sercu upewniło ją, że stało się coś złego z matką albo jej synem, Cole'em albo córką, Sawyer. Jak powtarzała matka, był to siódmy zmysł, cecha wspólna kobiet z rodziny Colemanów. Dotychczas siódmy zmysł nigdy jej nie zawiódł,

stwierdziła Maggie ze strachem. Od wielu dni ogarniał ją niepokój, a telefon od siostry, Susan, poprzedniej nocy, jeszcze go pogłębił.

Owinęła się barwnym ręcznikiem plażowym, z kolekcji Billie, oczywiście. Skoro jest ponad osiemdziesiąt stopni Fahrenheita, dlaczego ma dreszcze? Czy denerwuje się nieoczekiwaną wizytą Susan? Nie spodziewali się jej, byli całkowicie zaskoczeni. Susan nigdy, przenigdy nie kierowała się impulsami. Już samo to było powodem do obaw. Powiedziała, że Ferris, jej mąż, zdobywa świat medycyny. Roześmiała się przy tym gorzkim, ponurym śmiechem. Maggie wspomniała o tym Randowi. Zbył jej obawy, mówiąc, że po spędzeniu pewnego czasu z rodziną Susan wróci do formy.

Maggie podeszła na skraj *lancii*. Jak tu pięknie, pomyślała, pięknie i spokojnie. Zamknęła oczy, starając sienie myśleć o niczym.

– Proszę – szepnęła, niech nic nie zakłóci mojego szczęścia.

Upuściła ręcznik i pobiegła na plażę, po białym piachu, i wskoczyła do turkusowej wody. Prała fale szybkimi, mocnymi mchami. Był to efekt codziennych ćwiczeń. Napięcie ustąpiło, więc odwróciła się na plecy i pozwalała unosić falom, podczas gdy słońce pieściło jej ciało.

Życie nie zawsze było takie piękne. Zmarnowała wiele lat, jednocześnie kochając i nienawidząc Mossa, swego ojca. Czasami nienawidziła również matki. Sprawiała rodzinie wiele wstydu i przykrości, gdy w wieku czternastu lat urodziła Sawyer. Sama jeszcze dziecko, nie wiedziała nic o wychowywaniu maluchów, co nie przeszkodziło jej zająć w ciążę. Planowała oddać dziecko do adopcji, ale rodzice nie chcieli nawet o tym słyszeć. Matka wzięła Sawyer i wychowała jak własną córkę, a Maggie wysłano do prywatnej szkoły dla dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi. Po osiągnięciu pełnoletności żyła na własny rachunek, ignorując córkę i rodzinę. Potem wyszła za ojca Cole'a i mając dwadzieścia sześć lat, została matką po raz drugi. Następnie rozwiodła się z Cranstonem Tannerem i wywalczyła prawo

opieki nad synem. W dniu, w którym za Cole'em zamknęły się bramy szkoły wojskowej, odkryła uroki alkoholu. Przez długi czas spędzała dnie odsypiając kaca. Zrozumiała, że wpadła w nałóg tego samego dnia, gdy otrzymała akt własności Sunbridge, spadek po ojcu. Wtedy znalazła w sobie dość siły, by wrócić na prostą. Krew Colemanów, powtarzała sobie codziennie.

Wróciła na brzeg. Nie lubiła wracać wspomnieniami do tamtego okresu życia. Płakała, ilekroć sobie uświadamiała, jak zawiodła z Sawyer. Tyle czasu...

Kiedy stwierdzono u Sawyer guza mózgu, córka odwróciła się od Maggie. Buntowała się przeciwko niej, jak niegdyś Maggie przeciwko rodzinie. Sawyer nie chciała poddać się operacji. Maggie usiłowała ją przekonać, by zmieniła decyzję, chciała być dla niej matką. Sawyer kazała jej się wynosić gdzie pieprz rośnie. „Odrobiną za późno”, powiedziała wtedy. Maggie nie słuchała. Walczyła z Sawyer bez przerwy, mając za sojuszników Cole'a i jego kuzyna Riley'a. Obaj mieli wtedy po szesnaście lat. W końcu umęczona, osłabiona Sawyer wyraziła zgodę na operację. Maggie nigdy nie zapomni jej buńczucznej miny i uniesionego w górę kciuka, gdy stali za szybą na oddziale intensywnej terapii. Tamtego dnia usłyszała śpiew aniołów. W swej nieskończonej mądrości Bóg dał jej i Sawyer jeszcze jedną szansę.

Z daleka zobaczyła na *lanai* sylwetkę męża. Puściła się biegiem.

Rand czuł, jak z podniecenia szybciej bije mu serce, gdy Maggie zadarła głowę i mocno pocałowała go w usta. Smutek w jej spojrzeniu nie umknął jego uwagi. Coś jest nie tak. Maggie była jak Billie, wrażliwa, delikatna i stała W:Uczuciach. Był to jeden z powodów, dla których tak bardzo ją kochał. On znał tylko jeden sposób okazywania uczuć.

– Chodź tutaj – skinął na nią zgiętym palcem. Parsknęła śmiechem.

– O, nie, wasza lordowska mość, poznaję ten lubieżny błysk w pańskim oku.

Nie, nie teraz. Lela przyjdzie lada chwila, będzie dzisiaj sprzątać, i...

– I... ?

– I pomyślisz, że jestem łatwą zdobyczą... – Dlaczego teraz, zastanawiała się.

– No wiesz, jesteśmy małżeństwem, powinnaś być łatwa. – Uśmiechnął się przebiegle.

Serce Maggie zabiło szybciej, ale nie wyzbyła się czujności. Tak, chyba zawsze była gotowa, nawet jeśli nie miała ku temu nastroju. Jednak nie kochali się od trzech tygodni, jeżeli komuś chciało się policzyć dni. Jej się chciało.

Dużo myślała podczas tych trzech tygodni. Czy przestała być atrakcyjna, godna pożądania w jego oczach? Co właściwie wносиła do ich związku? Jedyne tematy, jakie poruszała, dotyczyły wizyty sprzątaczkii, wypraw po zakupy i książek, które ostatnio czytała. W wyjątkowo interesujące dni, kiedy znalazła na plaży nietypową muszlę albo zauważyła, że woda przybrała niecodzienny odcień, łatwiej jej było podtrzymywać rozmowę.

W magazynach kobiecych wyczytała, że kobieta powinna przejawiać inicjatywę w seksie. Niestety, nie napisano tam, co ma robić kobieta odrażona, która dochodzi do pięćdziesiątki, nawet jeśli odbywa się to w sposób niezwykle delikatny i taktowny.

Męczyło ją udawanie, że nie ma to żadnego znaczenia, miała dosyć wiecznej beztrioski i dowcipnych, lekkich rozmów, a także ciągłych wypraw Randa na Hilo i Maui.

Była bliska płaczu, ale Rand nie znosił, kiedy, jak to określał, się mazała. Opanowała się więc i rzuciła szybko:

– Co powiesz na kąpiel? Na golasa?

– Czemu nie? – Ściągał kąpielówki. Maggie z głośnym piskiem pobieгла ku morzu, ścigana przez nagiego męża.

Zanurzyła się w fale zaraz po tym, jak jej kostium opadł na piasek. Przecinała błękit wody silnymi ramionami. Zwolniła celowo, żeby ją dogonił. Był tuż-tuż; dała nura. Ruszył jej śladem. Płynęli w szafirowej toni, równo, jakby ich ruchy ustalał choreograf. Wynurzyli się jednocześnie.

– Kocham cię – szepnęła.

– Jak bardzo? – Przyciągnął ją do siebie.

– Bardziej niż wczoraj, mniej niż jutro – odparła. – A jak bardzo ty mnie kochasz?

– Bardzo, rozwiązała kobieto. – Miał ochrypli głos. Przyciągnął ją bliżej. – Chcesz się kochać w wodzie? – Tak.

– To może się okazać niezbyt wygodne, – Przemawia przez ciebie pięćdziesięcioletni starzec, czy może jestem zbyt kobieca dla ciebie?

Uśmiechnął się łobuzersko.

– Raczej odwrotnie.

– Udowodnij mi – szepnęła. Może tym razem będzie tak jak kiedyś. Może tym razem seks z Randem nie będzie taki... mechaniczny.

Szepnął jej coś do ucha.

– Naprawdę? – zachichotała.

– Naprawdę. I to jeszcze nie wszystko. – Płynął do brzegu.

Z diabelskim błyskiem w oku, zanurkowała, przepłynęła pod nim, wyprzedziła go z łatwością. Po chwili leżeli na piachu.

Znieruchomiała w oczekiwaniu na to, co, jak wiedziała, nadejdzie. Rand objął ją mocno, nie zważając na jej pozorny sprzeciw. Przyciągnął ją do siebie, miażdżył silnym, umięśnionym ciałem. Utonęła w jego spojrzeniu, jak zawsze świadoma władzy, jaką nad nią miał. Po jej oporze nie było śladu; zastąpiła go namiętność. Hipnotyzował ją głębią

ciemnych oczu.

Odrzuciła głowę do tyłu, dotknęła włosami miękkiego, białego piasku. Czekwała na pocałunek, nastawiła się na gwałtowne, namiętne zetknięcie ust. Tymczasem delikatnie muskał wargami jej skronie, czoło, odnajdywał wrażliwą skórę za uszami. Czowała zapach jego wody po goleniu, szorstkie drapanie zarostu, miękkość ust, które pieściły jej policzki.

Odprężyła się, rozluźniła, a Rand delikatnie ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta. Kiedy myślała, że dłużej nie zniesie słodkiej rozkoszy, pogłębił pocałunek. Czubek jego języka muskał miękkie wargi i powoli, powoli wnikał głębiej.

Rozchyliła usta i odwzajemniła pocałunek. Rand jęknął:

Przerwał, odnalazł jej spojrzenie. Zamknęła oczy, oddychała szybko, płytko. Jak to możliwe, by mężczyzna, którego od lat kochała całym sercem, nadal budził w niej zwierzęcą namiętność? Pocałowała go mocno i zapomniała o całym świecie – o gorącym słońcu, o ciepłej wodzie, nawet o Susan i służbie, która miała doskonały widok na plażę. Nie liczyło się nic, oprócz Randa i uczuć, jakie w niej budził.

Miała wrażenie, że jego usta stały się częścią niej samej. Znała dotyk jego pełnych warg i silnych białych zębów. Smakował winem, które wypił do obiadu. Przywarła do niego całym ciałem, nie chciała, by dzielił ich choćby skrawek przestrzeni. Jego pocałunki upajały ją, przyprawiały o zawroty głowy, potęgowały pożądanie. Pragnęli się, dążyli do zjednoczenia ciał i dusz.

Oderwał się od niej na chwilę, by ponownie spojrzeć jej w oczy. Żaden mężczyzna nigdy nie zajmie jego miejsca w jej życiu. Skazani byli na patrzeć sobie w oczy jak teraz, z pożądaniem i oczekiwaniem. Sądzone jej było tak silnie reagować na jego niski głos, wprawiający ją w drżenie, ulegać tak mocno jego czarowi.

W blasku ciepłych promieni całował jej szyję, wdychał jej zapach.

Język zostawiał wilgotny ślad od ust do nagich piersi. Przeszył ją dreszcz oczekiwania. Na całym świecie istnieli tylko oni dwoje. Realna była tylko jej reakcja na dotyk męża. Rozkosz rozchodziła się po całym ciele Maggie, uległa jej, niezdolna się opanować.

Umierała, ilekroć jej dotykał. Co chwila traciła głowę. Zachłannie tuliła go do siebie, jak największy skarb.

Obserwowała go spod zmrużonych powiek. Był opalony, tylko na biodrach jaśniał pasek bledszego ciała. Wąskie biodra przechodziły w silne, muskularne uda. Czują na sobie jego męskość, pulsującą oczekiwaniem.

Kiedy ręce Maggie błądziły po ciele Randa, miał poczucie władzy nad nią; upajał się jej pożądaniem. Jest taka piękna, z ustami spuchniętymi od jego pocałunków. Spoglądała na niego spod przymrużonych powiek. Z jej wzroku czytał, że go pragnie i ta świadomość podniecała go coraz bardziej. Chciał jej, miał ochotę przycisnąć ją swoim ciałem i wejść w nią, stać się jej częścią. Była doskonała, każda wypukłość jej ciała go pociągała: pełne piersi o różowych sutkach, krągłe biodra, smukłe uda, złoty odcień skóry. Weźmie ją powoli, będzie się rozkoszował każdą pieczęcią.

Kiedy chciał przykryć ją sobą zaprotestowała. Przewróciła się na bok. Chmura ciemnych loków zasłoniła jej twarz, łaskotała go w pierś. Gładziła go opuszkami palców, przeczesła kępę włosów na klatce piersiowej, musnęła płaski brzuch, odnalazła twardą męskość. Jęknął, kiedy objęła go dłonią i zaraz się cofnęła. Miał ochotę bić jej brawo za odwagę, a jednocześnie z trudem powstrzymywał śmiech, widząc niewinne spojrzenie jej oczu.

– Dotknij mnie – zażądał. Ujął jej dłoń, ponownie zsunął ją na dół. Czuł się tak, jakby kochali się po raz pierwszy. Tylko Maggie była w stanie go do tego doprowadzić.

– Lubisz, kiedy cię tu dotykam? A tutaj? – Pieścił jej piersi, ważył

je w dłoniach, rozkoszował się ich miękkością. – A tutaj? – Przesunął dłoń na płaski brzuch. – A tutaj? – Jego palce penetrowały gładkie wnętrze ud.

Jej dłoń wędrowała tą sama trasą. Z wahaniem go dotknęła, musnęła palcami gładki koniuszek. Podniosła głowę, żeby widzieć efekty swoich działań. Włosy zasłaniały jej twarz przed jego wzrokiem. Jego szybki oddech sprawiał jej przyjemność. Błądziła dłonią po jego męskości, by odkryć zadziwiająco wrażliwy skrawek między udami. Czuła, jak rośnie jego pożądanie i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to ona sprawuje nad nim władzę.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym namietności; przypominała mu kotkę, której dano miseczkę śmietanki. Lekki uśmiech zdradzał zadowolenie z siebie.

Dotknęła go ponownie, tym razem obserwując jego reakcję, rozkoszując się jego twardością. Kiedy otoczyła go dłonią, wyrwał mu się jęk rozkoszy. Nie był w stanie się dłużej powstrzymać. Przewrócił ją na plecy. Musi ją mieć, musi znaleźć ulgę wewnątrz niej.

Maggie oblał strumień ciepła, kiedy znowu ją pocałował. Zaraz przesunął usta na piersi. Przywarła do jego mocnych ramion, w obawie, że się zgubi i nigdy do niego nie wróci.

Zatrzymał dłonie na jej biodrach, rozsunał lekko nogi. Powolna pieszczota jego języka była jak tortura, potęgowała płonący w niej ogień. Wplątała palce w jego ciemne włosy, jakby błagając, żeby przestał, podczas gdy jej ciało wygięło się w łuk, pragnąc więcej, oddając się wygłodniałym ustom. Szukał intymnych miejsc i znajdował je; pieszczoty unosiły Maggie na skraj rozkoszy.

Pragnęła spełnienia. Miotła się i kręciła niespokojnie. Rand przytrzymał ją w miejscu, składał hołd dłońmi i ustami, aż nie była w stanie się opanować. Płoneła. Świat składał się z dwóch części – jej pragnienia i jego warg. A kiedy drzenie ustało i ponownie nakrył jej

usta swoimi, poczuła na nich swój smak. Choć zadowolona, była rozczarowana. Choć ucztowała, umierała z głodu. Chciała więcej, dużo więcej. Chciała dzielić rozkosz razem z nim.

Rozsunął jej uda, wypełnił ją sobą. Oplotła jego biodra nogami. Wchłaniała go w siebie. Teraz pożądała go inaczej, nie tak rozpaczliwie. Poruszając się pod nim, potęgowała jego namiętność i na nowo rozpaliała swoją. Razem ulecieli pod niebo; razem dotknęli słońca.

Przez, jak się zdawało, wieczność całą leżeli wtuleni w siebie, szepcząc coś i dotykając się.

– Nieźle, jak na Starą rozpustnicę, co? – Maggie zaniósła się perlistym śmiechem.

– Rzeczywiście, nieźle – zgodził się.

Nadzy poszli na *lancii*, niosąc kostiumy w ręku. Razem wzięli prysznic i owinęli się kolorowymi ręcznikami.

– Jedziesz do Maui? – zapytała, otwierając puszkę mrożonej herbaty.

– Zwariowałaś? Muszę się zdrzemnąć. W moim wieku... Nie dała mu dokończyć.

– Wiedziałam, wiedziałam! – Śmiała się jak dziecko. – Powtórzmy to.

– Chcesz zostać wdową? Spoważniała natychmiast:

– Nie waż się tak mówić. Nienawidzę tego słowa. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Rand – wyznała ochryple.

W tym miejscu powinien powiedzieć „A ja bez ciebie, kochana Maggie”. Nie zrobił tego. Zmienił temat.

– Tak, jadę do Maui i tak, jadąc z powrotem, odbiorę Susan z lotniska.

– Świetnie.

Po jego odjeździe poszła na plażę. Skąd się wzięło to uczucie osamotnienia? W myślach analizowała minioną godzinę. Kochali się i

było wspaniale, ale to był jej pomysł, nie Randa. Przypomniała sobie wszystkie wykrety, jakimi ją raczył w czasie ostatnich trzech tygodni. Bolała go a to głowa, a to kręgosłup, miał dużo pracy, zasypiał, zanim wyszła z łazienki. Gdyby miała opisać męża jednym słowem, powiedziała by, że jest znudzony. Znudzony nią. Och, nadal mówił, że ją kocha, że jej potrzebuje, pragnie, ale nie wiedziała, czy może mu wierzyć. Może Rand przechodzi kryzys wieku średniego. Może.

Odetchnęła głęboko. Lubiła słony zapach oceanu. Fale lizały jej stopy, zostawiając na opalonych kostkach drobne lśniące kropelki. Dzień był przepiękny, jak zwykle tutaj. Na niebie nie było ani jednej chmurki, na horyzoncie woda i przestworza zlewały się w jedno i nie sposób było powiedzieć, gdzie się kończy Pacyfik, a zaczyna niebo. Był to widok zapierający dech w piersiach.

Los obsypał ją łaskami. Dlaczego nie może cieszyć się tym, co ma? Bo, do cholery, coś jest nie tak – powiedziała na głos. Rand? Matka? Siostra? A może ona sama?

Gwałtowny powiew wiatru przyniósł zapach plumerii. Zamknęła oczy, żeby się rozkoszować intensywną wonią. Zaraz po aromacie smażonej cebuli i papryki, był to jej najukochańszy zapach. Kolejna fala obmyła jej stopy. Zapatrzyła się na kropelki na kostkach. Wyglądały jak bransoletki z brylantów. Uśmiechnęła się gorzko. Kropelki wody kojarzą się jej z brylantami, zapach kwiatów ze smażoną cebulą, seks jest mechaniczny. Próżniacze życie. Może to ją gryzie. Nie daje nic z siebie. Ogranicza się do pilnowania męża, spędza z nim jak najwięcej czasu, żeby Rand nie poświęcał go innym.

Jeśli przejmie Billie Limited, zostawi Randa samemu sobie. Będzie musiała sporo podróżować, pracować do późna, jak matka w okresie największego rozkwitu firmy. Mówiąc krótko, wszystko sprowadza się do wyboru między Randem a Billie Limited. Kiepska ze mnie kobieta, skoro nie potrafię utrzymać przy sobie męża tylko dlatego, że dochodzę

do pięćdziesiątki. Pięćdziesiąt lat. Magiczny próg. Czy to prawda, że kobiety się starzeją a mężczyźni dojrzewają? To nie w porządku. Musi porozmawiać o tym z Billie. A może wystarczy ktoś z rodziny? Siostra jest równie dobra jak matka. Susan może się okazać cierpliwą słuchaczką. Sawyer też, ale ona ma pełne ręce roboty przy bliźniaczkach. Nie ma sensu zawracać jej głowy.

Maggie wbiła stopy w wilgotny piasek.

– Nikt nie ma wszystkiego – mruknęła. – Jesteś na wyciągnięcie ręki od celu, i wtedy on się oddala, bo jeszcze nie zasłużyłaś na nagrodę.

– A cóż to za głęboka myśl? Na białej plaży nie znajdujesz odpowiedzi na pytania. Matka powtarza, że odpowiedzi zawsze są w tobie, a Billie nigdy sienie myli. Nigdy.

Może spacer i drzemka na *lanai* pozwolą jej spojrzeć na świat z innej perspektywy.

– Zdarzają mi się jedynie krótkie chwile szczęścia – mruknęła, idąc wzdłuż wybrzeża.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Maggie obudziły głosy na *lanai*. Serce zabiło jej żywiej, gdy usłyszała, jak mąż mówi:

– Maggie zazwyczaj ucina sobie drzemkę po południu. Idę o zakład, że znajdziesz ją pod palmą. Ostatnimi czasy Maggie robi niewiele. Ciągle się... obija.

Obija. Dobry Boże. Zerwała się z hamaka, pozbyła się resztek snu. Po chwili zawołała do Randa:

– Czytałam tę świetną książkę, którą mama przysłała mi przed paroma tygodniami. Chciałabym ją skończyć przed naszą następną rozmową.

– Czy dostaniemy dzisiaj kolację? – zapytał. – W kuchni jest chłodno, ciemno i nic nie pachnie – zażartował.

Unikała jego wzroku, nie chcąc dać po sobie poznać, że słyszała jego słowa. Obija się. Coś takiego. Skupiła uwagę na siostrze.

– Niech ci się przyjrzę, Susy. Jesteś za chuda – stwierdziła autorytatywnie i mlasnęła językiem. – I gdzie się podział błysk w oczach? Nic nie szkodzi, błyskawicznie postawimy cię na nogi. Ładnie ci w *lei*. Sama je zrobiłam. Czy zapach nie przyprawia cię o zawrót głowy? Ferris ma pewnie dużo obowiązków i dlatego z tobą nie przyjechał? Ach, rozumiem, to takie samotne wakacje. Cóż, to miejsce to idealna kryjówka. Napijesz się soku? Może owoców? Chodź, pokażę ci twój pokój. Włóż kostium, pójdziemy się wykapać. – Zdawała sobie sprawę, że papie bez sensu, ale wzrokiem błagała Randa, by nie zadawał żadnych pytań. Zaciągnęła siostrę do domu.

– Więc tak wygląda mityczny raj, gdzie wszyscy odnaleźli szczęście – stwierdziła Susan zaczepnie. – Jestem jedyną osobą, która tu dotychczas nie była, chociaż mnie tu poczęto. Wyobrazasz to sobie?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, nigdy nie chciałaś tu przyjechać – odcięła się Maggie takim samym tonem. – Wielokrotnie zapraszałam ciebie i Ferrisa, ale zawsze znalazłaś jakiś powód, żeby się wykręcić.

– Mama podarowała ci ten dom, prawda?

– Tylko na rok. Potem go od niej kupiliśmy. Skąd na Boga przyszło ci do głowy, że dostaliśmy go w prezencie? Mama jest hojna, ale nie do tego stopnia. Poza tym Rand nie przyjąłby takiego подарunku. Czy nie tak, kochany? – Po raz pierwszy tego popołudnia spojrzała mężowi prosto w oczy.

– Tak, tak. Wygląda na to, że chcecie sobie pogadać w cztery oczy. Ja tymczasem skoczę do Mickey Dee's i przywiozę coś do jedzenia.

Wyszedł.

– Dlaczego zdecydowałaś się przyjechać, Susan? Co się stało?

– Maggie, ledwo się trzymam ha nogach. Zmiana czasu daje mi się we znaki, zresztą ostatnio nie sypiałam najlepiej. Czy będziesz miała

coś przeciwko temu, jeśli się zdrzemnę? Godzinę, nie dłużej. Jadłam w samolocie, więc nie czekajcie na mnie. I obudź mnie niedługo.

– Och, Susy, przepraszam. – Maggie uściskała ją serdecznie. – Nie pomyślałam, że jesteś zmęczona. Pogadamy później, mamy czas, całą noc, jeśli będziemy chciały. Pamiętasz, jak robiłyśmy to w dzieciństwie, dopóki ktoś nas nie nakrył?

– Pamiętam. – Była wyraźnie wzruszona. Maggie udawała, że nie widzi łez w jej oczach.

– Łazienka jest tam, w komodzie są koszule nocne Sawyer. Pościelę ci łóżko, żebyś mogła od razu wskoczyć do pościeli. Ach, muszę ci ostrzec: nie śpij na koronkowej narzucie, chyba że po obudzeniu chcesz mieć twarz staruszki. Chociaż możliwe – dodała po chwili namysłu – że to spotyka tylko kobiety w moim wieku. Wiesz, mam czterdzieści dziewięć lat. A ty ile, czterdzieści osiem? Mój Boże! To niewiarygodne, co? – Znowu paplała, sama nie wiedziała dlaczego. – Kolorowych snów, Susy.

Jak strzała pomknęła do niewielkiego gabinetu męża. W towarzystwie siostry zazwyczaj odsuwała swoje uczucia na bok; teraz nie owijała w bawełnę:

– Coś jest nie tak. Czuję to. Czy mówiła coś w drodze z lotniska?

Rand posłał jej zdumione spojrzenie.

– Mówiła, że Hawaje są piękne. Powiedziałem jej, że sama uplotłaś dla niej *lei*, Wspominała, że tego roku mieli bardzo surową zimę. Mówiła też, że tęskni za domem, lecz nie wie, gdzie ten dom jest. Było mi jej szkoda. Moim zdaniem potrzebuje twojego ciepła i wyrozumiałości. Może się pokłóciła z Ferrisem. Bardzo tęskni za Jessie. Jeszcze się nie pogodziła z jej śmiercią, to pewne. Nie miej takiej smutnej miny, skarbie. Susan jest dorosła. Poradzi sobie. Potrzebuje tylko trochę czasu, to wszystko.

– Jeśli ma jakiś problem, dlaczego nie zwróciła się z tym do mamy?

Ja zawsze mam ochotę lecieć do Billie, kiedy coś mi się nie układa. I nie chodzi tylko o Susy. Od pewnego czasu mam złe przeczucia, że z mamą dzieje się coś niedobrego. Znasz mnie i wiesz, że moje przeczucia się sprawdzają.

– Chyba trochę przesadzasz. Słuchaj, wpadnijmy do Mickey Dee’s na pyszne, ociekające tłuszczem *makimahii* wielką porcją frytek.

– Nie jestem głodna. Jedź sam albo zrobię ci sałatkę. W lodówce jest puszka krabów. Wybieraj. Muszę zadzwonić do paru osób, zanim zrobi się za późno. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Z jej głosu wywnioskował, że jego odpowiedź nie ma dla niej znaczenia. – W takim razie, do zobaczenia. Ślinka mi leci na samą myśl o tłustych frytkach. Pozdrów wszystkich ode mnie.

Ciche pukanie do drzwi sprawiło, że odwrócili się jednocześnie.

– O, Lela, skończyłaś już? – zdziwiła się Maggie. – Co za głupie pytanie, oczywiście, że skończyłaś. Zaraz dam ci czek, moja książeczka czekowa musi gdzieś tu być. – Obecność dziewczyny zbijała ją z tropu. Nerwowo grzebała w biurku Randa.

Lela była córką Addie, gospodyni Maggie, i zastępowała matkę, ilekroć ta śpieszyła pomóc jednemu ze swoich licznych dzieci. Miała dziewiętnaście lat i była prawdziwą pięknoscią. Miała długie włosy, czarniejsze niż najciemniejsza noc, i smoliście czarne oczy osłonięte niewiarygodnie długimi rzęsami. Maggie wydawało się, że te oczy wszystko taksują i oceniają. Była szczupła jak modelka, ale natura nie poskapiła jej okrągłości w odpowiednich miejscach. W tej chwili całkowicie pochłonęła ją żartobliwa dyskusja z Randem. Dziewiętnastolatka, a śmiała, jakby miała co najmniej trzydziestkę, zauważyła Maggie. Addie powinna trzymać ją krótko.

Wyrwała gotowy czek i wyprostowała się akurat w odpowiednim momencie, by zobaczyć, jak Rand klepie dziewczynę w pośladek. Biorąc czek, Lela spojrzała jej w oczy z żartobliwym wyzwaniem.

– Zamknij za sobą drzwi, Lela. I powiedz Addie, że nie będziesz mi potrzebna do końca tygodnia. – Po jej wyjściu zwróciła się do męża: – Czy mógłbyś mi łaskawie wytłumaczyć, co to miało znaczyć? – syknęła.

– Co? – zapytał głupio.

– Klepanie Leli po tyłku. Nie lubię, kiedy się tak zachowujesz i nie lubię, kiedy ta mała patrzy na mnie w taki sposób.

– Czy dlatego powiedziałaś, że nie będzie ci potrzebna do końca tygodnia? To oznacza, droga Maggie, że sama będziesz musiała sprzątać, gotować i ścielić łóżka – stwierdził spokojnie. – Czy to nie zakłóci twojego planu dnia? W każdym razie, nie miałem nic złego na myśli.

– Skoro tak, po co to zrobiłeś?

– Nie wiem. Zrobiłem i już. Boże, przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

– Mam taką nadzieję.

– No, chyba już pójdę – rzucił oschle. – Pozdrów wszystkich, kiedy będziesz z nimi rozmawiała.

– Nie omieszkam – zawołała przez ramię, w drodze do sypialni.

Maggie założyła zielone *muumuu* i plecione sandały, swój codzienny wyspiarski strój. Zeszła na plażę z telefonem w dłoni. Zadzwoi do Sawyer. Na myśl o wnuczkach, Kary i Josie, uśmiechnęła się szeroko.

Jakaś nuta w głosie Sawyer przyprawiła Maggie o dreszcz.

– Właśnie miałam do ciebie zadzwonić – powitała ją córka.

– Wszystko w porządku? Co słysząc u Adama? I u dziewczynek?

– Dziewczynki wcinają ciastka, Adam reperuje zabawkę, a ja... a ja się gotuję z wściekłości. Masz jakieś wieści od Cole'a?

– Rozmawiałam z nim tydzień temu – odparła Maggie ostrożnie. –

Dlaczego pytasz?

Wysłuchała opowieści córki, dopóki Adam nie kazał jej mówić ciszej.

– I co ty na to, Maggie? – Sawyer zwracała się do matki po imieniu, od najwcześniejszego dzieciństwa.

– Samą nie wiem. To do niego niepodobne. Chcesz, żebym do niego zadzwoniła? – mówiła dalej, nie czekając na odpowiedź. – Od pewnego czasu mam złe przeczucia. Dzisiaj przyjechała z wizytą Susan. Początkowo myślałam, że to ona jest przyczyną mojego niepokoju, ale nie powiedziała jeszcze nic, co mogłoby to Uzasadnić. I tak miałam zadzwonić do Cole’a. Co mam mu powiedzieć?

– Nie wiem – mruknęła Sawyer. – Adam uważa, że powinnam przeprosić za moje zachowanie. Twierdzi, że postąpiłam jak idiotka, i może ma rację. Nie miałam prawa zakładać z góry, że Cole będzie chciał dla nas ryzykować. Czy, kiedy z nim ostatnio rozmawiałaś, zachowywał się jakoś dziwnie? Z Sumi wszystko w porządku. Rozmawiałam z nią kilka dni temu. Chodzi o Cole’a, Maggie. Będę wdzięczna, jeśli dasz mi znać, czego się dowiesz. Jeżeli nie zmieni zdania, muszę zacząć szukać innego sponsora. I powiedz mu, że nie zgodzę się na lichwiarskie warunki.

– W porządku, Sawyer, przekażę. Teraz opowiedz mi o dziewczynkach. Czy już mówią?

– Buzie im się nie zamykają. Rozumieją się doskonale. Adam twierdzi, że posługują się greką. Mam cię od niego pozdrowić. O Boże, Adammm!

– Co się stało? – zainteresowała się Maggie, słysząc łomot po drugiej stronie linii.

– Wdarły się na stół i zbiły słoik z dżemem. Skorzystały z okazji, bo Ellen opiekunka, poszła do łazienki. Nie można nawet na chwilę spuścić ich z oczu. Dwa potwory. A Adam chce im sprawić szczeniaka!

– Chyba musisz już kończyć. Ucałuj bliźniaczki ode mnie. I Adama też.

– Przyślę ci zdjęcia. Pozdrów Randa i Chesney, i ciotkę Susap. I zadzwoń, jeśli się czegoś dowiesz od Cole’a.

– Dobrze. Sawyer, pamiętaj, w grze z bliźniakami cierpliwość jest kluczem do sukcesu.

– Nie zapominam ani na moment. O Boże, wrzuciły poduszkę do akwarium. Na razie, Maggie.

Z uśmiechem na ustach Maggie wykręciła numer Cole’a. Nieważne, która jest godzina w Japonii. Bardzo lubiła rozmawiać z synem, zwłaszcza teraz, kiedy jego żona Sumi spodziewała się dziecka.

Nie mieściło się jej w głowie, że Cole będzie ojcem, nie wspominając o tym, że ona, Maggie, zostanie babcią po raz drugi. Babcia Maggie. Brzmi nieźle, uznała.

– Cole, jak się masz? – Ucieszyła się, słysząc niski głos syna.

– Świetnie, mam. Nie, Sumi jeszcze nie urodziła uprzedził jej następne pytanie. – Kołysze się jak kaczka i ciągle ma kolkę. Podobno to znaczy, że dziecko ma dużo włosów. To prawda?

Parsknęła śmiechem.

– Też o tym słyszałam. Nie myśl, że chcę zmienić temat, ale zgadnij, kto mi złożył wizytę? – Nie czekała na jego odpowiedź, sama odpowiedziała: – Susan. Teraz śpi, więc jeszcze nie miałyśmy okazji porozmawiać, mam na myśli naprawdę porozmawiać. Jestem taka zadowolona. Bardzo lubię gościć u siebie krewnych. A przy okazji, Ivy przysłała mi zdjęcia małego Mossa. To niesamowite, jak bardzo jest podobny do twojego dziadka. Nawet mama tak uważa. To samo imię, ten sam wygląd.

– My też dostaliśmy jego zdjęcie. Sumi twierdzi, że ma uszy jej ojca. Jaki ma beznamiętny głos, zauważyła nagle. Bez odrobiny życia. Czują, jak jej serce zaczyna bić coraz szybciej.

– Zdecydowaliście się już, jak nazwać dziecko? – Iada moment zacznie robić to, co udawało jej się najlepiej, to znaczy paplać.

– Gdybym zostawił decyzję Sumi, nie skończyłoby się na mniej niż siedmiu imionach. Ja wymyślam imię dla chłopca, ona dla dziewczynki.

– To uczciwy układ. Co zaproponujesz?

– Jeszcze nie wiem. – Przez chwilę panowała krępująca cisza, jakby nie wiedział, co powiedzieć. – Co u Chesney? – wykrztusił w końcu.

– Jest w Hongkongu. Poleciała dzisiaj rano, wróci pod koniec tygodnia. Zwraca się do Randa per „tato”. Rand się o nią niepokoi, bo Chesney nawiązała romans z pewnym lotnikiem, jakże on ma na imię? A, Brian. Za pół roku wyjdzie z wojska. Zgodził się odbyć próbny lot samolotem Sawyer. Dopiero wtedy Rand uznał, że jest w porządku. Wiesz, że Rand odbył próbny lot samolotem dziadka. Mówi, że historia się powtarza, zatacza pełne koło. Chyba ma rację.

– Więc rozmawiałaś z Sawyer – stwierdził z wyrzutem.

– Tak, niedawno. Staram się dzwonić dwa razy w tygodniu. Była... zdenerwowana. Głównie zła na siebie, ale też rozczarowana twoją reakcją. Cole, ona cię bardzo kocha.

– Sawyer zaatakowała z grubej rury. Rzuciłem dane ot tak, z powietrza. Przyznaję, że były zawyżone. Właśnie staram się wypracować układ korzystny dla obu stron. Miałem zamiar zadzwonić do niej w środku nocy i uraczyć ją kropelką jej własnego lekarstwa.

Maggie nadstawiała ucha, licząc, że w głosie syna usłyszy cichy śmiech, jak zwykle, ilekroć wspominał imię Sawyer. Byli nie tylko rodzeństwem, lecz także bliskimi przyjaciółmi. Nie usłyszała niczego.

– Cole, czy coś jest nie w porządku? Naprawdę? Zawsze mówiłeś, że to, co twoje, jest i nasze. Pomyślałam kiedyś, że to najpiękniejsze słowa, jakie mi się zdarzyło usłyszeć. Jeśli nie mówiłeś tego poważnie, trzeba było milczeć – dodała surowo. – Lepiej niż inni wiesz, jaka jest twoja siostra.

– Wiem, że jest cholernie uparta. Nie zgadzasz się na jej warunki? Zabiera zabawki i idzie do domu.

Maggie zaczerpnęła powietrza. Boże drogi, co się dzieje z tą rodziną?

– Słuchaj, mam, nie zawracaj sobie tym głowy. Jutro zadzwonię do Sawyer i jakoś się z nią dogadam. Pozdrów wszystkich ode mnie. Odezwę się za parę dni.

– Dobrze, Cole. Ucałuj Sumi.

Wyłączyła telefon. Chciało jej się płakać, choć nie wiedziała dlaczego. Słońce zaszło dawno, księżyc powoli wspinał się na niebo. Ze swego miejsca na plaży obserwowała fale oceanu ciągnące się w dal. Żółte za dnia, srebrne w nocy.

– Ty też to czujesz, prawda? – Susan nadeszła od strony domu. Ukucnęła na piasku obok Maggie, wzięła ją za rękę. – Mam wrażenie – zaczęła powoli, starannie dobierając słowa – że jakaś niewidzialna siła stara się rozerwać więzy łączące nas wszystkich. Ty pewnie odczuwasz to w większym stopniu niż ja, bo wszyscy szukamy u ciebie pociechy. Dlatego tu jestem. Potrzebuję wsparcia. Nie będę płakać, jestem zbyt zmęczona. Poza tym od miesięcy nie uroniłam ani jednej łzy. Wysłuchasz mnie?

– Och, Susy, tak mi przykro. Chodzi o Jessie, prawda?

– Nie. Rodzice nie powinni grzebać swoich dzieci. Do śmierci będę ją opłakiwać, ale życie toczy się dalej. Nauczyłam się tego od mamy. Nie. Ferris zażądał rozwodu. Ma romans z młodą kobietą taką, która piecze domowe ciasteczka i masuje mu plecy. Pracuje w szpitalu jako pielęgniarka. Jest zabójcza, Maggie. Co niedziela chodzi do kościoła i śpiewa w chórze. Ma olśniewający uśmiech i... na Boga, ma dwadzieścia dwa lata. Widziałam ją. Nie mogłam uwierzyć, że człowiek, którego kochałam, byłby w stanie zrobić mi coś takiego.

Spotyka się z nią od dwóch lat. Nie miałam o niczym pojęcia. Boże, Maggie, nie miałam zielonego pojęcia. Co z tego wynika? Powiedział... powiedział, że jestem nudna, że moja muzyka jest nudna, a on potrzebuje odmiany w życiu. Przy Martinie czuje się młody. To chyba znaczy, że jest dobra w łóżku. Wiesz, ciągle mnie namawiał, żebym jeździła na tournée dwa razy do roku. Teraz wiem, dlaczego. – Mówiła głośniej, ostrzej. – Pozwolił mi zatrzymać dom, wyobrażasz sobie? On dostanie dom na Wyspach Dziewiczych. Podzielimy się samochodami: džip dla mnie, porsche dla niego. Podobno nie ma żadnych pieniędzy na wspólnym koncie. Ani grosza, Maggie. Podjął wszystko.

– Ani grosza! – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Niestety.

– A co z pieniędzmi, które zapisała ci ciotka Amelia? I od mamy? – Maggie nie mieściło się w głowie to, co usłyszała.

– Zniknęły. Przy odrobinie szczęścia dostanę siedemdziesiąt tysięcy za dom. Dżip ma cztery lata. Na koncie osobistym mam sześćset dolarów, w torebce może osiemdziesiąt. Chciałabym prosić cię o pożyczkę. Przecież nie mam nawet na prawnika. – Rozpłakała się. – Trudno byłoby znaleźć większą frajerkę ode mnie. Jerome wykręcił mi identyczny numer. Przyciągam takich jak oni, czy co?

– Hej – Maggie starała się ją pocieszyć. – Wiem, przez co przechodzisz, sama tego doświadczyłam. Pieniądze to nie problem, nie myśl o tym. Zobaczmy, co powie Rand. Potrzebny nam dobry prawnik. Załatwimy to. Od czego ma się rodzinę? Płacz, Susan. – Przytuliła siostrę do siebie, gładziła jasne włosy.

– W zeszłym tygodniu wyprowadził się z domu – chlipnęła. – Zabrał wszystkie swoje rzeczy i wiele tych, które przywoziłam z tournée. Zabrał kolekcję jadeitu. Sukinsyn nie zostawił mi nawet pereł, które dostałam od ciotki Amelii na szesnaste urodziny. W czym leży mój błąd, Maggie? Czy to dlatego, że mam prawie pięćdziesiąt lat?

Uważasz, że powinnam usunąć operacyjnie zmarszczki? Odessać tłuszcz z brzucha?

– Skądże. Jesteś piękna taka, jak jesteś. Pięćdziesiątka to wspaniały wiek, Susy.

Susan chrząknęła, wytarła nos.

– Daj spokój, Maggie. Po pięćdziesiątce ma się z górki, Ferris tak powiedział. Widzę zmarszczki, zmiany na skórze. Mam cellulitis na tyłku, pomarszczone kolana, coraz rzadsze włosy. Nie wmawiaj mi, że jestem piękna. Nigdy nie byłam nawet ładna. Zawsze byłam pospolita, o czym doskonale wiesz.

– Susy, czemu sama się ranisz? Nie widzę nic złego w małej operacji plastycznej od czasu do czasu, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Ale nie możesz latać do chirurga z każdą zmarszczką czy fałdką. Wiem, że to brzmi banalnie, ale piękno naprawdę jest w oku widza. W środku jesteś piękna, Susy.

– Dzięki, Maggie – westchnęła głośno. – Jestem załamana i staram się wymyślić coś, co poprawiłoby mi humor. Maggie, co ja mam zrobić?

– Zostaniesz z nami. Być może uda nam się rozwiązać choć część twoich problemów. Słuchaj, mama przekazała mi Billie Limited. To znaczy, nie podarowała mi firmy, ale mam nią zarządzać w jej imieniu. Rand uważa, że to wspaniały pomysł. Postanowiłam więc wyruszyć na małe zakupy na Daleki Wschód w przyszłym miesiącu. Mogłybyśmy pojechać razem. Obie mamy doskonałe wyczucie koloru. Ostatnio zabawiałam się wyobrażaniem sobie nowych odcieni. Zzieleniejesz, kiedy zobaczysz moją fajerwerkową czerwień! Wchodzisz w to? – Mój Boże, przemknęło jej przez głowę, co ja zrobiłam? Zobowiązałam się przejąć firmę. Miała wrażenie, że traci grunt pod nogami.

– Tak, zrobię wszystko! Dziękuję, Maggie! Od czego mam zacząć?

– Jutro rano napiszemy listy do stałych klientów mamy i

poinformujemy ich, że Billie Limited znowu rusza pełną parą. Możesz zamieszkać z nami. Chesney i tak nigdy nie ma w domu. Polubisz ją, Susy. Mówię ci, będzie wspaniale! Widzisz, w jakiś niepojęty sposób mama się tobą zaopiekowała! To zadziwiająco, ale ona zawsze umiała... no, brakuje mi słowa... wkroczyć w odpowiedniej chwili, kiedy w naszym życiu działo się coś złego. Nigdy nie daje gotowych odpowiedzi, tylko wskazuje odpowiedni kierunek, a my sądzymy, że do wszystkiego doszliśmy samodzielnie. Nie mogę pojąć, jak ona to robi. Zadzwońmy do niej i przekażmy dobre wiadomości, dobrze?

Susan nie była tym zachwycona. – Maggie, nie chcę jej denerwować.

– Uwierz mi, nie zdenerwuje się, jeśli będzie wiedziała, że sobie poradzisz. Będzie zachwycona. Zawsze chciała, żebyśmy razem pracowały.

Susan otarła łzy.

– Nie chcę tam wracać – marudziła.

– Nie musisz. Weźmiemy dobrego prawnika. Najlepiej od razu skontaktujmy się z Valentine Mitchell. Niech dopilnuje wszystkiego: fundacji, sprzedaży domu, całego kramu. Mówiłaś, że Ferris zabrał wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, więc po co wracać?

– Mój fortepian.

– W pokoju muzycznym mamy pianino. Rand co miesiąc sprowadza stroiciela, tak na wszelki wypadek, gdybyś się zdecydowała do nas wpaść. – W oczach Maggie zalśniły łzy. – To ładnie z jego strony, nie uważasz?

Susan również miała mokre oczy.

– Rand zawsze był dla mnie bardzo dobry. Jest dla mnie jak brat. Masz dużo szczęścia, Maggie, nawet nie wiesz, jak dużo.

– Tak sądzisz? – spytała cicho. – Mamy udane życie, tak, a teraz, kiedy po tylu latach odnalazł córkę, jest... sama nie wiem. Pewnie

wygląda na to, że zgarnęliśmy główną wygraną, jeżeli istnieje coś takiego.

Susan otarła łzy.

Coś cię gryzie. Widzę to w twoich oczach. Chodźmy na spacer i opowiesz mi, gdzie leży pies pogrzebany.

– Nie umiem tego ukryć, co? Żałuję, że nie jestem bardziej podobna do mamy. Chciałabym mieć jej wewnętrzny spokój. Nie znam nikogo równie łagodnego, wyważonego i kochającego. I to wszystko po prostu w niej jest, nie musi do tego dążyć, jak my. Miałyśmy dużo szczęścia, Susy.

Dopiero po dziewiątej zwabiły je światła na *lanai*. Biegły beztrąsko jak dzieci, wzniesając bosymi stopami tumany piasku.

Przy kolacji, na którą Maggie podała sałatkę z krabów i ananasa, Susan wyjawiała Randowi przyczynę swego przyjazdu.

– Maggie powiedziała, że mogę u was trochę zostać. Chętnie przyjąłabym jej propozycję, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wziął ją za rękę.

– Zostań, jak długo chcesz, nawet na zawsze. Wszyscy mówią, że to magiczny zakątek. Może udzieli ci się jego czar. Nie martw się o nic. Jutro rano zadzwonię do Valentine Mitchell. Polecimy razem do Minnesoty. Gwarantuję, że po naszym powrocie będziesz znacznie bogatsza. Obiecuj mi, że nie będziesz się, martwiła.

– Obiecuję.

– Dobrze. A wracając do tematu Billie Limited. To wspaniale, że będziecie razem pracować. Firma jest zbyt ważna, żeby ot, tak ją porzucić. Billie będzie wniebowzięta, kiedy się dowie. – Łypnął na żonę. – Tylko mnie nie zaniedbuj w nawale pracy.

– Ja? Zaniedbać ciebie? – wykrzyknęła z komicznym oburzeniem. – Nigdy! Maggie zwróciła się do Susan:

– Billie Limited dysponuje bardzo ograniczonym kapitałem. Mama poważnie naruszyła zasoby firmy, żeby pokryć koszty procesów po katastrofie samolotu. Prawnicy regulują trzy ostatnie pozwy. Colemanowie zostali jak zwykle bez grosza. Samolot Sawyer tę sytuację zmieni, pod warunkiem, że wzbije się w powietrze.

– Od początku nie mogłam zrozumieć, dlaczego mama zgodziła się wypłacać takie wysokie odszkodowania. Przecież udowodniono, że przyczyną katastrofy był błąd pilota, a nie wada maszyny – dziwiła się Susan.

– Taka już jest Billie – stwierdził łagodnie Rand. – Uważała, że skoro rekompensata finansowa w jakimś stopniu może złagodzić ból rodzin po stracie bliskich, trzeba im dać pieniądze. Był to samolot Colemanów. Rodzina się zgodziła. I zostaliście bez grosza. Kiedy Billie powiedziała, że zaczniecie od nowa, Sawyer potraktowała to dosłownie i zaczęła projektować nowy samolot. Nie widzę innego wytłumaczenia. Trzymam za nią kciuki. To dobry samolot, zainwestowałem w projekt sporo pieniędzy. Riley też, jednak to i tak kropla w morzu potrzeb. Cole jest jej ostatnią nadzieją. Mogłaby się zwrócić do inwestorów, ale nie chce wiązać się z ludźmi z zewnątrz. To ma być samolot Colemanów. Chyba ma rację. Co powiedział Cole, Maggie? Bo dzwoniłaś do niego, prawda?

– Powiedział, że jeszcze raz wszystko przemyśli. Był... inny niż zwykle, nieswój. Obawiam się, że stanie się coś złego. Również Sawyer wydawała się nie w sosie. To ich pierwsza poważna sprzeczka. Znając Sawyer, wiem, że wzięła to bardzo do serca. Nie wiadomo, co na to powie Riley. Może powinniśmy do niego zadzwonić.

– Sawyer na pewno już to zrobiła – wtrąciła się Susan. – Przecież ona nigdy nie zasypia gruszek w popiele.

– Innymi słowy, mamy siedzieć spokojnie i czekać? Przecież jesteśmy rodziną. – Na czole Maggie pojawiła się surowa zmarszczka,

oznaka zmartwienia.

– Nie przypominam sobie, byś pytała rodzinę o radę, kiedy matka przekazywała ci Billie Limited na początku roku – zauważył Rand. – Co to za różnica?

– Billie Limited nie jest i nigdy nie było częścią Coleman Enterprises, w przeciwieństwie do Coleman Aviation. Poza tym, Rand – dodała ze złością ja nie proszę o pożyczkę w wysokości stu milionów dolarów. Moim zdaniem samolot Sawyer i decyzja Cole’a to sprawy dotyczące całej rodziny.

– Masz rację – poparła ją Susan. – Finanse rodzinne są jak karuzela w wesołym miasteczku, raz w górze, raz na dole. Ferris powtarzał, że to вина złego zarządzania. Z tego wynika, że Riley zbyt sienie przykłada do pracy.

I Maggie, i Rand spojrzeli na nią z oburzeniem. Susan z trudem powstrzymała łzy, słysząc gniewny ton siostry.

– No tak, Ferris spisał się o niebo lepiej, zarządzając twoimi pieniędzmi, prawda? Nie podoba mi się to, co powiedziałaś, Susan. Riley robi co w jego mocy. W każdej chwili możesz przejrzeć księgi rachunkowe. Wszystko się zgadza, co do centa. Co roku dostajesz roczny raport. Przeczytałaś go choć raz?

– Ferris czytał. Przynajmniej tak mówił – chlipnęła.

– Zgadzam się z Maggie bez zastrzeżeń – oznajmił spokojnie Rand. Susan nerwowo grzebała widelcem w talerzu. Nie patrzyła im w oczy.

– W porządku, przepraszam. Tak długo polegałam na Ferrisie. Nie wierzę własnemu osądowi. Nie gniewajcie się na mnie.

– Więc jak? – Maggie wstała. – Dzwonimy do Rileya czy nie? Ja jestem za.

– Ja też – szepnęła Susan. Najgorsza chwila minęła.

– Proponuję spacer po plaży. Musimy spalić trochę kalorii. – Mówiąc to, Rand rozpiął guzik w szortach. – Mamy dziś piękny

wieczór. Powspominamy dawne czasy. Pamiętasz, Susan, jak zadreczęłaś mnie pytaniami? Jak daleko od ziemi jest księżyc, ile jest gwiazd, dlaczego niebo jest czarne w nocy i błękitne za dnia?

– Tak, a ty mnie oszukiwałaś. Myślałam, że skoro jesteś o pięć lat starszy, wiesz więcej niż ja – odcięła się.

Rand parsknął śmiechem, Maggie mu zawtórowała.

– Czasami chciałabym cofnąć czas, znowu być dzieckiem – szepnęła Susan miękko. – Półmetek za nami, a to przeraża. W każdym razie mnie.

Spacerowali, spleceni ramionami. Było już bardzo późno, kiedy wrócili do domu. Księżyc świecił jasno, gwiazdy iskrzyły się na niebie. Susan poczytała to za dobry znak. Życzyła siostrze i szwagrowi dobrej nocy.

– Posiedzę jeszcze na dworze. Mam zamknąć drzwi na zasuwę? Roześmieli się.

– Nigdy nie zamykamy drzwi. Nie siedź zbyt długo. Jutro czeka nas dużo pracy. Rand i ja wstajemy o świcie. O siódmej zawiozę go na lotnisko. – Maggie pocałowała ją w policzek. – Spokojnie, Susy. Poradzimy sobie.

Odczuwała dotkliwie swoją samotność, gdy słuchała ich wesołych głosów wewnątrz domu. Zastanawiała się, czy będą się kochać. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio Ferris z nią spał.

Na stoliku leżały papierosy Randa. Susan sięgnęła po paczkę. Palenie to okropny nałóg. Zaczęła po śmierci Jessie. Ferris na nią krzyczał, karcił, tłumaczył.

Nie słuchała go. W całym domu wywiesił złowróźbne ostrzeżenia. Susan nie zwracała na nie uwagi. Albo papierosy, albo ssanie kciuka. Zaciągnęła się dymem, wypuściła idealne kółko, które poszybowało do góry. Ciekawe, czy szybko umrze. Tak naprawdę nie miało to dla niej większego znaczenia.

Usadowiła się wygodniej. Światło księżyca przesączało się dzikiego wina. Liście lśniły jak ciemne szmaragdy. Jutro, kiedy będzie w lepszym humorze, obejrzy całą posiadłość i zachwyci się jej pięknem. Rozplakała się. Była na siebie wściekła za roztkliwianie się nad sobą. Zawsze była słaba, to inni Colemanowie mieli siłę, charakter, ale nie ona. Jutro Rand i Valentine Mitchell, adwokatka rodziny, polecą do Minnesoty, żeby za nią stoczyć walkę. Już raz tak było. Wtedy przeciwnikiem był Jerome, jej pierwszy mąż. Zwyciężyli. Czy uda im się po raz drugi? Ferris to wpływowo człowiek.

Ze złością wytarła łzy. Obiecała sobie, że nie będzie więcej płakać, a tu, proszę, szlocha jak dziecko. Cóż, koniec z tym. Maggie pomoże jej stanąć na nogi. Musi skorzystać z okazji i wziąć siew garść.

Księżyc bladł, kiedy spojrzała na zegarek. Jej umysł pracował intensywnie. Cary Assante, wdowiec po Amelii, był rannym ptaszkiem. Prawdopodobnie w tej chwili zajadą wielkie śniadanie, dzięki któremu, jak twierdził, był w stanie przetrwać cały dzień. Straciła rachubę, ile razy do niego dzwoniła w ciągu minionego roku. Za pierwszym razem nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć na pytanie, jak ma się uporać ze śmiercią Jessie. Za drugim razem oboje płakali nad sobą. Mogła na nim polegać o każdej porze, wśród najczarniejszej nocy i w blasku dnia. Rozmawiali o wszystkim i o niczym: o miłości, nienawiści, zdradzie, ptakach, kotach, cemencie i zaprawie murarskiej. Poznała Cary'ego Assante lepiej niż ktokolwiek inny. Mówili o Julie i winie Cary'ego, o Ferrisie i o niej, i o jej błędach. Opowiedziała mu, jak piękna jest pielęgniarzka imieniem Martina, na co odrzekł, że ona również jest piękna, zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz.

W pierwszą rocznicę śmierci Jessie Susan pojechała do Teksasu i sama weszła na wzgórze, zbliżając się do najmniejszego z grobów. Kiedy otoczyły ją silne ramiona, nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że to Cary. Była wtedy zdumiona, że przyszedł na wzgórze dokładnie w

tym samym czasie co ona, dopiero później się dowiedziała, że dzwonił do domu. Ferris mu powiedział, że wybiegła jak wariatka.

Niemal bezwiednie ujęła telefon, wystukała numer. Czekwała z zapartym tchem, aż podniesie słuchawkę.

– Cześć – szepnęła łagodnie.

– Cześć, Susan. Jak leci?

– Fatalnie. Czy zepsuj ę ci humor, jeśli trochę pomarudzę? – zapytała niespokojnie.

– Nie dzisiaj – odparł pogodnie. – Dzisiaj wyburzamy ostatnie przeszkody. W lipcu wszystko będzie gotowe. Mam ochotę na podróż dookoła świata. Wybierzesz się ze mną?

– Chętnie, pod warunkiem, że będzie mnie na to stać. – Opowiedziała mu o propozycji Maggie. – Rand jedzie do Minnesoty z Valentine Mitchell.

– To świetnie – robił wrażenie naprawdę zadowolonego. – Jesteś teraz zbyt nerwowa, musisz myśleć o sobie. Niech się tym zajmą specjaliści. Dobrze, że Maggie jest przy tobie. W takich chwilach rodzina jest niezastąpiona. Przyjedziesz w lipcu do Teksasu, prawda?

– Nic mnie nie powstrzyma. I dzięki, że mnie wysłuchałeś. Teraz chyba zasnę. :’

– A ja dopiero co wstałem. Ty będziesz się wylegiwać, a ja będę się bawił dynamitem.

Roześmiała się.

– Zadzwoń w przyszłym tygodniu. Bądź ostrożny z tym dynamitem.

– Dobrze, dobrze. Opalaj się. I pozdrów ode mnie Maggie i Randa.

– Okay. Chwileczkę, Cary, Chciałam cię o coś zapytać. To nie moja sprawa, ale czy proponowano ci sprzedaż Mirandy?

– Niejeden raz, ale zawsze odmawiam. Amelia by mi tego nie wybaczyła. Trzymaj się, Susan.

Wyciągnęła się na leżaku. Drzemka na dworze to dobry pomysł, gdyby tylko mogła zasnąć. Wiedziała jednak, że nie zmruży oka. Zapaliła następnego papierosa. Musiała jeszcze do kogoś zatelefonować.

Dziesiąta. Trzecia w Vermont.

Nie będzie jej w domu. Nigdy jej nie ma, kiedy jej potrzebuję – mówiła do siebie, wybierając numer. Skrzywiła się, usłyszawszy głos matki nagrany na automatyczną sekretarkę. Ze złością rzuciła słuchawkę. Nie znosiła automatu w domu Billie. Co z tego, że jest trzecia nad ranem? Matka, prawdziwa matka, to ktoś, do kogo dzieci mogą się zwracać o każdej porze dnia i nocy. Zadzwoiła ponownie. Tym razem poczekała na sygnał.

– Mamo, tu Susan. Wiesz, Susan, twoja córka. Muszę z tobą porozmawiać, ale ciebie jak zwykle nie ma w domu, przynajmniej dla mnie nie ma. Jestem na Hawajach, u Maggie, twojej pierworodnej, ukochanej .. córeczki. Czy sądzisz, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym... – Odłożyła słuchawkę. Poczowała niesmak z powodu swego zachowania.

Zawsze tak się kończyły próby nagrania na sekretarkę automatyczną matki. Najgorsze nadchodziło, gdy Billie oddzwaniała.

– Pieprz się, mamo. Nie potrzebuję cię.

Z płytkiej drzemki wyrwał ją dzwonek telefonu. To na pewno matka. Któż inny zadzwoniłby o tej porze?

– Halo? – rzuciła ostrożnie.

– Susan?

Jaki łagodny głos, a ile w nim troskliwości. Zastygła w bezruchu. – A kogo się spodziewałaś usłyszeć? Maggie? – Sama się zdziwiła chłodem w swoim głosie.

– Nie spodziewałam się, że będziesz na Hawajach, ale nigdy nie piszesz, tylko dzwonisz...

– ...kiedy mi się nie układa? Czy to chciałaś powiedzieć, mamó? Wszak powszechnie wiadomo, że rzekomo możemy na ciebie liczyć, kiedy mamy problemy.

Tymczasem z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nie dotyczy to, mnie. Jak myślisz, dlaczego jestem na Hawajach, a nie w Veroaont?

– Susan, co się stało?

Zamiast odpowiedzieć, sama zadała pytanie:

– Gdzie jesteś, do cholery?

– W Anglii. Thad chciał odwiedzić starych znajomych. Jest kilka minut po dziesiątej. Trzy razy dziennie dzwonię do domu i odsłuchuję wiadomości nagranych, na sekretarkę. Powiesz mi w końcu, o co chodzi?

– Czy pamiętasz, kiedy ostatnio się widziałyśmy? Na pogrzebie Jessie, mamó. To żałosne.

– A dlaczego tak jest, Susan?

– Proszę bardzo, mamó, wygarnij mi jak zwykle. Jeździsz do Teksasu spotkać się z Rileyem, Ivy i Carym. Wpadasz do Nowego Jorku do Sawyer i Adama, odwiedzasz Maggie i Randa, a nie tak dawno złożyłaś w Japonii wizytę Cole’owi i Sumi. Ale ani razu nie przyjechałaś do Minnesoty.

– Bo mnie nie zapraszałaś, Susan. Myślałam, że sobie tego nie życzysz.

– Chcesz powiedzieć, że przyjechałabyś, gdybym o to poprosiła? A jeśli powiem: przyleć tu na Hawaje?

– Kochanie, na razie nie mogę. Thad... Jesteśmy w Anglii.

– Wiedziałam, że to powiesz, wiedziałam – syknęła. Zaczęła krzyżeć: – Porzuciłaś mnie, oddałaś, nieważne, obcym czy krewnym! Podrzuciłaś mnie ciotce Amelii! Nie należę, nigdy nie należałam do rodziny. Niech cię piekło pochłonie, mamó. – Drżącym palcem

nacisnęła guzik. Połączenie zostało przerwane. W ataku wściekłości cisnęła telefon na plażę.

Ogarnęła ją fala nienawiści. Musi się skoncentrować, zapamiętać, co czuje. Wszyscy psychiatrzy, z którymi rozmawiała, twierdzili, że jej problem sięga korzeniami dzieciństwa. Kiedy zdobędzie się na odwagę, by się z nim zmierzyć, będzie na dobrej drodze. Zrozumie, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej, dlaczego ciągle popełnia te same błędy. Tej nocy odnalazła właściwe słowo, słowo, którego do tej pory wzbraniała się wypowiedzieć głośno, „porzucona”.

Boże, mam, jak ja cię nienawidzę. Śmierć to za mała kara za to, co mi zrobiłaś. I nie myśl sobie, że przyjmę ofertę twojej ukochanej pierworodnej i będę pracowała w twojej firmie. Nigdy w życiu.

Wyczerpana tyradą, zwinęła się w kłębek, wsunęła kciuk do ust. Zasnęła w ciągu sekundy.

Rozdział trzeci

Na jej widok odwracały się wszystkie głowy. Mężczyźni spoglądali na nią z podziwem, kobiety z zawiścią odruchowo prostując plecy i wciągając brzuchy. Obiekt ukradkowych spojrzeń ignorował ich całkowicie. Przechadzała się nerwowym, rozkołysanym krokiem, niecierpliwym gestem odrzuciła do tyłu burzę rudozłotych włosów. Pod pachą ścisnęła teczkę od Bottega Veneta, w jej kieszeni pobrzękiwały kluczyki od samochodu, który właśnie zaparkowała, oczywiście w miejscu, gdzie był zakaz. Jej lamborghini ruszał z miejsca z prędkością stu osiemdziesięciu mil na godzinę, jeśli miało się dość odwagi, by docisnąć pedał gazu z całej siły. Valentine Mitchell nie brakowało odwagi, czego dowodem były niezliczone mandaty.

Odgięła mankiet żakietu od Armaniego, żeby zerknąć na zegarek, oryginalnego rolexa. Mistrz Armani osobiście dokonywał poprawek w jej kostiumie.

Podniosła rozmarzone zielone oczy i napotkała spojrzenie starszego bankiera w trzyczęściowym garniturze.

– W twoich snach, dziadku – szepnęła cichutko. Mężczyzna najwyraźniej wziął ją za prostytutkę.

– Nie dałbym ci nawet dwóch dolarów – odburknął.

Oddaliła się ze śmiechem. Bankier zniknął za drzwiami. Czuł się jak ostatni głupiec.

Valentine czekała na Randa Nelsona. Lorda Randa Nelsona. Odnalazł ją w Los Angeles, zanim wyruszyła w drogę powrotną do Teksasu nowym lamborghini. Jako prawniczka rodziny Colemanów nie mogła odmówić jego prośbie.

Spojrzeni na siebie w tym samym momencie. Valentine posłała mu zalotny uśmiech, a potem upewniła się, czy jej długie nogi są odpowiednio wyeksponowane. Rand gwizdnął z podziwu.

Boże, ależ on jest przystojny. Wyglądał znakomicie, opalony hawajskim słońcem, z lekko posrebrzonymi skroniami. Kiedy go ostatnio widziała, nie miał wąsów, teraz je zapuścił, dawniej też nie nosił słonecznych okularów, które zakrywały jego piękne ciemne oczy, ocienione niewiarygodnie długimi rzęsami. Musnął wargami jej policzek, wciągając przy okazji zapach jej perfum.

– Wyglądasz zabójczo, moja droga – błysnął zębami w uśmiechu.

– A wasza lordowska mość jest jak zwykle szarmancki i przystojny.

Rozluźnił kołnierzyk koszuli. Dlaczego nagle zrobiło się tak gorąco? Z przyjemnością wdychał zapach jej perfum, który przywodził na myśl egzotyczne krainy, woń kadzideł. Za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, jakich perfum używa jego żona. Nagle zapragnął odwrócić się na pięcie i uciec. Z trudem się opanował.

– Zdążymy jeszcze wpaść do baru – zaproponował ochryplym głosem.

– Doskonały pomysł. Dla mnie podwójna szkocka z lodem – Valentine ruszyła za nim.

Uniósł brwi w zdziwieniu:

– To raczej męski drink? – Złożył zamówienie.

– Pracuję w męskim świecie, Randzie. Jeśli wleziesz między wrony... znasz to przysłowie. Powiedz, co mamy do zrobienia w sprawie Susan i Ferrisa?

– Mam przy sobie klucze do domu – odparł – więc możemy się tam zatrzymać. Na miejscu obmyślimy sposób postępowania. Możemy też przenocować w hotelu. Albo ty zamieszkasz w hotelu. – Wstrzymał oddech. Zaklinał Opatrzność, by Valentine wybrała hotel.

Pochyliła się nad stolikiem. Smuga perfum unosiła się w powietrzu wokół niej. – Dom wystarczy, Randzie. Nigdy nie naciągam klientów na zbędne wydatki. A tak przy okazji, co słyhać u reszty rodziny? Nie widziałam się z nimi od czterech czy pięciu lat.

– Wszystko w porządku. Oczywiście wiesz o mojej córce Chesney. Sawyer jest pochłonięta projektowaniem nowego samolotu. Żona Cole’a spodziewa się pierwszego dziecka. Syn Riley’a kończy pół roku. Sawyer ma bliźnięta, wiedziałas o tym? Z Billie i Thadem widzieliśmy się ostatnio dosyć dawno temu, ale z tego, co wiemy, mają się dobrze. Cary lada dzień ukończy projekt wielkiego dzieła poświęconego pamięci Amelii. U Maggie i u mnie wszystko po staremu, tylko Susan ma kłopoty. I tyle. – Wzruszył ramionami.

– Co porabia Maggie ostatnimi czasy?

Złośliwy błysk w oczach Valentine nie dawał mu spokoju.

– No tak, to rzeczywiście jeszcze nie wszystkie wieści. Maggie i Susan przejmują Billie Limited. Myślałem, że już o tym wiesz. Maggie mówiła, że wysłała ci stopy dokumentów.

– Pewnie się piętrzą na moim biurku. Przez ostatnie sześć tygodni nie ruszałam się z Los Angeles. Z filmowcami trudno się dogadać.

Automatycznie skinął głową. Ciekawe, co teraz robi Maggie? – Zauważam cię, Rand? Masz taką minę, jakbyś chciał ode mnie uciec.

– Cholera, rzeczywiście, chciałbym od ciebie uciec. Przecież wszystkim facetom w tym barze staje na twój widok! Czy nie mogłabyś, no wiesz, jakoś... przyhamować? Nosić kapelusz albo sweter, albo... cokolwiek.

– Chwileczkę. Usiłujesz mi w ten sposób powiedzieć, że cię pociągam?

Obawiasz się, że zechcę cię uwieść? Rany boskie, Randzie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Za bardzo lubię Maggie. Jeśli jesteś jednym z tych facetów, którym stanął, radzę ci dobrze, nie licz na nic, bo nie jesteś w moim typie.

Gówno, podsumował w myślach. Musi teraz coś powiedzieć, nie może pozwolić, by nadal się z wycięsko uśmiechała.

– Ty też nie jesteś w moim typie – zapewnił blado. – A teraz, skoro

sobie wyjaśniliśmy tyle rzeczy, zabierzmy się do pracy.

– Najwyższy czas – skwitowała Valentine.

To ładny dom, pomyślał Rand, stoi wśród wiązków, które powoli przybierają wiosenną szatę. Za czasów Ferrisa posiadłość była zapewne pielęgnowana do przesady. Teraz trawnik straszyl brązowymi plamami, a rabaty kwiatowe nikły w gąszczu chwastów.

– Ogrodnikom trzeba płacić – skomentował oschle. Valentine tylko skinęła głową.

– Nasz dom w Anglii wyglądał podobnie – stwierdził Rand. – Był równie... wiejski, jeśli wiesz, o co mi chodzi. O, tam masz angielski ogród. Dam sobie rękę uciąć, że Susan uprawiała go osobiście. Była tu szczęśliwa. Mała Jessie również. Wydawało mi się, że są szczęśliwym małżeństwem. Takim, jak Billie i Thad.

– Czasami ludzie oddalają się od siebie, coraz więcej ich dzieli, a coraz mniej łączy – zauważyła cicho.

– Owszem, ale to nie znaczy, że Ferris ma prawo odebrać Susan ostatni grosz. Masz wytoczyć przeciwko niemu najcięższe działa. Niech sukinyń skamle o litość. O, to chyba dokumenty, o które nam chodziło – wskazał kopertę leżącą na progu.

Valentine objęła spojrzeniem niski, rozległy dom. Był schludny i skromny, taki sam jak Susan. Białe i różowe cegły i okienka w kształcie rombów przypominały jej dom, w którym spędziła dzieciństwo. Nie, to nie był dom, poprawiła się natychmiast, tylko budynek pełen dzieciaków, niechciany, tak jak ona. Delroyowie nie byli źli, ale nie byli też przesadnie dobrzy. Karmili ją i ubierali za pieniądze, które na ten cel wypłacało im państwo. I tyle. Nic więcej. Żadnego kieszonkowego, żadnych prywatek. Nie kochali jej. Mimo to nie była nieszczęśliwa, do tej pory utrzymywała z nimi kontakt. Co roku wysyłała im kartki z życzeniami i prezenty świąteczne. Nigdy jednak

ich nie odwiedzała.

W wieku osiemnastu lat zaczęła żyć na własny rachunek. Pracowała na trzech posadach, żeby skończyć college i studiować prawo. Była jedną z najlepszych studentek na swoim roku. Później długo szlifowała bruki w poszukiwaniu pracy. Wreszcie przez łóżko dostała marnie płatne zajęcie w kancelarii. Nigdy nie spoglądała w przeszłość, nigdy nie próbowała się usprawiedliwiać. Wykorzystała Szansę, którą zesłał jej los, gdy starszy stażem i doświadczeniem prawnik poszedł do szpitala, a ona przejęła jego sprawę. Nie dość, że wywalczyła odszkodowanie w wysokości trzech milionów dolarów dla swego klienta, to jeszcze przeciwnik zaprzagnął korzystać z jej usług. Po tym sukcesie kupiła sobie imponujący apartament pełen szkła, chromu i luster. I koniec. Nie, jeszcze nie. Nadal nie miała nikogo, z kim mogłaby się cieszyć sukcesem.

Westchnęła, gdy Rand wkładał klucz do zamka.

– Zrobimy tak – zaproponował – ja napalę w kominku i zaparzę kawę, a ty w tym czasie przestudujesz te dokumenty. Potem się zastanowimy, co robić.

– W porządku. – Zrzuciła pantofle na wysokich obcasach. Usiłowała sobie wyobrazić Susan krzątającą się po obszernym holu. – Boże, ależ tu czysto – mruknęła pod nosem. – Czy kuchnia jest również taka przytulna i ładna? – zawołała do Randa.

– Chodź tu i przekonaj się sama!

Ogarnęło go zdumienie, gdy weszła do kuchni. Bez butów na niebotycznie wysokich obcasach była drobna i... nie tak uwodzicielska. Machinalnie obgryzała paznokcie.

– Jestem zaskoczona – wyznała po chwili. – Susan to znana pianistka. Spodziewałam się zastać w jej domu pamiątki z najdalszych zakątków świata. W każdym razie nie oczekiwałam tego – zatoczyła łuk ręką.

– Ja też nie. To na pewno ma coś wspólnego z tym, że jako dziecko wyjechała do Anglii i zamieszkała z nami, Widzisz, tak wyglądała nasza kuchnia. Billie pękało serce, gdy ją wysyłała, ale dla Susan całym światem była muzyka, a w Anglii miała otrzymać najlepsze wykształcenie w tym kierunku. W gruncie rzeczy nie miała prawdziwego dzieciństwa. Całymi dniami tylko ćwiczyła na fortepianie. Od dziecka miałem wrażenie, że Susan rozpaczliwie potrzebuje miłości. Jak widać, nadal jej nie znalazła. Nie znoszę, kiedy facet odbiera kobiecie ostatnie pieniądze. Miałem o Ferrisie lepsze zdanie.

– Proszę się nie martwić, wasza lordowska mość. Załatwimy go – zapewniła beztrąsko.

– Daj sobie spokój z lordowską mością. I tak nie używam tytułu, a ty wypowiadasz to w taki sposób, że brzmi jak obelga. Cukru? Śmietanki?

– Dziękuję. Poszukaj aktu własności domu i wszelkich innych dokumentów. Przydałyby się stare zeznania podatkowe. Są w domu?

– Susan mówiła, że Ferris je zabrał, gdy się wyprowadzał, ale miała dość rozumu, by iść do doradcy podatkowego i zażądać kopii. Są w pokoju muzycznym, w szafce pod oknem. Zaraz je przyniosę.

Valentine prawie go nie słuchała, do tego stopnia pochłonęła ją lektura innych dokumentów. Nie zareagowała, gdy Rand położył obok niej plik papierów. Starał sienie zwracać uwagi na zgrabne i widoczne w rozcięciu wąskiej spódnicy.

– Zadzwoń do domu – powiedział. – Jeśli mnie potrzebujesz, jestem w kuchni albo na piętrze. – Ugryzł się w język o sekundę za późno. Valentine nie dała po sobie poznać, czy go usłyszała.

Rozmowa z żoną dobrze mi robi, przekonywał się wychodząc z pokoju. Nie podobały mu się jego uczucia wobec Val. Maggie to jego żona, kochanka, przyjaciółka. Maggie sprawi, że spojrzy na wszystko z właściwej perspektywy.

– Cholera! – zaklął pod nosem.

Rozdział czwarty

Riley Coleman, jak miał to w zwyczaju, zatrzymał samochód, zanim przejechał pod drewnianym łukiem z wypaloną nazwą Sunbridge. Białe drewniane ogrodzenie ciągnęło się na wiele mil. Drogę wiodącą do domu ocieniały wiekowe dęby. Po obu stronach zieleniły się trawniki, regularnie spryskiwane wodą z automatycznych zraszaczy.

Delikatnie docisnął pedał gazu. Stary ford bronco mszył z miejsca. Riley rozkoszował się czekaniem na chwilę, w której w oddali pojawi się dom mieszkalny.

Olbryzi budynek usadowił się na łagodnym zboczu. Odcinał się od błękitu teksaskiego nieba, przyciągał promienie słońca. Dom wznosił się na wysokość trzech pięt. Jasnoróżowa cegła, z której wybudowano część główną i dwa skrzydła, kontrastowała z białą kolumn, podtrzymujących dach werandy. Nad oknami i drzwiami wejściowymi pyszniły się stiuki. Wokół domu rozciągał się ogród różany pełen altanek i rzeźb.

To nielichy kawał ziemi, jak zwykł mawiać Riley. I wszystko to należało do niego i Ivy. A pewnego dnia będzie własnością Mossa, jego syna. Uśmiechnął się szeroko. Tysiące akrów doskonałej ziemi, wspaniałych pastwisk dla bydła i koni.

Dawno temu panem tej ziemi był pradziadek Riley, Seth Coleman. Podobno zobaczywszy te tereny po raz pierwszy, poczuł, że wystarczy wyciągnąć rękę, a dotknie słońca. Miał za sobą ponurą przeszłość, a budowa tego domu była jednym z jego pierwszych dużych osiągnięć. Liczył, że będzie on pomostem między przeszłością a przyszłością. Choć nie miał duszy romantyka, on właśnie wymyślił nazwę „Sunbridge”.

Riley zatrzymał samochód przed frontowymi drzwiami. Najchętniej

wchodził do domu właśnie wtedy, mijając po drodze nierealnie piękny ogród różany i pędy winorośli, z gracją pnące się wokół werandy. Pamiętał jeszcze, jak wewnątrz Sunbridge wyglądało dawniej. Na ciemnym dębowym parkiecie, zawsze wypolerowanym do połysku, leżały grube wschodnie dywany. Masywne belki podtrzymywały strop. Kanapy obite skórą nadawały wnętrzu surowy, męski charakter. Często miał wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach cygara jego pradziadka. W wyobraźni słyszał stukot kowbojskich butów i rubasne śmiechy mężczyzn pijących whisky. Dzisiejsze Simbridge było pełne światła; jasne były ściany, parkiety, meble w różnych kolorach ziemi. Dom pachniał jego żoną i ich małym synkiem. Wypełniał go rock, śmiech Ivy i gaworzenie Mossa. Stare ściany działowe ustąpiły miejsca niskim, niepełnym, tak że teraz cały parter stanowił jedno wielkie pomieszczenie.

Mam prawie wszystko, czego potrzeba do szczęścia, pomyślał wieszając baseballową czapkę na wieszaku na kapelusze. Był to jeden z nielicznych przedmiotów, które się ostały ze starego wyposażenia Sunbridge.

– Jest tu kto? – zawołał z holu.

– Tylko my, Colemanowie – odparła Ivy. Z radosnym śmiechem podeszła do męża, podała mu małego Mossa.

– Co mamy na kolację? – Riley z rozkoszą wciągnął powietrze, starając się zidentyfikować smakowite zapachy unoszące się w pokoju. Moss pisnął, pomachał tłustą rączką. Riley podrzucił go do góry, złapał niemal w ostatniej chwili. – Ojej, Ivy, przepraszam, zapomniałem, że nie lubisz, kiedy tak robię. Moss to uwielbia, prawda, stary? – Z tymi słowami posadził synka na podłodze. – Teraz kolej na mamę.

Wziął ją w ramiona. Jak ona pięknie pachnie, podobnie jak mały Moss: czystością, pudrem, perfumami. Ivy, jego ostoja. Kiedy wejdzie do domu, powita go zawsze z uśmiechem. Na stole będzie czekała

kolacja, mały Moss będzie pogodny i skory do zabawy. Wypiją po butelce 7UP, ich specjalnego drinka. Co wieczór nie mógł się doczekać powrotu do domu.

Pili lemoniadę, a synek pętał po dywanie, ciągnąc za sobą wypchanego zwierzaka. Po kolacji Ivy go nakarmiła, Riley ubrał w piżamkę, oczywiście projektu Billie. Wspólnie przeczytali mu bajkę na dobranoc. Ivy nuciła kołysankę, Riley zapalił nocną lampkę z Myszką Miki. Wyszli, lekko przymknąwszy drzwi. W korytarzu się objęli.

W ulubionym pokoju Riley, salonie, zasiedli na kanapie, żeby obejrzeć wiadomości. W przerwach na reklamy opowiadali sobie zdarzenia minionego dnia. Cały czas dotykali się ramionami, trzymali za ręce.

– Dzwonili Cole i Sawyer – poinformowała Ivy. – Także Cary. Odłożyłam słuchawkę kilka minut przed twoim przyjściem. Obiecałam, że zadzwonisz do niego z samego rana. Rozmawiałam z Maggie. Ciotka Susan jest u niej. Riley – podekscytowana, zwróciła ku niemu twarz. – One przejmują prowadzenie Billie Limited! Czy to nie wspaniale? Maggie stwierdziła, że raj zaczyna dawać się jej we znaki i że najwyższy czas zabrać się do pracy. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Co powiesz, jeśli wrócę do pracy, w niepełnym wymiarze godzin?

Spojrzał na nią czule. Boże, jak bardzo ją kocha.

– Wiesz, masz najpiękniejsze oczy na świecie. I sam słyszałem, jak babcia Billie mówiła, że wiele kobiet oddałoby wszystko, byle mieć twoje kasztanowe loki. – Przytulił ją do siebie. – Jeszcze nie teraz, Ivy, błagam. Rozmawialiśmy już o tym i oboje się zgodziliśmy, że Moss potrzebuje cię przez cały dzień, przynajmniej dopóki nie skończy pierwszego roku. Oczywiście, jeśli ci na tym tak bardzo zależy, nie będę się sprzeciwiał. Nie zapominaj jednak, że Jonquil lata młodości ma już za sobą i nie możemy od niej oczekiwać, że przejmie opiekę nad

małym. A na nianię nas w tej chwili nie stać. Czy wzięłaś to wszystko pod uwagę?

– Mogłabym brać zlecenia i pracować w domu. Nie chcę się rozstawać z Mossem. Nie nudzi mi się tutaj, ale z drugiej strony stać mnie na coś więcej niż zajmowanie się ogrodem i gotowanie, kiedy Jonquil ma wolne. Jestem dobrym inżynierem, Riley.

– Najlepszym, kochanie. Nigdy w to nie wątpiłem.

– Jeśli przeceniam swoje siły, dam sobie spokój. Rodzina jest najważniejsza. Jak ci smakowało spaghetti?

– Pyszne. – Jakby dla podkreślenia tych słów, poluzował pasek u spodni. – Czy Cole mówił, o co chodzi? To niewiarygodne, Ivy. Od rana miałem uczucie, że jestem mu potrzebny. Zawsze się doskonale rozumieliśmy, więc i teraz coś przeczuwałem. I tak miałem do niego zadzwonić dziś wieczorem. Ivy się uśmiechnęła. Riley i Cole byli jak bracia, choć w rzeczywistości byli tylko rodzeństwem ciotecznym. Każdy z nich zawsze wiedział, kiedy drugi wpadał w tarapaty.

– Powiedział, że prawdopodobnie uprzedził twój telefon o kilka godzin. Wydawał się... smutny. Sumi ma się dobrze, rozwiązaniem lada dzień. Mam... mam przecucie, że telefon nie załatwi sprawy. Cole'a coś gryzie. On cię potrzebuje, Riley.

– Jeśli nawet tak jest, czy chciałabyś, żebym poleciał do Japonii?

– Riley! Rodzina przede wszystkim! Zadzwon do Sawyer, może ona będzie wiedziała, co się święci. No, idź, ja pozmywam i wyniosę śmieci za ciebie. – Pocałowała go w policzek.

– Nie musisz. Zapomniałem, że dzisiaj moja kolej.

– Możesz za to dokończyć prasowanie. – Zręcznie uchyliła się przed poduszką lecącą w jej stronę.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi do kuchni, ciężko opadł na sofę. Drażniło go monotonne brzęczenie telewizora. Sięgnął po pilota. Cisza dzwoniła mu w uszach. Nawet miękkie poduszki nie były w stanie

zmniejszyć napięcia mięśni pleców. Wystukał numer Sawyer. Odebrał jej mąż, Adam.

– Siema, Riley, potentacie naftowy. – Adam nie czekał na odpowiedź. – Pragnę ci osobiście podziękować za szczodry, ba, nader szczodry czek, który nam przysłałeś w zeszłym tygodniu. Josie i Katy również ci dziękują, bo to pieniądze na ich college. To wspaniale, że tyrasz ponad siły dla mnie i mojej rodziny. – To był stary rodzinny żart. – Poważnie, Riley. Cieszę się, że ci sprzedałem ten teren. Jak ci się nie uda, trudno. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. Co u Ivy i małego?

– Wszystko w porządku. Ivy chciałyby wrócić do pracy. Moss rośnie w oczach. To pogodny dzieciak.

– Jeśli chcesz rozmawiać z Sawyer, musisz chwilę poczekać. Usiłuje wyprostować sobie włosy. Od dwóch dni leje jak z cebra, a moja żona jest zła jak osa, kiedy jej się kręją włosy. Powinna raczej spożytkować tę energię na walkę z problemami tego świata. – Następne pytanie zadał zupełnie innym tonem. – Czy dzwonisz w związku z Cole'em?

– Tak, właściwie tak. Myślę o nim od rana. Miałem do niego zadzwonić zaraz po powrocie do domu. Dowiedziałem się od Ivy, że dzwonili oboje, Sawyer i Cole, więc pomyślałem... co się dzieje? Wiesz?

– Słuchaj, Riley. Dawno temu obiecałem sobie, że pozostanę bezstronny. Do tej pory się tego trzymałem i chcę, żeby tak zostało. Musicie to załatwić między sobą. Postaraj się ostudzić nieco moją żonę. Lada chwila wybuchnie. O, już idzie.

Riley uśmiechnął się pod nosem, słuchając rozmowy po drugiej stronie linii.

– Co ty masz na głowie? Chyba nie pójdziesz w tym do łóżka?

– To siateczka. Zamknij się, Adam. Może tobie nie przeszkadza, że twoje włosy wyglądają jak zardzewiałe sprężyny, ale mnie tak. Ojej,

Riley! – Sawyer nagle oprzytomniała.

– Dwa razy cię wołałem, ale twoja suszarka zagłuszyłaby trąby jerychońskie. A żeby zakończyć temat włosów, kochałbym cię nawet wtedy, gdybyś miała potężną łysinę. No, bierz słuchawkę i daj mi wrócić do moich rysunków.

– Adam, naprawdę byś mnie kochał, gdybym była łysa? – zaszczebotała kokieteryjnie.

– Łysa, gruba i brzydka. Hej, Sawyer, pośpiesz się. Riley zadzwonił na nasz koszt, więc te pogaduszki idą na nasz rachunek.

– Ty gnoju, czemu mi wcześniej nie powiedziałeś? – wrzasnęła. – Riley!

– Jestem tu, czekam. – Uśmiechnął się lekko. – Nie obawiaj się. Nie rozmawiamy na wasz koszt.

– Mój mąż to dupek. Mamy za sobą ciężki dzień, Riley. Słuchaj, dzwoniłam do ciebie, bo – mówiła teraz poważnym, rzeczowym tonem – rozmawiałam z Cole'em o finansowaniu samolotu. Zaproponował mi pożyczkę na lichwiarski procent. Czy Coś u nich nie tak? Sumi nie puściła pary z ust. Rozmawiałeś z nim?

– Dzwonił dzisiaj, ale mnie nie było.

– Cóż, zachował się poniżej wszelkiej krytyki – stwierdziła z goryczą. – O co mu, do cholery; chodzi?

– Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana, bo ci się... siateczka rozpuści. Zadzwońię do niego. Jeśli to będzie konieczne, polecę do Japonii. Od dawna chciałem tam znów pojechać, ale jakoś nigdy nie nadszedł odpowiedni moment. Skoro Cole ma problemy, muszę to zrobić.

– Sama nie wiem, Rileyu.. Nie byłeś tam od śmierci twojego dziadka. Jeśli nie czujesz się jeszcze na siłach... Dam sobie radę. Cole i ja już nieraz braliśmy się za łby i zawsze jakoś dochodziliśmy do porozumienia. Proszę, nie musisz tego robić ze względu na mnie.

Nagle odczuł potrzebę zwierzeń, chciał opowiedzieć jej o snach, o których nie wspomniał Ivy. Przenosił się w nich do Japonii, były nie kończące się, wypełniały jego serce bólem i tęsknotą. Odruchowo podniósł wzrok na gzyms nad kominkiem. Stało tam zdjęcie jego japońskiego dziadka.

– Zadzwoń do Cole’a. Jeśli zdecyduję się tam pojechać, i jeśli niczego nie załatwię, wtedy będziesz mogła wziąć sprawę w swoje ręce. W porządku?

– Innymi słowy, uważasz, że ja jestem w gorącej wodzie kąpana, a ty nie. Że ty sobie lepiej poradzisz z Cole’em. Dobra, tylko pamiętaj, że to ja jestem mózgiem całego przedsięwzięcia.

Parsknął śmiechem.

– Powtórzę to Cole’owi.

– Proszę bardzo – zachnęła się. – Pozdrów Ivy ode mnie. Kiedy przyjedziecie do Nowego Jorku?

– Nigdy. Zdaniem Ivy podróż do Nowego Jorku to jak wycieczka na front bez broni. A kiedy wy wybieriecie się do nas? ■

– Na otwarcie osiedla ludzi starych stworzonego przez Cary’ego. Co on porabia? Od dawna nie mieliśmy od niego żadnych wieści.

– On też dzisiaj dzwonił. Wszystko układa się zgodnie z naszymi przewidywaniami. Wiesz, że on i Julie... wróciła do Nowego Jorku. Cary powiedział, że nie był w stanie... to ona podjęła decyzję. Mówił, że zawsze będą przyjaciółmi, i tak dalej.

– Ona na pewno bardzo go kocha. To okropne, ze względu na nich oboje. Skoro Julie jest w mieście, zadzwonię do niej i zaproszę na kolację. A może powinnam zostawić ją w spokoju?

Riley miał ostatnie słowo:

– Mówiłaś przecież, że jesteś mózgiem tej rodziny. Skoro nie jesteś w stanie podjąć równie prostej decyzji, wycofaj się i oddaj dowodzenie Adamowi. Cześć, Sawyer.

– Jak poszło? – Ivy postawiła koszyk z bielizną u stóp męża.

– Jest nerwowa, ale Sawyer zawsze jest nerwowa. Czy ty masz siateczkę na włosy?

– Czy mam... co? – spytała ze zdumieniem.

– Nieważne. Dokąd idziesz?

– Przygotować kąpiel. Kiedy skończysz rozmowę, przyjdiesz na górę, a wtedy. .. no wiesz, powygłupiamy się. Ja rozbiorę ciebie, ty mnie. Ja wymasuję ciebie, ty mnie. Jaki wolisz olejek, kokosowy czy awokado?

Błyskawicznie podjął decyzję:

– Kokosowy.

– Którą koszulę nocną: czarną czy brzoskwiniową?

– Żadną.

Ivy zrobiła zgorzszą minę i pochyliła się nad koszykiem. Wyjęła z niego butelkę wina i dwa kieliszki. W drzwiach odwróciła się na pięcie.

– Czekam – zawołała i wybiegła z pokoju.

Riley obliczył różnicę czasu między Japonią a Teksasem. Ma prasować i zadzwonić do Cole'a czy... ? Poderwał się na równe nogi i ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Rodzina przede wszystkim. To znaczy, najbliższa rodzina.

Riley spojrzął na zegarek przy łóżku. Trzecia trzydzieści jeden, a on nawet nie zmrużył oka. U jego boku Ivy spała głęboko, oddychała równo. Wyprostował długie nogi, ostrożnie, żeby nie obudzić żony. Co do cholery jest nie tak? Powinien wstać, zejść do kuchni, zrobić sobie kubek gorącej czekolady. W przekonaniu Ivy to najlepsze lekarstwo na bezsenność. I, oczywiście, zadzwoni do Cole'a. Nigdy się nie zdobył na wytłumaczenie żonie, że kofeina w napoju wywierała dokładnie odwrotny skutek do zamierzonego – dodawała mu energii zamiast uspokajać. Ivy bardzo poważnie traktowała swoją rolę żony i matki; i na wszelkie możliwe dolegliwości, od przeziębienia po wrastające

paznokcie, miała domowe lekarstwa. Na myśl o środku przeciwegrypowym, który w niego kiedyś wmusiła, do dzisiaj przechodziły go ciarki. Zaaplikowała mu herbatę z miodem, whisky, cytryną i maścią Vick's. Uznała, że najgorsze minęło, kiedy oczy zaczęły pu łzawić i nie mógł złapać tchu, czy to po napoju, czy wskutek musztardy, którą natarła mu klatkę piersiową. Niewykluczone też, że spowodował to wianek czosnku, którym udekorowała jego szyję. A jednak następnego dnia był zdrów jak ryba i mógł iść do pracy. Tam, oczywiście, nikt się do niego nie zbliżał przez cztery dni, dopóki nie przestał śmierdzieć.

Zanim zmienił zdanie, wyskoczył z łóżka, sięgnął po szlafrok i wyszedł do holu. Zajrzał do pokoju synka. Moss zaciskał rączki na kocyku i ssał kciuk. Riley'a ogarnęła fala czułości.

Ivy całe tygodnie pracowała nad tym, aby kuchnię urządzić tak, jak sobie wymarzyła. Nad wielkim kamiennym kominkiem wisiały pęki suszonych ziół i warkocze czosnku, w wiklinowym koszyku leżały świeże polana, zielone rośliny w glinianych doniczkach cieszyły wzrok.

Całe pomieszczenie było utrzymane w zieleniach i żółciach, z czerwonymi akcentami. Czerwone były na przykład meksykańskie kafle na podłodze. Szafki i ramy okienne zrobiono z jasnego dębu w odcieniu miodu. Ivy własnoręcznie uszyła zasłonki z kretonu w biało-zieloną kratkę. Na ladzie zawsze stała miska owoców.

Riley wlał kakao do wielkiego kubka z napisem TATA i usiadł koło kominka, w starym fotelu na biegunach. Upił łyk gorącego napoju. Slick, stary żółty kocur, przyglądał mu się uważnie. Pewnego dnia Slick pojawił się na werandzie i już pozostał.

Riley poprawił się na fotelu. Ociągał się, chciał jak najdalej odsunąć moment, gdy zadzwoni do kuzyna. Szybko obliczył różnicę czasu. Sięgnął po telefon. Po uzyskaniu połączenia powiedział coś szybko po japońsku. Przeszedł na angielski, gdy usłyszał Cole'a, choć

ten władał japońskim równie dobrze jak on.

– Co słyhać w Teksasie? – zapytał cicho Cole. – Niewiele, zważywszy, że dochodzi czwarta rano. Jak Sumi?

– Niecierpliwi się, ja też. Słuchaj, Rileyu, dzwoniłem, bo... Czy mógłbyś wpaść tu na kilka dni? Gdyby nie to, że Sumi ma rodzić lada dzień, sam przyleciałbym do Teksasu. Dasz radę? Pamiętam, jak mówiłeś, że wrócisz dopiero wtedy, kiedy dojrzejesz do tego, i ani dnia wcześniej, ale potrzebuję twojego azjatyckiego zdrowego rozsądku...

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Żałuję, że nie ma cię tutaj w tej chwili. Firma nie zginie bez ciebie?

Riley się zachnął.

– Nie przypuszczam, ostatnio niewiele się tu dzieje. Oczywiście Adam będzie chciał wiedzieć, dlaczego nie pilnuję jego odwiertów. – Żart przeszedł nie zauważony.

– Odłóż słuchawkę, Riley. Zadzwonię za dziesięć minut. – Połączenie przerwano, zanim zdążył zareagować. Z westchnieniem spojrzął na kota, uparcie wypatrującego myszy.

Skoro i tak nie pójdzie dziś spać, napije się kawy. Akurat włączył ekspres, kiedy zadzwonił telefon.

– O siódmej możesz wylecieć z Austin do Los Angeles, stamtąd do Honolulu i dalej na Guam. Tam się spotkamy, wylecę po ciebie moim samolotem. W porządku?

– A rezerwacje?

– Moja żona się tym zajmuje w tej chwili. Ivy?

– Nie będzie robiła żadnych problemów – mruknął zamyślony. Guam. Tam poznali się i pokochali jego rodzice. Pobrali się i mieszkali w małym domku, dopóki ojca nie wysłano do Wietnamu, gdzie zginął podczas misji w delcie Mekongu.

Kawa była mocna i gęsta jak ropa. Wypił ją dopiero po dodaniu

dużej ilości śmietanki. Nawet to nie poprawiło jej smaku. Ivy wyleje ją, gdy tylko wstanie. Najchętniej piła kawę migdałową, z odrobiną cynamonu. Każdego ranka mielła ją na świeżo. Jonquil, gospodyni, nie przepadała za kawami aromatyzowanymi i specjalnie dla siebie trzymała w kredensie puszkę zwykłej. Właśnie tę kawę Riley sobie zaparzył. Nie smakowała mu. Slickowi też nie, o czym się przekonał po właniu resztek do kocięj miseczki.

Cole był pierwszą osobą, którą zauważył po wyjściu z samolotu. Wilgoć i upał otuliły go duszącym kocem. ‘ Jest chyba równie zmęczony jak ja, pomyślał. Nigdy dotąd nie widział u kuzyna tak podkrążonych oczu.

Po uściskach i klepaniu po plecach pierwszy odezwał się Cole:

– Mam teraz dwie możliwości. Albo od razu lecimy dalej, albo na kilka godzin zatrzymamy się w hotelu, żebyś mógł się przespać. Na wszelki wypadek zarezerwowałem pokój.

Riley zastanawiał się przez całą minutę, zanim udzielił odpowiedzi:

– Przespałem prawie cały lot. Mam ochotę na jajka na bekonie i małą przejażdżkę po wyspie. Chciałbym zobaczyć domek, w którym mieszkali moi rodzice, i kościół, w którym się pobrali. A co z tobą, Cole, jesteś zmęczony? Jeśli tak, zrobimy to kiedy indziej. Pewnie martwisz się o Sumi?

– Tak, trochę tak. Chodźmy coś zjeść. Przylecimy tu w powrotnej drodze i wtedy wszystko zwiedzisz. I tak pewnie wolałbyś, żeby nikt ci wtedy nie towarzyszył.

– Szczerze mówiąc, do końca nie wiem, czy w ogóle chcę to robić. Mam uczucie, że powinienem, i tyle. Dobra, niech będą jajka na bekonie, i lecimy do Sumi. Nie opędzimy się od wyrzutów, jeśli dziecko przyjdzie na świat w czasie twojej nieobecności. Prowadź, kuzynie. Oczywiście masz już na oku jakąś knajpę, w której nie podają

ryżu, mam rację?

– Jak zwykle. – Cole uśmiechnął się krzywo.

Byli niemal tego samego wzrostu i budowy. Jedyłą znaczącą różnicę stano, wił kolor włosów i oczu. Cole był jasno włosy, a oczy miał błękitne, Riley'a można by wziąć za Greka, Włocha czy Żyda. Kombinezon i czapka zawadiacko zsunięta na tył głowy nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, że Cole jest pilotem. Pogniecione džinsy, kowbojskie buty, flanelowa koszula i stara czapka baseballowa Riley'a świadczyły o tym, że jest Tekszańczykiem. Riley chciał to demonstrować całemu światu, rok temu nawet operacyjnie zmienił oprawę oczu, ponieważ stanowiła dowód jego orientalnego dziedzictwa. Nic nie pomogły sprzeciwy całej rodziny, nawet Ivy.

– Pewnie wydajemy się im olbrzymami – zauważył Cole. – Do tej pory najwyższy mężczyzna, którego tu widziałem, miał metr siedemdziesiąt pięć. Jak myślisz, nasz wzrost byłby zaletą czy wadą gdybyśmy tu mieszkali?

– Cóż, w każdym razie widzielibyśmy więcej niż inni. – Riley się roześmiał i usiadł przy stoliku. – Ja na przykład widzę stąd kuchnię. Wygląda na czystą. – Podczas posiłku opowiadali sobie o swoich rodzinach. W końcu Riley zaczerpnął powietrza i poruszył właściwy temat:

– Dobra, Cole. Co, do cholery, jest nie tak? O co chodzi z Sawyer? Znam jej wersję. Co ty masz mi do powiedzenia?

– Miałem ciężki dzień. Interesy to interesy. Ty powinienesz to zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny.

– Tu chodzi o rodzinę, Cole. Odkąd jesteś lichwiarzem? Cole przesunął czapkę na tył głowy. Nie podobały mu się ostre nuty w głosie Riley'a. Nie podobała mu się również jego surowa mina.

– Czy dlatego tu jesteś? Żeby mi powiedzieć, że spieprzyłem sprawę z Sawyer? Riley spojrzął mu w oczy.

– Tak. – Ostrożnie odstawił kubek. – Pamiętasz, co sobie założyliśmy? Wschód i Zachód. Zjednoczone. Zgodziłeś się. Ja też. A teraz się wycofujesz. Może nie takie są twoje intencje, ale tak to wygląda z mojego punktu widzenia. Z punktu widzenia twojej siostry również. Jeśli masz coś na swoje usprawiedliwienie, bardzo chciałbym to usłyszeć. – Tym razem z całej siły uderzył kubkiem w plastikowy blat, – Tak, to jeden z powodów, dla których tu jestem. A poza tym pomyślałem, że mnie potrzebujesz. Chcę pomóc, jeśli ci się wydaje, że masz kłopoty.

– Cóż za wielkoduszność – warknął Cole. – Teraz jeszcze wypomnij mi, że na moją korzyść zrzekłeś się swojego dziedzictwa, żebym mógł przejąć „Wschodzące Słońce”.

– To cios poniżej pasa, Cole. Przeleciałem pół świata, żeby cię wysłuchać. Cole poczuł fale gorąca na karku, oznakę wściekłości.

– Innymi słowy, będziesz się wtrącał.

– Czy ty się mnie boisz? – zapytał cicho Riley. No właśnie, czy się go bał?

– Jestem niespokojny, to lepsze słowo. Kontrolujesz Coleman Enterprises i nadal masz udziały we „Wschodzącym Słońcu”. Zaczynam się zastanawiać, czy nie jestem tylko cholernym figurantem.

Riley zacisnął pięść na serwetce, którą już w następnej chwili dał na drobne kawałeczki.

– Kierujesz „Wschodzącym Słońcem”. Od nikogo nie jesteś zależny, pamiętasz?

– Gówno prawda! Zawsze się od kogoś zależy! Jeszcze nie wiem od kogo, ale dowiem się już niedługo, jeśli nie zmienię zdania w sprawie finansowania samolotu Sawyer, prawda?

Riley uniósł brwi w zdumieniu.

– Nic mi nie wiadomo, żebyś komuś podlegał, Cole. A wiesz, że nigdy cię nie okłamałem. Zawarliśmy ustną umowę: Wschód i Zachód

połączone w jedną całość. A ty się wykręcasz. Nie podoba mi się to.

– Nie wykręcam się. Spieprzyłem sprawę z Sawyer. Bardzo mi przykro, że tak to wyszło. Dlatego jestem gotów ją przeprosić i ustalić korzystniejsze warunki. Teraz lepiej?

– To nie wystarczy. Cole pochylił się nad stolikiem.

– Chcesz, żebym jej dał te pieniądze?

– Mój dziadek by tak postąpił. Ja też.

– Ale ja nie jestem ani tobą, ani twoim dziadkiem – warknął. – Nie jesteś.

– Interesy to interesy. Przecież nie mogę tak po prostu dać jej stu milionów dolarów.

– W Teksasie zrzekłeś się na moją korzyść swojego udziału w Sunbridge. Obaj oddaliśmy Adamowi jego ziemię. To były pieniądze Colemanów, prawda? Szafowałeś nimi hojną ręką, bo byłeś wściekły i miałeś wszystko w nosie. Wtedy byliśmy zgodni co do tych decyzji. W końcu liczy się dawanie, Cole. A jeśli to cię nie przekonuje, spójrz na siebie i przypomnij sobie, co ty dostałeś.

Jasnoniebieskie oczy lśniły złowrogo.

– Poczekaj, Riley, nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem. Daję sto milionów dolców, wyrzucam książeczkę czekową i zapominam o całej sprawie. O procencie, o udziale w zyskach. Za kilka lat, może pięć, może dziesięć, dostanę częściowy zwrot pożyczki, bez odsetek. Masz mnie za głupca czy co?

– Nigdy cię nie uważałem za głupca. Jesteś ostatnią osobą na świecie, którą bym tak nazwał. Słuchaj, pieprzyć interesy. Porozmawiajmy o nas.

– A co jest z nami? – zapytał Cole nieufnie.

– Kiedyś byliśmy jak bracia. Teraz już nie. Co jest, nie stać nas na wyższe rachunki telefoniczne, jeśli pogadamy od czasu do czasu? Kiedy Ivy rodziła, bardzo chciałem z tobą porozmawiać. Chciałem ci

powiedzieć, że się boję, że coś pójdzie nie tak. A potem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem małego Mossa, kiedy się przekonałem, że ma wszystkie paluszki i ten interesik między nogami... chciałem się tym z tobą podzielić.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Zrobiłem, do ciężkiej cholery. Dzwoniłem, nagrywałem się na sekretarkę, nawet podałem numer automatu w szpitalu, ale ty nie oddzwoniłeś. Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego o narodzinach Mossa zawiadomiliśmy was telegraficznie?

Cole ciężko opuścił ramiona.

– Nie wiedziałem. Przepraszam, Riley. Ostatnio przechodzę... przechodzę... Nie mogę spać. Nie mam apetytu. Piję za dużo kawy i kopczę jak komin. Nie mogę normalnie myśleć.

– Chodzi o Sumi?

– Nie, skądże. Martwi się o mnie i wcale się jej nie dziwię. Nie zdziwiłbym się, gdyby mnie wyrzuciła z domu. Nie jestem przyjemnym towarzyszem. Mam koszmary. Wierzę... tylko się ze mnie nie śmieje, Riley... wierzę, że w ogrodzie Zen jest duch twojego dziadka. Przysięgam na Boga. Stawiam tam butelkę piwa i idę na spacer. Kiedy wracam, jest pusta. Zostawiam zapalone cygara, ulubiony gatunek twojego dziadka, i znajduję popiół na ścieżkach.

– Powoli. Chcesz powiedzieć, że uwierzyłeś w... duchy? – Riley wybuchnął śmiechem, jednak na widok poważnej miny kuzyna uspokoił się natychmiast.

– Poszedłem na Wzgórze Kwitnących Wiśni i, daję słowo, on tam był. Zawiodłem go. Jest rozczarowany. Wiesz, Riley, „Wschodzące Słońce” jest dokładnie w takim samym stanie, w jakim je przejąłem. Prawie co do centa. Nie zmieniłem niczego, chociaż urabiałem sobie rękę po łokcie. Na Boga, pracowałem po osiemnaście godzin dziennie, nadal pracuję. Popelniam jakiś błąd, tylko że za cholere nie wiem, jaki.

Mam wrażenie, że twój dziadek obserwuje mnie z góry i z dezaprobatą kręci głową.

– Hej, nie masz deficytu, więc o co chodzi? Musi upłynąć trochę czasu, zanim... Japończycy załatwiają pewne sprawy inaczej niż my, w Stanach. Potrzebujesz więcej czasu, to wszystko.

– Riley, miałem do dyspozycji trzy i pół roku. Nie dałem sobie rady. Jestem niewłaściwym człowiekiem na tym stanowisku. Zapomniałeś już, jak się czułeś, kiedy wydawało ci się, że zawiodłeś i nie ma dla ciebie miejsca w Teksasie? Ze mną jest podobnie, tylko gorzej. Kiedy Sawyer zadzwoniła, odebrałem to jako... wiadomość. Sygnał. Nazwij to jak chcesz. Nagle wyobraziłem sobie te wszystkie zera i strzeliłem z grubej rury. On jest tam, w ogrodzie, Riley. Pomyślałem sobie, że... że jeśli tam pójdziesz, także poczujesz jego obecność. Kochał cię. Na pewno coś poczujesz. Myślisz, że zwariowałem?

Riley nerwowo zamrugał powiekami. Serce waliło mu jak oszalałe. Czy Cole zwariował? Jeśli kuzyn odejdzie ze „Wschodzącego Słońca”, on będzie musiał na stałe wrócić do Japonii. Zostawić Amerykę.

– Do licha, nie! – krzyknął. Dał znak kelnerce, by dołąła mu kawy.
– To wszystko da się logicznie wytłumaczyć. Pewnie któreś dziecko zrobiło ci kawał.

– Wszystkie były w szkole. – Cole me ukrywał zniecierpliwienia. – Więc jedna z moich ciotek. Mają niesamowite pomysły. Sumi również.

– O czwartej nad ranem? Nie przesadzaj. Babcia Billie wierzy w takie rzeczy. Po śmierci ciotki Amelii oboje wyczuliśmy obecność... nazywaj to sobie, jak chcesz, ale oboje wiedzieliśmy, że duch Setha Colemana jest wśród nas. Pamiętam, jak zaparłem się piętami w ziemię i zauważyłem, że babcia Billie robi to samo. Kiedyś rozmawialiśmy na ten temat. Boże, sam nie wiem, co o tym myśleć.

– Spokojnie. Co zrobimy z Sawyer? Dasz jej te pieniądze czy nie?

Jej, czyli całej rodzinie.

– Jestem otwarty na wszelkie propozycje, ale w żadnym wypadku nie zdecyduję się po prostu dać tych pieniędzy.

– W porządku. To twoja decyzja. Teraz posłuchaj, co ja postanowiłem. Chcę, żebyś przelał na moje konto w Teksasie sto milionów dolarów. Jako zabezpieczenie przyszłości mojego syna. Pieniądze mają wpłynąć przed jutrzejszym zamknięciem banków. Pamiętaj, to moje pieniądze. Jesteś tylko zarządzającym.

– Zrobiłbyś mi coś takiego? – Cole zatrzęsł się nerwowo.

– Dla rodziny zrobię wszystko, co w mojej mocy. Chyba zapomniałeś, co się naprawdę liczy. Nic na świecie nie jest ważniejsze niż rodzina – rzucił Riley zapalczywie. – Nic.

Cole wyprostował ramiona i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Fundusz powierniczy. Nie zgodzę się na nic innego.

– Nie – padła zdecydowana odpowiedź.

– Albo to, albo nic. Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

– Cole, chcesz, żebym z tobą walczył?

– Grasz nie fair, i dobrze o tym wiesz. Jeśli to nie będzie fundusz powierniczy, oddasz wszystko Sawyer. Sawyer to interesy. Mały Moss to twój syn. Jeśli chcesz, jutro wpłacę na jego fundusz powierniczy całe dziewięćdziesiąt miliardów. Zamknę interes i pójdę do pracy w fabryce opon. – Zerknął na zegarek. – Czas na nas. O tej porze ruch w powietrzu jest gorszy niż na autostradzie. Nie chcę być z dala od Sumi ani chwili dłużej niż to konieczne. – Rzucił na stół banknot dwudziestodolarowy.

Riley podniósł torbę podróżną i mszył za kuzynem. On naprawdę mógłby to zrobić; ten skurczybyk zamknie firmę i pójdzie do fabryki opon. Kiedy go dogonił, poklepał Cole'a po ramieniu ze słowami:

– Opony to kiepski biznes. Przyszłość mają kosiarki. Przemyślimy to wszystko, okay?

– Okay. Cieszę się, że tu jesteś, Rileyu.

– Ja też, ale się nie poddam. Musisz o tym pamiętać. – Ja też nie. Ty też musisz o tym pamiętać. – Przynajmniej zaczynamy w tym samym punkcie. Cole się uśmiechnął.

Rozdział piąty

Cary Assante włożył na głowę kask. Za kilka miesięcy Pomnik Pamięci Amelii będzie gotów. Początkowo nie był pewien, czy budowa takiego ośrodka dla upamiętnienia działalności żony to właściwa decyzja. Żony, którą zdradzał w ostatnich miesiącach jej życia. Najpierw wydawało mu się, że kieruje nim poczucie winy, dopiero później, kiedy ruszył z projektem, zrozumiał, że robi to z miłości do Amelii.

Z każdą chwilą, gdy projekt zaczynał nabierać realnych kształtów, czuł się coraz bardziej szczęśliwy, a jednocześnie zdenerwowany. Nie mógł się doczekać ceremonii otwarcia. Wyobrażał sobie, jak dumni będą Billie i Thad, cała rodzina. Teraz była to także jego rodzina. Po śmierci Amelii obawiał się, że zerwą z nim wszelkie kontakty a tymczasem otoczyli go troskliwą opieką. Nie było tygodnia, by ktoś z rodziny do niego nie zadzwonił albo nie napisał. Od roku regularnie wysyłał im zdjęcia przedstawiające postępy w budowie.

Spojrzał w niebo, jak zawsze, gdy rozmawiał z żoną. Nie przejmował się, czy wezmą go za dziwaka, który sam mówi do siebie.

– Prawie gotowe, złotko – mruknął, idąc w stronę budowy.

W połowie drogi zorientował się, że zapomniał okularów ochronnych. Wrócić po nie czy zaryzykować? Amelia kazałaby mu wrócić, ale, do licha, jest przecież zawodowcem. Zakładał tysiące ładunków wybuchowych i nigdy nie wydarzyło się nic złego. Jeśli wróci, opóźni pracę. Pomachał do robotnika odpowiedzialnego za obsługę ładunków, uniósł czerwoną flagę. Po południu wpadnie do Sunbridge i wręczy małemu Mossowi komplet klocków. Jest przecież ojcem chrzestnym dzieciaka. Riley i Ivy nie mieli o tym pojęcia, że po chrzcinach Mossa zmienił testament. Po śmierci Gary'ego mały odziedziczy jego majątek. Dla rodziny zrobiłby wszystko, oddałby

ostatnią koszulę z grzbietu. Rodzina liczy się w życiu najbardziej.

– Jesteś gotów, Cary? – zawołał Sam Black, brygadzysta. – Na trzy – podniósł rękę. – Raz, dwa, trzy. Dawaj!

Cary zapamiętał oślepiający płomień i żar nie do zniesienia. Upadł do tyłu. Cały czas miał w uszach krzyk Sama:

– Jezus, Maria! Dzwoncie po pogotowie! Natychmiast! Cary, nie ruszaj się. Kurwa, kto sprawdzał zapalnik? Szybciej, szybciej! Mam sam się tym zająć? Wszystko będzie dobrze, Cary. Nie ruszaj się ani na centymetr, dobra?

Słyszając panikę w głosie brygadzysty, Cary uznał, że umiera. Bogu dzięki, zdążył napisać nowy testament. Szykuj się, Amelio, idę do ciebie. Otwórz bramy.

W następnej chwili stracił przytomność.

Ocknął się w szpitalu. Rozpoznawał zapachy i odgłosy, z którymi się zaznajomił podczas choroby Amelii. Łagodny głos kazał mu się uspokoić. Poczł ukłucie.

– Co takiego powiedział, panie doktorze? – zapytał młody głos.

– Coś w rodzaju: „Otwórz bramy, złotko. Idę do ciebie”. Bredzi. Co z rodziną?

– W karetce przyjechał tylko brygadzysta z budowy. Krewni zjawiają się najszybciej jak się da.

– Nie możemy czekać. Musimy założyć, że wyraziliby zgodę na operację. – Lekarz naciągnął gumowe rękawiczki. – Podstawowy problem to...

Thad Kingsley obserwował Billie, swoją żonę, przez oszklone drzwi. Gwisdek czajnika rozwił ponure myśli. Nie znosił tracić z oczu chudej postaci skulonej na kanapie. Każda minuta, każda sekunda była bezcenna. Boże, co on bez niej robi? „Wsyp cukier, Kingsley, włóż herbatę, zalej wrzątkiem”, mamrotał pod nosem. Coś ścisnęło go za

gardło, gdy wychodził z kuchni. Taca niebezpiecznie drżała w jego rękach.

– Trzy łyżeczki cukru, tak jak lubisz – oznajmił pogodnie i usiadł koło niej. – Ja natomiast piję herbatę jak prawdziwy mężczyzna, gorzką, z cytryną.

Wyjęła ręce z kieszeni. Chudymi palcami łapczywie objęła gorącą filiżankę.

– Nie przypominam sobie, by tu, do Vermont kiedykolwiek wiosna zawitała tak wcześnie. A ty, Thad?

– Rzeczywiście, nie pamiętam czegoś takiego. Mam nadzieję, że to wróży ciepłe lato bez większych opadów.

– Ja też – szepnęła Billie. Chciało jej się wrzeszczeć, wykrzyzczeć swoją miłość do wszystkich pór roku na farmie. Nie robi tego jednak, nie chce denerwować Thada bardziej niż to konieczne. Spojrzała na łagodnie falujące pastwiska. Od ponad stu lat stanowiły własność jego rodziny. Piękno krajobrazu sprawiało, że miała łzy w oczach.

– Pensa za twoje myśli – odezwał się cicho.

Miała ochotę skłamać, ale nigdy dotąd nie oszukała męża.

– Jestem ciekawa, czy na tamten świat zabieramy ze sobą wspomnienia, czy może wszystko zaczyna się od początku. Niewiedza trapi mnie najbardziej. Thad, musimy o tym porozmawiać. Chociaż jeden raz. Może dzięki temu będzie nam łatwiej żyć w miarę normalnie.

W jednej chwili zerwał się na równe nogi. Wstrząsał nim szloch. Billie miała rację, ale przerażała go sama myśl o tym. Boże drogi, Billie umiera, a on tchórzy. Zacisnął dłonie na poręczy. Zbielały jak płótno. Może zniesie to lepiej, jeśli nie będzie na nią patrzył.

– Dobrze – odparł ochryple.

– Usiądź, kochanie – poprosiła Billie. – Chciałabym cię widzieć.

Do jasnej cholery, walczył na wojnie, latał na myśliwcach, całymi latami dyskutował w Senacie, ale nic nie wydało mu się tak trudne jak

ta chwila. Zdawał sobie sprawę, jak sztuczny i żalony jest jego uśmiech, gdy siadał koło Billie i brał ją za rękę. Była zimna i chuda.

– Miejmy to za sobą – zaczęła energicznie. – Nie boję się śmierci, Thad. Nie śpieszy mi się stąd odchodzić, ale tak jest przeznaczone. Wierzę w to. Musimy więc pogodzić się z tym, że mój czas jest ograniczony, że... że cię opuszczę. Wierzę, że dasz sobie radę, Thad, i że będziesz oparciem dla mojej rodziny, tak jak oni będą oparciem dla ciebie. Proszę, obiecaj mi to.

Skinął głową. Widział ją niewyraźnie przez łzy.

– Billie, rodzina... Jak ja im wytłumaczę? Co powiemy?

– Nie będę ich obarczać moją chorobą Otoczyliby mnie troskliwą opieką, a ja tego nie chcę. Pamiętasz, jak wszyscy trzęśliśmy się nad Amelią? Ona też tego nie chciała. Pragnęła tylko mieć u swego boku mężczyznę, którego kochała. Zabroniła mu do nas dzwonić, ale Cary nie wytrzymał. Dużo rozmawialiśmy o śmierci i umieraniu. Amelia również się nie bała. Żałoba to smutny czas. Nie chcę, żeby rodzina długo mnie opłakiwała. A teraz, senatorze Kingsley, proszę zaprosić mnie na lunch. Po jedzeniu pójdziemy do kwaciarni na końcu Main Street i kupimy całe naręczą wiosennych kwiatów. We wszystkich kolorach tęczy. Wrócimy do domu późnym popołudniem, rozpalimy ogień w kominku, zjemy coś na kolację, a na deser podam olbrzymie porcje lodów karmelowych. Co ty na to?

– Wykręcasz mi rękę. Wolę lody czekoladowe.

Westchnęła głośno.

– Niech ci będzie.

– Billie, gdybym mógł, oddałbym za ciebie życie.

– Wiem o tym. W ciągu naszego małżeństwa zaznaliśmy jednak więcej szczęścia, niż innym ludziom jest dane przez całe życie. Pamiętaj o tym i nie bądź zachłanny. Nikt nie dostaje wszystkiego.

Uniósł rękę do góry.

– Na dodatek jesteś filozofem?!

– I doskonałą kucharką – roześmiała się, idąc do sypialni na końcu korytarza. – Będę gotowa za pięć minut.

Thad uderzył pięścią w poręcz fotela.

– Cholerny świat! – To niesprawiedliwe. Dobrzy ludzie, tacy jak Billie, powinni żyć wiecznie. – Proszę, Boże, nie każ jej cierpieć. Zniosę wszystko, ale nie to. Stara się być taka dzielna. Nigdy więcej o nic Cię nie poproszę. Błagam.

Wrócili do domu o czwartej, z naręczami wiosennych kwiatów. Billie od razu poszła do kuchni po wazony. W tej chwili zadzwonił telefon.

Oboje podbiegli do aparatu i podnieceni jak dzieci czekali, aż włączy się automatyczna sekretarka. Ich *modus operandi*, jak to określał Thad, polegał na wysłuchiwanie wiadomości i oddzwanianiu kilka godzin później. Odkąd dowiedzieli się o chorobie Billie, udawali przed bliskimi, że wyruszyli w podróż dookoła świata i tylko co jakiś czas przesłuchiwali taśmę. W ten sposób ukrywali przed rodziną efekty chemioterapii.

Tym razem usłyszeli histeryczny głos:

– Billie, Thad? Tu Ivy. Jest czwarta po południu, czwartek. Doszło do strasznego wypadku. Cary został ranny przy wybuchu dynamitu. Jest teraz w szpitalu. Riley poleciał do Japonii, żeby się spotkać z Cole'em. Dzwoniłam do Sumi. Cole wyleciał na Guam po Riley'a. Jeszcze nie wrócili. Nagrałam się na sekretarkę Adama i Sawyer. Dzwoniłam dwa razy, ale jeszcze nie oddzwonili. Rozmawiałam z Maggie. Rand jest w Minnesocie z panią Mitchell. Chodzi o Susan. Zadzwoniłam tam, ale w centrali powiedziano mi, że telefon Susan odłączono dzisiaj w południe. Susan jest u Maggie. Przyleci do Teksasu najbliższym samolotem. Riley mówił, że przesłuchujecie wiadomości co drugi dzień.

Pomyślałam, że powinniście się dowiedzieć. Czekam, aż Jonquil wróci z zakupów, i od razu pójdę do szpitala. Och, Billie, nie mam pojęcia, co robić. Cary nie ma oprócz nas żadnej rodziny: Czy postąpię słusznie, podpisując zgodę na operację? Nie wiem nawet, jak ciężko jest ranny. Odezwę się, kiedy tylko będę wiedziała coś więcej.

Billie podniosła słuchawkę.

– Ivy, jesteśmy tu. Właśnie weszliśmy do domu. Przylecimy najszybciej jak się da. Wyjdziemy z domu najpóźniej za godzinę. Trzymaj stery, kochanie, i rób wszystko co trzeba. Cary jest... Cary jest silny, wszystko będzie dobrze. Czuję to. Ivy, teraz odłożę słuchawkę, żeby Thad mógł zadzwonić na lotnisko. Przyjedziemy prosto do szpitala. Ivy, jesteś tam? Halo?

– Billie, modliłam się, żeby was zastać. Dziękuję ci. Jeśli pozwolą mi zobaczyć Cary’ego, powiem mu, że jesteście w drodze. To mu doda sił. Pośpieszcie się, błagam.

– Zrobimy co w naszej mocy. Trzymaj się, Ivy. – Skończyła rozmowę. – Zapakuję walizki, a ty dzwoń na lotnisko. Szybciej, Thad – zawołała przez ramię.

Podniósł słuchawkę mówiąc jednocześnie do żony:

– Myślałem, że nie chcesz, żeby rodzina...

– Przystępujemy do planu B, kochany. Rodzina przede wszystkim. Zawsze i wszędzie.

Była prawie północ, gdy Billie i Thad weszli do poczekalni, gdzie czekała na nich zapłakana Ivy Coleman. Podbiegła do nich z głośnym szlochem.

– Ćśś – uspokajała ją Billie. – Jesteśmy przy tobie, skarbie. Przykro nam, że ze wszystkim musiałaś sobie radzić sama. Rozmawiałaś z lekarzem?

Potwierdziła ruchem głowy. . – Cary ma oparzenia drugiego

stopnia. Nie miał okularów ochronnych. Jest ślepy.

Billie upadłaby, gdyby nie podtrzymały jej ramiona Thada.

– Żyje, to najważniejsze – powiedziała cicho.

– Możemy go zobaczyć? – zapytał Thad.

– Dopiero rano.

– W takim razie wracajmy do Sunbridge. Kawa dobrze nam wszystkim zrobi.

– Jutro też będzie dzień – szepnęła Billie.

Nowy dzień nie przyniósł, niestety, nic dobrego, stwierdziła Billie. Siedziała przy oknie. Po trawniku snuły się kłęby mgły, oznaka nadchodzącego upalnego dnia.

Zadrzała. Ostatnio ciągle było jej zimno. Nie pomagały flanelowe skarpety ani welurowy szlafrok. Kubek z kawą ogrzewał dłonie. Miała ochotę na dolewkę, ale nie chciało jej się wstać. Było jej wygodnie na kanapie przy oknie, wśród kolorowych poduszek Ivy. Nowe Sunbridge jest takie piękne.

Ciąśniej owinęła się szlafrokiem, podkuliła nogi. Thad zwykł mawiać, że ma w sobie coś z kota. „Nawet mruczysz jak kot”, powiedział kiedyś. Uśmiechnęła się, jak zwykle, ilekroć myślała o mężu.

Zegar wybił godzinę. Ten dźwięk ładnie kontrastował z dzwoneczkami na werandzie. Poprosi Ivy, żeby przysłała jej takie same.

Poranna mgła powoli Znikała. Wkrótce słońce przegoni poranny chłód. Ivy zejdzie na dół i przygotuje śniadanie. A może Jonquil się tym zajmie? Mały Moss zasiądzie w wysokim foteliku.

– Znowu chciałaś mnie oszukać, co? – Thad wszedł do kuchni. Resztki siwych włosów sterczały we wszystkie strony. – Wiedziałem, że cię tu znajdę z książką. Jak tam Einstein? – zapytał, nawiązując do jednej z powieści Deana Koontza, pisarza, którego Billie odkryła

podczas „trudnego okresu”.

– Posłuchaj tylko – ożywiła się wyraźnie. – „Do końca czerwca Nora zajmowała się malowaniem, spędzała dużo czasu z Travisem, uczyła Einsteina czytać”. Strona sto osiemdziesiąta piąta, rozdział siódmy. A to zaledwie połowa książki! Zostało mi jeszcze sto sześćdziesiąt siedem stron. Jest doskonała, Thad. Mam poczekać na ciebie i później czytać na głos?

– Oczywiście. Chcę na własne uszy usłyszeć, jak Nora uczy psa czytać. Nie waż się choćby zerknąć na następne zdanie! Czy dzwonił ze szpitala? Dawno wstałaś? – dopytywał się, myszkując po kuchni w poszukiwaniu czegoś słodkiego.

– Koło piątej. Nie, telefon milczał. Zaparzyłam kawę, ale na twoim miejscu zrobiłabym świeżą. To bardzo ładna kuchnia, nie uważasz?

Zgodził się z nią.

– Chcesz mnie oszukać, tak? – zapytał niespokojnie. – Ja będę robił tosty i kawę, a ty wsadzisz nos w książkę. Znam twój *modus operandi*, Billie. – Uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy głośno zamknęła książkę.

– W porządku, panie admirale. Nie czytam już. Jestem w połowie, Thad, a wiesz, jak nie znoszę przerywać dobrej powieści! Została mi tylko jedna jego książka do przeczytania. Jak myślisz, powinnam do niego napisać?

– Czemu nie? Skoro napisałaś do Sidneya Sheldona, Clive’a Cusslera i Roberta Ludluma...

– Nie zapominaj o Tomie Clancy – dorzuciła ironicznie. – Poinformowałam go, że nie podobały mi się niektóre fragmenty „Patriot Games”.

Thad parsknął śmiechem.

– Ta świadomość na pewno spędzała mu sen z powiek. – To była ich prywatna zabawa. Billie zawsze lubiła czytać, a odkąd dowiedziała

się o swojej chorobie, robiła to z podwójnym zapałem. Najczęściej czytała na głos. Czasami powieści pochłaniały ją do tego stopnia, że zapomniała o postawionej diagnozie.

Thad obiecywał sobie, że kiedy zostanie sam, napisze do autorów, którzy sprawili jej najwięcej radości i podziękuje im, że dzięki nim ostatnie miesiące życia jego żony były piękniejsze. Teraz, wkładając chleb do tosteru, nie wiedział, czy się na to kiedykolwiek zdobędzie.

– Zadzwoń do szpitala, Thad – upomniała go.

Czekała, nie zwracając uwagi na rozszalałe serce, gdy wykręcał numer. W zdumieniu uniosła brwi, gdy się uśmiechnął:

– Pewnie, że jestem członkiem rodziny. Jestem jego ojcem. Więc, jak się ma mój syn? Dobrze, dobrze, będę tam o dziewiątej.

– Ojciec Cary’ego – powtórzyła. – Proszę, proszę. – Co z nim?

– Odpoczywa. Okulista i chirurg chcą ze mną porozmawiać o dziewiątej. Nie udzielają informacji przez telefon. To chyba dobry znak.

– Ejże, Thad, za dużo masła! – krzyknęła. – Musisz uważać na cholesterol.

Jakby poziom cholesterolu czy stan arterii miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Zeskrobywał odrobinę masła tylko po to, żeby sprawić jej przyjemność. Chciał odsunąć od niej wszelkie zmartwienia. Nałożył sobie grubą warstwę dżemu jagodowego.

– Thad, a cukier? – upomniała.

Cukier obchodził go tyle samo co cholesterol. Zdrapał odrobinę dżemu.

– Teraz będzie niejadalna – burknął.

– Siadaj, ja to zrobię – zdecydowała. Wyrzuciła zimnego tosta do śmieci. Uśmiechnął się tryumfalnie.

– Zrobiłeś to celowo, żebym wstała i przygotowała ci śniadanie – stwierdziła.

– Bo wszystko, co ty zrobisz, lepiej smakuje. Niby używamy tych samych składników, ale twoja sałatka jajeczna jest zawsze lepsza.

– Marudzisz, Thad.

– Przywitaj się, Moss – zwróciła się Ivy do synka. – Ojej, ależ z was ranne ptaszki. – Rozglądała się po całej kuchni, byle tylko nie patrzeć na babkę Rileyę. – Mmm, kawa pachnie wspaniale. Jonquil przyjdzie dopiero o ósmej. Riley i ja sami robimy śniadania. Na co macie ochotę? Na jajecznicę, francuskie tosty, placuszki? Mamy jeszcze trochę syropu klonowego, który nam ostatnio przysłałście.

– Usiądź, dziecko. Ja się tym zajmę. Co jada mały Moss? – zapytała Billie.

– Zmiażdżonego banana i troszkę owsianki. Mnie wystarczy szklanka soku i jeden tost. Zazwyczaj jadam obfity lunch. Ciągłe nie wróciłam do wagi sprzed ciąży. – Ivy mocowała się z oparciem fotelika.

Billie odnalazła jej wzrok.

– Ivy, popatrz na mnie – poprosiła cichym głosem, zdolnym uspokoić terrorystę. – To nie koniec świata. W każdym razie, jeszcze nie teraz. Thad i ja potrafimy się z tym uporać. Z pewnością natomiast nie pogodzimy się z rozpadem rodziny. Dlatego nie... nie mówiliśmy nikomu o mojej chorobie. Ponieważ nie wiadomo dokładnie, ile czasu mi zostało... nie chcemy... nie chcę współczucia, litości, tego wszystkiego, co się wiąże z chorobą. Czy obiecasz mi, że pomożesz Rileyowi przetrwać najtrudniejszy okres?

– Och, Billie – Ivy z trudem wydobyła głos ze ściśniętej krtani. – Oczywiście, że mu pomogę. Najgorsze, że on się nadal nie pogodził ze śmiercią dziadka, chociaż minęły już trzy lata. Wole nie myśleć, jak bardzo będzie cierpiał. – W jej głosie było tyle rozpacz, że Billie odruchowo wzięła Thada za rękę.

– Los zatacza pełne koło. Myślałam o tym wczoraj przed snem. Ty,

Ivy, jesteś w tej samej sytuacji, co ja przed laty. Jesteś młodą żoną w nowym Sunbridge, które ty i Riley odbudowaliście z pomocą sąsiadów. Takie jest prawo natury. Koło się toczy. – Billie uściśnęła dłoń męża. Wiedziała, że podziela jej uczucia. Dostrzegając siłę w młodej twarzy Ivy, widział jej miłość do męża i syna. Była taka sama jak Billie sprzed lat. Smutek ustąpił miejsca spokojowi wynikającemu z przekonania, że rodzina przetrwa.

– Jaki mamy plan na dzisiaj? – zapytała Ivy rzeczowo. – Jedziemy wszyscy do szpitala? Muszę odebrać Susan z lotniska i wykapać Mossa. Zostawię go pod opieką Jonquil i spotkamy się w szpitalu.

– Doskonale. – Thad dopił resztkę kawy.

– Skoro Thad się zgadza, ja również nie mam zastrzeżeń – oznajmiła Billie lekkim tonem. – Lubię, gdy mężczyźni podejmują za mnie decyzje, a ty, Ivy? – Poglaskała prawnuka po buzi wymazanej bananem.

– Przyjedziemy z Susan prosto do szpitala – zawołała Ivy przez ramię.

Dopiero w zaciszu łazienki, gdy mały Moss pluskał się i chlapał, dała Ivy upust swojej rozpaczy.

– Dlaczego? – szepnęła. – Potrzebujemy jej, i to bardzo. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego zabrałeś pana Hasegawę i nie pojmę, czemu ją teraz chcesz nam zabrać. Dziadek Rileyę czynił wyłącznie dobro, ona także. Tak, jestem egoistką, bardzo mi przykro z tego powodu, ale jednocześnie martwię się o Rileyę i całą rodzinę. Mam powiedzieć Susan, czy pozwolić, by... ale jak mogłabym jej powiedzieć? Pomóż mi, powiedz, co mam zrobić. Poinformować Susan o chorobie matki? A Rileyę? I Cole'a? A może nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy? – Boże, Boże, lamentowała bezgłośnie.

Kiedy wycierała i pudrowała synka, przypomniało się jej pierwsze

spotkanie z dziadkiem Rileyą, Shadaharu Hasegawą. Był chory, tak samo jak Billie. Krewni nie wspominali słowem o stanie jego zdrowia. Podobnie jak Billie, usiłował ukryć efekty choroby, nosząc luźne, niekształtne ubrania. Stary Japończyk walczył zaciekle, jak Billie. Kimże ona jest, że chce brać sprawę w swoje ręce?

Zadała sobie pytanie. Ivy. Owszem, niełatwo będzie, jak mawiał Riley, robić dobrą minę do złej gry, ale poradzi sobie. I ona, i inni. Skoro Billie tego pragnie, ona i inni się podporządkują. Mimo tych postanowień nadal nie odpowiedziała sobie na najważniejsze pytanie: powiedzieć krewnym o chorobie Billie czy poczekać, aż sami zobaczą? Wtuliła twarz w pachnące ciało synka. Objęła go z całej siły. Billie ma rację, rodzina zatoczyła pełny krąg. Tylko dlaczego ta świadomość wcale nie poprawiła jej humoru?

Cary ocknął się po kilku godzinach. Od razu wiedział, że nie jest w pokoju sam. Znał ten głos, łagodny i spokojny. Ach tak, to Billie. Wydawało mu się, że z oddali słyszy również głos Thada.

– Mamy tylko dziesięć minut, Cary – Billie wzięła go za rękę.

– Jestem tu z Thadem. Ivy pojechała na lotnisko po Susan. Niedługo tu będą. Sawyer też jest w drodze. Nie mów nic, Cary. Chcemy tylko, żebyś wiedział, że możesz na nas liczyć.

Zebrał wszystkie siły, żeby odpowiedzieć. Czyżby cała rodzina Amelii śpieszyła, aby się z nim zobaczyć?

– Fatalnie się czuję – mruknął.

– I tak wyglądasz – oznajmił pogodnie Thad.

– Podnieście żaluzje albo rozsuńcie te cholerne zasłony. Tu jest za ciemno – poprosił.

– Mój drogi, nie możemy tego zrobić. – To znowu łagodny głos Billie. – Leżysz na oddziale intensywnej terapii i musimy przestrzegać pewnych przepisów. A wydaje ci się, że jest ciemno, bo masz

zabandażowane oczy.

To nie był krzyk, lecz wrzask:

– Dlaczego?

Siostra Baldwin, pielęgniarka, która miała przy nim czuwać całą dobę, troskliwie pochyliła się nad łóżkiem:

– Co: „dlaczego”, panie Assante?

– Dlaczego mam zabandażowane oczy? – dopytywał się niecierpliwie.

– Bo tak zalecił lekarz. Obawiał się, że ostre światło bardzo by pana drażniło, panie Assante.

Wraz ze strachem poczuł w żyłach przyływ adrenaliny. Był niemal zupełnie przytomny, odbierał i zapamiętywał wszystkie sygnały; zapach środków dezynfekujących, bijący od siostry Baldwin, i delikatne, słodkie perfumy Billie, takie podobne do zapachu, którego używała Amelia. Poczuł też przeraźliwy ból w ramieniu i klatce piersiowej.

Zawołał Thada.

– Co mi jest?

– Stanąłeś trochę za blisko uszkodzonego detonatora. Początkowo myśleli, że masz poparzenia drugiego stopnia, ale nie jest aż tak źle, choć też i niezbyt dobrze. Stąd ten ból. Masz trochę ran na twarzy, ale wyjdiesz z tego cało. Pierwszy lepszy specjalista od chirurgii plastycznej wymodeluje ci nowe uszy. Zresztą, jeśli będzie ci żal pieniędzy, po prostu zapuścisz włosy.

– Boże – Cary niezdarnie sięgnął do uszu.

– Stary, żartowałem: Z twoimi uszami wszystko w porządku. – Thad zachichotał. – Chciałem rozluźnić atmosferę, ale chyba mi nie wyszło.

– A co z moimi oczami?

– Nie wiem. Jeszcze nie rozmawiałem z lekarzem. Z tego, co mi

wiadomo, znany okulista już leci z Filadelfii, ze szpitala Wills Eye. Trzymaj się i nie martw o nic. Wszystko będzie dobrze.

Cary westchnął ciężko. Gdyby mówił to ktoś inny niż Thad Kingsley, nie uwierzyłby. Thad nigdy nie kłamał.

– Billie? – Tak, Cary?

– Wydawało mi się, że widziałem Amelię. Jestem pewien, że ją widziałem, przysięgam na Boga. Stała w poprzek drogi i nie chciała mnie puścić dalej. Błagałem ją, płakałem, ale była niewzruszona. Czy ty ją czasami widzisz, Billie? – zapytał niespokojnie. – Byłyście sobie bardzo bliskie.

Billie głośno wciągnęła powietrze. Gdyby nie Thad, powiedziała, że widuje Amelię codziennie, że ta daje jej zachęcające znaki i odgania strach.

– Jedynie w snach, Cary. Przeszedłeś piekło, więc odruchowo zwróciłeś się do osoby, która przez tyle lat była najważniejsza w twoim życiu. Kochany, pielęgniarz już nas wyrzuca. Wrócimy później. – Uniosła jego dłoń do ust. – Odpoczywaj, Cary. Potrzebna ci będzie energia, by wysłuchać opowieści Ivy o wyczynach małego Mossa.

Coś było nie tak. Miała zbyt chude palce. I nadgarstek. Zupełnie jak Amelia przed śmiercią. Zacisnął dłoń, nie chcąc wypuścić jej ręki, wiotkiej jak gałązka. Jego dłoń bezwładnie opadła na posłanie, gdy Billie wybiegła z pokoju.

– Thad jęknął umęczonym głosem.

– Cary, nigdy w życiu bardziej nie potrzebowałem przyjaciela. Musisz wyzdrowieć, i to szybko – powiedział Thad zdławionym głosem. – Potrzebujemy cię.

– Boże, nie Billie.

– Zostało jej niewiele czasu. Jeden onkolog mówi, że sześć miesięcy, drugi, że mniej.

– Chce mi się płakać. Co mogę zrobić?

– Wyzdrowieć i wynieść się ze szpitala.

– Daj mi jeszcze dzień albo dwa. Jeśli poparzenia nie są zbyt niebezpieczne, powinni mnie wkrótce wypisać. Będziesz mnie prowadził, dopóki mi nie zdejmą bandażu z oczu. Na jak długo przyjechaliście? – Był już bardzo zmęczony.

– Panie Kingsley – pielęgniarka nie ukrywała irytacji.

– Wrócę później. Spij, stary. Jakbyś czegoś potrzebował, powiedz, niech zadzwonią do Sunbridge. Zostaniemy tu jeszcze trochę. Przynajmniej dotąd, dopóki nie wyjdiesz na prostą.

Cary zasnął, nim za Thadem zamknęły się drzwi.

Billie siedziała spokojnie na pomarańczowym krześle w poczekalni. Zaciskała dłonie ze wszystkich sił, by opanować dreszcze, które ostatnio nawiedzały ją bardzo często. Musi się przygotować na spotkanie z córką. Możliwe, że zjawi się również Sawyer. Może popełniła błąd. Może trzeba było zwołać zebranie rodzinne i... I co? Ogłosić, że jest chora? Teraz przeżywała męki przed spotkaniem kogokolwiek z krewnych. Cary, cudowny, kochany Cary zrozumiał. Boże, daj mi siłę, modliła się w myślach. Zdrzemnęła się, wyzuta z resztek energii.

Były do siebie takie podobne: matka, córka i siostra szły środkiem szpitalnego korytarza. Wszystkie trzy były piękne, każda na swój sposób. Maggie miała na sobie wielobarwną sukienkę o linii litery A, która podkreślała pyszny koloryt jej włosów i złotą opaleniznę. Susan w seledynowym kostiumie, ze sznurkiem pereł na szyi, była jej całkowitym przeciwieństwem. Sawyer nigdy nie przejmowała się modą. Nosiała dżinsową spódnicę z szerokim na trzy cale skórzanym pasem, wiszącym na biodrach. Stukała obcasami kowbojskich butów. Długie jasne włosy niedbale upięła na czubku głowy. Srebrne kolczyki w uszach i bransoletki na przegubach podzwaniały przy każdym

energicznym kroku. W błękitnych oczach malował się smutek.

– Czy nie zauważyłyście – zwróciła się scenicznym szeptem do matki i ciotki – że Ivy zachowuje się bardzo dziwnie? I to wcale nie dlatego, że się mnie nie spodziewała. Czy ciebie, Maggie. Milczałaby przez całą drogę, gdybym siłą nie wyciągała z niej wiadomości o małym Mossie. A wiadomo, że ulubioną rozrywką matek są opowieści o dzieciach. Poza tym, dlaczego wysadziła nas przed wejściem, a sama pojechała zaparkować? Równie dobrze mogliśmy się przespacerować z parkingu. Mówię wam, coś jest nie tak.

– No pewnie, że coś jest nie tak. Cary miał wypadek. Dlatego tu jesteśmy. – Maggie obejrzała się za młodą pielęgniarzką, która minęła je, niosąc tacę pełną lekarstw. – Wolałam, kiedy nosiły krochmalone czepki – mruknęła pod nosem. – Ivy jest po prostu zmęczona. Riley wyjechał, małe dziecko w domu oznacza dużo roboty, a teraz jeszcze my zwałyśmy się jej na głowę.

– I tu jest pies pogrzebany. Ivy nie pęka. Co ty o tym sądzisz, Susan?

– Nie wiem, może ma okres. W obecnej sytuacji kogo obchodzi, czy Ivy jest w dobrej formie? Odebrała nas z lotniska i przywiozła tutaj, i dobrze. W poczekalni zapytamy, co ją gryzie. Chodźmy już, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mamę i Cary'ego.

– Załóżmy się – szepnęła Maggie. – Moim zdaniem ma na sobie coś... jasno fioletowego. To wiosenny kolor. I koronki, może kołnierzyk? Stawiam pięć dolców.

– Żółty – zadecydowała Susan. – Głęboka żółć i zielone dodatki.

– Granat w białe groszki – strzeliła Sawyer. Matka i ciotka zaniósł się głośnym śmiechem.

Wszystkie trzy dobrze znały przepisy obowiązujące na intensywnej terapii. Maggie pierwsza ruszyła w stronę poczekalni. Nie mogła się doczekać spotkania z matką. W ostatniej chwili zwolniła kroku.

Trzy pary oczu zatrzymały się na postaci drzemiącej w pomarańczowym krześle. Trzy pary oczu przesunęły się na wysokiego, zgarbionego mężczyznę. Maggie przytrzymała się ściany, Susan chciała się oprzeć na siostrzenicy, ale Sawyer kurczowo złapała się framugi. Thad był przy nich w ułamku sekundy.

– Powiedz, że to nie mama – szlochała Maggie.

Susan miała zawrót głowy. Przez chwilę myślała, że zemdleje. Najpierw Gary, teraz mama... akurat kiedy zaczynały się naprawdę poznawać. Boże, to niesprawiedliwe. Dlaczego coś takiego spotyka zawsze właśnie ją? Mama. Zaciśnęła powieki ze wszystkich sił, ciekawa, kogo zobaczy najpierw. Cary i mama. Mama wyglądała zupełnie jak ciotka Amelia przed śmiercią. Cary, potrzebuję cię. Nie jestem silna jak oni. Muszę mieć w kimś oparcie. Ktoś musi mi powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Miała ochotę się rozplakać, urządzić histerię, ale gdyby to zrobiła, Maggie albo Sawyer spoliczkowałyby ją. Zagryzła dolną wargę.

Sawyer chlipała w brudną chusteczkę, – Nie zniosę tego.

– Owszem, zniesiesz, ty i inni także – przerwał jej Thad. – Wbrew moim radom, Billie chciała utrzymać swoją chorobę w tajemnicy, żeby zaoszczędzić wam zmartwień. Zamiast o sobie, myślała o was. Nie chciałem, żeby tu przyjeżdżała, ale jej oddanie rodzinie jest tak wielkie, że musiałbym ją związać, żeby została w Vermont. Jeśli macie zamiar szlochać i chlipać, zabieram ją natychmiast. Nie pozwolę, by się przez was denerwowała – zakończył.

– Innymi słowy, mamy się zachowywać, jakby wszystko było po staremu? – zapytała Maggie z niedowierzaniem. – Nasz świat rozpada się na kawałki, a ty chcesz, żebyśmy się zachowywały jak gdyby nigdy nic? To nie fair.

– Najchętniej bym ją pobiła – syknęła Susan przez zęby. – Niech... niech się nie waży umrzeć. Nie chcę, żeby umarła.

– Zamknij się, Susan, i choć raz w życiu pomyśl o kimś innym niż o sobie – zbesztła ją Maggie. – Sawyer, weź się w garść. Musimy... Musimy teraz uzgodnić, co robić dalej. Jesteśmy tu ze względu na Cary’ego. On nas potrzebuje.

– Chcę do domu – jęknęła Susan. Odwróciła się na pięcie i, najszybciej jak mogła, pobiegła w dół korytarza. Wpadła prosto na Ivy.

– Nawet nie mogę iść do domu, i to przez ciebie. Ty i Riley mieszkacie teraz w moim domu. Nienawidzę cię! – wrzasnęła Susan.

Ivy zatoczyła się, jakby uderzona w żołądek. Kątem oka widziała spieszące ku nim sylwetki. Siłą zaciągnęła Susan do lobby i stamtąd na dwór, przez wielkie szklane drzwi.

– Opanuj się – rzuciła ostro.

– Powinnaś była nas uprzedzić, ty... niech cię diabli wezmą! Myślałam, że należysz do rodziny! W końcu mieszkasz w naszym domu, prawda? Dlaczego nam nie powiedziałaś? Stchórzyłaś, tak? Parkowałaś samochód, a myśmy tam weszły... Och, idź do diabła!

Ivy zaczerpnęła świeżego powietrza w płuca.

– Właśnie dlatego twoja matka o niczym wam nie mówiła. A teraz, Susan, radzę ci, weź się w garść, bo inaczej uderzę cię tutaj, na oczach wszystkich.

W takich chwilach rodzina powinna trzymać się razem. A jeśli chodzi o dom, możemy później porozmawiać na ten temat.

– Nigdy nie miałam czasu... ani okazji. Jest za późno. Niedawno rozmawiałam z mamą. Byłam dla niej niedobra. Boże, przecież nie wiedziałam... Cary... jesteśmy tu dla Cary’ego. Nie mówiłam tego poważnie, chciałam ją ukarać... kocham ją, mimo tego, że... zawsze się spóźniam, zawsze jestem po fakcie. Za szybko palę za sobą mosty; Dlaczego? Co jest ze mną nie w porządku? Cary wiedziałyby, jak mnie pocieszyć... W tej chwili nawet o nim nie myślimy. To niesprawiedliwe. Bóg chce mnie ukarać – szlochała Susan.

– Nigdy nie jest za późno – odezwała się Maggie, obejmując siostrę ramieniem. – Problemy zaczynają się wtedy, gdy człowiek nawet nie próbuje. – Posłała Ivy spojrzenie pełne wdzięczności.

– Chodźmy do łazienki – zaproponowała Sawyer drżącym głosem.
– Mam w torebce kilogram kosmetyków. Wszystkim nam dobrze zrobi odrobina pudru.

– Powiedziała, że mnie uderzy – kaprysiła Susan.

– Gdyby nie ona, ja bym to zrobiła – burknęła Sawyer. – Czas dorosnąć i zmierzyć się ze światem, Susan. Billie i Cary nas potrzebują. Ivy chciała się wycofać, ale Maggie złapała ją za rękaw.

– Nigdy, przenigdy nie myśl, że nie należysz do rodziny. Wiesz, że jesteś jedną z nas. A jeśli kiedykolwiek zobaczę, że robisz taką minę, ja dołożę tobie.

Ivy uśmiechnęła się z wdzięcznością. Wzięła Maggie pod rękę.

Rozdział szósty

Dom przypominał pałac. Choć piękny, w oczach Riley'a nie dorównywał Sunbridge. Olbrzymie wrota, które oddzielały posiadłość od ruchliwej ulicy, rozsunęły się bezszelestnie, gdy wjeżdżali na teren posesji.

A co, jeśli Cole go nie wypuści? Ogrodzenie było pod napięciem; jak się stąd wydostanie? Boże, nigdy więcej nie zobaczyć Ivy i małego Mossa. Oblał go zimny pot.

Cole obserwował kuzyna. Właściwie odszyfrował jego reakcje. Podał mu klucz.

– Wystarczy przekręcić dwa razy i będziesz wolny.

– Zawsze czytałeś we mnie jak w książce – stwierdził Riley.

– A ty we mnie. Nieważne, że ty jesteś ze Wschodu, a ja z Zachodu. Ach, teraz ty reprezentujesz Zachód. To nie ma znaczenia, Rileyu. Jesteśmy tym, kim jesteśmy. Właściwie obaj jesteśmy gdzieś pośrodku. Prawda jest taka, że jesteśmy po prostu ludźmi. Kuzynami. Czy to nie wystarczy?

Riley obracał klucz w palcach. Dawał mu poczucie bezpieczeństwa, ale po chwili zwrócił go Cole'owi, który go wziął ze wzruszeniem ramion.

– Wszystko wygląda tak samo – zauważył Riley. – A nie powinno. Zmiany... – urwał, gdy na ich powitanie wybiegła przed dom gromadka dzieci. Dwanaścioro. Jego siostrzenice i siostrzeńcy. Wysiadł z samochodu. Do każdego zwracał się po imieniu. Był wujkiem Rileyem; odpowiadała mu ta rola. Kiedy dzieci się rozbiegły, krzycząc i chichocząc, przed dom wyszła Sumi.

Była malutka i okrągła. Uśmiechnął się na widok rozjaśnionej twarzy kuzyna. Cole wyjął z kieszeni małą paczuszkę.

– Prezent dla ciebie – poinformował żonę z niskim ukłonem.

Zachichotała:

– Meksykańska fasola?

– Nie. Zanurzysz go w ciepłej wodzie i zobaczysz gąbkę w formie zwierzątką. Słuchaj, prezent to prezent – stwierdził surowo.

– Oczywiście. Będę go strzegła z narażeniem własnego życia. – Nie przestawała chichotać. – Rileyu, tak się cieszę, że cię widzę. – Usiłowała go objąć, ale z marnym skutkiem. – Ivy dzwoniła. Prosiła, żebyście się obaj z nią skontaktowali tak szybko, jak to możliwe. Telefonowała z budki.

– Z budki? – Riley nie wierzył własnym uszom.

– Tak. Nie ja z nią rozmawiałam, tylko jedna z moich sióstr. Chciałam oddzwonić, ale Jonquil powiedziała, że Ivy wyszła, i ona opiekuje się Mossem. To wszystko, co wiem.

– Zadzwonimy do niej, ale najpierw coś zjemy – zdecydował Riley.

– W ogrodzie, dobrze, Sumi? Przyłączysz się do nas. Nie chcę słyszeć o starej japońskiej tradycji, że mężczyźni jedzą sami, a kobiety chichoczą pod drzwiami.

– Chętnie bym się do was przyłączyła, ale jadę do miasta. Mam wizytę u lekarza. Siostra zawiezie mnie samochodem. Pogadamy później. No, idźcie – pogoniła ich. – Zaraz dostaniecie herbatę i kanapki.

– Namąciłaś, jak zwykle – Cole pogłaskał japo wypukłym brzuchu.

– Prosimy o piwo sapporo i kanapki z pasztetową i cebulą, na chlebie razowym. Jest tu pewien Amerykanin, który nie przepada za japońską kuchnią. – Zazgrzytał groźnie zębami.

Sumi udawała święte oburzenie.

– Właśnie to jada na co dzień. Masz pojęcie, jak trudno jest zdobyć chleb razowy? Musimy go dla niego piec. Dzień w dzień. Szalejemy z radości, że możemy to robić. – Skrzywiła się zabawnie.

– Ivy chodziła podobnie. W domu nazywamy to krokiem Sawy er.

Kiedyś usłyszałem, jak opowiada, że ludzie dopiero wtedy uwierzyli, że jest w ciąży, kiedy zaczęła kołysać biodrami. Jak stwierdziła, okrągły brzuch o niczym nie świadczy – Riley przerwał nagle milczenie. – Niezłe ziółko z tej twojej siostry, Cole. Bliźniaczki są takie same jak ona, więc niedługo przez nie osiwieje. Zdaniem Ivy, jest doskonałą matką, a w końcu to się liczy najbardziej.

Cole skinął głową. Nie miał ochoty na rozmowę o siostrze, dzieciach czy rozkołysanym kroku.

– Chodźmy do ogrodu. Upłynie co najmniej dziesięć minut, zanim dostaniemy coś do jedzenia. Ciekawe, czy zniknie.

– Dziadek nie przepadał ani za pasztetową, ani za surową cebulą – zachnął się Riley. Dogonił kuzyna. – Wiesz, to chyba najspokojniejsze miejsce na ziemi. Jako dziecko zawsze tak sądziłem. Kiedy po raz ostatni przyprowadziłem tu dziadka, po podjęciu decyzji o pozostaniu w Teksasie, miałem nadzieję, że spłynie na mnie... mądrość, wizja, coś, co mnie przekona, że nie popełniam błędu. Płakałem. Do tamtego dnia wydawało mi się, że wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. Głupie, co?

Po pięciu minutach byli w ogrodzie.

– Ćśś – Cole przyłożył palec do ust. – Okay, jedzenie jest gotowe. Chodź, Rileyu, coś ci udowodnię. Zamknę furtkę od wewnątrz. Obaj wiemy, że do ogrodu jest tylko jedno wejście, tak?

– Dobra – Riley przesunął czapkę na tył głowy. Właściwie powinien zadzwonić do Ivy, a nie wygłupiać się z Cole'em. Obserwował, jak kuzyn mocuje się z ciężką zasuwą.

Na białym ogrodowym stoliku stała duża taca z czarnej laki. Były na niej cztery kanapki, dwie butelki piwa sapporo, talerz ryżowych ciasteczek, butelka sake, bladożółty pączek róży, dwie lniane serwetki i dwa hawańskie cygara.

Cole obciął końcówki obu, podał jedno Rileyowi i zapalił je złotą

zapalniczką. Zaciągnęli się po kilka razy, aż koniuszki rozżarzyły się czerwienią. Wtedy Cole odłożył swoje cygaro na brzeg wielkiej onyksowej popielniczki. Riley zrobił to samo. Czuł się jak idiota, choć mina kuzyna była śmiertelnie poważna.

– Co teraz, Sherlocku? – zapytał cicho.

– Idziemy na spacer.

Zanim odeszli od stolika, Riley obejrzał się przez ramię: Nie wyczuł niczego nadzwyczajnego. Przyszło mu do głowy, że Cole przechodzi załamanie nerwowe.

– Obserwuj ścieżkę – pouczył go kuzyn. – Zwróć uwagę, że nie poniewierają się po niej żadne gałązki, kamyki, opadłe liście. Jest czysta. Poczekaj, aż zobaczysz popiół z cygar. Zobacz, w ogóle nie ma wiatru, powietrze ani drgnie.

– Cole, wiem, co czułeś do dziadka, ale nie uwierzę w jego obecność tutaj. Pomyśl sam, po co miałby tu wracać? Jego dusza, duch, jakkolwiek to nazwiesz, odnalazła wieczny spokój. – Boże, jak to żałośnie brzmi, ocenił w myśli.

– Więc jak wytłumaczysz to, co się wtedy zdarzyło w szpitalu? Słyszeliśmy śpiew aniołów. Nawet lekarze to przyznali.

Riley tylko wzruszył ramionami. Nigdy do końca nie przyjął do świadomości tego wyjaśnienia. Zastanawiał się nad tym zjawiskiem, kiedy kroczyli przez ogród. Słyszał wtedy coś, co brzmiało jak głosy anielskie. Ciotka Maggie, Cole i chirurg także. Cary twierdził, że duch Amelii jest zawsze przy nim, pomaga podejmować decyzje i podzwania kryształami w żyrandolach. To również widział na własne oczy. Wstrząsnął nim dreszcz.

– Cole, wracajmy już. Muszę zadzwonić do Ivy. Może coś się stało? Przecież w innym wypadku nie dzwoniłaby z automatu!

– Mogła się znowu zdarzyć awaria sieci. Kiedyś nie było tygodnia bez zerwanych drutów, pamiętasz? Jeden z nas musiał wtedy jechać do

miasta i zawiadamiać centralę.

Cole na pewno ma rację. W ciągu minionych dwóch miesięcy doszło do tylu uszkodzeń. Ivy dzwoniła do niego z miasta, żeby się nie denerwował, kiedy nie uzyska połączenia. Powinien był zatelefonować do niej z Guam.

– Jak długo tu jesteśmy?

– Dwadzieścia pięć minut. Może spróbuj go zawołać.

Gdyby nie poważna mina kuzyna, Riley parsknąłby śmiechem. I nagle poczuł, jak mu się jeżą włosy na karku, a ramiona pokrywa gęsia skórka. Opuścił wzrok na ścieżkę.

Cole zacisnął pięści.

– Mówiłem ci – krzyknął, wskazując na kupkę popiołu na lewo od nich. – Nie było tu tego przed kilkoma minutami.

Pobiegł do małego patio. Riley deptał mu po piętach. Cole tryumfalnie wskazywał onyksową popielniczkę. Leżało na niej tylko cygaro Riley'a. Pół butelki piwa było puste, w buteleczce sake nie została nawet kropla alkoholu. Zniknęło jedno ciasteczko ryżowe. Serwetki leżały nietknięte, zaszuwa nadal tkwiła na swoim miejscu.

– Czy teraz mi wierzysz? – rzucił Cole.

Riley z trudem opanował dreszcze.

– Gdzie cygaro?

– Skąd, do cholery, mogę wiedzieć? Byłem cały czas z tobą, nie pamiętasz?

Riley zaglądał pod każdy krzaczek, każdą gałązkę. Kiedy zbliżył się do niewielkiego mostka, z którego dziadek lubił patrzeć na ogród, głęboko zaczerpnął powietrza. Był pewien, że kiedy spojrzy na ziemię, zobaczy przydeptany koniuszek cygara. Nie wiedział, skąd miał tę pewność, ale był o tym głęboko przekonany. Głośno przełknął ślinę. Opuścił wzrok. Proszę bardzo, jest: dwa cale zgniecionego hawańskiego tytoniu. Zakręciło mu się w głowie. Upadłby, gdyby go

nie podtrzymały silne ramiona Cole'a.

– Czego on chce? – zapytał Riley szeptem.

– Nie wiem – również szeptem odparł Cole. – Zapytaj. Wiedziałaś, że będzie na mostku – Może chciał, żebyśmy przyszli tu razem.

Riley powoli wszedł na mostek. Doszedł do ulubionego miejsca dziadka i szepnął:

– Powiedz, czego chcesz. Nie wiemy, co robić. Czy chodzi o Sawyer? O babcię Billie? O Cole'a i o mnie? Poczekaj, nie wszystko naraz.

Ale nie było czasu, żeby czekać. Nagle zerwał się potężny wiatr, niemal tak silny jak tornado, które zrównało Sunbridge z ziemią.

– Na ziemię! – wrzasnął Riley.

Wokół nich wirowały jak cienkie gałązki wiekowe krzewy i drzewka. Kiedy było po wszystkim, nietknięty pozostał jedynie mały mostek i niedopałek cygara u ich stóp.

– Wszyscy, których wymieniliśmy – stwierdził Riley miękko.

– Boże drogi. Dlaczego to zniszczył? Kochał ten ogród. Kiedyś mi powiedział, że gdyby się to nie wiązało z przykrymi wspomnieniami dla rodziny, chciałby tu umrzeć. Dlatego zdecydował się na Wzgórze Kwitnących Wiśni. Kocha! ten ogród. Nie, on tego nie zrobił. To jakiś wariat. To... Co miałaś na myśli, mówiąc „Wszyscy, których wymieniliśmy”? – zapytał Cole drżącym głosem.

– Zapytałem, czy chodzi o Sawyer, babcię Billie czy o nas. Właśnie wtedy zaczęło się... no, wiesz co. Masz pojęcie, ile ważą te pagody? Setki funtów. Musi być nieźle zirytowany, skoro wyrывa bonzai z korzeniami. Te drzewka mają po kilkaset lat. Cały ogród zniszczony. Słuchaj, musimy teraz, my dwaj, zdecydować, co to było... mój dziadek, czy jakiś... wybryk natury.

Cole spojrzał na niego z takim niesmakiem, że Riley nie mógł opanować uśmiechu.

– Chyba wiem, na co stawiasz. I choć wcale nie mam na to ochoty, przyznaję, że to był mój dziadek. Chyba nie powinniśmy... no wiesz, mówić o tym innym. Zresztą, kto by nam uwierzył?

Siedzieli ramię w ramię, oplótszy kolana rękami.

– Co to wszystko znaczy, Riley? – zapytał cicho Cole.

– Nie wiem. Z Sawyer sprawa jest jasna. Chyba chce, żebyś dał jej pieniądze nie stawiając żadnych warunków. Babcia Billie... jest głową rodziny Colemanów, takjak dziadek był głową tej rodziny. Może chce przekazać władzę w ręce ciotki Maggie. Przecież już przekazała Billie Limited. A jeśli chodzi o nas... byłem gotów walczyć, Cole.

– Wiem o tym. Pozwoliłbym ci wygrać – odparł cicho.

– Zawsze byłeś mięczakiem, co, stary?

– I kto to mówi? – Cole poklepał go po plecach.

– Rusz się, musimy osłonić korzenie bonzai. Widzisz tamto drzewko przy pagodzie? Ma osiemset lat. – Riley zdarł z siebie koszulę i marynarkę. Cole poszedł w jego ślady. Drząc na całym ciele, owijali korzenie w tkaninę.

Sumi powoli kroczyła po ścieżce, z błyskiem w oku obserwując męża i kuzyna.

– Mam zawołać ogrodnika?

– To doskonały pomysł. – Cole przyciągnął ją do siebie. – Co powiedział lekarz?

– Jestem gotowa. Jeszcze najwyżej tydzień. Przepisał mi nowe lekarstwo na zgagę.

– Zaraz zaraz, jakim sposobem tu weszłaś? Furtka była zamknięta na zasuwę. Z dumą pokazała olbrzymi nóż kuchenny.

– Wsunęłam go przez szparę i manipulowałam, aż zasuwa spadła. Powiedźcie, co tu się działo. – Rozglądała się ze zdziwieniem.

– Powiew wichury – wyjaśnił Riley.

– Prawie jak tornado – uzupełnił Cole.

– Naprawdę sądzicie, że w to uwierzę? – zachichotała. – Ten ogród przetrwał niejedną burzę, że nie wspomnę o wojnie, i nigdy nic nie uległo zniszczeniu. Kiedy mistrz zen go zakładał, obiecał, że będzie trwał po wsze czasy. To sprawka mojego ojca, prawda? Jakimś sposobem... a więc mnie przekonałeś. – Pieszczotliwie uszczypnęła męża w policzek. – Poza tym nikt oprócz właściciela nie może zmienić czy zniszczyć ogrodu zen. To stare japońskie przysłowie. Zapytaj Riley'a.

Cole spojrział na kuzyna. Riley zerknął na Sumi. Po chwili wzruszył ramionami.

– Widzisz, mam rację, jak zwykle – uśmiechnęła się do męża.

W domu powitały ich salwy śmiechu. Sumi zniknęła w salonie, skąd dobiegały chichoty jej sióstr i siostrzenic.

– Rany boskie – Riley wszedł do pokoju gościnnego. – Przed moim wyjazdem ciotki i kuzynki bały się choćby na mnie spojrzeć. Co ty z nimi zrobiłeś?

– Pokazałem im uroki lokalnej wersji MTV. Teraz są nowoczesnymi kobietami – Cole ryknął śmiechem. Riley uspokoił się, usłyszawszy ten dźwięk.

Pół godziny później rozmawiał z Ivy. Cole i Sumi siedzieli po drugiej stronie pokoju.

Odkładał słuchawkę z twarzą bladą jak ściana. Powtórzył wieści od Ivy. Przez łzy patrzył, jak Sumi zaczyna płakać.

– Musisz jechać, Cole powiedziała. – Spakuję twoje rzeczy. Nie martw się o mnie. Będą przy mnie siostry i znakomity lekarz. Powiedz swoim krewnym, że będę z nimi duchem.

Objął ją mocno.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej. Przekażesz im pozdrowienia ode mnie i powiesz, jak żałuję, że nie mogłam przyjechać.

– Sumi...

– To twoja rodzina, Cole. Musisz jechać. Proszę, pomóż mi wstać. Cole udał, że brakuje mu siły.

– Ważysz co najmniej dwie tony.

– Co najmniej – Sumi dumnie uniosła głowę. Riley podskoczył, gdy zagwizdała przeraźliwie. Jej siostry wbiegły do pokoju w tęczowym obłoku kimon. Sumi pokazywała każdą palcem i wydawała polecenia z szybkością karabinu maszynowego. Zrób to, spakuj torbę mego męża, przynieś koszyk zjedzeniem...

– Poczekaj, Rileyu. Mam prezent dla małego Mossa. Miałam jutro wysłać pocztą. Powiedz mu, że to od cioci Sumi i wujka Cole’a. – Zniknęła za drzwiami.

– Ona jest jedna na milion – stwierdził Cole.

– No... są dwie na dwa miliony – poprawił Riley.

– Ten... ten koszmar... babcia Billie, Cary... zostajemy tylko my.

– Cole – szepnął Riley bardzo cicho – mnie nikt nie został. Dziadek, babcia Billie... rodzice.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Rileyu, ale się mylisz. Masz Ivy i Mossa. Do licha, jesteś cudownym bratem. Masz tłum zabawnych ciotek i wszystkich Colemanów. To twoje słowa: rodzina przede wszystkim. Koło się zamyka. Babcia Billie twierdzi, że takie są koleje losu. Twój dziadek i Billie robili co w ich mocy, by nam pomóc. Teraz nasza kolej. Damy sobie radę, wiem o tym. W Teksasie zjednoczymy nasze rodziny duchowo i finansowo. Od tej chwili stanowimy...

– Jedną rodzinę – dokończył Riley stłumionym głosem.

– Jedną rodzinę – powtórzył Cole.

– W. kolejności alfabetycznej – zastrzegł szybko Riley.

– Wiedziałem, że to powiesz – Coleman Hasegawa Enterprises.

Podoba mi się.

– Mnie także – przyznał Cole.

Rozdział siódmy

Poranny wietrzyk cicho szumiał wśród młodych wiosennych liści. Dwa małe ptaszki ćwierkały głośno, przycupnąwszy na ogrodowym grillu. Najwyraźniej kłóciły się o tłustego robaka. Rand z ciekawością obserwował je zza przejrzystej zasłonki. Nie uszło jego uwagi, że karmniki w ogrodzie były puste. Zastanawiał się, kto je napełniał, Susan czy Ferris? Przed wyjazdem poszuka nasion w garażu, a jeśli nic nie znajdzie, pójdzie po nie do sklepu. Nikt, ani ludzie, ani zwierzęta, nie powinien walczyć o pokarm.

Rozejrzył się po schludnej kuchni. Uwielbiał kuchnie, podobnie jak jego przybrana matka Amelia, jak wszyscy Colemanowie. Kuchnie są jak gniazda, ciepłe i przytulne. Tutaj cała rodzina schodzi się na posiłek, tutaj sobie opowiada o przeżyciach minionego dnia. Z uznaniem spojrział na gliniane doniczki na szerokim parapecie. Pochylił się, żeby powąchać roślinki: mięta, tymianek, szalwia i rozmaryn. Te same zioła hodowała Maggie na ich parapecie. Widocznie robią to wszystkie siostry.

Niedługo wzejdzie słońce i wypełni kuchnię światłem i ciepłem. Gdy dostrzegł na ścianie duży zegar z podobizną Myszki Miki, uśmiechnął się ciepło. Susan zawiesiła go prawdopodobnie po to, by nauczyć Jessie rozpoznawać godziny. A może zrobiła to dla dziecka, które tkwi ciągle w niej samej? Nagle poczuł chęć, aby się dowiedzieć, dlaczego ten zegar tu wisi. Musi o to zapytać Susan, gdy tylko ją zobaczy.

Czas zabrać się do śniadania. Żołądek przysychał mu do krzyża. Wsypując kawę do młynka dumiał nad przyczynami, które go tu przywiodły, i nad tym, czego chciał dokonać. Ma dwa dni, żeby uregulować zaległe rachunki i na nowo podłączyć telefon. Dwa dni, żeby naprawić samochód Susan. Dwa dni, żeby spakować jej rzeczy do

trzech kufrów stojących na strychu. Same nuty wypełnią jeden z nich.

Ekspres do kawy zaczął perkotać, gdy kładł pierwsze plastry bekonu na patelnię. Zajęty ubijaniem jajek na gładką, puszystą masę, w pierwszej chwili nie zauważył wejścia Valentine. Stała w progu, owinięta w graby błękitny szlafrok. Jej włosy zniknęły pod turbanem z ręcznika. Wygląda na szesnaście lat, skonstatował.

– Na co masz ochotę, placki czy jajecznicę?

– Jedno i drugie. Dużo bekonu, trzy tosty. Miękkie masło i ... czy mamy może dżem truskawkowy?

– Nie, ale za to jabłkowy. – Rand wprawnie przerzucił plastry boczku na drugą stronę.

– Doskonale. – Val zapaliła papierosa. – Robisz to jak prawdziwy fachowiec.

– W weekendy zawsze szykuję śniadania dla Maggie. Na początku kazała mi powtarzać wszystko aż do skutku. Kiedyś zużyłem cztery tuziny jaj, zanim zaakceptowała moją jajecznicę. A moje placki, marzenie!

Ze śmiechem nalala sobie kawy. Usiadła.

– Z tego co mówisz wnioskuję, że kolejność działań odgrywa tu bardzo ważną rolę.

Położył bekon na bibułkę, żeby odciął tłuszcz, umył patelnię i wrzucił do niej kawałek masła, jak go nauczyła Maggie. Nie lubiła kawałków boczku w jajecznicy. Pochylony w poszukiwaniu miseczki na ciasto na placki, mruknął:

– Możesz wziąć samochód. Nie ruszę się stąd przez cały dzień. Czekam na agenta handlu nieruchomościami. Nie wiadomo dlaczego nie przyszedł wczoraj.

Spojrzał na nią badawczo. Z tym kremem na twarzy wygląda słodko. Słodko, dobre sobie. Jakim cudem bezlitosny prawnik może wyglądać „słodko”? Cały czas zastanawiał się, co ma na sobie pod tym

szlafrokiem. Nie chciał jednak o tym myśleć. Przywołał z pamięci twarz Maggie.

– Jeśli nie zdarzy się coś nieprzewidzianego – stwierdził – jutro chyba się stąd wyrwę. Wracam do Teksasu samolotem. A ty?

– Dzisiaj powinnam wszystko załatwić. Muszę jeszcze zadzwonić do kilku osób i wpaść do banku po dokumenty, które mi prześlą faksem.

– Jak oceniasz sytuację Susan? – zainteresował się.

– Z Susan wszystko będzie dobrze. Dlaczego miałoby być inaczej? Przecież to my staczamy za nią jej bitwy. Chodzi mi o to, że po raz drugi wyciągamy ją z kłopotów, i nie sądzę, że po raz ostatni. Ona ma czterdzieści osiem lat, Rand. Najwyższy czas, żeby się wzięła w garść. Wiem, jaka jest moja rola. Jestem prawnikiem rodziny. Ale ty? Wystawiasz jej dom na sprzedaż, likwidujesz konta bankowe, naprawiasz samochód, który ledwo jeździ, robisz zakupy, prasujesz jej rzeczy. Na Boga, dzwoniłeś nawet do handlarza używanymi meblami, czy nie interesują go sprzęty z domu. Wszystko to powinna robić Susan. I nie wmawiaj mi, że jako osoba z wielkim talentem nie nadaje się do rzeczy przyziemnych, bo to bzdura i sam o tym wiesz.

Znieruchomiał. Val wypowiadała na głos to, co wcześniej myślał. Czuł jednak, że powinien wziąć Susan w obronę.

– Słuchaj, umarła jej córka. To najgorsze, co może spotkać matkę. Sprawa z Ferrisem tylko pogłębiła ten nastrój. Po takim ciosie nie stajesz na nogi w ciągu godziny.

– Jasne, że nie. Ale również nie uciekasz gdzie pieprz rośnie. Ucieczka niczego nie zmieni. Susan powinna być tutaj, walczyć o swoje. – Dolała sobie kawy.

– Sam zaproponowałem, że przyjadę.

– Zęby jej to ułatwić. Wszyscy wszystko jej ułatwiają. W głębi duszy Susan wie, że zawsze znajdzie się ktoś, kto za nią wszystko zrobi.

Ona się nie zmieni, Rand. Potrzebna jej pomoc specjalisty.

– Więc jak, według ciebie, powinniśmy postępować? Nie każdy jest równie twardy jak ty. Są rzeczy, na które Susan nigdy się nie zdobędzie, żeby osiągnąć swój cel. – Pożałował tych słów w tej samej chwili. Val miała minę, jakby ją spoliczkował. – Boże, Val, przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Szybko zamrugęła powiekami.

– Owszem, chciałeś. – Sięgnęła po papierosa. – Denerwuję cię, prawda? Osądzasz mnie, podajesz w wątpliwość moje morale. Wolałbyś, żebym była jak Susan, nieodpowiedzialna, słaba, żebyś musiał mi ciągle pomagać. Cóż, Randzie, ja jestem silna. Przetrywam każdą burzę. co więcej, bez względu na to, jak mnie nazwiesz, i tak przyjdiesz do mnie po pomoc, ilekroć twoja szwagierka wpadnie w tarapaty. Więc nie waż się mnie osądzać, *Wasza Lordowska Mość*. Gdzie, do licha, podziewa się moje śniadanie? Albo nie, nie zwracaj sobie głowy. Zjem coś na mieście. – Wybiegła z kuchni.

Co ją ugryzło, do cholery? – zastanawiał się, mieszając jajecznicę. Zakrztusił się dymem. Odruchowo cisnął patelnię do zlewu. Dopiero po chwili dostrzegł kłęby dymu unoszące się nad tosterem. Szybko otworzył na oścież okno i drzwi.

– Kurwa mać!

Wziął papierosa Val, nadal żarzącego się w popielniczce. Zaciągnął się głęboko. Alarm przeciwpożarowy wył przeraźliwie. Pod wpływem uczucia, którego nie potrafił nawet określić, wyrwał sznur od tosterza z gniazodka i wyrzucił urządzenie na dwór. Z głośnym hukiem upadło na betonowy podjazd. Stado wron poderwało się z gniewnym krakaniem.

– Niech to szlag trafi! – Nie wyjmując papierosa z ust, wspiął się na stołek i huknął pięścią w czujnik dymu. Kiedy nie poskutkowało, szarpnął z całej siły. Nagła cisza huczała mu w uszach. Zszedł z krzesła i zatrzasnął drzwi kuchenne . z takim impetem, że pękła kolorowa

szyba.

– O, kurwa!

Głos Val był miękki, niemal przepraszający. Stała w progu. Wyglądała, jak ocenił, wręcz bosko. Wyglądała również jak doskonałej klasy zawodowiec, którym „w istocie była. Miała na sobie kostium niebieski jak ocean tam, w domu, i skromną białą bluzkę spiętą pod szyją antyczną broszką. Jej makijaż był bez zarzutu, włosy – wzorem perfekcji. Brakowało tylko błysku w oczach.

– Prawdopodobnie wrócę koło czwartej – oznajmiła. – Odstawię samochód i pojedę na lotnisko taksówką.

– Val...

– Prześlę ci wszystkie dokumenty rodziny, kiedy tylko uporam się z bałaganem tutaj. Uważam, że po zakończeniu tej sprawy najlepszym wyjściem będzie zerwanie wszelkich kontaktów. Bez trudu znajdziesz sobie prawnika, którego będziesz darzył szacunkiem.

– Val... Przepraszam. Co się stało? Wszystko było dobrze, a tu nagle hop! rezygnujesz z... O co ci właściwie chodzi?

– Nie chcę dłużej pracować dla ciebie ani dla twojej cholernej rodziny, Rand. Nie szanujesz innie, co jednak nie przeszkadza ci wykorzystywać mnie do twoich celów.

– Wykorzystywać cię? To działa w obie strony, jakbyś o tym nie wiedziała. Ty także wykorzystujesz moją rodzinę. Założyłaś własną kancelarię dzięki pieniądзом, które ci zapłaciliśmy.

Dlaczego nawet we własnych uszach brzmi to tak, jakby się bronił?
Wzruszyła ramionami.

– Punkt dla ciebie. – Uśmiechnęła się blade. – Życzę miłego dnia. I postaraj się zlikwidować smród spalenizny. Agentowi handlu nieruchomościami nie przypadnie do gustu.

Po chwili już jej nie było. Z najwyższym trudem opanował odruch, by za nią pobiec. Zrobiłby wszystko, byle tylko z jej twarzy znikł wyraz

skrzywdzonego dziecka.

Val weszła do niemal pustego banku. Od razu skierowała się do biura dyrektora. Olśniła go ujmującym uśmiechem, zaimponowała mocnym uściskiem dłoni. Zdobyła się nawet na zalotne błyski w spojrzeniu, gdy łysiejący urzędnik przytrzymał jej rękę o ułamek sekundy dłużej niż to było konieczne. Trzepotała rzęsami, gdy podawał jej poszczególne arkusze. Przy czterdziestym piątym uniosła głowę i zaszczebiotała:

– To po prostu cudowne. Harry, nie wiem, jak się odwdzięczyć za pańską dobroć. Doprawdy, co bym zrobiła, gdyby nie pański faks...

– Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani. My tutaj wierzymy w znaczenie dobrej obsługi, nawet jeśli nie mamy do czynienia z naszym klientem. Szkoda, że pani Armstrong się przeprowadza. To kobieta o wielkim talencie. Jej mąż cieszy się w naszej społeczności doskonałą opinią. – Ucichł, kiedy uświadomił sobie, co prawniczka trzyma w rękach. – Oczywiście, nie pisnę ani słówka.

Val żartobliwie pogroziła mu palcem, i...

– Wiem, gdzie w razie czego szukać winnego. – Posłała mu kolejny olśniewający uśmiech.

– Pani Armstrong to przemiła osoba – stwierdził głupio urzędnik.

– Jeszcze raz wielkie dzięki, Harry. Może następnym razem, gdy zawitam do waszego uroczego miasteczka, zjemy razem lunch?

– Z wielką chęcią, panno Mitchell. Jeśli mogę w czymś pomóc, proszę się nie zastanawiać, tylko od razu dzwonić. , – Doskonale.

Nie było w całym banku pary oczu, która nie odprowadzałyby wychodzącej Valentine tęsknym spojrzeniem.

Następnie wstąpiła do drogerii na Main Street, skąd zadzwoniła do gabinetu doktora Ferrisa Armstronga i umówiła się na wizytę.

Przedstawiła się jako Linda Baker. Rzekomo doktora Ferrisa poleciła jej zaprzyjaźniona pielęgniarka z miejscowego szpitala. Podczas trzech minut rozmowy udało jej się tyleż razy użyć słowa „pilne”, uśmiechnęła się, gdy młoda recepcjonistka poinformowała ją, że doktor Armstrong znajdzie dla niej trochę czasu o jedenastej piętnaście.

Brody's, drogeria, w której się znajdowała, przypominała staroświeckie, rzadko już spotykane lokale z dawnych lat. Było to połączenie apteki z cukierenką. Pod plastikowym kloszem pyszniły się na koronkowej serwetce pączki i słodkie bułeczki. Na długiej ladzie stały staromodne szklane cukiernice ze srebrnymi łyżeczkami. Val wspięła się na wysoki stółek, z lubością wciągnęła nosem zapach. Pod swoim odbiciem w lustrze widziała pojemniki z sałatką z tuńczyka, jajka, talerze z pomidorami i zieleniną. Olbrzymi ekspres do kawy wywołał uśmiech na jej twarzy.

– Proszę kawę i tosta z serkiem – zwróciła się do kelnerki w żółtej sukience i fartuchu w białobrazową kratkę. To na pewno żona aptekarza. Wyraziła to przypuszczenie głośno.

– Tak, jestem pani Brody. Chyba jeszcze pani u nas nie widziałam?

– Nie, przyjechałam w interesach. Kiedyś, dawno temu, byłam w podobnej cukierni – powiedziała miękko. – Ma swój charakter. Podoba mi się to.

– Spędziliśmy tu całe życie. Nasi klienci lubią przebywać w otoczeniu, do którego są przyzwyczajeni. Zmiany... My już jesteśmy na to za starzy. Dalej, przy autostradzie, wybudowano taką nowoczesną, wielką aptekę. Młodzi ludzie tam realizują recepty. – Pani Brody wyduła usta na znak dezaprobaty. – U nas można kupić wszystko, co niezbędne, ale nie prowadzimy zbyt wielu gatunków tego samego towaru. Sprzedajemy to, co nasi klienci chcą kupować. I dajemy na kredyt, przy czym wcale nie karty kredytowe mam na myśli. Niewiele zostało takich miejsc.

– To bardzo ważne – Val wbiła zęby w tosta. – Czy macie napój wiśniowy?

– Oczywiście, cytrynadę również. – Niemożliwe!

– Ależ jak najbardziej.

– Poproszę jedno i drugie – zamówiła rozmarzonym głosem. – I jeszcze trochę tych cukierków za pensa sztuka. Opłaca się wam sprzedawać je tak tanio? – zapytała z powątpiewaniem.

– Trzymamy je dla dzieci. Najczęściej rozdajemy je za darmo. Maluchy przynoszą zaoszczędzone grosiki. To wielka radość obserwować, jak z namaszczeniem biorą lizaka i zajądają z rozkoszą. Nie mamy własnych dzieci.

– Czy zna pani Armstrongów? – rzuciła Val od niechcenia.

– Tak, dosyć dobrze. Co za tragedia z ich małą Jessie. Najbardziej lubiła cytrynowe lizaki. Pani Armstrong przychodziła z nią co najmniej raz w tygodniu. Nawet po śmierci Jessie wpadała czasami na cytrynowego lizaka. Nie robiła dużych zakupów, najwyżej szampon i pastę do zębów, odkąd... Podczas choroby małej przynosiła stopy recept. To bardzo smutne.

Val potwierdziła skinieniem głowy.

– Czy doktor Armstrong często do was zagłada?

– Raz na jakiś czas. Wysyła do nas pacjentów ze swoimi receptami. Kupuje tytoń do fajki i czasami miętusy. Dawno go nie widziałam, podobnie zresztą jak pani Armstrong. Czy to pani znajomi?

– Panią Armstrong znam bardzo dobrze, z jej mężem spotkaliśmy się kilkakrotnie. Co tak pachnie? – Val niespokojnie poruszyła nosem. – Chwileczkę, proszę mi nie mówić. – W skupieniu zapatrzyła się w girlandę oszronionych sztucznych kwiatów zdobiącą lustro. – Sok cytrynowy, puder Maxa Factora, tytoń i świeżo zmielona kawa. – Z zachwyty wzniosła oczy do góry strzepując okruszki z palców.

Pani. Brody obserwowała ją z uśmiechem.

Val położyła na ladzie banknot pięciodolarowy.

– Nie trzeba reszty, pani Brody. – Obejrzała się za siebie, żeby dokładnie zlustrować wnętrze drogerii. Stare kredensy z dębowego drewna, o szklanych drzwiczkach, przypadły jej do gustu. Pasty do zębów, nitka dentystyczna i płyn do płukania ust dumnie stały na półkach w schludnych rządках. Nie uszło jej uwagi, że towary posegregowano według wielkości i koloru.

– Czy podajecie napój biało-czarny w takich staromodnych śmiesznych szklankach, a deser bananowy w podłużnych miseczkach?

– Oczywiście – odparła z dumą pani Brody. – A nasze lody są prawie domowej roboty, od Wilbura Smitha z sąsiedniej ulicy.

– Być może wrócę na jedno i drugie. – Val ześlizgnęła się ze stołka.

– Mamy otwarte do szóstej. Skinęła głową.

Mały dzwoneczek zadzwonił cicho, kiedy zamykała za sobą drzwi. Ten dźwięk sprawił, że poczuła łyzy w oczach, sama nie wiedziała dlaczego. Od tak dawna gnała po autostradzie życia, i to lewym pasem, że zapomniała już, jak wygląda Ameryka małych miasteczek. Otarła oczy i wsiadła do samochodu. Z papierosem w ustach przeglądała dokumenty, które dostała w banku.

Po czterdziestu minutach zwinęła papiery w ciasny rulon.

– Mam cię, doktorcu!

Powoli przejechała przez całe miasteczko, na obrzeża, gdzie mieścił się szpital. Stał wśród wysokich sosen. Robił przyjemne wrażenie, jak całe Oxmoor. Bez względu jednak na to, ile uroków ma życie w takiej dziurze, to nie było dla niej. Lubiła światła wielkiego miasta, modne sklepy, szybkie samochody i przystojnych mężczyzn. – Każdemu wedle jego gustu – mruknęła, parkując samochód w najdalszym kącie parkingu.

Gabinet Ferrisa Armstronga mieścił się na drugim piętrze szpitalika przeznaczonego dla siedemdziesięciu pięciu pacjentów, jak się

dowiedziała od recepcjonistki.

Poczekalnia Ferrisa była ładna i przytulna. Przytulna, bo Ferris był pediatrą. Wszystko, nawet krzeselka, było dostosowane do wzrostu pacjentów. W pomieszczeniu poniewierały się kolorowe układanki, klocki, rysunki. Na niskim stolczku stał wielki słój lizaków. Duży napis upominał: PO JEDNYM! Dwaj mali chłopcy klęczeli wśród stosu zabawek i z zainteresowaniem oglądali plastikowe samochodziki. Uroczy widok.

– Linda Baker. Jestem umówiona – przedstawiła się.

– Proszę za mną. – Młoda pielęgniarka dała znak ręką. Jest młoda. Czyżby to była ta druga? – Bardzo ładny kostium. – Młoda kobieta lustrowała Val od stóp do głów. – Kupiła go pani u Masona? – Wymieniła jeden z popularnych domów towarowych.

Val kpiąco uniosła brwi. – Niezupełnie. To oryginalny Scaasi.

– Och. – Tylko tyle wydusiła z siebie pielęgniarka. Val zobaczyła, że ma powykrzywiane obcasy i spuszczone oczko w rajstopach.

Stanąła przy oknie, wyjrzała na parking. Zanim nadszedł Ferris Armstrong, doliczyła się trzydziestu dwóch samochodów. Odwróciła się z szerokim uśmiechem, gdy usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi.

– Val? – Opuścił wzrok na teczkę, którą trzymał w ręku. – Czy to ty jesteś Lindą Baker, która przychodzi na konsultację? – zapytał lodowato.

– Nie jestem Lindą Baker. Doskonale wyglądasz, Ferris. Ile czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania? Chyba z pięć lat, co?

Był przystojny. Lekka, równa opalenizna, prawdopodobnie z solarium, pokrywała całe silnie umięśnione ciało. Siwizna na skroniach dodawała mu powagi, zwłaszcza w połączeniu z białym lekarskim kitem. Błękitny stetoskop miał dokładnie ten sam kolor co jego oczy. Miała ochotę roześmiać się głośno.

– Czym mogę służyć, Val? – zapytał oschle.

Wyjęła z torebki rulon dokumentów. Ferris cofnął się o krok. Jej śmiech wypełnił kolorowy pokój.

– Nie obawiaj się, Ferris. To nie nakaz stawienia się w sądzie. No, weź. Daj spokój, nie powiesz mi chyba, że taki duży chłopiec się mnie obawia? W pewnym sensie te dokumenty stanowią własność twoją i twojej żony. Właściwie zwracam ci to, co do ciebie należy. – Nagle jej ton stał się twardy jak stal. – Rzuć na nie okiem. A jeszcze lepiej, usiądź sobie wygodnie i przestuduj je dokładnie. – Z przyjemnością obserwowała, jak trzęsły mu się ręce, kiedy wyciągał papiery. Z przyjemnością śledziła jego niepewny krok. Nogi się pod nim ugiwały.

– Moje zeznania podatkowe. I co z tego? ~ rzucił z udawaną obojętnością.

– Niezupełnie – odparła lekko. – Są to poprawione zeznania podatkowe, a nie oryginały, które twój księgowy wydał Susan. Mimo to jednak na poprawionych formularzach również znajduje się podpis mojej klientki. – Młasnęła językiem z dezaprobatą. – Czy raczej powinnam powiedzieć „sfalszowany podpis mojej klientki”? Nie wstyd ci, Ferris? Coś takiego. Nie miałam pojęcia, że pediatrzy tyle zarabiają. Może wybrałam niewłaściwy zawód? A teraz usiądźmy i zastanówmy się wspólnie, ile będzie cię kosztowało pozbycie się tych dokumentów.

– Ile? – wychrypiął.

– Czekam na propozycję. – Val zaciągnęła się papierosem. Wypuściła kłąb dymu prosto na Ferrisa.

– Pięćset tysięcy dolarów. Parsknęła śmiechem.

– Siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Prychnęła pogardliwie.

– W porządku, siedemset pięćdziesiąt tysięcy i dom na wyspach. Val potrząsnęła głową.

– Pomyśl o słowie „fałszerstwo” i dodaj do niego „Urząd Podatkowy”. I teraz złóż mi następną ofertę.

- Połowę akcji i obligacji.
- Nie.
- Milion dolarów.
- Przykro mi, nie. – Więc ile chcesz?

– Zastanów się, ile dla ciebie jest wart twój tyłek, doktorku. W więzieniu nie ma dzieciaczków do leczenia. Ile jest dla ciebie warte życie na wolności? Mam nader niskie zdanie na temat kogoś, kto okrada kobietę. Daję ci ostatnią szansę. Jeśli nie złożysz mi teraz sensownej oferty, wychodzę stąd i dzwonię do przyjaciół w Urzędzie Podatkowym. W wiadomościach o szóstej będziesz tematem numer jeden. Całe Oxmoor będzie cię oglądało. Aha, Ferris, ja wiem, ile zarabiasz rocznie. Wyliczyłam mniej więcej, ile mogłeś zainwestować w ciągu ostatnich pięciu lat.

Val nie spuszczała z niego oka. Widziała, jak się poddaje. Zrobił to z klasą, nie tak jak inni.

– W porządku.

– Dobrze. Załatwmy to od razu. Nie myśl sobie, że pozwolę na podział majątku. Razem pójdziemy do banku. Jest tam notariusz. Za drobną opłatą sekretarka Harry’ego spisze umowę. Wiesz, taki akt zrzeczenia się, że ty, Ferris Armstrong, po wsze czasy... Chcę prawo własności porsche’a. Rand pojedzie nim do Teksasu. Możesz sobie zatrzymać drugi samochód.

– Zostawiasz mi starego gruchała, cholerną rudę i marne sto tysięcy oszczędności! – wybuchnął Ferris.

– Tak jest oznajmiła radośnie. – I oczywiście nie jesteś już członkiem fundacji.

– Ty cholerna suko!

– Traktuję to jako komplement.

Zrzucił biały kitel, włożył kaszmirową marynarkę. Puścił mimo uszu jej uwagę na temat drogiej tkaniny. Bez słowa wyszedł na

korytarz. Val ruszyła za nim.

– Doktorze Armstrong, a pańscy pacjenci? – zawołała pielęgniarka. Val konfidencko pochyliła się nad kontuarem.

– Proszę lepiej zawiadomić jego zmiennika. Doktor Armstrong właśnie otrzymał bardzo złe wiadomości. Nie sądzę, by dzisiaj wrócił do pracy.

O trzeciej po południu Val weszła do domu Susan. Rand oglądał serial w telewizji. Rzuciła mu na kolana wypchaną kopertę.

– Załatwione. Oddałam mu dom, więc jeśli wystawiłeś go na sprzedaż, musisz wycofać oferty. Określił go mianem cholernej rudery, toteż uznałam, że można mu go zostawić. Zostawiłam mu także samochód przed domem. Powiedziałam, że wrócisz porsche do Teksasu. Reszta jest w papierach. Susan jest bogata.

Zerwał się na równe nogi. Koperta spadła na ziemię.

– Val, poczekaj.

– Przykro mi, Rand. Chcę się przebrać, spakować i zdążyć na lotnisko. Innym razem, dobrze? – zawołała przez ramię.

– Nie jesteś głodna, nie napijesz się kawy?

– Zjadłam tosta, wypłam napój wiśniowy i cytrynadę, zjadłam też deser bananowy i trzy lizaki. Nie, nie jestem głodna – odskrzyknęła ze szczytu schodów. – Ale jeśli się pośpieszysz, chętnie napiję się kawy;

Pobiegł do kuchni, po drodze podniósł kopertę. Nawet jeśli Val w kwestii pakowania i ubierania się jest dwa razy szybsza niż Maggie, i tak ma co najmniej piętnaście minut. Nasypał kawy i nalał wody do ekspresu, przy okazji brudząc pół kuchni. Wytarł stół rękawem koszuli.

Na wyczyszczonej w ten sposób powierzchni rozłożył dokumenty z koperty. Zagwizdał cicho, nie wierząc własnym oczom. Jego brwi niemal dotykały linii włosów. Val jest warta każdej ceny. Podwoi jej pensję. Nie, to nie on będzie ją płacił, lecz Susan. Każde je zapłacić Val

podwójnie, choćby to miała być niebotyczna suma. Val ma rację, najwyższy czas, by Susan stanęła na własnych nogach.

Na jej widok zaparło mu dech w piersiach. Miała na sobie džinsy, adidas i sportową bluzę. Włosy upięła w koński ogon, zmyła cały makijaż z twarzy. Ock chrząknął i podał jej kubek z kawą.

Pachniała jak ogród w lecie.

Wyglądała olśniewająco.

Do cholery, rozpałała go.

Val sięgnęła do torebki po papierosa. Zapaliła go powoli, wypuściła idealnie okrągłe kółko. Rand obserwował, jak dym szybuje w powietrzu, i czuł, jak na jego karku formuje się obręcz nieznośnego gorąca.

– Nie powinnaś tyle palić – zwrócił jej uwagę.

– Nie powinnam robić wielu rzeczy. Ale załatwiłam sprawę, prawda? Fala gorąca z karku dosięgła jego twarzy.

– Nie mogę dojść do siebie z wrażenia. Mam tylko nadzieję, że nie naruszyłaś prawa.

– Nie obawiaj się kłopotów, to zbyteczne – odparła chłodno. – A zmieniając temat: Rand, poczerwieniałeś na twarzy. Jesteś chory? A może coś cię gryzie?

– Nic mnie nie gryzie. Powiedziałem, że odwiozę cię na lotnisko. Nie ma sensu brać taksówki. Dlaczego jesteś taka uparta?

– Uparta? To głupota, żebyś mnie odwoził na lotnisko i wracał tutaj. Powiedziałam Ferrisowi, że po południu podrzucisz mu samochód Susan i zabierzesz porsche'a. To ważniejsze niż odwożenie mnie na lotnisko. Jestem już duża, Rand. Poza tym – dodała po chwili – już nie pracuję dla Colemanów, więc nie musisz mi wyświadczać żadnych uprzejmości.

– Jeszcze jedno, Val. W jaki sposób mam to wytłumaczyć rodzinie? Bóg raczy wiedzieć, co sobie pomyślą. Od tak dawna trwałaś u ich

boku. Przemysł to jeszcze.

– Nie muszę. Podjęłam ostateczną decyzję. Nigdy nie ustępuję, nie idę na kompromis i nie oglądam się za siebie. Pozdrów ich ode mnie. Rand tracił panowanie nad sobą.

– Z kim poszłaś do łóżka, żeby zdobyć zeznania podatkowe Ferrisa?

Val zachowała zimną krew. Skończyła papierosa, zdusiła niedopałek w popielniczce. – Powtarzam: nie pracuję już dla ciebie ani twojej rodziny. To nie twój interes.

– Może nie odpowiada mi, do czego się posuwasz, żeby załatwić sprawę. – Boże, naprawdę powiedział to na głos? Wystarczyło spojrzeć na jej minę, by się przekonać, że tak.

– A dlaczego nie? Jeśli dobrze pamiętam, miałeś burzliwy romans z Sawyer, zanim ją porzuciłeś dla jej matki. A potem wszyscy dowiedzieliśmy się, jak sypiałeś z połową żeńskiej populacji Anglii i że masz córkę, którą dopiero niedawno zobaczyłeś na oczy. Wiesz, gdzie, moim zdaniem, leży twój problem? Ciągłe ci się podobam i sam nie wiesz, co z tym fantem zrobić. – Roześmiała się; był to smutny bolesny dźwięk. – Miałaś nadzieję, że do ciebie przyjdę, prawda? Miałbyś wielką radochę, odsyłając mnie z kwitkiem i wracając do domu w aurze wiernego małżonka, tak? Mam rację?

– Do pewnego stopnia – przyznał niechętnie.

– A co masz na myśli? – zainteresowała się nagle. Wsadziła ręce w kieszenie.

– Podobasz mi się.

– To mi pochwala. Kobiety lubią komplementy. Ale nie urwałam się z choinki. Nie do wiary, że w ogóle prowadzimy tę rozmowę. Słuchaj, muszę już iść. Jeśli kiedyś będę na Hawajach, umówimy się na lunch. I jeszcze jedno, Rand. Ty też mi się podobasz.

– Val, nie odchodź – poprosił cicho.

– Rand, ja nie romansuję z żonatymi mężczyznami. – Ale paradujesz przed nimi w szlafroku, co?

Z całej siły kopnęła go w łydkę. W ostatniej chwili zobaczył, że zamachnęła się torebką, i zdążył się uchylić. Zauważył także, że płacze. Ciszę zakłócił klakson taksówki.

Nagle była w jego ramionach, szlochała wtulona w jego pierś. Pachniała mydłem i lawendą. Wiedział na pewno, że to lawenda, bo jego matka trzymała pęczki prawdziwej angielskiej lawendy w szafach z bielizną. Zachwiał się na nogach, obejmując ją, szepcząc słowa pociechy. Maggie nigdy nie płakała.

– Gdzieś tam chowa się prawdziwy człowiek, prawda? Człowiek, który żywi prawdziwe uczucia i namiętności, ale boi się okazać ze strachu przed odrzuceniem i kpinią.

Pokiwała głową. , – Skąd wiesz coś o odrzuceniu i kpinie? – zapytała.

– Co prawda mężczyźni nie powinni ujawniać tej strony swej osobowości, ale zdradzę ci pewien sekret, Val. Czasami mam ochotę zaszyć się w ciemnym kącie i wyć. Cholernie mnie męczy być czyjś oparciem, sensem czyjegoś życia. Czasami chcę tylko wylegiwać się, na plaży i o niczym nie myśleć. Zdaje się, że to tak zwany kryzys wieku średniego.

– Jesteś po prostu świadom swojej śmiertelności – szepnęła. – Chcesz robić różne rzeczy, doświadczać czegoś nowego, bo zrozumiałaś, że przyszłość nie trwa wiecznie. Ja też to zrozumiałam. Jesteśmy tacy sami, Randzie.

– Wiem – otarł jej łzy. – Taksówka chyba odjechała; nie słysząc klaksonu. Odsunęła się o krok. Drżała na całym ciele.

Rand poprawił kołnierzyk koszuli.

– Proponuję, żebyśmy pojechali po porsche'a i wrócili tutaj na kolację. Rozpalimy ogień na kominku, otworzymy butelkę wina,

usiądziemy sobie na podłodze i pogadamy. Go o tym sądzisz?

– Dobrze pomyślane. Roześmiał się.

– Podoba mi się taka odpowiedź.

Czuł się jak nastolatek, gdy wychodził z domu, niemal depcząc jej po piętach. Był ciekaw, czy chodzi na aerobik. Zapytał. Parsknęła śmiechem.

– Nie mam czasu. W biurze i w mieszkaniu mam całkowicie wyposażone gabinety odnowy biologicznej. Mam szczęście, jeśli dwa razy w tygodniu przejadę się na rowerze. A Maggie?

Przemknęło mu przez głowę, że nie powinni o niej rozmawiać. Nie powinien w ogóle o niej myśleć.

– Codziennie uprawia aerobik przez dwie godziny. Pływa trzy razy dziennie. Maszeruje dwie mile. Dbą o siebie. Śpi osiem godzin i uważa na to, co je.

– Nie prosiłam o wykład – zwróciła mu uwagę.

– Przepraszam, tak zabrzmiało, prawda? Maggie się zbliża do pięćdziesiątki. – Skąd, u licha, to mu przyszło na myśl? Nie wiedział.

– Hej, Rand, chyba coś mi umknęło. Czy naprawdę musimy rozmawiać o Maggie? To nie jest najlepszy pomysł. A gwoli ścisłości, ja mam pięćdziesiąt cztery lata. Czyli jestem o cztery starsza od twojej żony. Ty zaś, jako wyrafinowany i doświadczony mężczyzna, za jakiego cię uważam, powinieneś wiedzieć, że zakazany owoc nie zawsze jest najlepszy. To banał, ale jakże odpowiedni w tej sytuacji.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

– Traktujesz to bardzo lekko – stwierdził w końcu. Powoli jechał wzdłuż parkingu, wypatrując porsche' a.

– Tak, dlatego że wspólna kolacja i wymiana poglądów to nic dziwnego między starymi przyjaciółmi. Bo jesteśmy parą przyjaciół wspólnie spędzających wieczór.

– Ciekawe, skąd wiedziałem, że będzie czerwony i że Ferris będzie

na tyle próżny, aby zafundować sobie tablicę rejestracyjną z napisem „doktor”? – mruknął Rand, wysiadając z samochodu. Podszedł do porsche’a.

– Bo – stwierdziła Val z całkowitą powagą – mężczyźni są jak mali chłopcy, a mali chłopcy nie sprawiają niespodzianek.

– Nie wiem, czy Susan sobie poradzi z ręczną skrzynią biegów. – W głosie Randa słychać było zwątpienie.

– Nauczy się.

– Nie lubisz jej, co? A Maggie?

– Szczerze?

– Tak.

Nie bardzo. Uwielbiałam Amelię i przepadam za Billie. Sawyer to wspaniała dziewczyna. Ma ikrę. Nie podobało mi się, co jej zrobiłeś. Billie i Amelii też nie.

– Jezu Chryste. Miałem się z nią ożenić, chociaż jej nie kochałem? W każdym razie to nie było tak jak myślisz. Między mną a Sawyer wszystko się skończyło, zanim straciłem głowę dla Maggie. Jeśli znasz sposób dżentelmeńskiego rozwiązania takiej sytuacji, słucham.

Val wzruszyła ramionami. – To twoje życie.

– Okay. Dajmy temu spokój – powiedział pojednawczo Rand. Wsiadli do sportowego wozu. Wyjechali na pustą szosę.

– Nadal masz ochotę na lampkę wina? – zapytał.

– Wołałabym piwo, najlepiej coors light. Po winie mam zawroty głowy.

– Wiesz co? – zaproponował po namyśle – Skoro wszystko jest załatwione, mogłabyś wrócić do Teksasu ze mną, samochodem. Oczywiście jeśli masz jeszcze kilka wolnych dni. Chyba że wolisz lecieć jutro rano, gdybyś miała takie połączenie.

– Zastanowię się. Mam jeszcze kilka dni wolnych. Ale uprzedzam: nienawidzę podróży samochodem. A co z kolacją? Od rana jestem na

samych słodyczach. Zaczynam być głodna.

– W zamrażarce jest masa jedzenia, a w garażu widziałem piwo. Możemy jechać prosto do domu. Właściwie jest to dom Ferrisa, tak?

– Och, Rand, nie czytałeś dokładnie dokumentów! Dom będzie jego własnością po upływie trzech dni. Umieściłam tę klauzulę na wszelki wypadek, nie wiedziałam, czy skończyłeś pakowanie. Jak strych?

– Zapomniałem o nim na śmierć! – Palnął się w czoło. – A pokój małej?

– Właśnie o to chciałem cię prosić. Wszystko tam jeszcze jest. Zabawki, ubranka... Dzwoniłem wczoraj do domu, ale kucharka powiedziała mi, że Maggie i Susan poleciały do Teksasu. Rano próbowałem zatelefonować do Sunbridge. Nikt nie odbierał. Może powinniśmy wszystko zapakować i wysłać... bo ja wiem? Na Hawaje? Do Sunbridge?

– Czy dobrze usłyszałam, Rand? Ja nie będę pakowała rzeczy Susan, jeśli o to ci chodzi. To załatwia sprawę. Polecę rannym samolotem, jeśli nie skończyłeś pakowania. Chyba kamień spadł ci z serca – zakończyła złośliwie.

Nie w tym rzecz. Przez jedną dziką, szaloną chwilę pozwolił sobie na marzenia. Wysiadając z samochodu odetchnął z ulgą, że decyzja nie leży w jego ręku. Zaraz po kolacji zabierze się za pakowanie. Val może sobie oglądać telewizję, czytać, robić to, co prawnicy robią w wolnym czasie.

– Kto szykuje kolację? – zapytała. – Rzućmy monetą. Orzeł czy reszka? – Reszka.

Zręcznie podrzucił dwudziestopięciocentówkę.

– Wygrałaś. Zawołaj mnie, kiedy będzie gotowe. Będę na strychu.

Telefon, podłączony w południe, rozdzwonił się głośno. Zanim podniósł słuchawkę, wiedział, że to Maggie. Val dyskretnie wyszła z kuchni. Mimo to odezwał się przyciszonym głosem. Nie wiadomo

dlaczego przypomniał mu się Cary i to, jaki był wściekły, gdy ten przyznał mu się do zdrady.

– Co się stało, Rand? – zapytała ostro Maggie. Nigdy dotąd się do niego nie zwracała w taki sposób. – Rand, muszę... Wydarzył się okropny wypadek. Cary jest w szpitalu. To... poważna sprawa. Susan załatwiła rano ponowne podłączenie telefonu, żebym mogła się z tobą skontaktować. Powinieneś być tu, z nami... Wszyscy powinniśmy być tutaj. Nic nie mówisz. Dlaczego? Co się stało?

– Nic się nie stało. Co z Carym? Co to za wypadek? Co to znaczy „poważny”?

– Wiem tylko to, co powiedział nam Thad, a to niewiele. Cary jest ciężko poparzony, nie wiadomo, co z jego oczami. Mama... potrzebuję cię, Randzie – wyznała przez ściśnięte gardło.

– Maggie, posłuchaj. Przyjadę, kiedy tylko to będzie możliwe. Słuchaj, nie chcę tu więcej wracać, wołałbym skończyć wszystko za jednym zamachem. Wyruszam jutro z samego rana. Wiesz, że dla Cary’ego zrobiłbym wszystko co w mojej mocy. – I znowu pomyślał o jego zdradzie, nie wiadomo dlaczego.

– Masz dziwny głos – powiedziała Maggie.

– Na Boga, Maggie, właśnie przekazałaś mi nie najlepsze wieści, prawda? Jaki, do cholery, mam mieć głos? Jestem przekonany, że skoro jest tam twoja matka, pracujecie nad sytuacją.

– Co robiłeś przez cały dzień? Próbowałam się dodzwonić...

Nie, nie wmawia sobie tego. Głos Maggie był... lodowaty. Uniósł brwi w zdumieniu.

– Czy jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Porozmawiamy na miejscu. Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie: gdzie byłeś?

– Odebrałem porsche’a. Wszystko jest w porządku, nie wiem tylko jednego: co zrobić z rzeczami małej Jessie? I z rupieciami na strychu? –

W skrócie opowiedział jej, czego dokonała Val. Nawet w jego uszach głos brzmiał zimno i rzeczowo.

– Wiedziałam, że Val nie da sobie w kaszę dmuchać. Cieszę się ze względu na Susan. Na pewno wystawi nam niebotyczny rachunek.

– Masz jej to za złe?

– Ani odrobinę. Jest warta każdego centa. Zdaniem Dudleya Abramsona lepszego prawnika nie znajdziesz ze świecą. Mam nadzieję, że nie zamęczyłeś jej na śmierć.

– Nie sądzę. Wraca do domu jutro rano. Nie zdążyła na samolot dziś po południu. Właśnie szykuje kolację, a ja kończę pakowanie. Nie chciała mi przy tym pomóc.

– Nie dziwię się, jest za dziesięć czwarta. – Myślałem, że ją lubisz.

– Jest znakomitym prawnikiem. Nie zatrudniłabym nikogo innego. Jak na mój gust, jest po prostu zbyt wyzywająca i zanadto lubi imponować. Lecicie tym samym samolotem?

– Nie. Ja wracam samochodem. Powiedz mi coś więcej o Carym.

– Jest poparzony i... ma obrażenia oczu. To najgorsze. Na szczęście, nerwy wzrokowe nie zostały uszkodzone. Ale to nie wszystko, Rand. Chodzi o mamę... jest chora. Myśleliśmy, że ona i Thad podróżują po świecie, a oni siedzieli w Vermont. Przechodziła chemioterapię. Ma raka. Nie chciała, żebyśmy o tym wiedzieli. Zmieniła się... nie do poznania. Susan zachowuje się jak najgorsza jędrza. Przyjechała Sawyer. Riley i Cole są w drodze. Potrzebuję cię, Rand. – Rozplakała się. – Nie zniosę tego. Błagam cię, powiedz coś. Cokolwiek, po prostu mów do mnie.

– Maggie, przykro mi z powodu Billie, naprawdę. Przyjadę tak szybko, jak to możliwe. – Najchętniej poradziłby jej, by zrobiła sobie drinka, jednak Maggie od wielu lat nie tknęła alkoholu.

Rozejrzał się po schludnej kuchni, jakby widział ją po raz pierwszy. Wyjechać od razu, dać sobie spokój z pakowaniem rzeczy Susan? A

może pracować całą noc i wyruszyć o świcie? Mógłby polecieć razem z Val. Musi tylko zorganizować przewiezienie porsche' a do Teksasu albo po prostu zostawić go na parkingu na lotnisku. Nagle ogarnęła go fala nienawiści, do samochodu i do Susan. Powiedział o tym żonie. Wsluchiwał się w ciszę po drugiej stronie. Po chwili odłożył słuchawkę.

– Co się stało, Rand? Jesteś błąd jak ściana. – Val wróciła do kuchni. Powiedział jej.

W milczeniu przetrawiała to, co usłyszała. Przeszył ją dreszcz. Przecież Billie Coleman Kingsley nie jest aż taka stara. Z jakiegoś powodu nigdy nie uważała Billie za jedną z Colemanów, choć nosiła ich nazwisko. Billie to Billie, i już. W pewnym sensie to ona była ostoją rodziny. Ogarnął ją smutek, którego nie potrafiła ukryć.

– Musi ci być bardzo ciężko, Rand. Billie pod wieloma względami przypomina twoją matkę. Chciałabym móc powiedzieć coś pocieszającego, ale chyba nie ma takich słów.

Cofnęła się o krok, kiedy wydawało się, że zechce ją objąć. Tego by teraz nie zniosła.

– Zrobię kanapki z serem i pomogę ci przy pakowaniu. Tak, nie chciałam tego robić, ale wszystko się zmieniło. Polecimy razem. W tej sytuacji ten cholerny samochód stracił wszelkie znaczenie, prawda? Ktoś go ukradnie? Co z tego? Jest ubezpieczony. Z lotniska zadzwonimy do agencji ubezpieczeniowej i powiemy, że wszystkie dokumenty przefaksujemy im z Teksasu. Jeśli wszystko dzisiaj zapakujemy, firma transportowa zabierze stąd pudła jutro do południa.

Rand nerwowo przeczesał włosy palcami. Poczuł na ramieniu lekką, delikatną dłoń. Widział ją niewyraźnie przez łzy.

– Wiem, o czym myślisz i co czujesz – odezwała się Val cicho. – To nie koniec świata. Pamiętam, jak na pogrzebie twojej matki powiedziałeś, że sobie nie poradzisz. Rozmawialiśmy wtedy. Może o tym zapomniałeś. Życie toczy się dalej, Rand. Billie... możliwe

przecież, że będzie jeszcze długo żyła. Codziennie pojawiają się nowe leki, wymyślają nowe terapie. Colemanowie to twarde sztuki. Tak, wiem, nie masz w sobie ich krwi, ale jesteś jednym z nich. Ktoś musi być dla nich oparciem, i to będziesz ty. Cary nie jest w stanie, Thad... Thad będzie cię potrzebował. Oni wszyscy, zwłaszcza Riley. Z tego, co mi mówiła Ivy podczas naszej ostatniej rozmowy, wynika, że nadal nie pogodził się ze śmiercią dziadka. To będzie dla niego szok. Cole jest bardzo zżyty z Billie. Tylko ty, Rand. Tylko ty możesz im pomóc.

– Zdaniem Maggie – odezwał się po chwili – Susan jest w głębokim dołku i wariuje. Sawyer... Sawyer będzie chciała się wyładować na każdym, kto wejdzie jej w drogę. Jak mam sobie z tym poradzić?

– Każ Susan wreszcie dorosnąć i zachowywać się odpowiednio do jej wieku. Jeśli chodzi o Sawyer... to nie twój problem. Adam się nią zajmie: Możesz na nim polegać.

Rand oparł jej dłonie na ramionach i spojrzał w oczy. Bez makijażu były jeszcze ładniejsze.

– Skąd tyle w tobie mądrości?

– Nie należę do rodziny, więc zachowałam obiektywizm. Przemawia przeze mnie dusza prawnika.

– Nadal masz zamiar przestać dla nas pracować?

– Tak.

– Zastanów się nad tym.

– Nie.

Jest za blisko, pomyślała. Czowała zapach jego wody po goleniu, widziała cień zarostu na jego brodzie. Znieruchomiała pod dotykiem jego dłoni. Wiedziała, że wystarczy, by wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni na piętrze, by.. „Potrząsnęła głową.

– Jestem głodna, a ty musisz iść na strych i zrobić... zrobić, co trzeba. Zawołam cię na kolację. – Wyrwała mu się. Po chwili wyszedł.

Słyszała jego kroki nad głową.

Chciało się jej płakać. Otworzyła zamrażarkę i wsunęła głowę do środka. Ostre, zimne powietrze pomogło jej odzyskać kontrolę nad sobą. Przyszło jej do głowy, że za chwilę poczuje uderzenie krwi do głowy. Może lepiej było się wyplakać niż paradować z czerwoną twarzą. Jak powiedział lekarz kilka miesięcy wcześniej, w sytuacjach stresowych znieawidzone rumieńce mogą się nasilać.

Jak automat wyjęła jedzenie z lodówki i zamrażarki, włączyła mikrofalówkę, nakryła do stołu. W głowie miała kompletny zamęt. Po raz pierwszy od wiek lat emocje wkroczyły do jej spraw zawodowych. Nagle z całą wyrazistością uświadomiła sobie czego pragnie: chciała iść z Randem do łóżka, aby się przekonać, jak to jest, kiedy się kochasz z kimś, kogo sama wybierasz, kogo lubisz. Przypomnieli się jej mężczyźni, z którymi spała i powody, dla których to robiła. Wzdrygnęła się na wspomnienie obwisłych brzuchów, łysych głów, okropnych rzeczy, których od niej żądali. Gdyby postępowała inaczej, czy osiągnęłaby obecną pozycję – nieraz zadawała sobie to pytanie. Zawsze dochodziła do tego samego wniosku: nie. Nigdy nie założyłaby własnej firmy, nie zgromadziłaby takiej fortuny. Ale też nigdy nie urodziła dziecka, nie zakochała się, nie związała z nikim na dłużej.

To mój wybór, pomyślała z goryczą. Jakie znaczenie ma to wszystko, skoro nie ma nikogo, z kim mogłaby się podzielić? Nikogo, kto by po niej dziedziczył? Kto będzie ją pamiętał? Kto pójdzie na cmentarz i po niej zapłaci? Kogo to będzie obchodziło? Ze złością rzuciła plaster sera na zamrożony chleb.

Szukając blachy do pieczenia, myślała o swoich przyjaciółach. Właściwie byli to znajomi, nie przyjaciele. Profesjonalni, dobrze ubrani prawnicy, tacy jak ona. Wszyscy mieli bystre umysły i badawcze spojrzenia. Czasami umawiali się na lunch, spotykali na przyjęciach, wspólnie kokietowali sędziów. Ale czy zadzwoniłaby do nich z

płaczem o drugiej w nocy? Raczej nie. W świecie mężczyzn nie ma miejsca na łzy. Musisz kopać, drapać, walczyć, przepychać się łokciami i nie tracić nadziei. Miała tego dość. Miała po dziurki w nosie stałych klientów i samego zawodu prawnika.

Miesiąc temu, może trochę dawniej, wyjęła ze skrzynki pocztowej naklejkę na zderzak. Był na niej napis: W PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI WYBIJEMY PRAWNIKÓW. Innym razem w sądzie podsłuchiwała w windzie rozmowę dwóch mężczyzn. Zgodnie stwierdzili, że wszyscy prawnicy to świnię. Najpierw wmawiała sobie, że przecież to nie ją mieli na myśli. Jest piekielnie dobra w tym, co robi, wygrywa dziewięćdziesiąt procent spraw, których się podejmuje. Dopiero później, po kilku tygodniach, spojrzała obiektywnym okiem na siebie i na swój zawód. Wtedy zaczęły się uderzenia krwi do głowy i przerwy w miesiączkowaniu. Dzień w dzień zaklinała się patrząc na swoje odbicie w lustrze: wyrwać się stąd, póki jeszcze można! Zaczynij żyć! Pomyśl o adoptowaniu dziecka, kup sobie psa.

Odwróciła grzanekę na drugą stronę. Przypalona. Zmniejszyła gaz. Wsunęła blachę z frytkami do pieca.

Za opakowaniem mielonej kawy znalazła puszkę budweisera. Trzy zostawiła na później, na wypadek gdyby Rand też miał ochotę. Popijając prosto z puszki, poszła do garażu, skąd przyniosła cały karton piwa. Czyżby Susan popijała w tajemnicy? A może to spadek po Ferrisie? W kuchni wstawiła karton do zamrażarki. Musi pamiętać, żeby go wyjąć za dwadzieścia minut.

Myślała o Oxmoor i sklepiu Brodych. Spodobało jej się to ciche, ospałe miasteczko ze sklepem z artykułami żelaznymi na rogu Main i Elm Street. Z przyjemnością przyglądała się skromnym wystawom, zwłaszcza tej w kwiaciarni, ozdobionej wiosennymi kwiatami. Nie było tu żadnych filii gigantów handlowych; nawet kawiarenkę prowadził drobny przedsiębiorca. W niedużym budynku z czerwonej cegły, o

białych okiennicach, mieściła się biblioteka. A tuż obok miał swoją siedzibę „Oxmoor Sentinel”, miejscowy tygodnik.

Czy bardzo by nie pasowała do tego miejsca, gdyby podjęła decyzję i zechciała tu zamieszkać? Czy potrafiłaby otworzyć tu malutką kancelarię i przyjmować klientów, którzy płaciliby usługami i towarami, a nie gotówką? Wszystko jest możliwe, stwierdziła. Wystarczy podjąć decyzję.

– Jak ci idzie? – Val postawiła przed Randem talerz z kanapkami.

– Prawie skończyłem. Na strychu są same rupiecie. Jeśli Susan uważa, że coś z tych rzeczy się jej przyda, niech sama tu przyjedzie i wybierze. Spakowałem ubranka dziecięce i stare nuty. Niedawno zabrałem się za pokój lessie: Albumy zapakowałem już wcześniej. Zostało mi niedużo pracy, więc twoja pomoc nie będzie mi potrzebna. Kamień spadł ci z serca? Skinęła głową.

– Val, wyglądasz jakbyś myśłami była bardzo daleko stąd.

– Zastanawiam się, gdzie zamieszkam po przejściu na emeryturę. Opowiedziała mu o miasteczku. Wspomniała o drogerii i o tym, jak jej się tam podobało.

– Zapach był... wprawiał w dobry nastrój... Lepsze słowo nie przychodzi mi do głowy. Znasz apteki, gdzie wystawiają na wystawie kolorowe prezerwatywy? Niektóre z nich świecą w ciemności. W sklepiku Brodych prawdopodobnie leżą w kąciaku pod ladą Rand się zamyślił.

– Naprawdę świecą w ciemności?

Parsknęła śmiechem. Nie wiadomo kiedy przestali się czuć nieswojo.

– Rozpałiłeś ogień na kominku? – zapytała.

– Nie, ale zrobię to, kiedy będziesz zmywała. Ja z zasady nie zmywam. I nie myję okien.

– W takim razie, jaki z ciebie pożytek? – zażartowała.

Napuszył się komicznie.

– Wielce szanowna Pani Prawniczko – oznajmił dumnie – jestem niepokonany w wielu dziedzinach. Jeśli zechcę, być może uchylę rąbka tajemnicy przy kominku. Lubię czekoladę na gorąco z pianką.

– Ja też, więc wlej dużo śmietanki do mojej. Ojej, na śmierć zapomniałam o piwie. – Podbiegła do zamrażarki.

– W porządku, proponuję następujące porozumienie stron – odezwała się najbardziej oficjalnym głosem, na jaki ją było stać – Ja pozmywam i zadzwonię do firmy przewozowej. Ty skończysz pakowanie i rozpalisz ogień. Ja podam piwo. Czekolady nie będzie. Umowa stoi?

– Stoi.

Kwadrans po ósmej usadowiła się na stercie poduszek. Przez chwilę bawiła się pilotem od telewizora. Jej uwagę przykuł odcinek serialu „L. A. Law”. Poprawiła się na kanapie i z zainteresowaniem oglądała scenę, rozgrywającą się na sali sądowej. Nie odrywała wzroku od ekranu, gdy Grace Van Owen, pani prokurator, rozprawiała się ze świadkiem. Choć ten serial należał do jej ulubionych programów telewizyjnych, oglądała go rzadko ze względu na późne powroty do domu. Rand przycupnął na podłodze u jej stóp. Valentine zmarszczyła brwi; na ekranie Grace zaklinała Mickeya, swego kochanka, by zrozumiał, że nie będzie w stanie z nim sypiać przez co najmniej pięć dni.

– Ile w tym prawdy? – zaciekawił się Rand.

W przerwie na reklamy zachwalano zalety odświeżacza powietrza. Val opuściła głowę.

– Tyle, ile można przedstawić na ekranie. Kiedy bronisz lub oskarżasz, mieszkasz, jadasz, sypiasz z daną sprawą. Dla dobra klienta poruszysz niebo i ziemię. Zdarza się, że nie kładę się spać do drugiej lub trzeciej, wstaję o piątej, o szóstej jestem w gabinecie, a o ósmej w

sądzie.

– Uwielbiasz to – stwierdził raczej, niż zapytał.

– Dawniej tak. Chyba się wypaliłam. Niedawno przyłapałam się na tym, że coraz więcej spraw przekazuję współpracownikom. Oczywiście, trzymam nad wszystkim pieczę, co jest prawie równie męczące. Chcę się wycofać, dopóki jestem na szczycie. Według własnej oceny, ma się rozumieć.

– Czy możesz sobie na to pozwolić z punktu widzenia finansowego? – zainteresował się.

– Dokonałam kilku rozsądnych inwestycji. Nie narzekam na stan mojego konta. I zawsze mogę sprzedać kancelarię. Moi współpracownicy to zdolni prawnicy, sama ich wybierałam. Wystarczyłaby mi rola konsultanta, tak po prostu, żeby nie wyjść z praktyki.

– Więc twoja decyzja o zaprzestaniu pracy dla Colemanów nie ma nic wspólnego z rodziną jako taką a z Susan w szczególności?

– I tak, i nie. Naprawdę mam dość wszystkich Susan tego świata. I mam po dziurki w nosie bezwzględne środowisko prawnicze i wymagających klientów. Może dlatego tak mi się spodobał pomysł otworzenia małej kancelarii w miasteczku takim jak to.

– Sam nie wiem, Val. Wydajesz mi się taka samotna.

– Przywykłam do tego. Nie mogę powiedzieć, żebym ostatnimi czasy uskarżała się na tłumy wokół siebie.

– Żałujesz, że nie wyszłaś za męża?

– Nie można żałować czegoś, czego się nigdy nie zaznało. Pewnie masz na myśli posiadanie rodziny: dzieciaki, koty, psy i cała reszta?

– No, właściwie tak.

– Chyba... nie. Ty też ożeniłaś się nie będąc już młodzieńcem. Żałujesz, że nie zrobiłaś tego wcześniej?

– Nie. Ale z wiekiem coraz bardziej pragnie się poczucia bezpieczeństwa, jakie daje małżeństwo.

– Poczucie bezpieczeństwa. Rutyna. Opiekunka na stare lata. Zaskoczyłeś mnie, Rand. .

– Naprawdę? Dlaczego?

– Miałam cię za niespokojnego ducha. Trudno mi uwierzyć, że mieszkasz na rajskiej wyspie i.... i po prostu egzystujesz.

– Nie tylko – obruszył się. – Nadzoruj ę rafinerię.

– I?

– Co: i... ?

– I wylegujesz się na słońcu, bawisz się, leniuchujesz. Odkąd cię ostatnio widziałam, przybyło ci co najmniej piętnaście funtów. To pewnie wpływ spokojnego życia. A co porabia Maggie?

Co porabia Maggie? Skupił się nad odpowiedzią. Co do cholery robi Maggie? Ilekroć chciał lecieć na sąsiednie wyspy, była gotowa mu towarzyszyć. Zawsze miała ochotę na spacer po plaży, na wspólną kolację w restauracji, na seks. Dużo pływała i czytała. Wzruszył ramionami.

– Wkrótce przejmie Billie Limited. Myślałem, że już ci mówiłem. – Jego uwagi nie uszedł defensywny ton w jego głosie. Opróżnił puszkę do dna. – Ach, coś ci się nie podoba?

– Ależ nie, skąd. To jej sprawa, co robi ze swoim życiem. To samo dotyczy Susan. Nic jednak nie poradzę na to, że ciągle się zastanawiam, jak one by sobie poradziły bez pomocy rodziny. I ty też, lordzie Nelson.

– Bardzo dużo w tobie goryczy, Val.

Mimo bojowej iskiej w oczach ugryzła się w język. Upiła łyk piwa. Rand dorzucił drwa do ognia.

– Czasami tęsknię za zimnem – wyznał. – Co roku staram się przyjechać do Stanów co najmniej raz w zimie. Modlę się wówczas o śnieg. Bardzo lubię kominki , takie jak ten.

– Ja mam kominek w domu, ale nigdy w nim nie paliłam. – Val poprawiła się na stosie poduszek. – Wiesz, jeden z tych nowoczesnych

modeli na sztuczne drewno płożące na niebiesko. Dekorator wewnątrz otoczył go lustrami.

– To okropne.

– I takie jest. – Roześmiała się. – Właśnie dlatego tak mi się podoba taki jak ten. Wiesz co dziś widziałam? Księgarnię. Jest tam identyczny kominek, a przy nim stół i krzesła. Można się napić kawy i herbaty. Kupujący siedzą sobie i czytają pół książki, zanim zdecydują: kupić czy nie. Ogień się nie palił, ale na palenisku stał koszyk szyszek sosnowych, a obok spał wielki pręgowany kot. W okolicy mieszkają chyba jacyś pisarze, bo ich książki wraz z fotografiami wyeksponowano na gzymsie. Urocz, nie uważasz?

– Lubisz czytać? – zapytał.

– Czytałam, ilekroć miałam wolną chwilę. Z dzieciństwa pamiętam, jak przeżywałam przygody Nancy Drew. Boże, oddałabym wszystko, żeby mieć takie życie jak ona. Pamiętasz stare filmy z Shirley Tempie? Uwielbiałam je. – Ziewnęła, miała wrażenie, że trochę bełkocze. A nawet jeśli, to co z tego? Od lat się nie upiła. Ma do tego cholerne prawo. Wpatrywała się w płomień. – Czy czasami żałujesz, że w przeszłości postąpiłaś tak, a nie inaczej?

Nie odpowiedział od razu. Zastanowił się. Tak, wszyscy czegoś żałują. Ciekawe, czy Val również.

– No więc – zniecierpliwiła się. – Tak czy nie? Podniósł puszkę z podłogi.

– Tak. Żałuję, że nie spędzałem więcej czasu z matką. Żałuję, że tak naskoczyłem na Cary'ego, kiedy nam powiedział, że ma romans. Przecież się przyznał, do cholery. Żałuję, że skrzywdziłem Sawyer. Żałuję, że nie tuliłem częściej Najdroższej Sally... To była moja przytulanka, wypchany kotek. Czy to wyczerpująca odpowiedź na twoje pytanie? A co z tobą?

– Niczego nie żałuję, ani jednej rzeczy. Na pewno myślałaś, że nie

mogę się od takich myśli opędzić, co?

W istocie, tak myślał. Wystrychnęła go na dudka. – Kawał łotrzyicy z ciebie – stwierdził.

– To prawda. Wiesz, gdyby ktoś mnie zapytał, z czego jestem najbardziej dumna, powiedziałabym... Masz coś, co napawa cię dumą, Randzie?

– Jasne. Dużo rzeczy.

– Wymień jedną. – Nie dawała za wygraną.

– Co miesiąc wysyłam pieniądze matce Chesney – odparł.

– To się nie liczy. Pieniędźmi nie wynagrodzisz jej tych lat, gdy nie było cię u jej boku, a ona cię potrzebowała. Musisz ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Comiesięczna przesyłka finansowa nie załatwia sprawy, wasza lordowska mość.

– Przestań mnie tak nazywać. Pieniędźmi są ważne. Płacę poważne sumy na cele dobroczynne.

– I słusznie. Ci, którzy mieli w życiu mniej szczęścia, zasługują na pomoc. Mówię o czymś wielkim, o czymś, co coś zmieniło. Jesteś mężczyzną, więc pewnie w twoim życiu nie ma nic takiego.

– Ach, tak? A co z panią, pani mecenas? Cóż takiego pani zrobiła, co zmieniło losy świata? – zapytał ironicznie.

– Ja – Val wymawiała każde słowo bardzo wyraźnie – brałam udział w marszu na Selmę, wiesz, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym, z Martinem Luterem Kingiem. I w demonstracjach antywojennych w Waszyngtonie. Z tego jestem najbardziej dumna.

Objął ją ramieniem.

– Masz rację, Val. To jest powód do dumy. – Dopił piwo do końca i od razu sięgnął po dwie kolejne puszki. Jedną podał Val. – Za Selmę i Wietnam.

– Nikomu o tym nie mówiłam. Nie wiem, dlaczego powiedziałam akurat tobie. – Odwróciła się, chcąc spojrzeć mu w twarz. – Nie mów o

tym nikomu, dobrze? To mój prywatny skarb, który czasami wyciągam z ukrycia i napawam się nim.

– Nie pisnę ani słóweczka – uspokoił ją. – Pani mecenas, ma pani bardzo ładne oczy.

– Ty także, lordzie – szepnęła bez tchu. – Chyba się upiliśmy, a przez to oboje reagujemy inaczej niż zazwyczaj. Może powinniśmy iść do łóżka. Ty do swojego, i ja do mojego – dodała pośpiesznie.

– Na piętrze jest bardzo zimno. Wyłączyłem ogrzewanie. Może prześpiemy się tutaj, przy kominku?

– A co będzie, jeśli ogień zgaśnie?

– Nie zgaśnie. Będzie się palił przez co najmniej cztery godziny. Takie drewno długo się pali. Jeśli będzie nam zimno, dorzucę dREW. – Nie cierpię, kiedy jest mi zimno – mruknęła.

– Ja też nie. Teraz ci ciepło? – Okrył ją biało-fioletowym kocem.

– Jak w piecu. – Oparła głowę na jego ramieniu. – A tobie? – Val...

– Tak?

– Val, ja...

– Tak? – Przytuliła się do niego.

– Może to nie był najlepszy pomysł.

– Nie obawiaj się, ufam ci. Śpijmy już. Chrapiesz?

– Koncertowo. A ty?

– Kobiety nie chrapią. Dobranoc. Jutro musimy wstąpić.

– Po prostu myślałem o nas – wymamrotał.

– Nie ma „nas”, Rand. Wybij to sobie z głowy. Jesteś żonaty. Innymi słowy, masz żonę, a mężowie nie powinni zdradzać żon. Żony twierdzą... co do cholery twierdzą żony? – mruzczała. Chyba się upiła. Zachichotała.

– Żony mówią wiele rzeczy – odezwał się Rand. – I to przez cały czas. Dniami i nocami. Mają swoje zdanie na każdy temat. Czasami nie mają swojego zdania, wtedy klonują opinię męża. Co pani na to, pani

mecenas? Bystre spostrzeżenie, co?

– Żony mówią do mężów... mówią do nich: „Możesz popatrzeć, ale nie wolno ci dotykać”. Więc patrz sobie, ale nie dotykaj. – Nie wiadomo kiedy w jej głosie pojawiła się wrogość.

Zmarszczył brwi.

– Zwariowałaś? O co ci chodzi? – Maggie nigdy nie wariowała. Maggie nigdy się nie dąsała.

– Kto powiedział, że zwariowałam? – wybełkotała Val.

– Wyglądasz jak wariatka. Mówisz tak samo. Chyba jesteś zła na cały świat. To nie jest sala sądowa. Odpręż się, zrelaksuj. Co powiesz na jeszcze jedno piwo? Została nam ostatnia puszka. Możemy też otworzyć wino.

– Wino... Do wina potrzebne są świece.

– Tylko wtedy, jeśli planujesz kogoś uwieść. – Rand powoli wybierał odpowiednie słowa. – A to oznacza, że ... kto właściwie jest uwodzony, a kto uwodzący?

– Wybij to sobie z głowy, wasza lordowska mość. Nie dostaniesz się do moich maj teczek! – pisnęła.

– Droga pani mecenas, to sformułowanie panią demaskuje. Słyszałem je z ust dziewcząt, gdy miałem siedemnaście lat. Cóż to dokładnie znaczy? Co najmniej godzinę zajęłoby mi wyłuskanie cię z tych dzinsów. – Zaniósł się pijackim śmiechem i z głośnym siorbnięciem napił się piwa.

Val miała ochotę płakać, sama nie wiedziała dlaczego. Gwałtownym ruchem wytrąciła mu puszkę z ręki. Piana rozlała się po podłodze.

– To, co mi powiedziałeś, było okrutne i nieuprzejme. Nienawidzę ludzi twego pokroju. Odsuń się, jesteś żonaty! – Na czworakach popęzła do kominka, tuląc do siebie dwie poduszki, które podniosła z podłogi. W jej oczach lśniły łzy. Pociągnęła nosem, otarła oczy

rękawem bluzy.

– Wyglądasz paskudnie, kiedy płaczesz – zauważył.

Czknęła głośno.

– Wolę wyglądać paskudnie niż mieć paskudne serce, jak ty. Nienawidzę twojego brytyjskiego akcentu. Jest taki cholernie.. . egzaltowany. Nie zbliżaj się do mnie, bo... bo...

– Bo co? – prychnął. – Powiesz Maggie? Nie uwierzyłyby. Kocha mnie. Kocha mnie tak bardzo, że mnie dławi swoją miłością. Stała się.. . częścią mnie. To się nazywa prawdziwa miłość. – Podszedł bliżej.

Val się cofnęła. Obawiała się, że traci kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Nie podobały jej się uczucia, które w sobie odkrywała. Ogarnął ją strach. Nie miało to nic wspólnego z ilością wypitego alkoholu.

– Posuwamy się za daleko, Rand. Wcale mi się to nie podoba. Będę spała na górze. Wstanę rano i pościelę łóżko, Nie puścił jej, złapał za rękę. Bez przekonania próbowała się wyrwać, rzuciła w niego poduszką. Poślizgnęła się, osunęła na podłogę, jak tarczą osłaniając się drugą poduszką. Rand delikatnie przyciągnął ją do siebie.

– Powinniśmy się zastanowić – szepnęła ochryple. – Oboje wypiliśmy trochę za dużo, a kominek...

– Jest boski. – Mocował się z jej dzinsami. – Ulegliśmy urokowi chwili. Nikt nigdy się o tym nie dowie. – Nie ukrywał podniecenia.

– Oprócz nas jęknęła gardłowo. Miażdżył ją o swoją klatkę piersiową, gdy zsuwał jej spodnie niżej i niżej.

Zaprzestała walki. Od tak dawna nie była z mężczyzną. Zapomniała o Maggie, o Colemanach, i uległa emocjom. Otoczyła szyję Randa ramionami, przyciągnęła go bliżej.

– Marzyłem o tym, odkąd spotkaliśmy się na lotnisku – wyznał.

– Za dużo mówisz. – Zamknęła mu usta pocałunkiem.

Jak kochankowie pieścili się i dotykali, aż Rand myślał, że straci

panowanie nad sobą.

– Budzisz we mnie najprymitywniejsze instynkty – szepnął.

– Udowodnij – odparła. Zrobił to, raz za razem.

– Moim zdaniem – odezwała się Val dużo, dużo później – był to najlepszy seks w moim życiu.

Rand przeciągnął się leniwie, przytulił ją.

– Zgadzam się w zupełności.

– Nie powtórzymy tego, prawda? – zapytała ze smutkiem.

– Nie byłoby to zbyt rozsądne.

Wydawało się jej, że usłyszała w jego głosie nutę rozpacz.

– To i tak nie byłoby to samo. Nigdy nie jest tak jak za pierwszym razem.

– Pewnie masz rację – pieścił ustami jej szyję.

– Zawsze mam rację – poprawiła markotnie.

– Już mi ciebie brakuje – szepnął.

– Ćsss – położyła mu palec na ustach. – Śpij. Spokojnych snów.

– Nie chcę spać. Chcę się z tobą kochać – wymamrotał. – Jesteś wspaniałą kobietą, Valentine Mitchell.

– Nie ty jeden tak uważasz – Z jej oczu spłynęła pojedyncza łza, kiedy się pochyliła, by lekko pocałować Randa w usta.

W ciągu półtorej godziny zdążyła wziąć prysznic, spakować się i ubrać. Pojechała na lotnisko taksówką. Do świtu wpatrywała się w ciemne niebo, aż wezwano pasażerów lecących do Los Angeles. Po wylądowaniu wsiadła do swego lamborghini.

Dwadzieścia cztery godziny później otworzyła drzwi swego apartamentu w Wieżowcu Assante. Dopiero wtedy się załamała. Płakała, dopóki starczyło jej łez. Potem zasnęła.

Rozdział ósmy

Ivy doglądała nakrywania stołu w jadalni z małym Mossem opartym o jej biodro.

– Chyba wszystko w porządku – poinformowała synka. – Tulipany są prześliczne. Billie kocha tulipany. Ja też. Zdaje się, że cały świat kocha tulipany. Lada moment tatuś wróci do domu, co ty na to? – zapytała malucha. – A z nim Cole. Wszystko się ułoży. Nawet Cary tu przyjedzie, co prawda na wózku inwalidzkim, ale najważniejsze, że będzie z nami. Wszystko się ułoży. Nie może być inaczej. – Tak naprawdę przekonywała samą siebie. Bardzo chciała uwierzyć we własne słowa.

Pochyliła się, by ucałować puszystą główkę synka. Jak dobrze trzymać go w ramionach. Był ciałem z jej ciała, krwią z jej krwi. Jej i Riley'a.

– Hej, uczinasz sobie na mnie drzemkę, mały draniu! – Połaskotała go w podbródek, ale był zbyt zaspany, by wybuchnąć śmiechem, jak zazwyczaj. Z głośnym westchnieniem podeszła do schodów. – Tatuś cię obudzi, kiedy przyjedzie. – Niemal z czcią ułożyła synka w kołysce. Uśmiechnęła się widząc, jak odruchowo wsadza kciuk do buzi i sięga po pluszową maskotkę. – Wiesz, Moss, czasami nie wiem, czy Kocham cię tak samo jak twojego ojca czy jeszcze bardziej. – Przepelniała ją miłość, w oczach miała łzy szczęścia.

Billie zajrzała przez uchylone drzwi.

– Jest śliczny – szepnęła. – Masz szczęście, Kochanie.

– Wiem o tym.

– Zawsze mi się chciało płakać, kiedy układałam dzieci do snu. Te chwile należą do moich najmiłszych wspomnień. Czasami, kiedy... kiedy nie czuję się najlepiej, wspominam i... i staram się ułożyć przeszłość chronologicznie. Zapisuję to, co pamiętam, w kółko dodaję

nowe szczegóły. W tej chwili doszłam do czasu, gdy Riley senior zaciągnął się do wojska. Wtedy byłam jeszcze żoną dziadka małego Mossa. To nie był najlepszy okres w moim życiu... – stwierdziła ze smutkiem.

Ivy objęła ją serdecznie. Nie wiedziała, kto kogo pociesza.

– Wszystko będzie dobrze, Ivy. Chwilowo panuje chaos, ale jak mawiała Amelia, w życiu nie może się wszystko układać jak po maśle, bo wówczas gnuśniejemy i tracimy energię.

Iyy pociągnęła nosem, wytarła oczy rękawem koszuli.

– Kochanie, proszę, zamknij drzwi. Muszę z tobą porozmawiać.

Billie usiadła w wiklinowym fotelu na biegunach, Iyy przycupnęła na wiel¹ kim pudle klocków.

– Chcę cię o coś prosić. Nie mogę się z tym zwrócić do kogokolwiek innego, bo... Nie sądzę, żeby byli w stanie spełnić moją prośbę. Thadowi byłoby najtrudniej. Początkowo myślałam o Carym, ale zmieniłam zdanie, nie dlatego, że miał wypadek, lecz... Plotę bez sensu, Ivy, ponieważ obawiam się, że odmówisz. Kochanie, proszę, wysłuchaj mnie najpierw i przemyśl to sobie dokładnie, zanim odpowiesz. I jeszcze jedno, Ivy. Ta rozmowa musi pozostać między nami, przynajmniej na razie. Nie mów o niczym Rileyowi. Wiem, że nie powinnam cię prosić, byś miała przed nim tajemnice... Ojej, strasznie owijam w bawełnę, prawda?

Ivy uśmiechnęła się blado. Jej serce waliło szaleńczym rytmem. Obserwowała, jak Billie wyjmuje z kieszeni podłużny pakiecik. Wzięła go bez wahania, ale z pytaniem w oczach.

– To mój testament, Ivy – oznajmiła Billie spokojnie. – Musisz mi obiecać, że zrobisz, o co cię poproszę. Ani Thad, ani nikt inny nie będzie do tego zdolny. Wybrałam cię, bo pod wieloma względami przypominasz mi mnie samą gdy byłam w twoim wieku, chociaż masz chyba więcej energii. Zrobisz to, Ivy?

Nie zastanawiała się, nie roztrząsała. Od razu skinęła głową. Za jej plecami poruszył się synek. Automatycznie nakręciła jego ulubioną pozytywkę. Musiała odchrząknąć, zanim była w stanie się odezwać:

– Co... co jest na tej kasecie? Kiedy mam to obejrzeć?

– Najlepiej zaraz. Masz w sypialni telewizor i magnetowid, prawda? Może popatrzymy na to razem. – Billie mówiła cicho, nie patrząc jej w oczy.

W sypialni Ivy wsunęła kasetę do odtwarzacza i zmniejszyła głośność. Zanim usiadła na łóżku obok Billie, zamknęła drzwi na klucz. Nigdy w życiu nie było jej tak zimno, tak smutno. Billie wzięła ją za rękę. Z uścisku suchej dłoni płynęła siła. Ivy nie chciała patrzeć na ekran, jednak nie miała wyjścia. Co chwila chrząkała nerwowo. Po pięciu minutach wsunęła kasetę do pudełka i ukryła ją w koszyku z robótkami ręcznymi. Czowała się jak zwierzę schwytane w pułapkę.

– Odpowiesz mi jutro? – poprosiła nerwowo Billie.

– Nie ma sensu czekać tak długo. – Ivy podeszła do łóżka. – Nie muszę się nad niczym zastanawiać. Jeśli właśnie tego chcesz, jeśli jesteś o tym przekonana, zrób to. Poradzę sobie. Nie musisz się o nic martwić. – Objęła kruchą postać. Chciała przytulić ją do siebie z całej siły, tchnąć życie w osłabiony organizm. Chciała ją chronić, jak chroniła Mossa.

– Czy zrobisz dla mnie coś jeszcze, Ivy? : .

– Jeśli tylko będzie to w mojej mocy. Billie zagryzła dolną wargę.

– Raz na jakiś czas, gdy nie będziesz zbyt zajęta, przyjdź na wzgórze i, .. opowiedz mi, co się dzieje. Będę chciała wiedzieć o Mossie, Kąty i Josie. Nie zaraz na początku, później. Amelia i ja będziemy nadrabiały zaległości; Zrobisz to dla mnie? – W oczach Billie lśniły łzy.

Ivy się rozplakała. Billie ukryła twarz na jej ramieniu.

– Nie będę się więcej mazać – oznajmiła Billie zdecydowanie,

sięgając po paczkę chusteczek jednorazowych, które leżały na nocnym stoliku. – Na początku ciągle płakałam, szlochałam... Chciałam być silna, tak jak Amelia. Amelia była dla mnie kimś więcej niż tylko bratową. Była moją najlepszą przyjaciółką. Kochałam ją równie mocno jak Cary. Proszę Boga, by dał mi tyle siły, ile dał jej. Czasami mam wrażenie, że mnie wysłuchał, kiedy indziej zdaje mi się, że nie ma dla mnie czasu. Chyba nie powinnam tak myśleć. Albo się wierzy, albo nie. Amelia powiedziała kiedyś, że nie wolno się z Nim targować, więc tego nie robię. Bądź dobra dla naszej rodziny, Ivy. Czas zejść na dół. Pewnie wszyscy się już zebraли. Pójdę pierwsza. Na pewno chcesz jeszcze zajrzeć do małego Mossa. Dziękuję, Ivy. – Billie ponownie przytuliła młodą kobietę!

Ivy nie była w stanie mówić, skinęła tylko głową. W sąsiednim pokoju dziecinnym od razu podeszła do bujanego fotela. W pluszowym siedzeniu pozostało zaledwie lekkie wgłębienie. Z twarzą ukrytą w dłoniach myślała o testamencie Billie.

Żadnej aparatury podtrzymującej życie. Wszelkie organy nie zaatakowane przez chorobę mają iść do banku organów. Słowo „eutanazja” przeszło ją dreszczem. Jakie będą tego skutki? Usiłowała sobie przypomnieć, czy ostatnio nie czytała czegoś na ten temat. Czyżby zgodziła się na coś niezgodnego z prawem? Rodzina... Boże, co oni na to powiedzą? Wyobraziła sobie reakcję Susan. Czy Riley będzie u jej boku?

W mgnieniu oka zerwała się z fotela. Miała szaloną ochotę ukryć się w kołysce, u boku synka. Co będzie, jeśli rodzina odwróci się do niej plecami? Co będzie, jeśli Riley... ? Wsunęła dłoń między pręty kołyski, pogłaskała synka po główce.

– Wtedy będzie nas tylko dwoje, stary – szepnęła do śpiącego dziecka.

Po powrocie do sypialni pierwsze kroki skierowała do łazienki i

opryskała twarz zimną wodą Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jak to możliwe, że wygląda tak samo jak wtedy, gdy zanosila małego Mossa na górę? Mogła się spodziewać, że będzie wyglądać... okropnie. Strasznie. Otworzyła puderniczkę.

Billie życzyła sobie, aby ją pochowano na wzgórzu. Jak Thad zniesie świadomość, że spoczywa u boku pierwszego męża? Dobry Boże, zafrasowała się, w co ja się wpakowałam? Słowa Billie zabrzmiały jej w uszach: „Ivy, jesteś wykonawczynią mojego testamentu”. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie bitwy, które będzie musiała stoczyć. Zaraz jutro pojedzie z kasetą do Valentine Mitchell. Podejmując tę decyzję, poczuła ulgę.

Teraz zejdzie na dół z uśmiechem na ustach. Będzie idealną gospodynią. Ścisnęła kciuki. *Proszę, Panie Boże, niech Susan na mnie nie wrzeszczy:*

Tylnymi schodami zeszła do kuchni. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Gulasz wołowy, chleb domowego wypieku, zielona sałata i groszek. Jonquil nie radziła już sobie z gotowaniem potraw wymagających większej ilości garnków. Wszyscy przepadali za jej gulaszem z wołowiny Colemanów. Nikt nie będzie narzekał, a po kolacji nie zostaną żadne resztki, jak zwykle, gdy Jonquil serwowała gulasz. Deser brzoskwiniowy wyglądał bardzo apetycznie. Billie bardzo go lubiła, podobnie jak Riley.

– Niech pani lepiej do nich idzie, pani Ivy – mruknęła Jonquil. – Pani Sawyer ma już ostro w czubie. Pani Susan... pije od kilku godzin.

Ivy głęboko zaczerpnęła powietrza i weszła do dużego salonu w tylnej części domu.

– No proszę – stwierdziła pogodnie. – Zebraliśmy się prawie w komplecie. Riley i Cole zjawia się lada chwila, niedługo Thad przyjedzie z Carym. Maggie, wypijemy na spótkę piwo imbirowe?

Maggie wyciągnęła swoją szklankę w jej stronę.

– Z przyjemnością. Prosiłam Jonquil, żeby przyniosła dodatkowe nakrycie. Rand dzwonił z lotniska. Już tu jedzie. Będziemy w komplecie.

– I co, pani na Sunbridge, myślisz, że sobie z tym poradzisz? – wybełkotała Susan.

– Na trzeźwo poradzę sobie ze wszystkim, Susan, – Czyżbym miała się doszukiwać jakiejś aluzji i w twoich słowach? – Sawy er podniosła butelkę piwa do ust.

Ivy roześmiała się sztucznie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że sobie poradzę. Ze wszystkim. – Mówiąc, nie spuszczała oka z Susan. – Gulasz już gotowy, ale wszyscy wiemy, że im dłużej się gotuje, tym jest lepszy. Może opowiemy sobie rodzinne ploteczki? Bardzo jestem ciekawa, jak się mają bliźniaczki. Nie wiem, jak ty to robisz, Sawyer. Mnie wykańcza nawet sam Moss. Dwie małe dziewczynki, to cudowne. Billie opowiadała mi o sukieneczkach, które zaprojektowała dla nich na Wielkanoc. – Ivy posłała Sawyer, która zawsze była po jej stronie, błagalne spojrzenie.

– Tak, kochanie, opowiedz, co u małych – podchwyciła Billie. – A potem ja powspominam, co ty robiłaś, będąc w ich wieku.

Oczy Maggie pociemniały. Nie znosiła, kiedy matka poruszała ten temat. Ona nie miała zielonego pojęcia, co jej córka Sawyer robiła, a czego nie, kiedy miała dwa lata.

– Nie uwierzycie, co wyprawiają – stwierdziła Sawyer dumnie. – Adam daje sobie z nimi radę lepiej ode mnie. W zeszłym miesiącu dorwały się do telefonu i dzwoniły do Grecji, Australii, gdzie tylko się dało. Adam nieźle im przyłożył. Josie pokazała mu język, a Kąty kopnęła w łydkę. To dwa małe potwory. Mimo to kocham je bardzo, bo to moje dzieci. – Zamyśliła się. – Nie uważacie, że to dziwne, że Kąty ma włosy proste, a Josie loki? Przecież obojgu nam, Adamowi i mnie. włosy się kręca.

– No i co z tego? – burknęła Susan. Sawyer upiła łyk piwa.

– Nie powiedziałam, że to coś znaczy, tylko że to dziwne. Niedobrze mi na twój widok, Susan. Poza tym jesteś zalana, a ja nie lubię rozmawiać z pijakami. Idź na górę i się prześpij.

– Na Boga, dziewczęta, o co wam chodzi? – Billie usiłowała załagodzić sytuację. – Nie psujcie nastroju. Lada chwila będzie tu Cary. Proszę, nie zmieniajcie jego powrotu do domu na wjazd na pole bitwy. Gwoli ścisłości, obie jesteście pijane, a jedyne, czego nie toleruję, to zalanych kobiet. Proponuję, żebyście obie poszły do kuchni i napiły się kawy.

– Ale im powiedziałaś, mamó – syknęła Maggie.

– To tylko prośba, nie rozkaz. – Billie miała łzy w oczach.

– W takim razie – Susan zachichotała głupkowato. – Nie spełnię jej.

– Owszem, spełnisz – wycodziła Ivy. – Obie macie wytrzeźwieć przed przyjazdem reszty.

Sawyer ostrożnie odstawiła butelkę na stół. Miała smutne spojrzenie i potargane włosy.

– Przepraszam, Ivy. Po prostu wydawało mi się, że muszę sobie jakoś dodać odwagi przed spotkaniem z Cole’em i, zanim się spostrzegłam, miałam ostro w czubie. Idę po kawę. Co z tobą, Susan?

– Och, za nic w świecie nie chciałabym przynieść wstydu pani domu, więc idę z tobą. – Zataczając się, ruszyła za Sawyer.

Billie westchnęła ciężko. Gdzie się podziewa Thad? On uporałby się ze wszystkim. Spojrzała na najstarszą córkę.

– Coś jest nie tak, Maggie?

Na rany boskie, nie wiesz, nie widzisz? Jesteśmy załamani. W tej chwili oddałabym życie za najmniejszego drinka, ale wiem, że jeśli się napiję, nie będzie ze mnie żadnego pożytku.

– Susan rozstała się z Ferrisem. Postąpił podobnie jak Jerome. Rand i Valentine Mitchell już się tym zajęli. Z przyjemnością cię informuję,

że, jak wynika ze słów Randa, Susan ma teraz małą fortunę. Na razie zamieszka z nami na Hawajach. Pomoże mi prowadzić Billie Limited. To dobrze zrobi nam obu. Widok małego Mossa... Na pewno myślała o swojej córeczce, a ponadto... ostatnio dużo przeszła. – Maggie wzięła siostrę w obronę.

– A to, że zobaczyła mnie w takim stanie, na pewno nie poprawiło sytuacji – dokończyła Billie spokojnie. – Biedna Susan, zawsze wybiera niewłaściwych mężczyzn. – Ogarnął ją niewypowiedziany smutek. Nigdy nie miała okazji, żeby zacieśnić więzy z córką ale dzięki Amelii Susan żyła tak, jak zawsze chciała, była pianistką koncertowała. Teraz jest za późno. Billie nie może jej pomóc. W głębi serca uważała Susan za osobę niezdolną do uczuć, i o to obwinięła się najbardziej. Córka nigdy nie patrzyła na nią z miłością.

Czuła, że zaraz się rozklei. Musi wziąć się w garść, żeby najbliżsi nie zobaczyli, jak jest słaba. Z trudem skoncentrowała się na słowach Maggie.

– To również – odparła Maggie równie spokojnie. Trzeba było nam powiedzieć, mamo. Czuję się, jakbyśmy się w ogóle nie liczyły, jakbyśmy nie były na tyle ważne, by dzielić z tobą to, przez co przechodzisz. – Szloch w jej głosie rozdzierał Billie serce.

– Nie, kochanie, to zupełnie nie tak. Za bardzo was kocham, żeby was unieszczęśliwiać choćby o chwilę dłużej niż to niezbędne. Jeśli to sprawi ci jakąś pociechę, Thad codziennie namawiał innie do zmiany decyzji. Słusznie czy nie, tego właśnie chciałam. Życie toczy się dalej, kochana Maggie, i kiedy pokonamy kryzys, który nas tu sprowadził, wrócę z Thadem do Vermont.

Żelazne opanowanie w głosie Billie zaskoczyło Ivy. Miała ochotę klaskać i krzyknąć „Brawo!” Zamiast tego posłała babce Rileya pogodny uśmiech i puściła do niej oko.

Przyjechali wszyscy jednocześnie: Thad, Gary, Riley, Cole i Rand.

Najpierw usłyszały silniki trzech samochodów, trzy klaksony trąbiące na powitanie. Potem nastąpiły głośne powitania. Mężczyźni wrócili do domu.

Ivy pobiegła, do Rileya, Maggie do Randa, Thad i Cole do Billie.

– Idź do babci – szepnęła Ivy mężowi na ucho. Przez lzy patrzyła, jak mężczyźni tłoczą się wokół Billie. Otacza ją tyle miłości, pomyślała.

– A co ze mną? – Cary zwrócił na siebie uwagę głośnym krzykiem.

– Cześć! – Ivy się roześmiała. – Co z tobą? Jesteś z nami, czegoż mógłbyś chcieć więcej? – zażartowała.

– Powiedz im, Thad – zażądał Cary.

– Porwaliśmy go – wyznał Thad z szelmowskim uśmiechem. – Sam nie dałbym sobie rady. Akurat pojawił się Rand i we dwóch przeszmuglowaliśmy go niepostrzeżenie ze szpitala.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Billie. – Cary, czy jesteś już na tyle silny?

– Raczej nie. Ale i tak jutro wypisałbym się na własne życzenie, więc kilka godzin wcześniej czy później nie sprawia specjalnej różnicy. Lekarze, wbrew pozorom, nie są wszystkowiedzący. Najważniejsze, że jestem tu z, wami. Cokolwiek byście mówili, jest to kolacja na moją cześć. Doceniam to, że wszyscy tu jesteście. Zawsze najbardziej podobało mi się to, że ilekroć jedno z was jest w tarapatach, pozostali zjeżdżają się z całego świata, żeby pomóc. Trzymacie się razem w ciężkich chwilach. Jestem wam wdzięczny za wsparcie, miłość i za to, że przyjęliście mnie do rodziny. Bez was nie przetrwałbym... do licha, wiecie, o co mi chodzi. Koniec przemówienia. – Skrzywił się zabawnie.

– Najwyższy czas – odezwała się Susan. – Chcesz się czegoś napić, Cary?

– To ty, Susy? – Wyciągnął rękę.

– We własnej osobie. Na co masz ochotę?

– Podaj mi to, co sama pijesz. O ile mnie węc nie myli, na kolację mamy gulasz wołowy i świeży chleb. Nie chcę sobie popsuć apetytu.

Susan spojrzała na Ivy. Ta odpowiedziała uśmiechem.

– Ja piję oranżadę – powiedziała Susan. – Niedawno wypilał trochę za dużo i jak zwykle zrobiłam z siebie idiotkę. Co powiesz na zimne piwo? – Ciepły ton jej głosu wywołał zdumienie na wielu twarzach, nie wyłączając Billie.

– Czemu nie? Niech wszyscy coś mówią, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteście. – Kiedy dokoła wybuchła kakofonia dźwięków, roześmiał się głośno. – Ale nie jednocześnie, każdy po kolei. Gdzie Moss? Ivy, jest tutaj?

– Niestety nie. Zasnął niecałą godzinę temu. Może się obudzi, czasami tak jest, kiedy ojciec nie układa go do snu.

– Proszę, Cary – Susan wsunęła mu w dłonie butelkę budweisera. Ivy uniosła brwi w zdziwieniu na widok nagle złagodniałej twarzy Susan i sposobu, w jaki dotykała ręki Cary’ego. Mówiła do niego czule i łagodnie, jakby w pokoju nie było nikogo oprócz nich dwojga. Wygląda, jakby była w nim zakochana, stwierdziła w myślach.

Cole pierwszy przerwał chwilowe milczenie.

– Jak leci, młoda mamó? – zapytał Ivy. Pogodnemu tonowi głosu przeczyła rozpacz w spojrzeniu.

– Jakoś. Czasami lepiej, czasami gorzej. Najważniejsze to się nie załamywać, bo wtedy najtrudniej ponownie stanąć na nogi. – Ivy uściskała go serdecznie. – Co u Sumi? Mam przeczucie, że to będzie chłopak. Albo dziewczynka – dodała ze śmiechem. Kątem oka zobaczyła, że z kuchni idzie Sawyer, i szybko podeszła do męża. Przy ciągnął ją do siebie. Oparła mu głowę na ramieniu.

Sawyer zauważyła Cole’a, zanim on spostrzegł ją. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, jak się zachować i powiedziała mu to.

– Kiedy ja nie wiem, jak się zachować, słucham instynktu i mówię

sobie: „pieprz to” – odparł spokojnie.

– Tak, ja też tak robię – przyznała ochryple. – Chyba... chyba mnie poniosło podczas tamtej rozmowy.

– Mnie również. Ostatnio miałem ciężki okres. Ja... – Chciał powiedzieć, że mu przykro, zrobić coś, by siostra nie miała już takiej nieszczęśliwej miny, ale to byłyby tylko słowa. Sawyer nigdy nie przywiązywała do nich wagi, nie w sytuacjach, gdzie czyny liczyły się bardziej. Podeszedł bliżej i zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. Jej westchnienie zabrzmiało w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka. Teraz mógł to powiedzieć. – Przykro mi, Sawyer.

– Mnie też. Udawajmy, że nic się nie stało, i zaczniemy od początku. Nawet sobie nie wyobrażasz, co ci mam do powiedzenia.

– Na pewno nie przebijesz moich rewelacji – mruknął Cole.

– Pogadamy wieczorem, kiedy wszyscy pójdą spać, dobra? Pójdziemy do atelier Billie. Tam się wychowałam. Oddałabym wszystko, żeby wróciły tamte czasy. Ona umiera, Cole, a ja nie mogę jej pomóc.

Czuł się tak, jakby mu żywcem wyrywano serce z piersi.

– Głowa do góry, Sawyer, bo inaczej własnoręcznie wyprostuję ci wszystkie loki. Babcia zasłużyła na to, abyśmy byli tacy dzielni jak ona. To nie jest łatwe, ale tak musi być. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek pogodzę się ze śmiercią pana Hasegawy. Z czymś takim nie można się pogodzić, trzeba po prostu żyć dalej. Tak już jest, Sawyer. Życie toczy się dalej.

– Ale...

– Nie ma żadnych „ale”. Przetrwamy, jeśli będziemy się trzymać razem. Boże, co tak pachnie?

– Gulasz – Maggie podeszła do nich. – Choćbym stawała na głowie, w domu nigdy mi nie wychodzi taki jak tutaj. To chyba sprawa świeżej wołowiny. Mam zamiar najeść się za wszystkie czasy, jeśli to

kogoś interesuje.

– Oczywiście, że kogoś to interesuje. – Rand objął ją w tali.

Coś jest nie tak, pomyślała Sawyer. Rand jest zbyt sztuczny, jego uśmiech jest na ustach, nie w oczach. Maggie też nie wygląda dobrze. Sawyer podeszła do babki. Ukucnęła u jej stóp, jak zwykle, od najwcześniejszego dzieciństwa. – Tęskniłam za wami. Mieliście jakieś wieści od Julie? – zapytała cicho.

– My też za wami tęskniliśmy. Zdjęcia dziewczynek zajęły prawie cały gzyms na kominku. Są rozkoszne. Tak, Sawyer, mieliśmy wieści od Julie.

Thad zniżył głos, żeby nie usłyszeli ich Cary i Susan.

– Mówiła, że na razie wybiera się w podróż. Później może założyć własną firmę w Burlington. Choć bardzo jej zależało na Carym, poczucie winy, podobnie jak jemu, nie dawało jej spokoju. Dużo o tym rozmawiali i wspólnie uznali, że rozstanie jest najlepszym wyjściem. Zostali przyjaciółmi. Po powrocie do domu powiemy jej o Carym, ale ta część ich życia już należy do przeszłości. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Jak nauczyć bliźniaczki korzystania z toalety? – zapytała z udawaną rozpaczą.

– Z wielką dozą cierpliwości, energii i siły. Jeśli ci tego zabraknie, wykup kontrolny pakiet udziałów w firmie produkującej pieluchy. Ty, moja droga, byłaś bardzo oporna w tym względzie. Miałaś cztery lata i dwa miesiące, kiedy w końcu przestałaś siusiać w majtki – wspominała jej Billie. – Już chciałam dać sobie spokój.

– Ale nie zrobiłaś tego – Sawyer powiedziała czule. – Dziękuję, babciu. Czy ja ci kiedykolwiek naprawdę podziękowałam za wszystko, co dla mnie zrobiłaś?

– Setki razy – oznajmiła Billie beztrąsko. – Ty, kochanie, jesteś jedną z najlepszych rzeczy, które mnie spotkały w życiu. Nie wyrzekłabym się ani jednego roku, miesiąca, tygodnia, dnia, godziny z

tego okresu, który spędziłyśmy razem.

– To tak jak ja. Najlepiej wspominam dzieciństwo tu, w Sunbridge. Bardzo mi się podobało, jak mieszkałyśmy w atelier. W każdym razie, jeszcze raz dziękuję za wszystko. – Miała ochryply głos, jakby płakała zbyt długo. – Jezu, umieram z głodu. Jak myślisz, kiedy nam dadzą coś do jedzenia?

– Natychmiast. – Ivy się roześmiała. Usiedli do stołu.

– Smacznego! – Thad z apetytem sięgnął po chleb i podał koszyk dalej. Riley serwował gulasz, Ivy roznosiła sałatę. Nie poruszano poważnych tematów, lecz przerywano się żartami i dowcipami.

Po posiłku Ivy pstryknęła palcami.

– Niewiarygodne, że zjedliśmy wszystko, co do okruszynki – zawołała radośnie. – Nie został ani kawałeczek mięsa. Czy mimo to ktoś znajdzie jeszcze miejsce na deser brzoskwiniowy? – Odpowiedziały jej pomruki i odgłos rozpinanych pasków. Jonquil wniosła półmisek.

– Prawdziwa bita śmietana! – pisnęła Sawyer. – Poproszę więcej, Jonquil. Od jutra zacznę się odchudzać!

– W porządku, dostaniesz tuńczyka w brokułach! – zażartowała Ivy.

Kiedy skończyli jeść, zabrali filiżanki z kawą do dużego salonu w tyle domu.

Czas zając się sprawami rodzinnymi. W pomieszczeniu zapanowała nieprzyjemna cisza. Kto powinien odezwać się pierwszy, zastanawiała się Ivy. Dała mężowi sójkę w bok.

Riley zrozumiał.

– Słuchajcie, moi drodzy, najpierw muszę wam powiedzieć coś ważnego. Otóż Cole i ja podjęliśmy pewną decyzję... Wschód i Zachód... połączą się w jedno, co wszak było marzeniem mojego dziadka. Na początku na pewno będą zgrzyty, ale z czasem wszystko

się dotrze. Oznacza to, że będziemy w stanie sfinansować samolot Sawyer i nie trzeba już szukać wsparcia na zewnątrz. Cole i ja przemyśleliśmy wszystko w drodze tutaj, więc nie jest to nagły nierozważny pomysł.

– Spóźniliście się – oznajmiła Sawyer spokojnie.

Ivy nerwowo podniosła głowę. Billie niespokojnie poruszyła się na krześle.

– Rezygnujesz? To zupełnie w twoim stylu, Sawyer; rozkręcasz wszystko, a potem zmieniasz plany nic nikomu nie mówiąc – syknął Cole.

Nie dała się sprowokować.

– Jak zwykle mnie nie słuchasz, braciszku. Powiedziałam, że się spóźniliście, a nie że rezygnuję.

– Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie? Jestem zaskoczona, i chyba nie ja jedna. – Billie mówiła równie spokojnie jak wnuczka.

Sawyer zerwała się na równe nogi. Dżinsowa spódnica wirowała wokół kostek, kowbojskie buty stuknęły o posadzkę, gdy szła w stronę Cary’ego.

– Cary obiecał mi finansowe wsparcie. Nie musiałam o nic prosić. Sam zaproponował. Przyjęłam ofertę. Innymi słowy, szanowna rodzinko, zawarliśmy umowę.

– Ale... – wybuchnął Cole.

– Żadnych „ale”, braciszku. Poprosiłam ciebie; zdecydowałeś inaczej. To nie znaczy, że cię nie kocham, ale zyski z samolotu nie trafią do skarbców Hasegawów. Coleman Aviation należy do mnie, nie zapominajcie o tym. O, przepraszam – dodała z szelmowskim uśmiechem. – Mam kontrolny pakiet akcji.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś o propozycji Cary’ego? – dopytywał się Riley. j– Słuchaj, nie należę do osób, które duszą potrawę, mogąc ją błyskawicznie ugotować. Rozmawiałam o tym z

Carym miesiąc temu i po raz drugi tego dnia, gdy Cole bawił się w lichwiarza. Nie będę żebrała o pomoc u nikogo z rodziny. Albo można na was liczyć, albo nie. I jeszcze jedno. – Wskazała palcem na Rileya i Cole'a. – Nie zapominajcie, że to mój mąż uratował wasze tyłki dzięki swojej ropie i pieniądзом. Mając moją aprobatę, słuchajcie uważnie, to kluczowe słowa w tej rozmowie, moją aprobatę, Adam dał naszej rodzinie szansę, aby ponownie stanęła na nogi. Nie kłóciliśmy się o to, nie targowali, nie zawierali umów. Potrzebna wam była nasza ziemia, więc ją sprzedaliśmy. Wobec rodziny jestem ślepo, bezwzględnie lojalna. Myślałam, że ty również, Cole.

– To nie fair, Sawyer – wtrąciła się Maggie.

– A co w tym nie jest fair, Maggie? Nie broń syna, jest na tyle dorosły, że może sam staczać swoje bitwy – warknęła Sawyer.

– Przecież Riley dopiero co powiedział... Nie chcesz pieniędzy od nich, ale przyjmiesz je od Cary'ego, człowieka obcego? – Maggie nie wierzyła własnym uszom.

Billie zerwała się na równe nogi i błyskawicznie przemierzyła cały pokój. Policzek, który wymierzyła córce, rozniósł się echem po cichym pomieszczeniu – Nigdy dotąd się za ciebie nie wstydziałam, aż do tej chwili – powiedziała zduszonym głosem. – Przepraszam Cary'ego natychmiast.

Maggie się cofnęła. Spodziewała się, że za jej plecami zjawi się mąż, ale to Cole złapał ją za ramię. Matka nigdy dotąd nie podniosła na nią ręki. Maggie była zbyt zdumiona, by jakoś zareagować; bezmyślnie wpatrywała się w zebranych. Na ich twarzach widniały szok i niesmak. Wyrwała się synowi i wybiegła z pokoju. Cole ruszył za nią.

– Nie! – padł lodowaty rozkaz.

Zatrzymał się w pół kroku. Babka nigdy nie zwracała się do niego takim tonem.

Z pomocą Thada, Billie podeszła do Cary'ego. Z trudem osunęła

się na kolana.

– W głębi serca Maggie wcale tak nie uważa, Cary. To wszystko moja wina, przyznaję się bez bicia. Właśnie dlatego nie chciałam, by ktokolwiek się dowiedział o mojej chorobie. W rzeczywistości Maggie jest wściekła na mnie. Jest wściekła, bo chciałyby... chciałyby, żebym żyła wiecznie, podobnie jak ją chciałam w przypadku Amelii. Ja jedna rozumiem, czego Amelia próbowała dokonać, zanim umarła. Chciała zaoszczędzić nam cierpienia, sobie zresztą też. My jednak nie pozwoliliśmy jej na to. Ani przez chwilę nie wolno ci myśleć, że nie należysz do rodziny. Jesteś jednym z nas. Potwierdzą to wszyscy zebrani. Błagam cię, Cary, nie osądzaj Maggie zbyt surowo za ten wybuch. Znam moją córkę i wiem, że bardzo żałuje tego, co powiedziała. Bezmyślne słowa mogą przysporzyć wiele bólu. Nie mogę sprawić, aby je cofnęła, podobnie jak prosić, byś jej wybaczył. Chyba tylko matka jest w stanie wszystko wybaczyć, bo tylko matka kocha dzieci ślepą miłością.

Cary głęboko zaczerpnął powietrza.

– Nie ma tu nic do wybaczenia, Billie. Wiem, co czuje Maggie. – Ciepłe lzy kapiące na jego ręce łamały mu serce. Tej kobiecie nie odmówiłby niczego. Tylko Amelię kochał bardziej. Poczul, że Thad pomaga jej wstać z klęczek.

– Słuchajcie... jeśli moja oferta jest jakimś problemem...

– Nie ma żadnego problemu, Cary – przerwała mu Sawyer.

– Bo gdyby był, możemy się nad tym razem zastanowić. Czy nie tak postępują rodziny? – dokończył lekko.

Riley posłał Cole'owi mordercze spojrzenie. – Nie ma sprawy, Cary.

– W porządku, ludzie – odezwał się Thad. – Zaprowadzę Billie na górę. Chce iść spać. Później do was dołączę. Cary, wytrzymasz jeszcze trochę? Susan odpowiedziała za niego.

– Pewnie, że wytrzyma. Zabieram go na spacer do ogrodu. Odrobina świeżego powietrza dobrze nam zrobi:

– Nie mam nic przeciwko temu. Weź papierosy, Susan.

Roześmiała się radośnie.

– Mam paczkę w kieszeni. Ruszamy, przyj acielu.

– Czy ktoś ma ochotę na drinka? – zapytał Rand.

– A co my dzisiaj serwuj erry, szalej ? – rzuciła złośliwie Sawyer.

– Przepraszam, nie miałam nic złego na myśli.

– Nie mieści mi się w głowie, że przyjąłeś ofertę Cary’ego – stwierdził oschle Cole. – Zdajesz sobie sprawę, że spełniając twoje żądania, będzie musiał albo sprzedać, albo zastawić Mirandę. Obedrzesz go ze skóry. Czy tego właśnie chcesz?

– Zrozum w końcu: sam się zaferowałem, Cole. Nie zrobiłby tego, gdyby uważał, że nie podoła zobowiązaniom. Dla ciebie byłaby to kropla w morzu, a ty... Słuchaj, nie ma sensu debatować nad rozlanym mlekiem, więc dajmy temu spokój, dobrze?

– Więc po co mieliśmy się spotkać wieczorem w atelier babci? Myślałem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Ja spieprzyłem sprawę, przeprosiłem cię, ty przeprosiłaś mnie. A teraz mówisz... Ech, zapomnijmy o tym.

– Trochę się spóźniłeś. A wieczorem chciałam ci opowiedzieć o Shigata Mitsu. Pamiętasz, pytałeś mnie o niego. Wiem, kto to był... jest, wszystko jedno. Początkowo tylko kojarzyłam z czymś nazwisko, więc zapytałam Thada. On opowiedział mi całą historię. Co z tobą, Cole? Jesteś błądy jak ściana.

Cole zapomniał o bożym świecie, o finansowaniu samolotu, o matce, o posepnej minie Randa.

– Więc ktoś taki istnieje?

– Chyba ogłuchłeś. Przecież dopiero co ci to powiedziałam, prawda? Pan Hasegawa opowiadał mi tę historię, ale niewiele

pamiętałam. Thad mi wszystko przypomniał. Czy jeszcze czegoś nie rozumiesz? – zapytała ironicznie, nie spuszczać oka z Randa. Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, zwróciła się do niego: – Rand, czy nie powinieneś teraz być z Maggie?

– Dlaczego? Zachowała się karygodnie. – Dolał sobie alkoholu.

– Zajrzę do Mossa – Ivy wycofała się dyskretnie.

– Pójdę z tobą. – Ril. ey poszedł w jej ślady. Cole spojrzął na Randa.

– To bardzo nieuprzejma uwaga, Rand, zwłaszcza z twoich ust. Myślałem, że wykażesz więcej zrozumienia. Mamie jest teraz bardzo ciężko. Jak powiedziała babcia, prawdopodobnie wyplakuje sobie oczy i zastanawia się, jak naprawić swój błąd.

– Niektórych rzeczy nie da się naprawić. Skoro Maggie uważa Cary’ego za obcego, tak samo myśli też o ranie. I Thadzie, Ivy, Surni. Rozumiesz, do czego zmierzam? – Opróżnił szklankę do dna. – Idę się przejść. Powiedzcie Thadowi, że razem z nim odwiozę Cary’ego do szpitala.

– A co to ma znaczyć? Ze wy, „obcy”, będziecie się trzymać razem? – warknął Cole.

– Opanujcie się, obaj! – krzyknęła Sawyer. – Chcecie, żeby rodzina się zupełnie rozpadła?

– To wszystko twoja wina! – syknął Cole. – Ty zaczęłaś!

Nawet nie zauważył, kiedy grzmotnęła go w twarz. W ogóle się tego nie spodziewał. Zdumiony, szybko mrugał powiekami.

– Cholera jasna, Sawyer! – huknął, jej jednak już nie było w pokoju.

– O dwie mniej – skonstatował Rand przed wyjściem.

Cole w milczeniu wpatrywał się w przestrzeń. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Sawyer miała rację – mruknął. – To ja zacząłem, nie ona. To

przeze mnie rodzina się rozpada. – Zamierzał wstać i iść na poszukiwanie siostry, kiedy do pokoju weszli Riley i Thad.

– Jak babcia? – Cole nie ukrywał troski.

– Śpi. Jutro wracamy do domu. Ta atmosfera jej nie służy, Cole. Cary na pewno zrozumie. Ivy i Riley się nim zaopiekują. Może się mylę, ale mam wrażenie, że Susan również zostanie. Billie twierdzi, że stają się sobie coraz bliżsi. Byłoby nieźle, gdyby... no, wiecie, gdyby byli razem.

– Thad, ile babci zostało czasu?

– Nie wiemy. Co najmniej kilka miesięcy. Codziennie zauważam małe zmiany. Ona się tak bardzo stara... Ta... podróż, dzisiejszy wieczór, bardzo jej zaszkodziły. Dobrze, że tego nie widziałeś. Płakała przez sen. Powtarzała, że zawiodła wszystkich, że powinna była zrobić więcej. A to przecież wierutne bzdury. Nie znam osoby bardziej oddanej rodzinie niż Billie. Ale to, co zrobiła Maggie, i mina Sawyer, bardzo ją zdenerwowały. Przy okazji, jak ty się czujesz?

– Chyba gorzej już nie można – wyznał Cole z nieszczęśliwą miną.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek wszystko się ułoży. Od czego mam zacząć? W jaki sposób mam to zrobić? Sawyer powiedziała, że rodzina się rozpada, i miała rację.

– Nie potrafię ci pomóc, Cole. W tej chwili obchodzi mnie jedynie twoja babka. Kiedy jutro będziemy się z wami żegnać, chcę widzieć same uśmiechy. Nie życzę sobie, by do Vermont docierały jakiegokolwiek ponure wieści. Billie ma żyć bez żadnych zmartwień, jeżeli to możliwe. Nie pozwolę na nic innego. Jeśli mnie nie posłuchacie, wywozę ją na koniec świata, gdzie nie ma telefonów ani poczty. Obaj, ty i Riley, przekażcie te słowa pozostałym.

– Boże drogi, i ty przeciwko mnie – jęknął Cole – Przekażemy im – zapewnił Riley. Cole potwierdził ruchem głowy.

– Thad, Sawyer miała mi opowiedzieć o Shigata Mitsu, zanim... się

zdenerwowała. Mówiła, że znasz tę opowieść. Mógłbyś ją nam opowiedzieć? Nie, poczekaj. Najpierw powiem ci, co mi chodzi po głowie.

Thad słuchał uważnie.

– Zaraz, nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – odezwał się w pewnej chwili. – Chcesz wiedzieć, czy wierzę w duchy albo siły nadprzyrodzone?;

– No... tak – szepnął Cole.

Riley za wszelką cenę starał się unikać wzroku Thada. Ten wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Sam nie wiem. Cary zaklina się, że cały czas czuje obecność Amelii u swego boku. I pamiętacie, jak tamtego dnia graliśmy „This Is Your Life” dla Rileya i zadrzał żyrandol, kiedy Cary podniósł głowę i zawołał coś w rodzaju „A teraz dla ciebie, kochanie”? Wszystkim nam przeszły ciarki po plecach. No i nie wolno zapomnieć o anielskim chórze w szpitalu, kiedy Sawyer była o krok od śmierci. Chcesz odpowiedzi „tak” lub „nie”? W takim razie „tak”, mam nadzieję. Będę szukał Billie, kiedy... no, wiecie.

– Ja wierzę – powiedział Cole spokojnie. – W każdym razie wierzę w ducha Shadaharu Hasegawy. Widziałem na własne oczy, co zrobił w ogrodzie zeń. Riley był tam ze mną.

– Można to wytłumaczyć na wiele racjonalnych sposobów.

– Nie przekonasz mnie.

– Najwyraźniej Shadaharu cię nie przeraża. To chyba oznacza, że jest przyjaźnie nastawionym duchem. – Thad ziewnął. – Nie mieści mi się w głowie, że prowadzimy tę dyskusję. Billie się uśmieje, kiedy jej o tym powiem. Często wspomina pana Hasegawę. Chce mi się płakać, ilekroć mówi, że będzie miała tyle do powiedzenia starym przyjaciołom, kiedy już tam będzie. Wcale się nie boi.

Cole pochylił się do przodu.

– Opowiedz nam o Shigata Mitsu.

– Niewiele jest do opowiadania, więc nie rozsiadajcie się zbyt wygodnie. – Thad westchnął. – Pewnego dnia Shadaharu i ja spacerowaliśmy po ogrodzie zen. Zapytałem go wtedy, jak doszło do tego, że jest jednym z trzech najbogatszych ludzi na świecie. Powiedział mi, że stało się tak za sprawą Shigata Mitsu. Dawno temu Shadaharu był biednym krawcem z dużą rodziną na utrzymaniu. Miał bardzo niewielu klientów i zamartwiał się, jak zapłacić czynsz i wyżywić rodzinę. Pewnego wieczoru wracał do domu nabrzeżem. W kieszeni miał zaledwie sześć jenów. Myślał o samobójstwie, do tego stopnia zawstydzała go własna niezaradność. Ściskając owe sześć jenów w garści, usiadł na kamiennym murku. Kiedy przyglądał się monetom, usiadł koło niego nieznajomy. Niemłody i niestary, taki ponadczasowy, bez wieku. Spojrzeli sobie w oczy. Shadaharu opowiadał, że choć w spojrzeniu nieznajomego widział jedynie własne odbicie, był przekonany, że w jego oczach tamten dostrzegł jego duszę. Nie potrafił wyjaśnić, skąd to wiedział, po prostu tak było. Zaczęli rozmawiać i Shadaharu pokazał mu swoje sześć jenów. Mężczyzna powiedział wtedy, że Shadaharu jest bogaty, że są ludzie, którzy nie mają nawet jednego jena. Dodał, że należy się dzielić z tymi, którzy mają mniej. Shadaharu pamiętał, jak potakiwał ruchem głowy. Rozmawiali jeszcze przez chwilę i nieznajomy wstał. Shadaharu pokłonił mu się i poczuł rękę na ramieniu. Wspominał, że była cudownie ciepła. Jej dotyk grzał go jeszcze przez wiele dni. W drodze do domu spotkał trzech żebraków i każdego obdarował jednym jenem. Mówił, że poczuł się dobrze, gdy to zrobił, bo miał świadomość, że dzięki niemu ci biedacy zjedzą gorący posiłek. Zaraz następnego dnia do jego zakładu przyszedł dziennikarz i zamówił trzy garnitury. Shadaharu pracował dniem i nocą i uszył je w ciągu dwóch dni. Dostarczył je osobiście. Dziennikarz namówił swoich kolegów, by i oni

uszyli sobie podobne garnitury. Wszyscy go posłuchali. Podawali sobie wiadomość o Shadaharu z ust do ust. Niebawem stał się najpopularniejszym krawcem w mieście. I zawsze, Cole, zawsze oddawał połowę tego, eo zarobił, tym, którzy mieli w życiu mniej szczęścia od niego. Nie zaniechał tego zwyczaju aż do śmierci. Im więcej dawał, tym więcej sam otrzymywał. Wszak Bóg powiada: „Kto sieje, ten zbiera plony” – zakończył Triad cicho..

Cole zerwał się na równe nogi, wcisnął pięści do kieszeni.

– Sugerujesz, że tamtej nocy pan Hasegawa rozmawiał z Bogiem? – Niczego nie sugeruję. Ale znasz lepsze wyjaśnienie?

– Czy przedstawił się jako. Shigata Mitsu? – zapytał Cole.

– Nie. Shadaharu nie pytał go, jak się nazywa. Wymyślił nazwisko, kiedy opowiadał żonie o spotkaniu, mnie jednak powiedział, że czuł się, jakby rozmawiał z Bogiem. Oczywiście nie wierzył, by Bóg zechciał osobiście porozmawiać z kimś tak niegodnym jak on, więc wysłał posłańca. Shigata Mitsu to emisariusz chrześcijańskiego Boga. Chyba dlatego Shadaharu zawsze przychylnym okiem patrzył na kulturę Zachodu i nie złościł się, kiedy jego córka, Otami, wyszła za ojca Rileyę i przeszła na katolicyzm. Wierzył, że takie jest przeznaczenie. Był bardzo mądrym, dobrym i szczodrym człowiekiem. Nie masz pojęcia, Cole, ilu ludziom pomagał, ile szpitali wybudował, ile rodzin było na jego utrzymaniu. Nawet tu, w Stanach, fundował kościoły. Czy nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego zaprzyjaźnił się właśnie z naszą rodziną?

– Pewnie, i to nieraz. Wszyscy się nad tym zastanawialiśmy. I zastanawiamy do dziś. Doszliśmy do wniosku, że zrobił to ze względu na Otami i ojca Rileyę.

– Oczywiście. Wschód i Zachód. Kochał tę rodzinę jak własną. Miał nadzieję, że Rileyę poprowadzi dalej jego dzieło, on jednak wolał zostać tutaj. Dzięki Rileyę, ty byłeś kolejnym kandydatem. Staruszek

bardzo cię kochał, Cole. Traktował cię jak syna.

– A ja go zawiodłem. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– Chyba chciał, żebyś sam się dowiedział. Takie jest moje zdanie, Cole – dodał pośpiesznie.

– Jak tłumaczył te wszystkie... darowizny swoim adwokatom i doradcom finansowym?

– W ogóle nie tłumaczył. Nawet nie śmieli go zapytać. Zarabiał tyle pieniędzy, że i tak mieli pełne ręce roboty z lokowaniem jego fortuny. Shadaharu mówił, że pieniądze same do niego płynęły. Dzięki temu masz teraz dziewięćdziesiąt miliardów dolarów do dyspozycji. A wracając do burzy w ogrodzie zen... jeśli chcesz znać moje zdanie, Cole, Shadaharu dał ci znak, abys się pospieszył. Nazwij to ostrzeżeniem, czy jak tam sobie chcesz. Może Sawyer była próbą. Cholera, sam nie wiem – rzucił niecierpliwie. Wszelkie rozmowy na temat tamtego świata go irytowały.

– Burza, dobre sobie. Wydawało się nam, że osiągną! nas palec boży.

– Zostawiam was z tą myślą. Idę poszukać mojego podopiecznego. Najwyższy czas odwiedzić go do szpitala. Dobranoc. – Thad odetchnął z ulgą, gdy od nich odchodził.

Kuzynowie posłali sobie porozumiewawcze spojrzenia.

– Wynika z tego – zaczął Cole ostrożnie – że Thad odpowiedział na nasze pytania. Przynajmniej ogólnie. Teraz muszę znaleźć rozwiązanie. – Na głos powtarzał wszystko, czego się dowiedzieli od, Thada. Zwolnił, kiedy doszedł do fragmentu o siostrze: – Sawyer była sprawdzianem, a ja schrzaniłem sprawę. Do akcji wkroczył Cary, zupełnie jak twój dziadek przed laty, kiedy moja rodzina była w kropce. Teraz muszę to naprawić. Los dał mi drugą szansę. Będę potrzebował twojej pomocy, Rileyu.

– Możesz na mnie liczyć. Musimy wywołać prawdziwą burzę

mózków, a nic tak przy tym nie pomaga jak dobre piwo. – Otworzył dwie butelki i podał jedną kuzynowi.

Usadowiwszy się wygodnie, przyglądali się sobie badawczo.

– W jaki sposób masz zamiar rozegrać tę sprawę z Sawyer, Cole? I kiedy porozmawiamy o babci Billie? – Riley przytknął oszronioną butelkę do policzka.

– Ciągle sienie mogę pogodzić z tym, co spotkało Cary’ego. Moja matka... ona... Boże, wyobrażasz sobie, jak Cary się poczuł? Nie pobiegiłem za nią, żeby ją pocieszyć, tylko żeby... chyba bym ją uderzył. Dobrze, że babcia kazała mi zostać. Myślałem, że Rand do niej pójdzie, ale on stał jak słup soli. Coś go gryzie. Teraz najważniejszy jest Cary. Podczas kolacji był bardzo małomówny. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym stracił wzrok nawet na krótko, a w przypadku Cary’ego jeszcze nic nie wiadomo. A przy okazji, czy zauważyłeś, że jego i ciotkę Susan chyba coś łączy?

Riley się uśmiechnął.

– Ja coś podejrzewałem, ale Ivy jest tego pewna. Poinformowała mnie o wszystkim, kiedy byliśmy u Mossa. Moim zdaniem oni pasują do siebie. Może twoja mama sama poprowadzi Billie Limited, ciotce Susan natomiast będzie potrzebny ktoś, kim mogłaby się opiekować, kto będzie od niej zależny. Dopóki żyła jej córka, nie stwarzała żadnych kłopotów. To wiąże się chyba z tym, że wysłano ją jako małą dziewczynkę do Anglii, do ciotki Amelii. Rand wspominał, że Susan nigdy nie miała normalnego dzieciństwa, że muzyka była jej całym życiem. To smutne, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Cole odstawił butelkę z impetem, aż głucho uderzyła o stolik.

– Smutne? Powiem ci, co jest smutne. Cała rodzina ma nierówno pod pułapem. Tylko „obcy”, że pozwolę sobie zacytować moją matkę, mają poukładane w głowach. Thad nie ma żadnych problemów. Rand trzyma się doskonale. Adam jest... Adam to chodząca doskonałość.

Cary to jeden z nielicznych ludzi, którzy potrafią dawać, nie stawiając żadnych warunków. Obiecał pomóc Sawyer, nie pytając o nic, zupełnie jak twój dziadek. To my, Colemanowie, jesteśmy nienormalni. No, dalej, Riley, powiedz, co jest ze mną nie tak.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Postawił pustą butelkę obok butelki Cole'a i otworzył dwie następne.

– Czy to się kiedyś zmieni? Co zrobić, żeby stać się takim jak Cary czy Adam? Boże, jak ja im zazdrozczę wewnętrznego spokoju. Jak to osiągnąć, Riley?

– Mój dziadek też miał w sobie taki spokój. I babcia Billie. Thad chyba też. Trzeba po prostu zaakceptować rzeczy takimi, jakie są.

– Wiem, o co ci chodzi. – Cole nerwowo przechadzał się po pokoju. – Nie wiem, jakim cudem twój dziadek był w stanie zachować pogodę ducha, wiedząc, że umiera. I spójrz na babcie Billie. Wydaje się, że się pogodziła z losem.

– Słuchaj, Cole – Riley zaczynał bełkotać. – To bardzo poważny temat, a my się powoli upijamy, ale wracając do tego, co mówiłeś... Dopóki Thad nie opowiedział nam o Shigata Mitsu, myślałem, że mój dziadek od urodzenia był dobrym, kochającym człowiekiem. Jeśli Thad mówił prawdę, Shadaharu osiągnął ten stan poprzez czynienie dobra. Idę o zakład, że po przejrzeniu jego osobistych ksiąg zaniemówisz ze zdumienia. Jeśli go dobrze znam, oddawał znacznie więcej niż połowę tego, co zarabiał. Ja też zawsze czuję się lepiej, kiedy zrobię coś dobrego. Pamiętasz, jacy byliśmy szczęśliwi, kiedy oddaliśmy Adamowi jego ziemię? Czy to się trzyma kupy?

Cole skinął głową i odstawił butelkę, tylko po to, by sięgnąć po dwie pełne.

– Postanowiliśmy z Ivy nie dawać sobie prezentów w czasie ostatnich Świąt Bożego Narodzenia. Zamiast tego urządziliśmy Gwiazdkę dla sześciu rodzin. Zadbaliśmy o wszystko: drzewko,

ozdoby, jedzenie, zabawki dla dzieci i upominki, dla rodziców. To były najpiękniejsze święta mojego życia. Nigdy wcześniej nie zrobiłem czegoś takiego, a ty?

Cole potrząsnął głową.

– Odpowiedź nie jest taka łatwa. Dajesz i otrzymujesz. Daj spokój, Riley. – Zapomnij o otrzymywaniu. Liczy się dawanie. I nie chodzi tylko o rzeczy materialne. Nie twierdzą zresztą że jest to rozwiązanie wszystkich życiowych problemów, ale dopóki nie wymyślisz nic lepszego, będę obstawał przy mojej teorii. – Riley wiedział, że jest pijany, bo miał wrażenie, że Cole rusza się w zwolnionym tempie.

– Thad powiedział, że wyjeżdżają z babcią jutro rano. Tak nie może być, Riley. Musimy coś zrobić.

Riley gwałtownie potrząsnął głową wskutek czego żołądek podjechał mu do gardła. Siedział bez ruchu, dopóki nie ustały te sensacje.

– Powiemy: „Do widzenia, kochamy cię, babciu, zadzwoń, jakbyś czegoś potrzebowała”. Nie będzie łez ani łzawych pożegnań. Niech babcia myśli... niech myśli, że nam się wydaje, że jeszcze nie wszystko przesądzone. Sama tego chce stwierdził ze smutkiem. – Widzisz, znowu chodzi o dawanie. To ma sens, nie uważasz?

– Tak. Thad powiedział, że ją wywiezie, jeśli nie zastosujemy się do jego prośb. I nie rzucał słów na wiatr. Nie wiem tylko, czy mi się uda nie płakać. Jeśli chodzi o rodzinę, mam oczy w mokrym miejscu. Babcia była dla nas opoką. Nigdy się na niej nie zawiedliśmy. Ani razu. Może popłaczemy dzisiaj, żeby nas jutro nie widziała z oczami jak po krojeniu cebuli? – wybełkotał Cole.

– Mężczyźni nie płaczą – burknął Riley.

– Kto do cholery powiedział coś takiego?

– Chyba Sawyer. Ma niewyparzony język. – Uważaj, co mówisz. To moja siostra – ostrzegł Cole.

– Przyrodnia – sprostował Riley. Wytarł oczy rękawem. – Jest w porządku. Co z tego, że się wyraża jak dorożkarz i nosi dziwaczne ubrania i... – zastanowił się przez chwilę – siateczkę na włosy. Zawsze można na niej polegać. Jest bardzo mądra. Sama tak powiedziała.

– Jest upierdliwa – poprawił Cole z głośnym czknięciem. – Nie pomogłem jej, i teraz nie da mi drugiej szansy, przez co czuję się okropnie. Nie ustąpi nawet o milimetr.

– I dobrze, że się okropnie czujesz – wytknął Riley. – Na dodatek kłamała, kiedy mówiła, że ci wybacza. Sawyer nigdy nie wybacza. Zapytaj Adama, jeśli mi nie wierzysz.

– Niece, on zawsze trzyma jej stronę. Uważa nas za przemądrzałych dupków.

– Uważa tak, bo Sawyer mu to powiedziała – sprostował Riley triumfalnie. Spojrzał na podwójny rząd pustych butelek. Usiłował je policzyć, to zadanie przekraczało jednak jego siły. Zastanawiał się, co by tu złośliwego powiedzieć, kiedy dostrzegł, że ramionami Cole’a wstrząsa szloch. Zataczając się, podszedł do miękkiej kanapy, na której siedział kuzyn. Niezdarnie otoczył go ramionami.

– Nikt mi nie mówił, że to takie okropne – szlochał Cole. – Chcę być znowu dzieckiem.

Riley poczuł łyzy na policzkach. Najpierw dziadek, potem ciotka Amelia, teraz babcia. Nie wiedział, kto z nich drży, Cole czy on. Uścisnął ramię kuzyna i rozplakał się.

Płakali razem. Nad tym, co było, co być powinno, nad tym, co być mogło. Nie zauważyli Thada, Randa i Cary’ego, którzy cicho weszli do pokoju i równie cicho z niego wyszli. Nie usłyszeli lekkich kroków Susan.

Dużo później Cole zapytał ochryple:

– Która godzina? Riley zerknął na zegarek.

– Dochodzi dziesiąta, dlaczego pytasz?

– Długo tu siedzimy. Przede mną dużo pracy. Prawie zupełnie wytrzeźwiałem. Pomożesz mi?

– Sawyer nie ustąpi, to pewne. Czy naprawdę myślisz o połączeniu obu rodzin?

– Tak. Żałuję, że nie wpadłem na to wcześniej. Do końca życia będę to sobie wypominał. – Cole głośno pociągnął nosem.

– To nieważne. Wszystko, co wydarzyło się przed tą chwilą należy do zamierzchłej przeszłości. Jeśli nie pójdziemy do przodu, przegramy. Teraz, kiedy poznaliśmy tajemnicę dziadka, zaczniemy go naśladować. Nawet jeśli nie dzięki... dawaniu odniósł sukces, i tak uważam, że powinniśmy iść w jego ślady. Możemy zrobić wiele dla bezdomnych. Ja lubię pomagać zwierzętom. Można by kupić kawał ziemi, założyć tam rezerwat, żeby zwierzęta żyły bezpiecznie... Boże, mamy tyle możliwości.

– A co z Sawyer? – zapytał Cole ponuro.

– Zastanów się. Gdyby nie ona, nie doszłoby do fuzji Wschodu i Zachodu. Należą się jej nasze podziękowania.

– Nie przesadzaj, Riley. Ponosi cię. Będzie nam to wypominała do końca życia, jeśli jej powiemy, że to dzięki niej przejrzelśmy na oczy. Chcesz tego słuchać?

Riley długo nie odpowiadał.

– Tak, chcę – stwierdził w końcu.

– W porządku, jutro z samego rana padniemy jej do stóp. Ulżyło mu, pomyślał Riley.

– A co z Carym? – zapytał na głos. – Kto mu pożyczy pieniądze pod zastaw Mirandy? Jeszcze nie ukończył budowy Pomnika Pamięci dla Amelii. Decyzja o finansowaniu samolotu to piękny gest z jego strony, ale chyba nie przemyślał tego do końca. Same odsetki go wykończą. Może stracić wszystko. Chyba że mu pomożemy – dodał z przebiegłym uśmiechem.

– W jaki sposób?

– Pożyczymy mu pieniądze pod zastaw Mirandy. Porozmawiamy z Valentine Mitchell, powie nam, jak to się robi. Pewnie podstawimy jakąś fikcyjną firmę, z Nowego Jorku albo jeszcze lepiej z Anglii. Cary nigdy się nie dowie, że my za tym stoimy. Tym sposobem nie straci Mirandy. Cole, ty masz pieniądze, – więc w ostateczności to będzie twoja decyzja.

– My mamy pieniądze. Zawarliśmy umowę w drodze tutaj. Ale co będzie, jeśli Cary się dowie?

– Powiemy, że jesteśmy dwoma wariatami, którym pieniądze uderzyły do głowy. Najważniejsze, że go ochronimy. Ten projekt to całe jego życie. Co ty na to, Cole? Szczerze.

Co on na to?

– Wspaniale. Czuję się jak nowo narodzony. A najlepsze, że mamy sekret, o którym Sawyer się nigdy nie dowie. I teraz my jesteśmy górą.

– Roześmiał się z całego serca. Riley mu zawtórował, klepiąc go po plecach.

– Napijmy się kawy, żeby wytrzeźwieć do reszty. – Riley ruszył do kuchni.

– Zaparz i dla mnie, ja zadzwonię do Sumi – zawołał Cole. – Riley?
– dodał szeptem.

– Co? – Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Sawyer cichutko wymknęła się zza harmonijkowych drzwi, radośnie zacierając ręce. A to gnojki. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Adamowi. Nie dawniej niż godzinę temu, gdy zaliła się mężowi przez telefon, usłyszała:

– Nie osądzaj ich zbyt pochopnie. Jakimś cudem wymyślą sposób, żeby ci pomóc.

Wtedy, kiedy to się naprawdę liczy, zawsze można polegać na

rodzinie. Na rodzinie.

Maggie leżała w ciemności. Białe światło księżyca sączyło się przez żaluzje. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy jak dziecko rzuciła się z płaczem na łóżko. Wzdrygnęła się ze wstydem na myśl o tym, co zrobiła. Jak mogła tak zareagować? Jak to możliwe? Przewróciła się na brzuch, ukryła twarz w poduszce. Bardzo uważała, by nie przesunąć się na drugą połowę pośłania. Nawet bez zapalania światła wiedziała, że pościeli Randa nie znaczyło najmniejsze zagniecenie.

To przez Randa ukrywała się jak kryminalistka. Przez niego użyła okropnego słowa: „obcy”. Nie chodziło tylko o mamę i jej chorobę.

Położyła się na plecach. Za dziesięć dwunasta. Zgasiła lampkę. Wcześniej słyszała kroki w holu; stukot podkutych butów Sawyer, stąpanie Rileya i Cole’a. Nikt nie zapukał, nie wypowiedział jej imienia. Była wyklęta, jak parias. Słyszała, jak na dworze Thad rozmawia z Randem i Carym. Odjechali we trójkę. Ani razu jednak nie słyszała Susan. Miała nadzieję, że siostra otworzy drzwi i ją zawoła, ale nic takiego się nie stało.

Zarumieniła się ze wstydu i upokorzenia, gdy sobie przypominała, jak pod drzwiami pokoju matki błagała o chwilę rozmowy po to tylko, by usłyszeć z ust Thada, że teraz Billie nie życzy sobie jej widzieć. Dotychczas matka nigdy, ani razu, nie odmówiła jej pomocy i wsparcia, bez względu na to, co się działo. Zawsze potrafiła nadać sprawom właściwy bieg.

To już inna sprawa. Jutro, a właściwie dzisiaj, przeprosi Cary’ego, wytłumaczy, dlaczego tak postąpiła. Wyjaśni wszystko mamie. Ona zrozumie. Rand... tu tkwił cały problem.

Zerwała się z łóżka, podeszła do okna. Nerwowo wdychała świeże powietrze.

Rand był sensem jej życia. Nie miała oprócz niego nikogo. Sawyer

mieszkała w Nowym Jorku ze swoją rodziną, Cole w Japonii ze swoją. Nie była im potrzebna, i tak właśnie powinno być. Mama miała Thada. Susan... będzie miała Cary'ego, choć pewnie sama jeszcze o tym nie wie. Riley miał swoją rodzinę. Rand – Chesney, swoją córkę.

Zauważyła, jak bardzo się zmienił po powrocie z Minnesoty, gdzie spędził kilka dni w towarzystwie Valentine Mitchell. Zawsze podziwiał Valentine, nieraz jej o tym mówił. Tych dwoje mieszkało w przytulnym domku na Środkowym Zachodzie, pracowało wspólnie, razem jadło, jeździło samochodem, siedziało przy kominku. Rand bardzo lubi kominki. Wyobrażała sobie, jak żartują, rozmawiają, dzielą się sekretami. I później, po kilku drinkach, głęboko patrzą sobie w oczy i ...

Stało się. Była tego pewna. Co do dnia i godziny... cóż, biedna, głupia żona nie musi znać wszystkich szczegółów.

A tak czekała na powrót Randa do Sunbridge. Liczyła na jego wsparcie. Potrzebowała go, by się pogodzić z chorobą matki. On jednak nie przywitał jej z otwartymi ramionami. Podbiegła do niego, rzuciła mu się na szyję. Nie miał innego wyjścia, musiał ją objąć. Mimo to nie spojrzął jej w oczy, nie powiedział, że tęsknił, nie uśmiechnął się. Tak, to pewne, że przespał się z Valentine.

Czy powinna z nim porozmawiać? Kazać mu wyprowadzić się z domu? Cary zrobił to samo Amelii. Dlatego wyrzuciła z siebie to okropne słowo... A przecież Amelia Cary'emu wybaczyła...

Kiedyś, raz jeden, Amelia się jej zwierzyła pod osłoną nocy. Powiedziała, że jest chora i nie jest w stanie spełnić oczekiwań Cary'ego w sypialni. Powiedziała, że wie o nim i jego siostrzenicy, Julie. Robiła wszystko, by się nie zdradzić z tą wiedzą i jednocześnie ułatwić Cary'emu życie. Była szlachetna i wielkoduszna. „Kocham go nad życie, droga Maggie”, wyznała, „i jestem bardzo stara”.

Rozplakała się wtedy, a Maggie robiła co w jej mocy, by ją pocieszyć. Skąd miała wtedy wiedzieć, że Cary zdradził żonę w jej

domu na Hawajach?

– Cóż, ja nie jestem ani stara, ani chora. Nie mogę mu wybaczyć! – powiedziała głośno.

Poczuła wyrzuty sumienia. To prawdopodobnie nic nie znaczy. Takie rzeczy się zdarzają.

Nie mnie, poprawiła się zaraz. Wierzyła w wierność, w respektowanie przyrzeczeń małżeńskich. Nigdy go nie oszukała.

Ale czy miała ku temu okazję? Nie. Nie wiedziała, jak by postąpiła w podobnej sytuacji. Nastrój chwili, szeptało sumienie, jeden drink za dużo i...

Nieprawda, upierała się. Kocham Randa. Kochałam. Nigdy bym go nie zdradziła. Rand będzie udawał, że wszystko jest po staremu. Myśli, że ona o niczym nie wie. A ja wiem. Do cholery, wiem i już. Nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz. Dlatego go tu z nią nie było. W normalnych okolicznościach byłby u jej boku, pocieszałby ją, zdając sobie sprawę z tragedii, jaką przeżywa z powodu mamy. Nie zachowałaby się w ten sposób wobec Cary’ego, gdyby Rand... Koniec z tym! Z płaczem wróciła do łóżka.

Sumienie odezwało się po raz kolejny. A może jest po prostu zazdrosna o Valentine? Zazdrosna o jej zdolności. Być może próbowała uwieść Randa i on prawie jej uległ, stąd poczucie winy. Może się myli.

– Nie, do licha! – Uderzyła pięścią w poduszkę. – Ja wiem, nie rozumiesz? – Kobieta wie, kiedy mąż ją zdradza. Może sama nie chce się przed sobą do tego przyznać, ale wie. Sumienie milczało.

Dziesięć po pierwszej po ścianie sypialni przesunęły się światła samochodu. Maggie podeszła do otwartego okna. Na dole Rand i Thad rozmawiali po cichu. Po odwiezieniu Cary’ego na pewno wstąpili gdzieś na kawę. Czy Rand przyjdzie do sypialni? Mało prawdopodobne. Gdzie będzie spał?

Maggie usadowiła się na krześle obitym błękitną tkaniną. Nie

odrywała wzroku od szczeliny nad podłogą, przez którą wpadał wąski strumyk światła z przedpokoju. Thad będzie tędy przechodził. Usłyszysz go albo zobaczy cień. Przez kuchnię, salon, do holu i na piętro. Czekala, ciekawa, czy pamięta o schodach kuchennych, obok lodówki. Nie, żeby to miało wyjątkowe znaczenie. O, teraz idzie korytarzem. Wstrzymała oddech, gdy mijał drzwi jej sypialni.

Rozpłakała się. W miarę jak mijały godziny, starała się myśleć o innych; o matce, dzieciach, Susan, ale wciąż wracała do Randa. Po raz kolejny jej świat stanął na głowie.

O wpół do szóstej, gdy nadal było ciemno, wstała, umyła się i uczesała. Poranny galop dobrze jej zrobi. Chłodny wiatr rozpedzi ponure myśli. Na półpiętrze wyczuła czyjaś obecność. Obejrzała się, przekonana, że zobaczy męża, ale była to Sawyer, która uniosła palec do ust. Maggie skinęła głową i dała córce znak, by za nią poszła.

– Nic nie mów, Sawyer, proszę. Chodź ze mną na przejażdżkę. Muszę z kimś porozmawiać. Innymi słowy, chciałabym, by ktoś mnie wysłuchał.

– W ogóle nie spałaś, prawda? – stwierdziła raczej, niż zapytała, Sawyer w stajni.

– Nie, a ty?

– Prawie wcale. Przyzwyczaiłam się do kimania jak zajac, bo ciągle zaglądam do dziewczynek. Nie sędzę, by tej nocy ktoś się porządnie wyspał. Ale miałyśmy rozmawiać o tobie. Co się stało?

Maggie poprawiła popręg, zanim spojrzała na córkę.

– Rand mnie zdradził. Spał z Valentine Mitchell – oznajmiła spokojnie. – Wczoraj wieczorem, zanim powiedziałam te okropne rzeczy Cary’emu, uświadomiłam sobie, że on popełnił taką samą zdradę wobec Amelii. Wiem doskonale, nie powinnam była mówić, że jest obcy. Kocham Cary’ego. Nigdy bym go świadomie nie skrzywdziła. Nie wiem, co robić. Nie potrafię.. . wybaczyć Randowi. W każdym

razie nie teraz. Najśmieszniejsze, że on nie ma pojęcia, że ja wiem. W nocy nie przyszedł do naszej sypialni. To najlepszy dowód. Od małżeństwa z Cranstonem jestem ekspertką w dziedzinie zdrad. Przysięgam sobie wtedy, że mnie to więcej nie spotka. Myślałam, że jesteśmy udanym małżeństwem, lubiłam nas porównywać do mamy i Thada.

Maggie od razu objęła prowadzenie. Wbiła pięty w boki konia, aż ruszył galopem. Nadal było ciemno. Ona się zabije, pomyślała Sawyer. Jej wierzchowiec zarżał z dezaprobatą.

– O co chodzi? – zapytała, popuszczając lejce. – Gońmy ich! – mruknęła. Po czterdziestu minutach zwolniły. Były na ziemi Jarvisów. Zmrużywszy oczy, Sawyer zobaczyła w oddali rodzinny dom męża. Ciekawe, czy Maggie zablądziła w ciemności, czy też to miejsce było jej celem od początku. Świtało już. Szarawe światło poranka zapowiadało piękny, słoneczny dzień.

– Chodź, odpoczniemy na huśtawce przed domem – zawołała Maggie przez ramię. Sawyer skinęła głową.

Adam się ucieszy, że zajrzała do jego domu, przemknęło jej przez głowę. Koniecznie muszą tu przywieźć dziewczynki na lato. Naj lepiej w sierpniu, kiedy Nowy Jork jest nie do zniesienia.

Maggie siedziała już na huśtawce, gdy córka podjechała do werandy. Zeskoczyła zwinnie i starannie przywiązała klacz do słupa. Usiadła obok matki.

– Zawsze lubiłam ten dom – odezwała się Maggie.

– Ja też. Adam spędził tu wspaniałe dzieciństwo.

– Moje dzieciństwo było paskudne – zauważyła Maggie.

– Wiem.

– Dzięki mamie, twoje było o niebo lepsze.

– O tym też wiem – odparła Sawyer. – Codziennie dziękuję za to Bogu.

– Odkąd pamiętam, rozmawiałam z Bogiem. Co wieczór się modłę przed snem. Zawsze dziękuję... dziękowałam, że dał mi takie szczęśliwe małżeństwo. Chyba już tego nie powiem. Chyba w ogóle przestanę się modlić.

– Chcesz powiedzieć, że rezygnujesz z Boga? – Sawyer nie wierzyła własnym uszom.

– Powiedziałam tylko, że nie będę się modlić, ale nie twierdzę, że rezygnuję z Boga. Tylko głupiec zrobiłby coś takiego. Sawyer, nie jestem w najlepszej formie, więc mnie nie męcz.

– Co zamierzasz zrobić?

– Wczorom wracam na Hawaje. Odwołałam rezerwację Randa. Nie chcę go widzieć w domu. Chyba muszę mu o tym powiedzieć – mruknęła.

– Też tak sędę – skomentowała Sawyer.

– Susan pewno zostanie. Nic nie mówiła, ale takie odnoszę wrażenie. Będę miała pełne ręce roboty. Trzeba dużo pracy, by Billie Limited znowu stanęło na nogi. Może popełniam błąd, wracając tam. Może powinnam tu zostać, wynająć mieszkanie w mieście albo poprosić Riley'a i Ivy o klucze do starego atelier mamy. Byłabym bliżej was obu. Muszę się na coś zdecydować. Co o tym myślisz?

– Chciałaś, żeby ktoś cię wysłuchał – przypomniała Sawyer delikatnie. Po chwili wyciągnęła z kieszeni džinsów breloczek z kluczami. Odczepiła jeden z nich i podała matce. – Zrobisz, co uznasz za stosowne. To klucz do domu. Zostań tu, jeśli chcesz. Adam będzie zachwycony, że ktoś tu mieszka.

– Co sądzisz o Valentine Mitchell? – zapytała Maggie ostrożnie.

– Zawsze uważałam ją za bardzo kompetentną osobę i zawsze ją lubiłam. I uważam, że jest atrakcyjna, bo o to tak naprawdę pytasz, może nie?

– Jak ona mogła mi to zrobić?

– Do tego potrzeba dwojga, Maggie – zwróciła jej uwagę Sawyer. – Wiem o tym doskonale. Jest mi łatwiej, kiedy część winy zwałam na Val.

– Mówiłaś, że Rand nie ma pojęcia, że wiesz. Jak się dowiedziałas?

– Nikt mi nie powiedział, jeśli to masz na myśli. Po prostu to wiem, czuję. Nie myślę się, Sawyer.

– Czyli tylko podejrzewasz, że spał z Val? i Maggie skinęła głową;

– A jeśli się mylisz? Co będzie, jeśli rzucisz to Randowi w twarz i dowiesz się, że do niczego nie doszło? Zakładałam, że ktoś ci powiedział albo że... och, sama już nie wiem, co myślałam – dokończyła gniewnie.

– Chodź, czas wracać. Nie martw się o mnie, i dzięki za klucz. Dam ci znać, jeśli zdecyduję się zostać. O której jest twój lot?

– O jedenastej, a twój?

– O piątej, jeżeli polecę. Przejazdźka dobrze mi zrobiła. Towarzystwo również. – Maggie uśmiechnęła się blade.

– Nawzajem.

W stajni Sawyer podała matce lejce swego konia.

– Wytrzesz go za mnie? Muszę jeszcze wziąć prysznic i doprowadzić włosy do porządku.

Maggie skinęła głową.

Kiedy oba konie, wyszczotkowane i napojone, wróciły do boksów, wyszła na podwórze. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była równie zmęczona, równie zniechęcona, równie zdradzona. Miała ochotę płakać, szloch przyniosłby ulgę, ale łzy nie chciały płynąć. Jak Rand mógł jej to zrobić? A może to nie pierwszy raz? Jak sobie z tym poradzi?

Spojrzała na zegarek. Siódma. Ciężko wstała z pustej skrzyni. Pójdzie na wzgórze, ostatnie miejsce, gdzie jeszcze nie była.

Szła powoli, wspominając inne okazje, przy których odbywała podobne pielgrzymia na spokojny cmentarz, żeby rozmawiać z

najbliższymi. Najpierw z ojcem, potem z bratem – ojcem Riley, ostatnio z Amelią. Schodząc ze wzgórza zawsze czuła się lepiej.

Ścieżkę zarastały chwasty, mech, wilgotny i śliski od porannej rosy, pokrył nagrobki zielonym nalotem. Najwyraźniej Ivy i Riley nie fatygowali się na wzgórze. Zresztą, po co mieliby tu przychodzić? Wzruszyła ramionami. Dzięki mnie i Cole'owi mają wszystkiego w bród. Zatrzymała się w pół kroku, ukryła twarz w dłoniach. Co się z nią dzieje? Dlaczego myśli o takich rzeczach? Popatrzyła znowu na ścieżkę, na zaniedbane groby. Po śmierci nikt o tobie nie pamięta. Rozpląkała się. Echo podchwyciło jej szloch i niosło go dalej.

Ciaśniej owinęła się szalem, rozglądając się dokoła. Groby były naprawdę zaniedbane. Bezgłośnie łkała, gdy osunęła się na kolana przy nagrobku ojca. Tak nie może być. Riley na pewno nie jest aż tak zapracowany, z pewnością stać go na wynajęcie człowieka, który od czasu do czasu skosiłby trawę. Z wściekłością uderzyła pięścią w kamienną płytę. Zignorowała przeszywający ból w ramieniu. Zafascynowana obserwowała strużkę krwi, spływającą po literze O w imieniu jej ojca, Mossa. Wytarła ją zdrową ręką.

Zaczęła mówić, bez tchu, słowa płynęły wartkim strumieniem. Ulżyło jej. Na kolanach przesunęła się do grobu brata, Riley. Szeptem opowiadała mu o Rileyu juniorze i malutkim Mossie. Następny był grób Amelii. Tu załamała się całkowicie.

– Amelio, odkąd wrócił, jest taki... inny. Chłodny i... prawie obojętny. Mam przeczucie, że się nie mylę, i nie chce mi się z tym żyć. Jak ty dałaś sobie z tym radę? Wiem, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, ale byłaś taka... wyrozumiała, bo darzyłaś Julie szczerą sympatią. Poza tym byłaś chora, co istotne, ale cierpiełaś tak samo. Nie mylę się, Amelio. Mam przeczucie, zupełnie jak ty. Kobieta wie, kiedy mąż ją zdradził. Po prostu *wie*. Wiedziałam w chwili, gdy Rand wszedł do domu i spojrział mi w oczy. Mój Boże, wiedziałam. Amelio, ty

wiesz, że wtedy nie myślałam poważnie, zwracając się do Cary'ego. Byłam wściekła na Randa i... i na mamę. Nienawidzę poczucia bezsilności. Nie mogę nic naprawić ani wobec Randa, ani mamy, to już przypało. Zadałam podwójny cios poniżej pasa. Mało brakowało, a napiłabym się alkoholu, ale nie zrobiłam tego. Nie wiem, jak się z tym wszystkim uporać. Nie wiem nawet, czy jestem w stanie to zrobić. Wiesz co? W angielskim są dwa słowa, których nienawidzę z całego serca. Śmiertelność i niewierność. I wiesz, czego jeszcze nienawidzę? Tego cholernego powiedzonka, że trzeba uważać, o czym się marzy, bo może się zdarzyć, że nasze marzenia się spełnią.

Oparła czoło o nagrobek i rozplakała się na cały głos.

– Domyślałam się, że cię tutaj znajdę – wysapała Billie łapiąc oddech. – Mamó! Co... dlaczego?

– Jestem ci potrzebna. Obejmij mnie i pomóż mi usiąść, o tu, na ławeczce – poprosiła cicho.

– Och, mamó – Maggie ze szlochem otoczyła ją ramionami.

– Maggie, Maggie – załkała Billie.

– Nie chcę, żebyś umarła, mamó. Boże, nie chcę, żebyś umarła.

– Ja też nie skaczę z radości na tę myśl – przyznała Billie ze łzami w oczach. – Nie tak miało być. Wszystko sobie zaplanowałam. To bardzo trudne. Nie znajduję właściwych słów, by ci wyjaśnić. Wyjeżdżamy z Thadem zaraz po śniadaniu. Musisz to zrozumieć.

– Jedź ze mną na Hawaje albo pozwól mi polecieć z tobą do Vermont. Pozwól mi się tobą zaopiekować. Będę przy tobie dzień i noc. Błagam, nie opuszczaj nas.

– Nie opuszczam was, kochanie. Jeszcze się zobaczymy. Thad... mnie potrzebuje. Chce być ze mną, a ja chcę być z nim. Taką podjęłam decyzję, Maggie. Proszę, nie utrudniaj mi tego. I bez tego jest mi bardzo ciężko.

– Dobrze, mamó. – Maggie głośno przełknęła ślinę. – Jeśli chodzi o

Cary'ego, to...

– Ufam, że sama załatwisz tę sprawę. Cary jest bardzo wyrozumiała. Bądź łagodna, skarbie. Zawsze bądź łagodna. A teraz musisz wymyślić, w jaki sposób sprowadzimy mnie na dół w jednym kawałku. Thad będzie zły, że tu przyszedłem.

– Więc mu nie mówmy – zaproponowała niefrasobliwie Maggie.

– Dobrze. – Billie uśmiechnęła się blado. Billie spojrzała na grób Amelii.

– Idę do ciebie. Poczekał jeszcze trochę – szepnęła. Maggie zagryzła usta tak mocno, że poczuła krew na języku. Kiedy zeszły na dół, doprowadziła matkę do pustej skrzynki.

– Usiądź tutaj i odpocznij. Jeśli ktoś cię zobaczy, pomyśli, że wstałaś, aby obejrzeć wschód słońca. – Po chwili dodała: – Mamo, jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć. Wydaje mi się, że podczas pobytu w Minnesocie Rand spał z Valentine Mitchell. Nie wiem, co zrobić.

– Kochanie, kiedy ja nie wiem, co zrobić w jakiejś sytuacji, nie robię nic. Powiedziałaś, że ci się wydaje. To za mało. Nie oskarżaj męża o nic, dopóki się nie upewnisz. W tej chwili w rodzinie i tak panuje zamęt. Niewykluczone, że wmawiając coś sobie, odreagowujesz ten stan. Pomyśl, zanim coś powiesz, tylko o to cię proszę. Czy możesz mi obiecać choć tyle?

– Tak, mamo.

– To mi wystarczy. – Billieeee! – zawołał Thad. Billie podniosła rękę do góry.

– Widzisz, o co mi chodzi? Wpada w histerię, kiedy tylko zniknę mu z oczu. Tu jestem, Thad! – krzyknęła pogodnie.

Boże, jakim cudem jej się to udaje? – zastanawiała się Maggie.

– Śniadanie gotowe. Co wy tu robicie o tej porze?

– Obserwowałam wschód słońca i mama dotrzywała mi

towarzystwa. Ucięłyśmy sobie małą pogawędkę, wiesz, matka i córka, przy czym córka gadała przez większość czasu – wyjaśniła Maggie równie pogodnie.

– Thad, pomóż mi z łaski swojej. Bolał mnie dziś nogi.

W odpowiedzi wziął ją na rękę.

– Przyznaj się, weszłaś na wzgórze, prawda? Znam cię, Billie – szepnął jej do ucha.

Odpowiedź matki wywołała uśmiech na twarzy Maggie. Thad, czy widziałeś, jak wchodzę na wzgórze? – Nie, ale...

– Żadnych ale. Albo mnie widziałeś, albo nie.

– No dobrze, dobrze – burknął.

Maggie szła za nimi, co chwila ocierając łzy z oczu. Nagle zachwiała się, mało brakowało, a straciłaby równowagę. Co to było, do cholery? Poprawiła szal na ramionach i uśmiechnęła się szeroko. Dzięki, Amelio. Przekażę C ary’emu pozdrowienia szepnęła. Nad jej głową zaszumiały drzewa. Potężna gałąź pochyliła się, by po chwili wystrzelić w niebo.

Maggie czuła się tak samo jak tamtego ranka, gdy w szpitalu usłyszała śpiew aniołów.

Kiedy cała rodzina zebrała się na progu, by pożegnać Billie i Thada, zadzwonił telefon. Nikt się nie ruszył, dopóki mały Moss nie zaczął się śmiać, prezentując swój jedyny ząbek.

– Bardzo lubi dzwonek telefonu – wyjaśnił Riley. – Poczekajcie, odbiorę. – Odszedł szybkim krokiem, zadowolony, że choć na chwilę udało mu się odejść. To rozstanie będzie równie bolesne jak pożegnanie z dziadkiem. Burknął coś do słuchawki, posłuchał i poprosił:

– Proszę się nie rozłączać, zaraz go zawołam. Tak, tak, wiem. Proszę poczekać – błagał.

Biegiem wrócił do holu i poklepał kuzyna po plecach.

– Do ciebie. Na twoim miejscu pośpieszyłbym się.

– Czy... Sumi już... o, cholera!

– Leć! – i ryknął Thad.

Ledwie Cole zniknął za progiem, Riley im powiedział: – Dziewczynka. Waży osiem funtów, ma osiemnaście cali długości, cała i zdrowa.

– Osiem funtów! – powtórzyły Sawy er i Maggie jednocześnie.

– Jak fajnie – Ivy przytuliła synka do siebie. – Teraz masz trzy kuzyneczki, z którymi będziesz mógł się bawić.

– Cole będzie wspaniałym ojcem – szepnęła Billie. – Moim zdaniem zawsze najpierw powinny się rodzić dziewczynki. No, ale oczywiście nie jestem w tym względzie obiektywna.

– Nie mogę się doczekać, kiedy kupię małej śliczne ubranko – ożywiła się Susan.

– Mam córkę. – Cole wrócił do pokoju. Miał bardzo zdziwioną minę. – Waży osiem funtów, wyobrażacie sobie? Wszystko jest w porządku. Zostałem ojcem!

Riley poklepał go po plecach.

– Zbieraj manatki, kuzynie. Zawiozę cię na lotnisko. Jesteś pewien, że dasz sobie radę z samolotem? Bo wyglądasz, jakbyś miał zamiar orbitować.

– Czuję się świetnie, naprawdę świetnie. Sumi wybrała imię. Umówiliśmy się, że jeśli będzie dziewczynka, Sumi nada jej imię.

– Nie gadaj tyle, nie widzisz, że wszyscy wstrzymujemy oddech? – ponagliła Sawy er.

Cole podszedł do babki.

– Sumi zaproponowała, a ja się zgodziłem, by nazwać naszą córkę Billie Otami Amelia Tanner.

– Och, kochany, brak mi słów. Riley, twoja mama byłaby taka szczęśliwa. Thad – zwróciła się do męża. – Na nas chyba już czas.

Cole uściskał ją serdecznie.

– Czy miewasz czasami uczucie, że ktoś nad nami czuwa? – szepnęła. – Nie mogę sobie wyobrazić lepszej chwili dla tej wiadomości.

– Wiem, co masz na myśli – odparła. – Obiecay mi coś, kochany.

– Co tylko zechcesz, babciu.

– Kochay swoją córkę bez żadnych warunków. Nigdy, ani przez chwilę nie zapominaj o tej miłości.

– Masz moje słowo. Słuchaj, jeżeli wkrótce nie wyjdziecie, zmieni się atmosfera i...

– Do zobaczenia, kocham! Będziemy pisać i dzwonić! – zawołała Billie pogodnie i zniknęła za drzwiami.

Cole oparł się o framugę. Widok tyłu smutnych twarzy łamał mu serce.

– Słuchajcie, nie obchodzi mnie, że jest dziesiąta rano. Trzeba oblać narodziny mojej córki. Przynieście szampana. I pošlijcie jedną butelkę do szpitala. Dla Cary'ego.

– Ja mu zawiozę – zaoferowała się Susan.

Po toastach i gratulacjach Maggie podeszła do syna.

– Przyślesz mi zdjęcia malutkiej Billie, kiedy tylko wrócisz do domu? Proszę, Cole, nie gniewaj się na mnie. Ja... miałam inne sprawy na głowie. Później pojedę do szpitala i przeproszę Cary'ego. Wracam do domu dzisiaj po południu. Susan chyba zostanie, żeby się zaopiekować Carym. Postanowiłam przejąć kierownictwo Billie Limited. – Mówiła za szybko, błagała go wzrokiem o wybaczenie. Jeśli będzie musiała żebrać, zrobi to. Czekala, wstrzymując oddech.

– Będę robił zdjęcia dziecka co dwie sekundy. Prześlę ci je pocztą kurierską. Cary to równy gość, mamó, i poza Adamem najbardziej wyrozumiały człowiek na świecie. Powodzenia. – Uściskał ją serdecznie. – Słuchaj, w każdej chwili możesz nas odwiedzić i przywitać się z wnuczką. Nie przykładamy specjalnej wagi do etykiety.

Zaproszenie dotyczy również pozostałych. – Roześmiał się głośno.

– Poczekaj na mnie – zawołała Sawyer z błyskiem w oku. – Właśnie rozmawiałam z Adamem, prosił, abym zaraz wracała do domu. Z tego, co rozumiałam, moje potwory obudziły się o piątej, wygramoliły z łóżeczek i zawędrowały do kuchni. Tam umazały wszystko bitą śmietaną, zjadły pół słoika korniszonów i zarzy gały całą podłogę. Zdaniem Adama pochłoneły również kostkę masła. Idę się spakować i jadę na lotnisko.

– Ojej, znowu będziemy sami. Będę za wami tęskniła – powiedziała szczerze Ivy. – Susan, ty chyba jeszcze nie wyjeżdżasz?

– Nie, ale zatrzymam się w mieście. Jeśli jestem wam potrzebna, mogę jeździć tam i z powrotem, ale nie mam samochodu.

– I ja, i Riley chcielibyśmy, żebyś została, lecz to ty musisz podjąć decyzję.

– W mieście będzie mi wygodniej, ale nie odmówię, jeśli zaprosicie mnie na kolację.

– Zawsze cię zapraszamy – zapewnił Riley. – Możesz wziąć mój samochód, Susan. Klucze są pod matą. Nie będzie mi potrzebny przez kilka najbliższych dni.

Kiwając głową z zadowoleniem, Susan weszła na schody.

– Widzisz? Mówiłam, że wszystko zaczyna się układać – szepnęła Ivy do męża.

– Mądrała – zażartował dobrodusznie.

– Ale twoja mądrała, prawda?

– Na wieki wieków. – Uśmiechnął się krzywo. – Słuchaj, skarbie, Cole i ja mamy jeszcze coś do omówienia. Czy mogłabyś zaparzyć nam kawy i przynieść do gabinetu?

– Dobrze, tylko najpierw położę Mossa. Gdzie Maggie i Rand? Riley wzruszył ramionami.

– Coś jest nie tak – mruknęła Ivy.

– Wiem. Co więcej, to nie ma nic wspólnego z Carym. Rand zachowywał się dziwnie od samego początku. Jest tu, a jakby go nie było, rozumiesz, o co mi chodzi?

– Wiesz, kochany – Ivy wspięła się na palce, by ucałować go w policzek – Sumi postąpiła wspaniale, nazywając córeczkę po Billie i twojej mamie. Billie była taka zadowolona. Widziałeś, jaką miała radosną minę? I ty też byłeś rozpromieniony. Zobaczmy, jak na tę nowinę zareaguje Cary. No, leć. Cole na ciebie czeka. Wy tłumacz mu, na czym polegają rozkosze ojcostwa, ale nie mów wyłącznie o miłych sprawach.

– Mam go straszyć opowieściami o zmienianiu pieluch, nocnym wstawaniu i kolce?

– Trafiliś. Jeśli ty tego nie zrobisz, Sawyer przerazi go śmiertelnie. I tak zbladł, kiedy opowiadała o dokonaniach bliźniaczek.

– W porządku. Cole to twardy facet. Zresztą, może do mnie zadzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Nie zapomnij mu się pochwalić, jak zawsze zakładasz pieluchę tył na przód! – zachichotała Ivy.

– Dostyc tego! – ryknął Riley, czym wzbudził zachwyt małego Mossa.

O dwunastej trzydzieści Cole poprawił się na fotelu, me spuszczając wzroku z kuzyna.

– A więc, umowa stoi. Załatwię papierowy kram, kiedy napatrzę się do syta na moją nową córkę. Od tej chwili tworzymy korporację ColeShad, Cole od Coleman i Shad od imienia twojego dziadka. Nie mów, że kieruje mną nepotyzm. Moje nazwisko brzmi Tanner. I zrobiliśmy to w kolejności alfabetycznej, jak chciałeś. – Wyciągnął dłoń. Riley zamknął ją w żelaznym uścisku.

– W porządku, Cole?

– Tak, dopóki nie pomyślę o migrenie, jakiej się nabawię,

porządkując dokumenty. Szkoda, że tak długo trwało, zanim dojrzałem do tej decyzji. Bardzo mi pomogłeś, Rileyu. Nie wiem, czyja okazałbym tyle cierpliwości, gdyby role się odwróciły. Jest jeszcze coś, o co muszę cię zapytać. Gdzie jest haczyk?

Riley położył nogi na biurko i parsknął śmiechem.

– Nie ma i nie było żadnych haczyków, Cole. Tak samo, jak nie było haczyków, gdy scedowałeś na mnie swoją część Sunbridge. Jesteśmy rodziną, Cole. Tylko to się liczy.

Godzinę później ustalili, że Riley spotka się z Valentine Mitchell i omówi szczegółowo, w jaki sposób zabezpieczą zastaw Cary’ego.

– I jeszcze jedno, Rileyu. Kiedy... kiedy otrzymasz wieści od Thada, daj mi znać. Muszę wiedzieć wcześniej, żeby tu dotrzeć na czas.

– Zrobię, co w mojej mocy. Babcia nie chce, żebyśmy się martwili i wydzwaniali bez przerwy. Dziś rano prosiłem Thada, żeby informował mnie na bieżąco. Obiecał mi to. Choć to bolesne, musimy uszanować wolę babci.

– Pełny krąg, Riley.

– Chyba damy sobie radę, choć w pewnym momencie nic na to nie wskazywało. Czy nie miałaś wrażenia, że podczas ostatnich lat byliśmy... wiem, że to brzmi głupio, ale że byliśmy... sprawdzani?

– Każdego cholernego dnia przyznał Cole z szerokim uśmiechem.

– Ja też.

– Widzisz, jak nas załatwili, babcia Billie i twój dziadek? Shadaharu tym numerem ze mną i z. tobą, babcia Billie tym, że doprowadziła rodzinę na skraj bankructwa ciągłymi procesami. Pomyśl o tym, Rileyu, i przypomnij sobie jej i Thada ciągłe podróże do Japonii. Gdyby nie procesy, wymyśliliby coś innego.

– O wiele łatwiej byłoby nam powiedzieć, o co im chodziło – rzucił Riley.

– E, tam. Nie posłuchalibyśmy. Chcieli, żebyśmy sami do tego

doszli. I udało nam się, Riley! Od tej chwili wszystko jest w naszych rękach. Zapewniam cię, że w ogrodzie medytacji nie będzie już popiołu i że nikt nie wypije mojego piwa. Babcia Billie będzie spoczywać w pokoju.

– Jezu. – Tylko tyle powiedział Riley.

– Czas na mnie. Chciałbym jeszcze zajrzeć do Cary’ego, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chcę mu opowiedzieć o mojej córce. Pęknie z radości, kiedy mu powiem, jak ma na imię. Może dzięki temu będzie lepiej usposobiony, kiedy mama do niego przyjdzie. Spotkamy się przy samochodzie. Muszę się pożegnać z mamą i Randem.

Jak się jednak okazało, Cole nie mógł się z nimi pożegnać. Maggie i Rand przepadli bez śladu. Zostawił im karteczkę, że zadzwoni z domu. Ku uciesze Jonquil, nucił imiona Billie Otami Amelia Tanner, idąc przez kuchnię na podwórze.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – zapytała Maggie. Siedziała na huśtawce na werandzie Jarvisów, w tym samym miejscu, co rano z Sawyer.

– Proces eliminacji. To, i fakt, że twojego ulubionego konia nie było w stajni.

– Dlaczego? – W jej głosie nie było zainteresowania. – Od powrotu z Minnesoty nie zamieniłaś ze mną nawet dwóch zdań. W nocy nie pofatygowałaś się do sypialni.

– Byłem zdenerwowany, Maggie. Wypadek Cary’ego uświadomił mi, jak kruche jest ludzkie życie. Twoja mama... nie widziałem jej, lecz Amelię. Twój wybuch wobec Cary’ego jeszcze pogorszył sprawę. Czuję, jak wszystko wali mi się na głowę. Thad i ja siedzieliśmy z Carym do pierwszej nad ranem. Nie chciałem cię budzić.

Jaki ma zmęczony głos, zauważyła. Wzruszyła ramionami.

– Nie sądzisz, że powinniśmy wracać?

– Dlaczego?

Rand posłał jej zdumione spój rzenie.

– A nasz samolot?

– Nie nasz, tylko mój. Odwołałam twoją rezerwację. Nie chcę, żebyś ze mną wracał do domu. Nigdy. Spakuję twoje rzeczy i wyślę je, dokąd będziesz chciał. Poinformowanie o tym twojej córki zostawiam tobie.

– Na Boga, Maggie, co cię ugryzło? Wiem, że jesteś zdenerwowana chorobą mamy i ... i tą sytuacją z Carym, ale czy nie posuwasz się odrobinę za daleko? Nie rozumiem. Jednego dnia wszystko jest w porządku, a drugiego wyrzucasz mnie z domu! Wytlumacz mi to, proszę. Piłaś?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie, nie piłam.

– Nie uważasz, że należy mi się jakieś wyjaśnienie? Do cholery, Maggie, porozmawiaj ze mną. – Desperacja w jego głosie wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Może wrócę do Teksasu i poprowadzę Billie Limited. Albo zamieszkać tu, w domu Adama. Sawyer dała mi klucz. – Wyjęła go z kieszeni.

– To do ciebie niepodobne. Jeśli tego właśnie chcesz, w porządku, ale uważam, że zasługuję na wyjaśnienie.

– Powiedzmy, że zwariowałam. W tym momencie bohater odjeżdża w stronę zachodzącego słońca. Żegnaj, Rand.

Ściągnął ją z huśtawki. W jego ramionach była bezwładna, jak szmaciana lalka.

– Tak po prostu wszystko skończone. Bez żadnego wytłumaczenia. Bez „idź do diabła” albo „niech cię piekło pochłonie”. Co ja takiego zrobiłem?

– Zdradziłeś mnie?

Sam był zdziwiony, z jaką łatwością przyszło mu kłamstwo. – Nie!

– Nic wierzę ci – odparła spokojnie.. – Przez całe życie stykałam się z niewiernością. Mój ojciec, mój pierwszy mąż, Gary, a teraz ty. Wiem, co widzę. I tyle.

– Widziałaś niewierność innych i na tej podstawie osądzasz mnie! – krzyknął, pełen złości i poczucia winy. , – Tak, i uważam cię za winnego – zdenerwowała się, podniosła głos. – Jak śmiałeś tak po prostu zepsuć nasze małżeństwo! – Odwróciła się, nie chcąc widzieć jego miny.

– Maggie...

– Odejdź, Rand. Nie utrudniaj. I bez tego jest mi wystarczająco ciężko. – Kocham cię, Maggie.

– Wiesz co, Rand? Ja też siebie kocham. Nie zasłużyłam na coś takiego. Wiedziałam. Wiedziałam w chwili, gdy usłyszałam twój głos w słuchawce.. . wiedziałam. Czułam to. Zdradziłeś mnie i kłamałeś w żywe oczy. Odejdź, Rand, nie mogę na ciebie patrzeć.

Kiedy ucichł tętent kopyt, spojrzała na pustą przerię. Teraz może płakać, nikt jej nie zobaczy. *Nie oskarżyłam go, mamó. Zapytałam, a on mnie okłamał. Gdyby się przyznał... nie, nie mogę wybaczyć. Zniszczył coś pięknego, co bardzo kochałam, ceniałam. Nigdy nie wybaczyłaś ojcu jego zdrad, dlaczego ja miałabym postąpić inaczej? Mimo to postąpiłam, jak mnie prosiłaś, zapytałam. W głębi serca wiem, że to, co mi powiedziałaś... że to... Nie będziesz mi już więcej udzielała rad. Posłuchałam cię, mamó.*

Spojrzała na zegarek. Zanim wstała z huśtawki, głęboko zaczerpnęła powietrza. Ma niewiele czasu, a musi jeszcze przeprosić Cary'ego.

– Wszyscy myślą, że jestem silna, że nic mną nie może wstrząsnąć – mruknęła, poganiając konia. – Coś takiego. Mam wrażenie, że wypruto ze mnie wszystkie flaki.

O wpół do pierwszej Maggie stuknęła obcasikami po szpitalnym korytarzu, zmierzając do pokoju Cary'ego. Żołądek się jej skręcał ze strachu. Głośno przełknęła ślinę, akurat wtedy, gdy mijały ją dwie pielęgniarki, niosące tace z lekarstwami. W pokoju, na twardym plastikowym krześle, siedziała Susan z otwartą książką w ręku. Na metalowym stoliku piętrzyły się gazety. Niewątpliwie Susan czyta mu na głos, skostatowała Maggie. Wygląda tak opiekuńczo. Chyba jest zadowolona.

– Ile kwiatów ~ szepnęła do siostry. – Czy mogłabyś na chwilę zostawić nas samych, Susy?

– Oczywiście. Przyniosę kawy. – Zniknęła za drzwiami, pozostał po niej tylko delikatny zapach perfum.

– Cary, to ja, Maggie. – Wzięła go za rękę. Nie wiadomo dlaczego oczekiwała, że będzie wilgotna. Była sucha i gorąca. – Przyszłam cię przeprosić. „Przepraszam” to tylko słowo, którego zresztą nadużywamy, więc chciałam także wytłumaczyć, choć sama nie wiem... chcę powiedzieć, że tym sposobem mogę cię jeszcze bardziej urazić...

Och, Cary, ja... Rand... Rand spał z Valentine Mitchell. Kiedy cię zobaczyłam, zaraz mi się przypomniała Amelia i nasza rozmowa. Jak bardzo cierpiała. Zareagowałam niewłaściwie i jest mi przykro z tego powodu. Nie miałam prawa tego mówić. Chciałam kogoś zranić, żeby nie cierpieć w samotności. Mama... Rand... twój a propozycja pomocy Sawyer i mina mojego syna... Cary. proszę, wybacz mi.

– Nie ma tu nic do wybaczenia, Maggie. Uważam się za członka rodziny. Wiedziałem, przez co przechodzisz. Wyczułem to, podobnie jak winę Randa. Nie przyszło mi to z trudem. Nie zapominaj, że żyję z poczuciem winy już tak długo, że stało się ono moją drugą naturą..

Maggie skinęła głową. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że Cary nic nie widzi przez bandaż.

– Wiem. Ja nie jestem taka szlachetna, nie mam w sobie tyle

altruizmu. Nie twierdzę, że Amelia nie miała racji, chcę tylko powiedzieć, że inaczej do tego podchodzę niż ona. Najtrudniej chyba pogodzić się ze zdradą – szepnęła.

– Powiedziałbym, że równie trudno jest żyć z poczuciem winy – poprawi! spokojnie. – Ja z tym żyję na co dzień. Jakaś część mnie będzie zawsze kochała Julie, ale musieliśmy się rozstać. To, co nas łączyło... nie mogłem z tym żyć. Co zrobisz, Maggie? Jakie masz rozwiązania? Zawieź mnie do świetlicy, muszę zapalić, a w pokojach nie wolno. Nie martw się o Susan, znajdzie nas.

– Dzisiaj wracam na Hawaje. Kazałam Randowi się wyprowadzić. Przez kilka najbliższych dni będę siedziała w domu i użalała się nad sobą. Wiesz, będę się biła w piersi i płakała. Przejmuję Billie Limited, więc muszę obmyślić strategię, jechać do Hongkongu i na Tajwan.

– Zapowiada się to nieźle. Co na to... Rand?

– Zaprzeczył wszystkiemu. Nigdy nie był dobrym kłamcą. Czuję to, Cary, tak samo jak Amelia.

Dodał jej otuchy uściskiem dłoni. Ośmielona, mówiła dalej:

– Cary, chciałabym cię o coś zapytać. Zaklinam cię, odpowiedz szczerze. Gdyby Amelia cię zapytała, czy przyznałbyś się do romansu z Julie?

– Tak. W pewnym momencie miałem gotowych sto jeden usprawiedliwień, dlaczego doszło do tego, do czego doszło, każde głupsze od poprzedniego. Codziennie czekałem, aż mnie zapyta, ale Amelia nigdy tego nie zrobiła. Trudno mi uwierzyć, że o wszystkim wiedziała, a mimo to nie zdradziła się ani słowem. Nic nie dała po sobie poznać. Lubiła Julie, traktowała ją jak swoją następczynię. Nie rozumiem tego do samej śmierci. W każdym razie, cieszę się, że do mnie przyszedłaś.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałeś, Cary. Proszę, powiedz, że mi wybaczasz. Jestem pełna podziwu dla tego, co robisz dla Sawyer i całej

rodziny. Amelia na pewno śmieje się z całego serca. Ach, zapomniałam ci powiedzieć, weszłam na wzgórze i, kiedy wracałam... miałam wrażenie, że dotknęła mojego ramienia, jakby chcąc mnie uspokoić, że zaopiekuje się mamą. Nie śmieję się, Cary. Muszę wierzyć w takie rzeczy. W każdym razie obiecałam jej, że przekażę ci pozdrowienia. – Z tymi słowami pochyliła się i pocałowała go w policzek. Cary się uśmiechnął.

– Zawsze można na nią liczyć. Maggie pocałowała go ponownie.

– Zostawiam cię w dobrych rękach. Susan, Ivy i Riley się tobą zaopiekują. Susan ci powiedziała o córeczce Cole’a, prawda? Billie Otami Amelia Tanner. Brzmi nieźle. Mama była zachwycona. Niedługo się odezwę, Cary – powiedziała miękko. – O, przyszła twoja osobista opiekunka. Pozwolę sobie zauważyć, że jej niebieski kostium jest nader twarzowy – zwróciła się do siostry. – Uważaj na siebie, Susan. Zadzwoń. Zatrzymałaś się w apartamencie w Mirandzie?

– Na jakiś czas. Maggie, ja...

– Ćsss – Maggie objęła ją mocno. – Dbaj o Cary’ego. – Jak jej błyszczą oczy, spostrzegła. Jak ładnie uśmiecha się Cary.

Wychodząc ze szpitala i kierując się w stronę parkingu, starała się zapanować nad nerwami.

Cztery godziny później siedziała w samolocie. Za dziesięć godzin dotrze do domu. Sama, bez męża.

Rozdział dziewiąty

Rand sztywno wyprostowany stał na werandzie obok Rileya i Ivy, która trzymała małego Mossa. Miał ponurą minę.

– Nie wiem, co robić – wyznał.

– Może chcesz wejść do domu i o tym porozmawiać? – zaproponował Riley. – Ani Ivy, ani ja nie mamy pojęcia, co się dzieje. Ciotka Maggie przeprosiła Cary’ego. Po powrocie powiedziała, że okazał się dla niej bardziej wyrozumiały, niż na to zasługuje. Skoro Cary jej wybaczył, nie wiem, na czym polega twój problem, Rand – stwierdził Riley, lekko zirytowany. Kochał Maggie jak matkę. Powitała go w Sunbridge z otwartymi ramionami, gdy po raz pierwszy przyleciał do Stanów. Podczas kłótni często brała stronę jego, nie syna. W oczach Rileya Maggie nie popełniała błędów.

– Pogadajcie sobie, ja zrykam – wtrąciła się Ivy pogodnie. – Ten dżentelmen – wskazała małego Mossa – nie może się doczekać kolacji i kąpeli. Jonquil przygotowała coś dla was w kuchni. Zawołajcie mnie, gdybyście czegoś potrzebowali.

– Jasne, skarbie.

– Masz ochotę na spacer? – zapytał Rand.

– Dobrze, może na wzgórze?

– Nie, nie tam – Rand się sprzeciwił. – Chodźmy do ogrodu. Spacerowali, pogrążeni we własnych myślach. Riley nie mógł dłużej znieść ciszy.

W końcu odezwał się Rand:

– Chyba pojedę do Anglii.

– Tak od razu? Dlaczego?

– Maggie nie chce, żebym wracał na Hawaje. Kazała mi się wyprowadzić i zabrać córkę. Wcześniej mówiła coś o przyjeździe tutaj i wynajęciu od was starego atelier Billie albo zamieszkaniu w domu

Adama.

– Nie wiem, Rand. Nic z tego nie rozumiem. Wiem tylko, że nigdy nie widziałem Maggie równie zawziętej, równie nieszczęśliwej. Będziemy tylko rozmawiać, czy może coś mi wyjaśnisz? Jeśli uważasz, że to nie moja sprawa, w porządku – zastrzegł się pośpiesznie.

– Maggie sądzi, że spałem z Valentine Mitchell – rzucił Rand.

Riley uniósł brwi w górę. Pomyślał o nadchodzącym spotkaniu z Val i przypomniał sobie, że Rand i ona spędzili trzy i pół dnia w Minnesocie. Zagryzł dolną wargę.

– Nie zapytasz, czy spałem z nią czy nie? – zaatakował Rand.

– Czy gdybym to zrobił, powiedziałbyś mi prawdę? Ciotka Maggie musi być przekonana, że tak, skoro... Zazwyczaj nie podejmuje decyzji pod wpływem impulsu. Ciągle wbijała to mnie i Cole'owi do głowy. Jeśli tym się gryzła wczoraj wieczorem, to przynajmniej tłumaczy jej wybuch wobec Cary'ego. Może chciała wrócić sama, żeby ochłonać i wszystko przemyśleć.

– Już to przemyślała. Samotny wyjazd jest równoznaczny z podjęciem decyzji.

– Nie walczyłeś zbyt zajadle – zauważył Riley chłodno.

– Oczywiście uważasz, że jestem winien?

– Nie wyręczaj mnie w odpowiedzi, Rand. Pamiętam jednak czasy, kiedy ty i Sawyer byliście parą. Nie miałeś wtedy odwagi, żeby jej powiedzieć, że między wami wszystko skończone. To wtedy była taka chora i o mało nie umarła. A ty niedługo potem ożeniłeś się z ciotką Maggie. Do dziś nie masz pojęcia, jak bardzo ją skrzywdziłeś. Wiemy o tym, Cole i ja, i może ciotka Maggie – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– To nie było tak. Między mną a Sawyer się skończyło, zanim się zakochałem w Maggie – warknął Rand. – To był cios poniżej pasa, Riley, i doskonale o tym wiesz.

– Nieprawda, Rand. Takie są fakty. Nie można zmienić przeszłości.

Podobnie jak ciotka Maggie, uważam wierność za najważniejszą sprawę. – Choć kusiło go, by zapytać Randa, czy Valentine była warta tego zachodu, nie zrobił tego. Zastanawiał się, jak ma się wobec niej zachowywać, kiedy jutro pójdzie do jej biura? – Co zatem zrobisz?

Rand wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, chyba pojedę do Anglii.

– Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Jeśli chcesz być sam, atelier babci Billie jest do twojej dyspozycji. Nie osądzam cię, Randzie. Przepraszam, jeśli to tak zabrzmiało.

– Zawsze jest jakieś „ale” – mruknął Rand. – Niedobrze się czujesz w moim towarzystwie. I nadal mi nie zadałeś tego, jakże ważnego pytania.

Jest zbyt arogancki, zbyt butny, pomyślał Riley.

– Nie, nie zadałem i nie zadam. Nie chcę wiedzieć. To sprawa między tobą a ciotką Maggie. Rozmawiałeś z Thadem?

– Nie, on i bez tego ma wystarczająco dużo na głowie. Z Carym też nie, jeśli to jest twoje następne pytanie. Możliwe jednak, że Maggie wspomniała coś Sawyer.

Riley oparł nogę na tej samej skrzynce, na której o świcie siedziała jego ciotka.

– Rand, zazwyczaj nie udzielam rad, ale na twoim miejscu pojechałbym do Maggie i zrobił wszystko co w mojej mocy, żeby ją ułagodzić.

– Zapamiętam to – stwierdził obojętnie. – Chyba zrezygnuję z kolacji. Czy mogę wziąć pikapa?

– Oczywiście. Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, Randzie? – Nie, ale dzięki za propozycję. Do zobaczenia później. – Rand ruszył w stronę domu szybkim krokiem.

Pokój, który miał dzielić z żoną, był utrzymany w tonacji kolorów ziemi. Jedynym przedmiotem nie pasującym do wnętrza była jego

walizka. Stała tam, gdzie ją wczoraj postawił, nie rozpakowana. Maggie spędziła w tym pokoju kilka dni, ale nie został po niej nawet najmniejszy ślad. Zielono-brązowej narzuty na łóżku nie znaczyła najdrobniejsza fałdka. Nigdzie nie było resztek pudru, spinek do włosów, jednorazowych chusteczek. W łazience znalazł starannie poskładane ręczniki, mydło wyglądało jak nietknięte, na umywalce i wannie nie było ani jednej kropli. Zaintrygował go fakt, że w koszu na śmieci nie było wacików i chusteczek. Maggie nie potrafiła się bez nich obejść przy nakładaniu makijażu. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że kiedy odjeżdżała, była nieumalowana. Miała błyszczący nos, a piegi były widoczne mimo opalenizny.

Ileż to razy w ciągu minionych lat powtarzała: „Jeśli chcesz, by cię ponownie zaproszono, bądź dobrym gościem”. Oznaczało to zmienianie pościeli, wyrzucanie śmieci, suszenie ręczników i, jeśli w pokoju były cięte kwiaty, nalewanie świeżej wody. Chciało mu się płakać.

Ze złością cisnął walizkę na łóżko. Narzuta się pogniotła. I dobrze. Podniósł wieko i spojrzał na kłęb ubrań. Większość była brudna. Wyrzucił całą zawartość walizki na podłogę. Na samym dnie znalazł czystą, ale pogniecioną koszulę i spodnie khaki w takim samym stanie. Wpadł w euforię na widok czystej pary. slipek i skarpet. Potem znowu zachciało mu się płakać.

Skrzywił się, gdy w lustrze zobaczył dwudniowy zarost. Wygląda jak lump. Boże drogi. Rozebrał się, rzucił ciuchy w kierunku sterty na podłodze.

Pół godziny później był czysty, ogolony i ubrany w pogniecione ciuchy. I co teraz? – zastanawiał się głośno. Zatrzymał wzrok na czekoladowym telefonie, stojącym na nocnym stoliku. Wtedy po raz pierwszy zauważył kwiaty. Jasnoczerwone tulipany smętnie zwiesiły główki. A więc Maggie nie zawsze robi to, co mówi, przemknęło mu przez głowę. Z satysfakcją zaniósł wazon do łazienki, zmienił wodę i

starannie wytarł spód wazonu, żeby nie poplamzić mebli. Od razu poczuł się lepiej, jakby zrobił coś pożytecznego, coś, co mogłoby zmienić postać rzeczy.

Podniósł słuchawkę, wykręcił hawajski numer, wysłuchał, jak automatyczna sekretarka informuje głosem Maggie: „, Randa i mnie nie ma teraz w domu. Proszę zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału, oddzwonimy jak będziemy mogli najszybciej”. – Odchrząknął, zanim rozległ się sygnał. Mówił głośno i wyraźnie:

– Maggie, musimy o tym porozmawiać. Dzwonię z Sunbridge, ale zaraz stąd wyjeżdżam. Planuję zatrzymać się w hotelu w mieście. Nie chcę obarczać innych naszymi problemami. I tak mają dosyć kłopotów. Chciałem tylko... chciałem ci powiedzieć, że o tobie myślę. Zależy mi na tobie, Maggie.

Odłożył słuchawkę.

Było już ciemno. Pokój rozjaśniało jedynie światło z łazienki. Rand odnalazł kontakt. Dopiero teraz dostrzegł fotel z szafirowym obiciem. Stał przy oknie. Nie pasował do tego pokoju, był przeznaczony dla kobiety. Ciekawe, czy Maggie na nim siedziała? Czy w sypialni można palić? Ivy nigdy nic na ten temat nie mówiła. Riley palił czasami, jego żona wcale. Zanim zapalił, otworzył szeroko okno. Wtedy zauważył małą popielniczkę na parapecie.

Dokąd ma pójść? Jakie ma możliwości? Jak wygląda jego sytuacja prawna? Jęknął. Bez względu na okoliczności, Maggie będzie nieugięta. „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Sawyer mu to powiedziała. Wolalby, żeby w jej głosie była wtedy gorycz, nie smutek. Przesadził i Sawyer o tym wiedziała. Nigdy mu nie wybaczy. Wybaczone Cary’emu, że zbłądził z drogi cnoty, bo wybaczyła mu Amelia, akceptując Julie. Jemu jednak nie darują. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim wszyscy się dowiedzą, że posunął się za daleko. Fakt, że okłamał żonę, tylko pogarszał sprawę. Amelia wychowała go w poszanowaniu prawdy; jeśli

coś spieprzył, miej odwagę ponieść tego konsekwencje. On tymczasem był niewierny i kłamał, by to ukryć.

Cholera, to, że Maggie zabroniła mu wracać na Hawaje, wcale nie znaczy, że musi jej słuchać. Ma takie samo prawo tam przebywać jak i ona. Postępuj, jak ona chce, przeczekaj, podszeptował wewnętrzny głos. Nadejdzie jeszcze pora rozmów. Maggie nie będzie siedziała na Hawajach sama. Wróci tu. Żle znosi samotność. Nagle odezwał się inny głos: Maggie kochała cię całym sercem, ty skurczybyku. Utraciłeś ją. Jesteś nieszczęsnym, żalonym draniem i zasłużyłeś sobie na wszystko, co cię spotka, *Lordzie Randzie Nelson*.

Zacisnął powieki. Szczypały go oczy. To na pewno skutek dymu papierosowego.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kuhie.

Jak złodziej przekradł się na dół, przez kuchnię i na podwórze. Zakładał, że Ivy i Riley siedzą w salonie. Nie pomylił się, udało mu się wymknąć niezauważenie. Objechał dom dookoła, podjazdem dotarł do głównej szosy. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny.

Na autostradzie włączył radio. Jechał powoli, siedemdziesiąt mil na godzinę, ale i tak omal nie spowodował wypadku, kiedy Rod Stewart zaśpiewał „Maggie May”. Wstrząśnięty, zwolnił pedał gazu i skoncentrował się na jeździe. Zatrzymał się dopiero po wjeździe na podziemny parking Wieżowca Assante.

– Proszę pańską kartę, sir. – Do samochodu podszedł strażnik. Rand podał mu plastikowy identyfikator, wiszący za przednią szybą, który otrzymał od Cary’ego, podobnie jak wszyscy członkowie rodziny. Czekał cierpliwie, aż strażnik mu ją zwróci.

– Windy do apartamentów znajdują się na prawo od sektora B, windy na piętra od szesnastego do trzydziestego drugiego na lewo od sektora A. Schody są obok sektora C. – Rand prychnął coś niezrozumiale i poszedł w kierunku sektora A.

Wysiadł na trzydziestym szóstym piętrze. Krótki korytarz doprowadził go pod drzwi apartamentu 36A. Nacisnął guzik dzwonka. Nasłuchiwał delikatnego dźwięku. Nie mógł rozpoznać, co to za melodia. Cofnął się o krok, gdy drzwi się uchyliły.

– Byłeś niedaleko i postanowiłeś wpaść i się przywitać – stwierdziła Valentine Mitchell. – Więc się przywitaj i pożegnaj od razu. Mieliśmy się więcej nie spotykać.

Przytrzymał drzwi ramieniem, bo chciała mu je zamknąć przed nosem.

– Jak tu wszedłeś? Mieliśmy umowę, Randzie.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać. – Wszedł do przedpokoju. Nigdy nie widział naraz tylu luster, szkła i niklu. Odbicia jego i Val były wszędzie. Dom luster, przemknęło mu przez głowę.

Przesunęła się na bok.

– Proszę do salonu, rzekł pająk do muchy. – Skłoniła się nisko.

Z jej twarzy nie mógł niczego wyczytać. Spojrzał na jej bose stopy. Miała na sobie dzinsy i tę samą bluzę, którą nosiła w Minnesocie.

Wydawało się, że zatapia się w białym pluszowym dywanie, zanim, mijając Valentine, dotarł do pokoju. Opadł na fotel obity białą skórą.

– Podobają mi się te obrazy – stwierdził, wskazując malowidła na ścianach. Były to abstrakcyjne plamy jaskrawych kolorów.

– To mój wkład w wystrój wnętrza – rzuciła oschle. – Ponieważ żyję w świecie czarnobiałym, potrzebowałam trochę koloru. Ale nie przyszedłeś tu po to, by omawiać szczegóły umeblowania mojego mieszkania, prawda?

– Nie, nie po to. Maggie wie.

Zapaliła papierosa. Wypuściła idealnie okrągłe kółko w jego stronę.

– Tu mnie zaskoczyłeś. Nie przypuszczałam, że jesteś typem, który ze skruchą wyznaje grzechy. – Następne kółko, z miną równie nieprzeniknioną, jak wcześniej.

– Nie powiedziałem jej. Twierdzi, że sama się domyśliła. Poleciała do domu. Nie chce, żebym wracał na Hawaje. Maggie nie wybacza łatwo.

Dwa kółka pozełgowały pod sufit;

– Pierwsza zasada: nigdy się do niczego nie przyznawaj – odezwała się. – Druga: jeśli coś spieprzysz, staraj się to naprawić. Zazwyczaj za tego rodzaju porady inkasują trzysta pięćdziesiąt dolców za godzinę. Wasza Lordowska Mość uzyska je za darmo.

– Do niczego się nie przyznałem. Maggie spytała mnie otwarcie, a ja się wyparłem. Chcę, żebyś poparła moją wersję. Do niczego między nami nie doszło.

– Nigdy nie oglądam się za siebie, Rand, i nigdy się nie wplątuję w takie afery.

– Daj spokój, Val. Proszę, żebyś mi pomogła uratować moje małżeństwo. Wystarczy jeden telefon. Nie uważam, żebym prosił o zbyt wiele.

– A ja: tak. – Roześmiała się, ale jej oczy pozostały smutne. – Gdybym zrobiła, o co prosisz, byłoby to potwierdzenie, że rzeczony incydent miał miejsce. Nie, Rand, wielkie dzięki. Nie idę na to.

Nie ukrywał zdziwienia.

– Nie pomożesz mi?

Wyjęła kolejnego papierosa z pudełka, stuknęła nim o szklany blat stołu i obejrzała z zainteresowaniem naukowca, zanim wetknęła do ust.

– Gdyby sprawy miały się na odwrót, pośpieszyłbyś mi z pomocą? Zastanówmy się. – Zmrużyła oczy podrażnione dymem. – Moim zdaniem, w pierwszej kolejności pomyślałbyś o własnym tyłku. Zaraz znalazłoby się pół tuzina szacownych obywateli przysięgających na Wszystkie świętości, że w danym momencie grali z tobą w karty. Zostawiłbyś mnie na lodzie bez zmruczenia oka. Widzisz, w drodze z Minnesoty miałam dużo czasu do namysłu. Jeśli mówisz A, powiedz i

B. A teraz wybacz, mam trochę papierkowej roboty. Jutro muszę wcześniej Wstać.

– Val, błagam szepnął ochryple.

– Rand, tamtej nocy mówiłam ci, że to kiepski pomysł. Wypiliśmy za dużo i ulegliśmy nastrojowi chwili. Jeśli o mnie chodzi, nic się nie stało.

– Owszem, stało warknął.

Rozłożyła ręce.

– Jak widać, nic nie jest oczywiste. Mówiłam ci, nigdy nie oglądam się za siebie.

Zerwał się na równe nogi. Był wściekły. Val się roześmiała.

– A przy okazji – wczoraj wysłałam moją rezygnację z pracy dla Coleman Enterprises. Poleconym. Na wszelki wypadek przesłałam ją również faksem.

– Uznają to za przyznanie się do winy – burknął.

– Nie obchodzi mnie, co na to powie twoja rodzina. Dla mnie liczy się tylko to, jak ja to widzę.

– Wbiłaś mi gwóźdź do trumny, Val. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie miała w tym stanie żadnych klientów.

– Czyżby?

– Właśnie tak!

Zduśiła niedopałek w ceramicznej popielniczce. Wzięła garść cukierków M&M z kryształowej, miseczki i powoli wsadziła je do ust.

– Jeśli pan, milordzie, wybaczy, pozwolę sobie wygłosić moje zdanie na ten temat. Maggie chciała się ciebie pozbyć. Nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważałam. Jeśli nie wyjdiesz, Wezwę strażnika. Nie zapowiedziano cię, co oznacza, że wszedłeś na cudzą kartę. – Sięgała po słuchawkę, kiedy uderzył ją w rękę.

– Nie groź mi, Val.

Zanim wybiegł, zrzucił na podłogę wszystko, co stało na stoliku.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, podbiegła, by opuścić zasuwę. Usiadłszy na kanapie, zdała sobie sprawę, że jej złość przerodziła się w coś innego – głęboką melancholię. Potrzebowała wsparcia przyjaciela, jednak nikogo takiego nie było w jej życiu. Ani jednego prawdziwego przyjaciela. Jak to możliwe, że przeżyła tyle lat w zupełnej samotności?

Cóż, nigdy nie jest za późno. Może się jeszcze z kimś zaprzyjaźnić. Może jeszcze odmienić swoje życie, jeśli tego naprawdę zechce.

Okłamała Randa, mówiąc, że musi odpowiedzieć na korespondencję. Listy na stoliku zawierały propozycje nabycia jej kancelarii za zawrotną sumę jedenastu milionów dolarów. Również sześciu wspólników wyraziło gotowość wykupienia jej udziałów. Za miesiąc będzie po wszystkim. Jeśli ma ochotę, może teraz, w tej chwili, wyjść z mieszkania, zabierając wyłącznie szczoteczkę do zębów, a i tak do końca życia będzie się pławiła w luksusie.

Przypomniął się jej sklepik Brodych w Oxmoor, w stanie Minnesota. Nie zabierze szczoteczki do zębów. Będzie to jej pierwszy nabytek u Brodych.

Pięćdziesiąt cztery lata to wcale nie za późno, by zacząć od nowa. Kupi sobie mały domek z ogródkiem, taki jaki miała Susan. Sprawi sobie dwa psy, kota i ptaszka, który śpiewa o świcie. Pójdzie do sklepu z artykułami żelaznymi Dixona i kupi kosiarkę do trawy, grabie i szufłę do odgarniania śniegu. Sprzeda lamborghini i przesiądzie się na rangę rovera. Rolex, perły i brylanty spoczną w bankowym sejfie, bo nie wypada ich nosić na zakupy do Wal-Mart..

Jeśli się zdecyduje, będzie to największa przygoda jej życia.

Pomyślała o Maggie Nelson. Słyszała kiedyś, jak ktoś porównał małżeństwo Maggie i Randa do związku Billie i Thada. Szkoda, że dobiega końca. Szkoda, że Rand nawalił, i to z jej pomocą. W ciągu całego lotu do domu myślała o swoim udziale w tej sprawie.

Dlaczego nie mogę przestać myśleć o Maggie? zastanawiała się.

Może jednak powinna do niej zadzwonić. Nie z powodu Randa, ale właśnie przez wzgląd na Maggie. Maggie nie jest głupia; czyjej uwierzy? Mało prawdopodobne. Mogłaby powiedzieć jej prawdę. Z czym będzie jej się trudniej pogodzić? A może najlepiej milczeć? W jednym musiała przyznać Randowi rację – rodzina uzna jej rezygnację i wyjazd za przyznanie się do winy. Teraz, w tej chwili, musi zdecydować, czy jato obchodzi czynie.

Zaczerpnęła następną garść kolorowych cukierków i wsadziła wszystkie naraz do ust. Ma to w nosie.

Nie mogła się opędzić od myśli o Maggie, gdy porządkowała papiery na podłodze. Kiedyś Maggie była twarda jak skała, teraz jest wrażliwa jak inni ludzie. Na pewno jest zrozpaczona. Nagle Val zastygła w bezruchu. Przyszła jej do głowy straszna myśl. Co będzie, jeśli Maggie zacznie znowu pić?

Zerwała się z kanapy, nerwowo przechadzała się po pokoju, z salonu do stołowego, dokoła stolika, obok popiersia Blackstone'a. Nerwowo załamywała ręce. Zatrzymała się, żeby obciągnąć podwiniętą bluzę. Oddałaby dużo za jednego jedynego przyjaciela. Który mógłby jej doradzić w tej sytuacji. Który chciałby jej wysłuchać.

Wpadła na pewien pomysł. Szybko jak błyskawica podbiegła do drzwi, szarpała się z łańcuchem i zasuwał. Wypadła z mieszkania po niemal niezauważalnej chwili wahania. Zatrzymała się przed apartamentem 36C. Stała tak, by lokator dobrze ją widział przez wizjer, i nacisnęła dzwonek.

Elliot Morrow, wydawca „Miranda Sentinel” i klient Val, otworzył drzwi.

– Witam, Val. Coś się stało? – zapytał z troską w głosie.

– Nie, skądże. Chciałam cię prosić o olbrzymią przysługę.

– Jeśli tylko to będzie w mojej mocy. – Odwrócił się. – Wejdz do środka. Znalazła się w apartamencie bliźniaczo podobnym do jej

mieszkania.

– Pomyślałam sobie, że mógłbyś nu pożyczyć Isaaca na noc. Ja... postanowiłam sprawić sobie psa, i... obiecałam hodowcy, że dam mu odpowiedź jutro z samego rana. Nigdy nie miałam żadnego zwierzaka, więc... to jest... chodzi mi oto...

– Jasne, nie ma problemu. Isaac cię zna.

Elliot zagwizdał. Czworonożny kłębek energii zatrzymał się u stóp Val. Ukucnęła, żeby podrapać go za uszami. Wilgotne ślepia pełne uwielbienia błagały, by nie przerywała pieszczoty.

– Val, czy coś się stało?

– Nic wielkiego, dam sobie radę – zapewniła go.

– W porządku. Poczekaj chwilę. Wrócił z siatką wypełnioną po brzegi.

– To jest jego legowisko i kocyk. Zapakowałam też dwie ulubione zabawki, smycz, smakołyki, szczotkę i grzebień, szczoteczkę do zębów i śniadanie. Trzeba go wyprowadzić o wpół do dwunastej i potem rano o szóstej. Podrzuc mi go między siódmą a ósmą. Kwadrans po ósmej przychodzi jego opiekunka. Nie pozwól mu włązić na meble i umyj wąsy po jedzeniu. Nie cierpi, kiedy ma brudne wąsy. Zasypia zaraz po wieczornym spacerze. O, w siatce jest też jego pozytywka.

– Wiesz, Elliot, traktujesz tego psa lepiej niż niektórzy ludzie własne dzieci.

– Isaac i ja dużo razem przeszliśmy. Rozpuszczam go? I co z tego? Bawi mnie. W całym wszechświecie nie znajdziesz szczęśliwszego psa. Dbaj o niego – poprosił, otwierając drzwi. Spojrzał na spaniela – „Idź z Valentine”. – Pies obejrzał się raz, ale posłusznie podreptał za nią, nie odrywając wzroku od wypchanej siatki.

Val wpuściła go do mieszkania. Pierwsze kroki Isaac skierował do salonu, gdzie od razu usadowił się na białej kanapie. Szczeknął cicho, obwąchując siedzenie. Val obserwowała, jak wyciąga szyję, chcąc

dostać się do słodyczy na stoliku. Szczeknął ponownie.

– Proszę bardzo, poczęstuj się – wysypała na podłogę cały jego bagaż. – Niejeden idzie na wojnę z mniejszym ekwipunkiem – mruknęła.

Ułożywszy psie skarby, przycupnęła koło niego na sofie. Czekwała, nie wiedząc, co robić. Miała ochotę wziąć go na ręce, poczuć ciepłe ciało przy sobie, usłyszeć bicie małego serduszka. Pogłaskała jedwabiste uszy ze łzami w oczach. Wstrzymała oddech, gdy tłusty psiak przysunął się bliżej, położył jej łapy na udach. Po chwili wgramolił się na kolana. Nie mogła opanować szlochu. Po jej policzkach popłynęły łzy. Isaac wiercił się i kręcił tak długo, aż stanął na tylnych nogach, opierając przednie na ramionach Val. Lizał japo twarzą z takim zapałem, że długie uszy fruwały we wszystkie strony.

Laskawie pozwalał się tulić, pieścić i głaskać. Jedwabisty łepok był do tego stopnia mokry od łez, że wytarła go chusteczką. Nie wypuszczając go z objęć, otwierała przed nim duszę.

– Rand mi się podobał, me przeczę. Ale gdyby nie zrobił pierwszego kroku, nie uległabym emocjom. Nigdy się nie okłamuję i wiem, że dałabym sobie radę ze swoimi uczuciami. Wszystko jedno, pijana czy trzeźwa. Więc co to o mnie świadczy? – Szlochała mu do ucha. – To poważny moralny dylemat, przyjacielu. – Otarła policzek o ciepłą sierść. Isaac poprawił się i pisnął cichutko.

Zasnęli. W środku nocy spaniel wyslizgnął się z jej objęć. Po długim namyśle wybrał nikłowe krzesło i zadarł tylną nogę. Po chwili wrócił w ramiona Val.

Trzydzieści sześć piętér niżej Rand wsiadł do pikapa Riley'a. Teraz żałował, że tu przyjechał. Ta sprawa dotyczyła jego, a nie Val.

Mówisz A, powiedz i B, powiedziała. Odrzucił głowę do tyłu, na popękane oparcie. Swędziały go plecy. Zamknął oczy. Wspominał

swoje życie. W sumie było całkiem niezłe. Więcej wlotów niż upadków. Poszczególne sceny przesuwaly mu się pod powiekami. Przypomniał mu się ukochany szmaciany kociak. Nazywał go Najdroższą Sally. Chciałby mieć ją teraz przy sobie, żeby ukryć twarz w miękkim pluszu. Kiedyś czerpał z niej wiele pociechy. Przeszłość. Najdroższa Sally to przeszłość. Wszystko, co wydarzyło się do tej pory to przeszłość. Zasnął, wyczerpany ponurymi rozmyślaniami. Obudził się po kilku godzinach. Zegarek wskazywał dziesięć minut po północy. Czas wracać do domu. Do domu? To dowcip sezonu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, wyjechał z podziemnego garażu w jasną gwiazdzistą noc. Jeździł bez celu, bo, jak sobie wytłumaczył, gdy nie masz domu, nieważne, co robisz ani dokąd się udasz. Kierował się na wschód szosą 290. Po godzinnej jeździe zatrzymał się przy budce telefonicznej. Po chwili wahania zadzwonił na Hawaje.

Zadrżał, słysząc głos Maggie nagrany na taśmę. Samochody i ciężarówki mijały go w szalonym pędzie. Skąd tu taki nich o tej porze? Musiał krzyczeć do słuchawki.

– Wsiadam w pierwszy samolot z samego rana. Maggie, musimy porozmawiać. Kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia, zrobisz, co uznasz za stosowne. Ale najpierw musisz mnie wysłuchać. Kocham cię, Maggie. Nigdy nie kochałem innej kobiety. Musisz mi uwierzyć. – Głos mu się załamał. – Potrzebuję cię, Maggie.

To niewiele, ale zawsze jakiś początek. Oparł czoło o chłodną szybę. Teraz musi tylko wrócić do Sunbridge, odstawić samochód i jechać na lotnisko. Zakrzusił się spalinami. Boże, co za ruch! Zamrugął, oślepiiony światłami nadjeżdżającej ciężarówki. Zastanawiał się, czy zdąży wrócić do pikapa i zatrzasnąć drzwiczki, zanim pojawi się następny pojazd. Otworzył drzwi i był już jedną nogą w samochodzie, kiedy usłyszał nadjeżdżającą osiemnastokołową ciężarówkę. Była tak blisko, że w powiększającym bocznym lusterku

widział napisy na drzwiach szoferki. Na pamięć znał słowa na lusterku: przedmioty odbite znajdują się bliżej, niż się wydaje. Miał właśnie wsiąść, kiedy potwór przemknął obok w tempie osiemdziesięciu mil na godzinę. Pęd rzucił go na drzwiczki, wyrwał je z zawiasów z metalicznym szczękiem.

Nie żył, kiedy szybował przez powietrze jak szmaciana lalka i kiedy upadał do rowu, trzydzieści stóp za budką telefoniczną. W dłoni nadal ścisnął klamkę.

Kierowca ciężarówki zerknął w boczne lusterko. Wiedział, że urwał komuś drzwiczki. Dobrze tak durniowi, który zostawia je otwarte, pomyślał.

Isaac wiercił się niespokojnie w objęciach Val. Poruszyła się, zdziwiona. Otworzyła oczy i od razu napotkała spojrzenie spaniela. Jaki on ciepłutki i miękki. Jęknęła na myśl, że trzeba go wyprowadzić na spacer.

– Biedactwo – mruknęła, gramoląc się z postania.

– W porządku, Isaac, znam moje obowiązki. Włożę buty i pójdziemy na poszukiwanie najbliższego hydrantu. – Po włożeniu adidasów wróciła akurat na czas, by zobaczyć, jak Isaac zadziera nogę przy niklowym krześle. – To chyba załatwia sprawę – stwierdziła; ale nie wykonała najmniejszego ruchu, by po nim posprzątać. Ukucnęła obok psa, przekonana, że w jakiś sposób będzie usiłował się z nią porozumieć. – Czy nie musisz zrobić czegoś jeszcze? A może załatwiasz to wieczorem? – Spaniel przyglądał się jej bez mrugnięcia okiem. Val odwzajemniła jego spojrzenie. – W porządku, co powiesz na śniadanie? Kurczak z makaronem. Podam ci to na najlepszej chińskiej porcelanie, co ty na to?

Krzątała się po kuchni, krojąc kurze uda i kluski, zgodnie z pisemnymi instrukcjami Elliota. Gotowe danie wsadziła na czterdzieści

pięć sekund do kuchenki mikrofalowej, następnie przełożyła z plastikowej miseczki na porcelanowy talerz. Sprawdziła palcem, czy nie jest za gorące. Zadowolona, rozejrzała się w poszukiwaniu psa. Zawołała go, zagwizdała.

– Hej, Isaac, śniadanie podane! – Kiedy nadal nie przychodził, przeszła przez pokój jadalny do salonu. Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Papiery, które tak starannie poukładała poprzedniego wieczora, poniewierały się po dywanie. Na środku zaś widniała sporych rozmiarów kupa. Isaac usiłował się schować pod szklanym blatem stołu. Ukrył łeb między łapami.

Val ukucnęła ponownie.

– Popieram kreatywność w każdej formie – poinformowała spaniela głaszcząc go za uszami. Uważniej przyjrzała się bałaganowi na podłodze. Brązowa substancja wylądowała na dokumentach o jej rezygnacji. Roześmiała się na głos. Ten dźwięk zabrzmiał obco w jej uszach. Wzięła psa na ręce, zaniósła do kuchni.

– Grzeczny piesek poklepała go po pulchnym zadku i postawiła na ziemi, przed talerzem z porcelany.

Uspokojony tonem głosu i delikatną pieśczęcią, Isaac z apetytem zabrał się do jedzenia, wsadzając długie jedwabiste uszy do talerza.

W tym czasie Val wzięła prysznic i ubrała się. Włożyła kostium koloru brzoskwini i morelową bluzkę w białe grochy ze skromną kokardą pod szyją. Zerknęła w lustro, by się upewnić, że makijaż jest bez zarzutu i że francuski warkocz, fryzura, którą sobie ostatnio upodobała, układa się jak należy. W kuchni zabrała się za pakowanie wyprawki Isaaca.

– Chodź tu! – zawołała psa i przejechała szczotką po lśniącej sierści. Przez dłuższą chwilę przyglądała się szczoteczce do zębów w biało-niebiesko-czerwone pasy. – Co to, to nie – mruknęła pod nosem. Nie zlekceważyła jednak innych elementów porannej toalety Isaaca:

zmoczyła papierowy ręcznik i wytarła mu uszy i wąsy. Przy drzwiach zwróciła się do spaniela:

– Wiesz, co? Może się mylę, ale wydaje mi się, że pomogłeś mi przetrwać najgorszą noc mojego życia. Oprócz ciebie tylko ja przekroczyłam próg tego mieszkania, bo Rand i sprzątaczką się nie liczą. Jesteś pierwszym zaproszonym gościem, i nie ma znaczenia, czy masz dwie nogi czy cztery.

Isaac przekrzywił łepkę na bok. Wydawał się uważnie słuchać każdego słowa. Val nie wierzyła własnym oczom, gdy po chwili skoczył na nią z takim impetem, że prawie ją przewrócił. Polizał jej podbródek różowym języczkiem. Przytuliła go, ukryła wilgotne oczy w lśniącej sierści.

– Czas do domu – powiedziała.

Z psem w ramionach zbliżała się do mieszkania Elliota, przesuając torbę Isaaca po ziemi. Kiedy tylko otworzyły się drzwi, psiak wyrwał się i znikł w głębi apartamentu.

– Dzięki, Elliot – powiedziała. Za psem zawołała: – Do zobaczenia, Isaac. Była już przy swoich drzwiach, gdy Elliot ją zawołał.

– I co, zrobisz to? Zatrzymała się w pół kroku.

– Co?

– Sprawisz sobie psa?

– Och, tak. Z całą pewnością. Kiedyś – dodała po cichu.

W mieszkaniu zmarszczyła nos, mijając pamiętkę po Isaacu na środku dywanu. Wsunęła stopy w pantofle od Ferragamo. Była to ostatnia rzecz, jaką robiła przed wyjściem z domu. Z teczką w rękę, podeszła do drzwi. Nie miała w zwyczaju oglądać się za siebie. Apartament to tylko miejsce do spania. To nie dom i nigdy nim nie będzie. Dom miała Susan. Wszyscy Colemanowie mieli domy. Maggie i Rand mieli dom.

Maggie.

Odstawiła teczkę na progu, wróciła do kuchni i sięgnęła po słuchawkę białego telefonu. Szybko odnalazła w notesie hawajski numer Nelsonów. Drżącymi palcami naciskała przyciski. Wstrzymała oddech. Maggie odbierze sama czy włączy się sekretarka automatyczna? Nie wiadomo dlaczego, zaskoczył ją nagrany głos Maggie.

– Maggie, tu Valentine Mitchell – powiedziała szybko. – Chcę ci coś powiedzieć i chcę, żebyś mnie wysłuchała. Wczoraj wieczorem był u mnie Rand i mówił, co... do czego między wami doszło. Mylisz się, Maggie. Nic się nie stało. Rand zawsze był i zawsze będzie dżentelmenem. – Kłamstwo przyszło jej z łatwością. – Spodziewałam się, że znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego waszej rodzinie. Chciałam ci także powiedzieć, że przestaję reprezentować Colemanow. Dokładnie rzecz biorąc, sprzedaję firmę i przechodzę na emeryturę. Ani przez chwilę nie przypisuj temu stwierdzeniu większej wagi niż potrzeba. Chcę zaznać życia poza salami sądowymi. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. To właśnie chciałam ci powiedzieć. Gdybyśmy się więcej nie spotkały, wszystkiego najlepszego, Maggie. Jeśli mi nie wierzysz, zastanów się, czy kiedykolwiek zrobiłam coś niewłaściwego wobec twojej rodziny i czy kiedykolwiek kogoś z was okłamałam. Do widzenia, Maggie.

Z trudem przełknęła ślinę. Uniosła kciuk w tryumfalnym geście. Punkt dla ciebie, Val – pochwaliła się, idąc do drzwi.

Punktualnie o ósmej sekretarka Val wsadziła głowę do jej gabinetu i zapytała scenicznym szeptem:

– Przyszedł Riley Coleman. Co mam zrobić? Val nerwowo rozglądała się po biurze.

– Wpuść go – zgodziła się z rezygnacją.

Jaki on przystojny, przemknęło jej przez głowę, kiedy wszedł do

środka.

– Rileyu, nie byliśmy na dzisiaj umówieni, prawda? – zapytała słodko. Nie odpowiedział. W rękę trzymał podłużną białą kopertę z nazwą jej kancelarii.

– Czy możesz mi to wytłumaczyć? – rzucił kopertę na biurko. – Niewiele jest do tłumaczenia, Riley. Mam dość wyścigu szczurów. Chcę zacząć nowe życie. Przykro mi, jeśli cię tym zaskoczyłam – powiedziała cicho. – Zwróciłam wszystkie wasze dokumenty i pełnomocnictwa.

– To dosyć nagle, nieprawdaż? Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Być może, z twojego punktu widzenia, ale nie z mojego. Sprzedaję kancelarię. Jeśli chcecie nadal korzystać z usług firmy, musicie się dogadać z nowymi szefami.

No, teraz będzie strzał z grubej rury, pomyślała. Riley przesunął baseballową czapkę na tył głowy.

– Rozumiem, że chcesz zacząć nowe życie. Przeraza mnie tempo, z jakim podjęłaś tę decyzję. Słuchaj, Val, niewiele jest osób na świecie, które darzę równie dużym szacunkiem jak ciebie. Gdyby nie ty, zarówno ja, jak i Cole wylądowalibyśmy w więzieniu. Nie będę owijał w bawełnę. Rand wspominał o pewnym problemie. Ciotka Maggie wyjechała sama. Rand wyszedł z domu wczoraj wieczorem i nie wrócił do tej pory. Chciałbym wiedzieć, co tu jest grane. Nie ze zwykłej ciekawości, lecz z chęci dowiedzenia się, dlaczego przestajesz dla nas pracować. Poza tym przyszedłem tu ubić interes. A przynajmniej spróbować.

Nagle stało się dla niej bardzo ważne, żeby Riley nie patrzył na nią z taką podejrzliwością. Naprawdę go lubiła, a Ivy po prostu uwielbiała. Podeszła do niego.

– Między mną a Randem nic nie było. Naprawdę nie chcę się mieszać w wasze kłopoty rodzinne. Rileyu – zmieniła temat i ton głosu

– mówiłeś, że chciałeś ubić interes. O co chodzi?

Wyjaśnił. Parsknęła śmiechem.

– Nie ma sprawy. Wiesz co? Załatwię to. Niech to będzie mój pożegnalny prezent. Daj mi trzy, maksimum cztery dni.

Przypieczętowali umowę uściskiem dłoni, kiedy w interkomie na biurku Val usłyszezi głos jej sekretarki:

– Panno Mitchell, telefon do pana Colemana na drugiej linii.

Val uniosła brwi zdumiona i zrobiła ruch rękaw stronę Riley'a. Pochyliła się nad szafką z dokumentami. Riley podniósł słuchawkę. Odwróciła się na pięcie, gdy usłyszała, jak mówi:

– Słucham? Tak, to numer mojego samochodu. Pożyczyłem go wczoraj wujowi. Nie, nie wrócił do domu na noc, nie pokazał się do tej pory. Nie, nie dzwonił. Przyjadę, jak tylko będę mógł najszybciej.

Odłożył słuchawkę. Val zapytała ze strachem, co się stało.

– To policja. Mówią... mówią, że Rand nie żyje. – Rileyowi cała krew odpłynęła z twarzy.

– Nie żyj e! – Ciężko opadła na krzesło. – To na pewno jakaś pomyłka. Jak... Dokąd masz jechać?

– Do kostnicy. Podobno jakiś kierowca zatrzymał się przy budce telefonicznej o szóstej rano. Mój pikap stał na poboczu, miał urwane drzwiczki. Kierowca wezwał policję... znaleźli Randa w rowie. To wszystko, co wiem.

– Pojadę z tobą. – Val sięgnęła po torebkę. – I ja poprowadzę. Jesteś biały jak ściana.

– Ciotka Maggie?

– Nie, Riley, jeszcze nie.

Wziąwszy go pod ramię, wyprowadziła z labiryntu biur. Poinformowała sekretarkę, że nie ma pojęcia, kiedy wróci.

Jechali w milczeniu. Val raz po raz dziękowała opatrności, że ją natchnęła rozumem i kazała zadzwonić do Maggie i okłamać ją i

Rileya. Tęskniła za, ciepłym, miękkim ciałkiem Isaaca. Było jej zimno, czuła się zmęczona.

Ivy nerwowo przechadzała się przed kostnicą. Załamywała ręce, miała łzy w oczach. Podbiegła do Rileya, kiedy tylko go zobaczyła. Jej adidas głucho dudniły po marmurowej posadzce.

Stanęli naprzeciwko siebie. Val wyprostowała ramiona.

– Ja to zrobię, Riley. Dla mnie to nie pierwszy raz. Zostań z Ivy.

Wróciła po czterech minutach, blada jak ściana. – Podpisałam papiery potwierdzające tożsamość. Nie ma żadnych wątpliwości, to Rand. Musimy iść na górę. – Zagryzła usta. Ileż by dała za haust świeżego powietrza. Robiło się jej niedobrze. Kto zadzwoni do Maggie? Do Billie?

Kiedy czekały na Rileya w korytarzu, Ivy powiedziała:

– Riley mi powtórzył, co mu powiedziałaś o tobie i Randzie. Kłamałaś. Nigdy wcześniej tego nie robiłaś, prawda?

Val potrząsnęła głową.

– Nie chciałam, żeby Riley zapamiętał Randa w ten sposób. Uważam... muszę wracać do biura. Jesteś samochodem?

– Tak, pożyczyłam od Jonquil. Moim jeździ Susan. Val, chciałabym z tobą porozmawiać za kilka dni. Po przyjacielsku, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wiem od Rileya, że nie będziesz dalej reprezentować rodziny.

– Postanowiłam przejść na emeryturę; jeśli to możliwe w przypadku prawnika. I, Ivy... bardzo mi przykro z powodu Randa. Daj mi znać, jeśli czegoś potrzeba. I tak, chętnie się z tobą spotkam, żeby omówić, co tylko zechcesz. Po przyjacielsku.

– Zawsze miałam Val za kobietę twardą jak skała powiedziała Ivy do męża. – Miała łzy w oczach. Nigdy nie widziałam w niej istoty ludzkiej, tylko doskonałego prawnika. To smutne, nie uważasz?

– Tak, Ivy, to smutne, ale ja też tak o niej myślałem – przyznał cicho. Chodź, skarbie, jedźmy do domu. Boże, jak ja to powiem ciotce Maggie?

– Razem ją zawiadomimy – poprawiła Ivy.

Msza żałobna za duszę Randa Nelsona była bardzo skromna. Krewni wyszli z kaplicy zbici w ciasną gromadkę. Odeszła kolejna osoba z ich grona. Tym razem nie będzie pogrzebu na wzgórzu, nie będzie nowego nagrobka. Zgodnie z wolą Maggie, prochy Randa wrócą do Anglii i spoczną w rodzinnym grobowcu. Chesney, jego córka, zaofiarowała się, że weźmie urnę ze sobą, ponieważ i tak wybiera się do Anglii. Na stałe, jak wyjaśniła.

Ivy Coleman pełniła honory pani domu. Co jakiś czas ocierała oczy. Ani na chwilę nie odstępowała męża.

Zasiedli do posiłku, przygotowanego przez Jonquil. Mówili niewiele, bez apetytu grzebiąc widelcami w talerzach.

Wyglądamy jak stado wron, wszyscy ubrani na czarno, pomyślała Ivy. Tylko Maggie się wyróżniała purpurową sukienką. Było to tak nie na miejscu, jakby zając znalazł się w psiarni.

– Muszę coś zrobić – szepnęła Sawyer do męża. – Muszę coś powiedzieć, żeby zniknął ten straszny wyraz z jej twarzy. To moja matka, Adamie.

– Jest zbyt zdenerwowana. Daj jej spokój, innymi słowy: trzymaj buzię na kłódkę. Cole nic nie robi, prawda?

– Cole to mężczyzna. W takiej chwili potrzebne jest kobiece wsparcie – rzuciła niecierpliwie. – Mój Boże, Adam, wyobrażasz sobie, jak ona się czuje?

– Chyba parszywie. – Tracił żonę łokciem. – Tylko nie rozmawiaj z nią o Randzie...

– Dobrze. – Sawyer już spieszyła przez cały pokój do Maggie, która

rozmawiała z Thadem i Billie.

– Zapowiada się na słynną teksaską burzę – zauważył Thad, wyglądając przez okno.

– Nigdy ich nie zapomnę, a ty, babciu?

– O, ja też nie – odparła Billie lekko. – Dziewczęta, może usiądziecie ze mną na chwileczkę? Bola mnie nogi – skłamała. – Thad, podaj nam coś do picia.

– Nie teraz, mamó. Muszę zamienić z Cole’em kilka słów. – Maggie zmarszczyła brwi, patrząc na zegarek. – Jeśli ma być burza, muszę już iść. Nie chcę się spóźnić na samolot.

– Wyjeżdżasz? – spytała Billie z niedowierzaniem.

– Wracasz na Hawaje? – zawtórowała Sawyer.

– Czy znacie jakiś powód, dla którego miałabym tego nie robić? – zapytała Maggie chłodno.

– Kochanie, teraz nie powinnaś być sama – zaczęła Billie.

– A dlaczego nie, mamó?

– Spodziewałam się, że w tych okolicznościach będziesz chciała spędzić trochę czasu z rodziną – wyjaśniła Billie smutno.

– Tak jak ty chcesz być z nami? Przecież to ty właśnie kazałaś nam zająć się naszymi sprawami i zaszłaś się z Thadem w Vermont. Ja też chcę być sama. Nie będzie to pierwszy raz. Wybaczcie. – Oddaliła się.

– Czy pożegnała się z Chesney? – zapytała Sawyer.

– Tak. Uścisnęły sobie dłonie. Trudno mi się z tym pogodzić, ale niech Maggie robi jak chce, byle się z tym uporała. Jeśli ma wyjechać, niech to zrobi przed przybyciem Valentine Mitchell. Wiem od Ivy, że ma zamiar tu wpaść.

– O mój Boże. – Na nic więcej nie było Sawyer stać.

– Nie spodziewałam się, że Maggie włoży coś czarnego, ale czerwień to już lekka przesada – zauważyła Billie.

– Nieważne, babciu, jeśli dzięki temu łatwiej to zniosła. – Sawyer

wzięła od Thada kieliszek wina.

W przeciwległym krańcu pokoju Maggie podeszła do Cole'a. Ivy i Riley stali niedaleko.

– Chciałam cię uściskać przed wyjazdem.

– Jesteś pewna, mamó?

– Tak. Wymknę się tylnymi drzwiami. Spotkajmy się przy samochodzie.

– Nie pożegnasz się z pozostałymi? – Słowa matki go zaskoczyły.

– Cole, wiesz, jak nie lubię pożegnań. Są takie ostateczne, a na dziś miałam już dosyć ostateczności. Jeśli nie możesz zawieźć mnie na lotnisko, wezwę taksówkę.

– Nie ma sprawy, mamó. Zobaczymy się na dworze. Muszę tylko wziąć kluczyki od Riley'a.

Kuzyn spojrział na niego pytająco, podając kluczyki. Cole wzruszył ramionami.

– Nie przekonam jej. Kiedy moja matka się uprze, nikt i nic nie zmieni jej zdania. Wszyscy o tym wiemy. Niedługo wrócę.

Kątem oka Ivy zauważyła poruszenie na podwórzu.

– To Val – powiedziała do Riley'a.. – Podjechała od tyłu. Nie patrz na mnie w ten sposób. Chce złożyć kondolencje rodzinie. Bardzo ją lubię. To także mój dom. Nie widzę w tym nic złego.

– Martwię się nie o rodzinę, lecz o Val. Będzie się czuła nieswojo – mruknął Riley. – To zadziwiające. Nikt nic nie wie. Ani Rand, ani Val nie przyznali się do niczego, a mimo to... och, zapomnij o tym. Ta rodzina zawsze była na bakier z uprzejmością. – Przytulił żonę do siebie, zanim podszedł do Suśan i Cary'ego.

Ivy starała się niepostrzeżenie przemknąć do kuchni. Cholera, Val nie mogła przyjechać w mniej odpowiednim momencie. Po raz tysięczny zastanawiała się, czy Rand i Val naprawdę, jak to ujął Riley, „to zrobili”. Przypomniała sobie kłótnię z mężem i to, jak broniła Val

głosem drżącym ze zdenerwowania. Wybiegła wtedy z pokoju, krzycząc przez ramię:

– Valentine Mitchell nie zrobiłaby nic, co mogłoby zaszkodzić naszej rodzinie!

Była to ich pierwsza różnica zdań. Riley przeprosił japo dwóch godzinach.

Niebo ciemniało gwałtownie. Po wąskim podwórzu hulał wiatr. Maggie wsiadała do samochodu, gdy Val parkowała tuż obok. Czerwona sukienka Maggie trzepotała na wietrze jak flaga.

– Val – powiedziała tylko.

– Przyjechałam, żeby złożyć kondolencje twojej rodzinie.

– Nie mam nic przeciwko temu. Wyjeżdżam. Cole odwozi mnie na lotnisko. Twój przyjazd to piękny gest, Val. Gdybym miała choć cień, choćby najmniejszy cień nadziei, że ty i Rand mówicie prawdę, rzuciłabym ci się na szyję i szlochała na cały głos. Ale ja wiem. Wiem, że Rand mnie zdradził. W podobnych okolicznościach prawdopodobnie postąpiłabym jak ty, gdybym była na twoim miejscu. A może nie. Uczucia to jedyna rzecz na świecie, której nigdy nie można być pewnym. Pojęłam tę lekcję. – Niespodziewanie wyciągnęła rękę. Val uściśnęła ją. – Może kiedyś o tym porozmawiamy – rzuciła Maggie, wsiadając do samochodu.

– Kiedy tylko zechcesz – szepnęła Val.

Tylko Ivy widziała, jak Val wyciera oczy wierzchem dłoni. Tylko Ivy widziała, jak wsiada z powrotem do samochodu i szlocha, oparta o kierownicę. Obserwowała, jak wyjeżdża na podjazd i znika za zakrętem. Odetchnęła z ulgą, myśląc o Val. Przeskakując po dwa stopnie, pobiegła do kuchni i dalej, do pokoju dzieciennego. Tylko tutaj wszystko było w porządku. Tylko w tym jasnym, barwnym pomieszczeniu sprawy miały się tak, jak powinny.

Jej wzrok zatrzymał się na pudełku z zabawkami, w którym ukryła

kasetę Billie, owinąwszy ją uprzednio w folię. Uznała pokój Mossa za bezpieczniejszą kryjówkę niż jej koszyk z robótkami, bo Riley lubił myszkować. Czuła się jak przestępca, gdy ukradkiem podnosiła wieko. Odetchnęła z ulgą, przekonawszy się, że kasetka bezpiecznie spoczywa na dnie.

– Tu jesteś – syknęła Susan od drzwi. Ivy gwałtownie opuściła wieko. Czuła się jak przyłapaną na gorącym uczynku.

– Susan, przstraszyłaś mnie – zganiła ją lekko.

– Przykro mi. – Ton głosu przeczył słowom.

– Chciałam zobaczyć, jak się miewa Moss. Maggie wyjechała. – Ivy starannie zamknęła za sobą drzwi. Dopiero w korytarzu odezwała się na głos, nie szeptem.

– Wiem. Może to i lepiej. – Susan powiedziała to takim tonem, jakby nic ją nie obchodziło. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że zabieram Cary’ego. Bardzo się zdenerwował. To nie jest dobre miejsce. Tu się zawsze dzieje coś złego. Sunbridge nigdy nie było szczęśliwym domem.

– Nieładnie tak mówić, Susan. Miejsce nie jest szczęśliwe lub nie. Nieszczęśliwi mogą być ludzie, którzy tam mieszkają.

– Maggie nie była tu szczęśliwa. Cole też nie, skoro przepisał swoją część na Riley’a. Mama sama powiedziała, że nie zaznała tu szczęścia. Dziadek Seth wyrzucił ciotkę Amelię z domu; nienawidziła tego miejsca. Mama wspominała, że babka Jessica nie była szczęśliwa. Więc kto zostaje? Ty? Riley? Wredny tyran, którego miałam nieszczęście mieć za dziadka, był jedyną osobą, która lubiła tu przebywać. Ty i Riley twierdzicie, że jesteście tu szczęśliwi. Ja, w każdym razie, przyszedłam powiedzieć, że wyjeżdżamy. Lunch był bardzo smaczny.

Susan zbiegła ze schodów. Ivy oparła się o poręcz, zapatrzona w dół. Rodzina Riley’a, teraz także i jej własna. Opuściła ramiona. Wyprostowała je natychmiast, gdy Riley posłał jej uśmiech.

Odpowiedziała tym samym. O czwartej pożegnali się Sawyer i Adam, ostatni goście.

– Ostatnimi czasy często mówimy sobie do widzenia – zauważyła Sawyer ze smutkiem.

– Pożegnania nigdy nie są łatwe – stwierdziła łagodnie Ivy.

– Ciotka Maggie nie mówi „do widzenia” – zauważył Riley. – „Cześć”, „Na razie” albo coś takiego, ale nigdy „do widzenia”. Ciekawe, dlaczego?

– To teraz nieistotne, Riley. – Sawyer uśmiechnęła się smutno. – Maggie da sobie radę. Jest twarda. Przecież wytrzymała z nami tak długo, prawda?

– Tak. Cole powiedział, że on i Sumi odwiedzą ją z małą, kiedy tylko lekarz pozwoli ją zabrać w taką podróż. Ciotka Maggie się ucieszy.

– O, tak – zgodziła się Sawyer. – Chesney nie zabawiła długo. Nie zamieniła ze mną ani słowa. To dziwne.

– Jeszcze dziwniejsze było tempo, z jakim umówiła się na spotkanie z Val w sprawie testamentu Randa – wtrąciła Ivy gorzko. – Nie uroniła ani jednej łzy w czasie pogrzebu, a przyglądałam się jej specjalnie.

– Coś takiego, nie zwróciłam na to uwagi – mruknęła Sawyer.

– Na pewno była w szoku, jak my wszyscy – próbował wytłumaczyć Riley.

– Przejrzyj na oczy, mój drogi – zachnęła się Sawyer. – Kilka miesięcy temu Maggie powiedziała mi, że Chesney przebywa ciągle poza domem. Rand nigdy nie zbliżył się z nią tak, jak tego pragnął. Chesney, według Maggie, była tyleż uprzejma co obojętna. Przez pewien czas Maggie wmawiała sobie, że ma drugą córkę, ale to były tylko pobożne życzenia. Od dziś Chesney stała się bardzo zamożną kobietą. Dostanie połowę majątku Randa, a to niemało.

Riley się uśmiechnął. Uwielbiał, kiedy Sawyer wracała do normy i odzyskiwała dawną werwę. – Z wyjątkiem domu na Hawajach – uzupełnił. – Wiem od Val, że w zeszłym roku Rand przepisał swoją część na Maggie, bo ciotka bardzo kocha to miejsce. Zakładam, że Maggie o tym wie, choć, z drugiej strony, znając Randa, nie wiadomo, czyjej powiedział.

– To już coś. – Sawyer zwróciła się do Ivy. – Dziękujemy, że się nami zajęłaś. – Objęła ją serdecznie. – Riley, trzymaj się i nie daj Susan. Za dwa tygodnie rusza budowa samolotu. Cary mi obiecał, że pieniądze wpłyną na konto za niecały tydzień. Chyba ma wpływowych przyjaciół.

– To wspaniale. Cary jest wyjątkowy. Cieszę się, że to właśnie on finansuje twój projekt. Cole się ze mną zgadza. Odwaliłaś kawał niezłej roboty, staruszeko.

– A co, może nic? – zapytała dumnie.

Po kolejnej serii uścisków Ivy i Riley odprowadzali wzrokiem wynajęty samochód. Kiedy znikł im z oczu, wrócili do domu. Zamknąwszy drzwi, Ivy jęknęła:

– Co za okropny dzień. Mam ochotę zaszyć się w ciemnym kącie i udawać, że nic się nie stało. Tak mi szkoda Maggie. Miałam ochotę sprać Susan na kwaśne jabłko. To źle o mnie świadczy, prawda, Kochany?

– To znaczy, że się nimi bardzo przejmujesz. Słuchaj, zabierzmy Mossa i chodźmy na hot doga z dużą ilością cebuli... na nieprzyzwoicie tłuste frytki i gigantyczny koktajl mleczny. Jagodowy.

– Tylko we trójkę? – upewniła się z błyskiem w oku.

– Tak.

– Umowa stoi. Idę po Mossa. – Ivy?

– Tak?

Kocham cię.

– Ja ciebie bardziej.

– Nigdy cię w tym nie pobiję, co? – Nie masz szans.

Rozdział dziesiąty

Maggie nie odrywała wzroku od słońca wynurzającego się nad horyzontu. Wschodów i zachodów nie powinno się podziwiać w samotności. Jęknęła cicho. Poruszyła się gwałtownie. Dotyk zimnego plastiku oparcia przyprawiał ją o dreszcze. Daremnie próbowała szczelniej owinąć się ręcznikiem kąpielowym, który służył jej za koc. Musi wstać, powitać nowy dzień. Musi napić się kawy i coś zjeść, zażyć lekarstwa. Ma tyle rzeczy do zrobienia, a lista wydłuża się z każdym dniem. Odkąd wróciła przed dziesięcioma dniami, nie robiła nic innego oprócz pływania, spania i picia kawy. Zaprzestała walki z ręcznikiem, poszła do kuchni.

Było tu cieplej niż na *lanai*. Za godzinę pomieszczenie wypełni słońce i zapach plumerii rosnącej przed domem. Maggie kochała te krzewy, kochała wszelką hawajską roślinność.

Starannie odmierzyła kawę, wlała wodę do ekspresu, nacisnęła czerwony guzik. W lodówce znalazła chleb, masło i dżem z mango. Nie było jajek ani mleka. Na półce stał samotny słoik ogórków. Musi jechać na targ po zakupy Jutro – mruknęła. Wszystko przekładała na jutro.

Słuchała, jak krople kawy wpadają do dzbanka. Dziesięć filiżanek. Do południa wypije wszystko. Wyjęła gotowe grzania z tosterka. Były ciemne jak kawa. Choć wiedziała, że masło jest za twarde, żeby je rozsmarować, nie dawała za wygraną. Nałożyła na kanapkę odrobinę dżemu z mango. Jadła powoli, metodycznie.

Po śniadaniu włożyła czysty kostium kąpielowy. Dołała kawy do olbrzymiego kubka z napisem MAGGIE i zaniósła go na plażę. Tam będzie siedziała wpatrzona w słońce, dopóki nie zaczną jej piec oczy. Wtedy wróci do domu po następną porcję kawy i wypije ją na *lanai*.

Tego dnia czuła się lepiej, oczywiście jeśli wykluczyć ciągłe napięcie wywołane kofeiną. Była w stanie logicznie myśleć i

podejmować decyzje.

Wzdrygnęła się w ciepłym, przesyconym wonią powietrzu. Ogarnęła wzrokiem prywatną plażę, łagodnie wygięte palmy i idealnie biały piasek. Zwykła nazywać to miejsce swoim prywatnym rajem. Jeśli nie będzie się miała na baczności, popadnie w obłąd.

Powróciła do rzeczywistości. Dała sobie dziesięć dni na opłakiwanie Randa. Spędziła je w ciemnym, ponurym świetle koszmarów i upiorów. Dziesięć dni. Niewiele, ale nie mogła sobie pozwolić, aby dłużej rozczulać się nad sobą, nienawidzić i przelewać łzy. Nadszedł czas powrotu do świata.

W myślach przeglądała listę rzeczy do zrobienia. Najważniejsze to zmienić wiadomość na automatycznej sekretarce, wysłuchać wiadomości z ostatnich dni, przejrzeć pocztę i przesłać Chesney korespondencję Randa.

Chesney. Córka Randa. Jej pasierbica.

Nikt nie jest taki, jak się wydaje, skonstatowała ze smutkiem. Ani Rand, ani Chesney, ani nawet mama. Ciekawe, czy kiedykolwiek potrafisz przewidzieć, co przypadnie ci w udziale.

Chesney wyjechała na dobre, a ona odczuła ulgę. Chesney była intruzem. Miała własne życie, o nic nie prosiła i otwarcie przyznała, że nie kochała ojca. Nie wyparła się jednak, że bardzo go lubiła. Nie było dnia, by mu nie przypominała, że pewnego dnia wróci do Anglii. Brian, jej narzeczony, nie sprzeciwiał się, jak twierdziła, osiedleniu się w tym kraju i lataniu dla tej samej linii lotniczej co ona.

Nagle Maggie przyszło do głowy, że Chesney jest taka sama jak ona – też nie wybacza łatwo. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że Chesney od samego początku, odkąd się dowiedziała, że Rand jest jej ojcem, powtarzała, że chce go tylko zobaczyć, chce poznać człowieka, który, skazał ją na dorastanie w sierocińcu, w przekonaniu, że nikt jej nie chce i nie kocha.

Połowa okazałego majątku Randa to kiepska rekompensata za dzieciństwo w sierocińcu. Dziewczyna zasługuje na wszystko, co Rand jej zapisał. Maggie była ciekawa, ile czasu upłynie, zanim Chesney upomni się o część domu. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Chesney zasługuje na więcej, niż to, co ojciec jej zostawił.

– Pani Maggie! – Addie, dochodząca służąca, wołała ją z *lanai*.

Maggie otrzepała piach z nóg, dopiła resztkę kawy i ruszyła w kierunku domu.

– Przepraszam, Addie, zapomniałam, że dzisiaj przychodzisz. – Przeniknęło jej przez głowę, że nie zna nikogo miłszego i schludniejszego niż drobna Hawajka. Miała zaledwie cztery stopy i osiem cali wzrostu, ale dodawała sobie jeden cal upinając warkocze w koronę. Ten dodatkowy cal miał dla niej najwyraźniej duże znaczenie. Długie gęste rzęsy ocieniały oczy koloru kawy. Swój wiek trzymała w tajemnicy, nie zdradzając go nikomu. Nie chciała także powiedzieć, gdzie kupuje swoje suknie, a były to kreacje jedyne w swoim rodzaju. Tego dnia założyła proste *muumuu* z dekoltem w łódkę, w odcieniu lawendy. Jej stopy nikiły w solidnych adidasach.

– Co mam dzisiaj zrobić, pani Maggie? Maggie głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Dzisiaj, Addie... zapakujesz wszystkie rzeczy pana Nelsona i zabierzesz je do miasta. Wszystkie. Oddaj je Armii Zbawienia czy komu uznasz za stosowne.. . nie obchodzi mnie to. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zadzwoniła po twojego brata albo kuzyna, żeby zabrali meble z sypialni i pokoju Chesney. Nie dbam, co z nimi zrobicie. Pewnie dzisiaj nie zdążysz wszystkiego zrobić, ale mogłabyś przyjść też jutro i uprzątnąć gabinet pana Nelsona. W garażu jest masa pustych pudełek. Niech Mattie zaniesie je na strych, kiedy przyjdzie skosić trawnik. W kawowych oczach malowała się troska.

– A gdzie pani będzie spała?

– Na *lanai*, jak przez ostatnie dziesięć dni. I Addie, wyrzucić czerwoną sukienkę i zakiet. Buty też – dodała po chwili.

– W lodówce nie ma nic do jedzenia – Addie pogroziła jej palcem.
– Powiem braciom, żeby po drodze zrobili zakupy. Coś jeszcze?

– Czy mogłabyś mi przynieść skórzaną teczkę z mojego pokoju? Tę dużą, stoi pod ścianą. I zaparz więcej kawy.

Ciemne oczy patrzyły z dezaprobatą. – Nie wychodziła pani z kuchni, prawda? Maggie spuściła głowę.

– Nie. Korzystałam z łazienki na dole. Nie mogę... nie jestem w stanie... Później, kiedy skończysz... To nieważne, Addie.

– Pani schudła, pani Maggie. Zanim pójdę do domu, ugotuję coś dobrego. Proszę mi obiecać, że pani zje.

Maggie nieprzytomnie skinęła głową, po czym wróciła na plażę, do wody. Pływała do utraty sił. Pozwoliła, by fale wyniosły ją na brzeg. Wyczerpana, szła w kierunku domu, gdzie opadła na leżak i otuliła się ręcznikiem. Kubek z napisem MAGGIE był pełen po brzegi. Aromatyczna para przyjemnie drażniła nozdrza. Wysunęła jedną rękę spod ręcznika, wyjęła papierosa z paczki leżącej obok kubka. Gdzie też Addie je znalazła? Podczas ostatnich dni marzyła o papierosach, ale nie potrafiła się zmobilizować i poszukać ich w domu. Z rozkoszą zaciągnęła się dymem. Co za okropny nałóg. Spojrzała na informację o szkodliwości palenia. Kogo to obchodzi? Zaciągała się i sączyła kawę, sączyła kawę i zaciągała się. Rand bardzo lubił palić, papierosy dawały mu wiele przyjemności. Maggie paliła i piła, aż w kubku nie zostało ani kropli.

– Życie toczy się dalej – mruknęła sięgając po skórzaną teczkę. Należała do matki. Zawierała szkice, próbki nowych farb, wzory barwników, każdy odcień tęczy i kilka takich kolorów, których nie znajdzie się nigdzie na świecie. Wetknęła paczkę papierosów i zapalniczkę za stanik kostiumu i z teczką pod pachą przeniosła się pod

olbrzymią palmę.

Słońce wspięło się na nieboskłon i rozpoczęło wędrówkę w dół, a Maggie przeglądała zawartość teczek, porównywała odcienie kolorów, zapisywała pytania do samej siebie, bazgrała notatki. Nagle wyobraziła sobie, że spotyka się z jednym z klientów matki. – Panowie, biura Billie Limited mieszczą się pod palmą. – Poczowała przyływ adrenaliny we krwi. To dobry znak. Ponownie zajęła się pracą. Dopiero o czwartej po południu spojrzała w słońce. Gdyby udało mi się uchwycić ten kolor i połączyć go... z czym? mam! Chcę uzyskać taki odcień, jaki ma słońce nad Sunbridge. Dobrze, że ma w szafie słoiczki z farbami, może trochę poeksperymentuje. Uświadomiła sobie, że będzie potrzebowała miejsca do pracy.

– Przykro mi, panowie, zamykamy filię pod palmą. Od tej chwili Billie Li, mied ma siedzibę w garażu.

Podjęła decyzję. Naprawdę podjęła decyzję. I powiedziała to na głos.

– Jeśli mówisz coś na głos, przyjmujesz pewne zobowiązanie. Potrzebne mi krzesło i ze dwa składane stoliki – mamrotała.

– Pani Maggie! – To Addie wołała jaz *lanai*. – Kolacja gotowa! Maggie rozejrzała się z niedowierzaniem. Coś takiego, słońce chyli się ku zachodowi.

– To tylko placek z kurczakiem, pani Maggie, ale własnoręcznie zrobiłam ciasto. Resztkę zje pani jutro na lunch. Warzywa są z mojego ogródka. Moja bratowa przesyła deser. Wiem, że pani lubi krem bananowy.

– Dziękuję, Addie. – Maggie usiadła za stołem. – Wygląda bardzo smakowicie. Powiedz, gdzie znalazłaś papierosy?

Addie bez słowa otworzyła kuchenną szufladę. Z dezaprobatą pokręciła głową i postawiła przed Maggie dużą szklankę mleka. Maggie wypila posłusznie. Addie się rozpromieniła.

– Jutro zrobię pranie. Do południa uporam się z gabinetem. Gdzie pani będzie spała?

– Jutro pojedę do miasta i kupię sobie nowe łóżko. Potrzebne mi są też składane stoliki. Addie, na pewno padasz z nóg. Sama tu posprzątam. Idź do domu, do rodziny. I, Addie... dziękuję.

Oderwała się od jedzenia, chcąc pożegnać braci i kuzynów Addie, zanim wyszli z domu. Uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Dokończyła placzkę, dolała mleka, pochłonęła dwie porcje kremu. Prawdopodobnie i po deserze nie zostanie nawet śladu. Trudno, zawsze może spalić zbędne kalorie na atlasie, jeśli jej się będzie chciało.

Sprzątnięcie kuchni i umycie naczyń zajmie jej najwyżej dziesięć minut. Ma przed sobą całą noc. Nie znosiła tej pory dnia, tej zdradliwej chwili, gdy dzień odchodził w mrok, a czerń rozjaśniała się sztucznymi światłami.

Czy się myliła? Czy to pytanie będzie ją nękać do końca życia? *Nie myśl o Randzie. Randa już nie ma.* Ta świadomość sprawiła jej taki ból, że zgięła się wpół, usiłując złapać oddech. Poczowała wilgoć na policzkach. Zdenerwowana, wytarła oczy wierzchem *Alom*. *Nie płacz.* Jak mogłaby płakać, skoro jest wypalona w środku? W takim razie, dlaczego cierpię? Zadawała sobie pytanie, niosąc talerze do zlewu. Z kranu popłynęła niemal wrząca woda. Para zasnuła całą kuchnię. Wlała płyn do mycia naczyń. Obojętnie obserwowała, jak piana przelewa się przez brzeg zlewu. Zakręciła wodę. *Może się mylisz. Valentine powiedziała, że się mylisz. Oskarżyłaś i osądziłaś człowieka, którego kochałaś, jedynie na podstawie podejrzeń i przeczuc.* Teraz on nie żyje. *Mogłaś się pomylić. Rand zaprzeczył... Rand powiedział... Nieważne, co powiedział, kłamał. Val skłamała, bo... skłamała.* – Koniec, kropka – stwierdziła chłodno. Spojrzała na okruszki na stole. Jednym ruchem zrzuciła je na ziemię. Mrówki też muszą jeść.

Co teraz? Czym się zazwyczaj zajmowała po kolacji? Spacerowała

po plaży z Randem, trzymała go za rękę, kochali się na piasku, grali w scrabble, oglądali telewizję, czytali.

Szybkim ruchem otworzyła szufladę. Nerwowo rozerwała paczkę papierosów. Rozejrzała się w poszukiwaniu kubka MAGGIE, ale nie mogła wsadzić rąk do zlewu, bo woda była zbyt gorąca. Sięgnęła do kredensu po szklankę. Pierwsze, co zobaczyła, to kubek z napisem RAND, bliźniaczo podobny do jej własnego. Czując pieczenie pod powiekami, wyciągnęła po niego rękę i z całej siły cisnęła na podłogę. Odgłos pękającego szkła przypominał wybuch. Wybiegła z kuchni, na *lanai* i dalej, na plażę.

Nie jesteś doskonała, Maggie. Przyznaj, że może, tylko może, nie masz racji. Nie bój się stanąć twarzą w twarz z taką możliwością.

– Widziałam winę w jego oczach – powiedziała do siebie. – Słyszałam kłamstwo w jego głosie. Nie myślę się.

– *A co, jeśli jednak tak? A co, jeśli...*

Biegła wzdłuż brzegu walcząc ze łzami.

– Ja wiem! Wiem! – krzyknęła, żeby zagłuszyć fale.

Długo spacerowała po mokrym piachu. Wyczerpana, odwróciła się, chcąc ocenić, ile przeszła. Co najmniej dwie mile, stwierdziła. Lampy na *lanai* były małymi punkcikami w oddali.

Pobiegła z powrotem, potykając się i upadając. *Zatrzymała*, się dopiero na werandzie. Z trudem łąpała oddech.

– Wiem, że sienie myliłam! Wiem! – krzyknęła rozdierająco. – Boże, mam, potrzebujecie.

Odczekała, aż jej oddech się uspokoi, i sięgnęła po słuchawkę. Nie wierzyła własnym uszom, słysząc normalne brzmienie swego głosu. Thad odebrał telefon. Z trudem opanowała odruch, by odłożyć słuchawkę, gdy uświadomiła sobie, która godzina jest w Vermont. – Przepraszam, Thad. Zapomniałam o różnicy czasu. Mama pewnie, śpi?

– Tak, Maggie. Rano jej powiem, że dzwoniłaś. Dobrze się

czujesz? – Zadał to pytanie takim głosem, jakby go nie obchodziła odpowiedź, tak w każdym razie odebrała to Maggie. Zapytał, bo tego się po nim spodziewano. Manierom Thada nie można niczego zarzucić.

– Tak. Słuchaj, nie mów mamie, że dzwoniłam. Nie chce, żebyśmy zawracali jej głowę... nie teraz. Opiekuj się nią, Thad – szepnęła.

– Dobrze. Trzymaj się, Maggie.

Jako następny wybrała numer swojej córki, Sawyer. Odebrał zaspany Adam.

– Maggie, czy coś się stało?

– Nie, chciałam tylko porozmawiać z Sawyer. Wiem; że jest późno...

– Śpi jak zabita. Dzieci przechodzą ospę, od trzech dni nie zmrużyliśmy oka. Poproszę, żeby do ciebie zadzwoniła z samego rana.

– Nie, nie trzeba. Odezwę się za kilka dni. Posmaruj małe papką z płatków owsianych, to łagodzi swędzenie. Dobranoc, Adamie.

Susan. Maggie wystukała kolejny numer. Po osiemnastym sygnale odłożyła słuchawkę. Gdzie ona jest? U Cary’ego? W Sunbridge? Zadzwoniła do Gary’ego. Nie zdziwiła się, że nikt nie odbierał. Susan wyznała kiedyś, że po jedenastej wieczorem nie podnosi słuchawki. Obawiała się złych wieści, a takie, – jak twierdziła, jest w stanie przyjąć tylko w świetle dnia. Bujda, pomyślała Maggie. Susan niczego nie jest w stanie przyjąć do wiadomości. Cud, że sama myje sobie zęby.

Ivy. Ivy zrozumie, przez co przechodzi. Wykręciła prywatny numer do Sunbridge, znany wyłącznie członkom rodziny. Wysłuchała wiadomości Ivy: „Riley i ja jesteśmy na Florydzie, u moich rodziców. Mama obchodzi urodziny. Wracamy do domu we wtorek. Wszystkich zainteresowanych informujemy, że małemu Mossowi wyrznął się dragi ząbek”.

Przypaliła jednego papierosa od drugiego. Policzyła niedopałki w popielniczce. Sześć. Skrzywiła się z niesmakiem. Czy odważy się

zadzwoić do Cole^? O tej porze jest w biurze. Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie numer telefonu. Wystukała go szybko. Sekretarka poinformowała ją, że Cole pojechał do Kioto. Wróci jutro wieczorem.

Co za nieuchwytna rodzina. Każdy ma coś do roboty. Tak samo jak dawno temu jej matka, Maggie postawiła sobie kiedyś za punkt honoru, żeby stanowić oparcie dla najbliższych, bez względu na to, co dzieje się w jej życiu osobistym. A teraz? Na kim może polegać? Ukryła twarz w dłoniach. Każdy kogoś ma.

Ponieważ nie miała nic innego do roboty, weszła do domu. Zapaliła światło. Stała w progu pustej sypialni. Na podłodze, w płataninie drutów, stała automatyczna sekretarka. Opadła na kolana, słuchając nagranych wiadomości. Informacje dla Randa z rafinerii. Zostawiono je, zanim... zanim ktokolwiek spoza rodziny wiedział... wiadomość od Sawyer, informacje od Ivy o wyjeździe na Florydę. Ani słowa od matki i Susan, za to sześć wiadomości od Valentine Mitchell i jedna od Cary'ego. Prosił o wszelkie dane na temat rafinerii. I na końcu Cole, zawiadamiający, że malutka Billie waży o funta więcej.

Przewinęła kasetę do początku. Więc jednak pozostawali w kontakcie. Ta świadomość wcale nie poprawiła jej humoru.

Wracając na *lanai*, potknęła się w holu o stertę poczty. Większość listów była zaadresowana do Randa – rachunki, ulotki, pisma z rafinerii. Nic osobistego. Pewnego dnia to wszystko przejrzy.

Pewnego dnia.

Rozważała, czy nie zadzwonić do Valentine Mitchell i nie wyrwać jej ze spokojnego snu.

Była spięta. I zła. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Do tej pory trwała w odrętwieniu.

Zadzwoić do Valentine Mitchell czy nie? Po co? Żeby ponownie zebrać o prawdę?

– Nie! – wyrwało się jej głośno.

Wstała. Zaparzyć sobie kawy? A może zapalić następnego papierosa? I bez tego miała gorzko w ustach. Może w takim razie umyć zęby? Nie była w stanie podjąć najprostszej decyzji.

Musi się czymś zająć. Wysięłek fizyczny dobrze jej zrobi. Wsunęła stopy w sandały i pomaszrowała do garażu na tyłach domu. Dzięki fotokomórce światło zalało ją jasnym strumieniem, ledwie stanęła na progu. Jak w każdym garażu. , i tutaj panował bałagan, do tego stopnia, że nie było miejsca na zaparkowanie samochodu. Rozejrzała się dookoła. Które z nas było takim bałaganiarzem? Przypomniała sobie swoje postanowienie, że poćwicz na atlasie. Gdzieś tu musi być, podobnie jak rower treningowy i hantle. Rand upierał się, że ten sprzęt będzie im niezbędny, choć z tego, co pamiętała, nigdy z niego nie korzystał. Ich gimnastyką było pływanie i długie spacery po plaży.

Pracowała przez całą noc. Wysprzątała tę część garażu, w której miała zamiar urządzić swoją pracownię. W odległym kącie pomieszczenia wylądowały stare leżaki, torby, pudła muszelek i inne rupiecie, które nagromadzili przez lata. Doszła do wniosku, że wcale nie musi kupować składanych stolików. Wystarczy wyszorować szeroką ladę. Na półkach poustawia słoiki z farbami. Najpierw jednak musi wyrzucić pojemniki zardzewiałych śrubek, gwoździ i nitów. Po pomalowaniu na biało, otwarciu okien i przy otwartych drzwiach będzie tu miała wystarczająco dużo światła. Wbiję gwoździe w ściany, żeby mieć gdzie wieszać próbki. I rozepnie sznury przez całą szerokość – na nich będą się suszyć arkusze. Po co jej lepsza pracownia? I tak nie klienci do niej, lecz ona będzie chodzić do klientów, jak matka.

Będzie potrzebowała więcej farb. Pobiegła na *lanai* po teczkę matki. Wewnątrz znalazła katalog, z którego Billie zazwyczaj zamawiała farby. Świetnie, prześlą jej, co zechce, w przeciągu dwudziestu czterech godzin. I płótno także. Rozejrzała się po garażu w poszukiwaniu telefonu. Znalazła gniazdko. Doskonale. Będzie miała

telefon służbowy w garażu, a prywatny w domu.

Świtało, kiedy odłożyła szczotkę na podjazd. Jej część garażu dosłownie lśniła czystością. Nie poprzestała na wyszorowaniu lady, ale pomalowała ją, podobnie jak półki. Zmyła na mokro podłogę i pokryła ją grubą warstwą białej farby. Do wieczora wszystko wyschnie.

– Odwaliłaś kawał niezłej roboty, Maggie Coleman – stwierdziła.

Do ósmej zdążyła wziąć prysznic, zapleść warkocz, wciągnąć dzinsy i podkoszulek. Pozmywała naczynia, zjadła śniadanie, wypaliła cztery papierosy, znowu pozmywała i wyruszyła do centrum handlowego Ala Moana.

Przed wyjściem z domu napisała karteczkę do Addie. Pomachała do niej, mijając ją na szosie Kam.

Po raz pierwszy zjawiała się w centrum handlowym tak rano. Zazwyczaj miała kłopoty ze znalezieniem miejsca do parkowania, dzisiaj miała cały parking do dyspozycji.

Niecałą godzinę zajęło jej kupienie dwóch kompletów do sypialni, pierwszych, które zwróciły jej uwagę. Oba zrobiono z białego bambusa, rzeźbionego w delikatny wzór. Następnie udała się do sklepu z bielizną pościelową, gdzie nabyła duże ilości pościeli i ręczników. Wstąpiła do sklepu papierniczego, by zakupić stertę ołówków, flamastrów, kredek, farb, kolorowej kredy, szkicowników i notatników. Miała już płacić, kiedy zauważyła kolorowy aparat telefoniczny z wielkimi przyciskami. Wzięła go także.

W kawiarni zamówiła kanapkę z *mahimahi*, piwo korzenne i placek kokosowy. W drogerii zaopatrzyła się w talk i perfumy Ysatis. Stamtąd zajrzała jeszcze do firmowego sklepu Liz Claiborne, kupiła po jednej sztuce z najnowszej kolekcji i kazała wysłać wszystko Sawyer.

Załatwienie dodatkowego numeru telefonu zajęło jej kilka minut. Wskoczyła do samochodu, pojechała na targ i zrobiła zakupy, którymi wyładowała samochód, dżipa, po dach.

Wróciła do domu o trzeciej. W całej kuchni unosił się smakowity zapach. Z aprobatą pociągała nosem. Zadzwonił telefon. Nie odebrała. Mruknęła tylko:

– Gdzie byliście, kiedy was potrzebowałam?

Zajrzała do piecyka. Dorodny kurczak złocił się w towarzystwie ziemniaków i marchewki. W lodówce sałata czekała na polanie sosem. Z kartki od Addie dowiedziała się, że kurczak będzie gotowy o piątej. Postscriptum informowało, że wszystkie pudełka z papierami Randa znajdują się na strychu.

Maggie rozpakowała produkty spożywcze w kuchni, a pozostałe zakupy zaniosiła do pustej sypialni.

W łazience obok kuchni przebrała się w kostium kąpielowy w kolorze mandarynki. Zaniosiła ostatnią torbę do garażu. Nie wchodziła do środka, choć podłoga już wyschła. Na *lanai* szybko otworzyła katalog na właściwej stronie i złożyła zamówienie. Obiecano je zrealizować do dziesiątej następnego ranka.

Poszła na spacer równie długi jak poprzedniego wieczora, pływała przez godzinę i wróciła do domu równo o piątej. Wyłączyła piecyk i ułożyła się do snu na leżaku na *lanai*. Obudziła się o północy. Wstała, zjadła, pozmywała i spała dalej, aż do rana.

Powiedziała sobie, że potrafi sterować swoim życiem. Przynajmniej na razie.

Rozdział jedenasty

Maggie przeciągnęła się powoli pod nową kołdrą w biało-niebieskie pasy. Spać dalej czy wstać? Świadomość, że jest teraz kobietą pracującą, sprawiła, że energicznie opuściła nogi na podłogę.

Ostatnimi czasy jej poranny rytuał uległ zmianie. Zamiast stać pod prysznicem, aż do wyczerpania ciepłej wody, wyskakiwała z kąpeli po pięciu minutach. Nie bawiła się w zaplatanie warkocza, tylko szybko spinała włosy w koński ogon. Zakładała szorty i koszulkę, a nie, jak dawniej, kostium kąpielowy.

Ścielenie łóżka zajmowało najwyżej minutę, chyba że, jak dziś, poduszka była mokra od łez, co zdarzało się bardzo często. Sprawnie zmieniła poszwę. Szybkie spojrzenie na zegarek; wstała osiem i pół minuty temu.

Czas na śniadanie. Trzy filiżanki kawy, pełnoziarnista bułeczka z dżemem z mango, szklanka soku pomarańczowego. Obok nakrycia leżały dwie pastylki – witaminy dla kobiet po pięćdziesiątce. Przełknęła je z wysiłkiem. Dzięki tabletkom odzyskała apetyt. W czasie minionych pięciu tygodni, odkąd posprzątała i pomalowała podłogę w garażu, przybyło jej siedem funtów z dziesięciu, które straciła.

Nie pływała tyle co dawniej, po opaleniznie prawie nie zostało śladu. Nie przywiązywała do tego większej wagi. Najważniejszy był plan dnia. Codziennie pracowała w garażu od siódmej do dwunastej, jadła obfity lunch, pracowała do trzeciej, pływała przez kwadrans, pracowała do szóstej. Po szybkiej kolacji, którą Addie przygotowała wcześniej, wracała do garażu, gdzie, mając pod ręką ekspres do kawy i kubek z napisem MAGGIE, pracowała, aż zaczynały jej opadać powieki. Przed snem udawała się na milowy spacer wzdłuż plaży, pogryzając przy tym jabłko i banana. Dzięki temu spała głęboko, co nie znaczy, że bez snów.

Rozejrzała się po garażu. Uwiła sobie w nim gniazdo. Uśmiechnęła się kącikami warg. Pomieszczenie wyglądało jak pracownia szalonego malarza. Na sznurach, ciągnących się od ściany do ściany, wisały, przychepione kolorowymi spinaczami do bielizny, arkusze upstrzone wielobarwnymi plamami. Inne przyciągały wzrok, leżąc na ławie, która sąsiadowała ze stołem kreślarskim. Stół, niedawno pomalowany na biało, pokrywała teraz pstra mazanina.

Odczuwała niepokój i podniecenie, kiedy siadała na stołku. Dzisiejszy dzień to swego rodzaju test. Naprzeciw niej stał zegarek, miniaturowa wersja londyńskiego Big Bena. Nakręcała go co rano. Obok leżało pudełko po butach. Wypełniały je tuby z farbami, skrawki płótna i czyste arkusze papieru. Punktualnie o dziesiątej pobiegnie na plażę, by porównać odcień, nad którym aktualnie pracowała, z kolorem w naturze.

Na papierze nie było nic, żadnych proporcji, żadnych pomysłów, w jaki sposób, jeżeli w ogóle do tego dojdzie, zaprezentuje swoje linie kolorystyczne przedsiębiorcom z Hongkongu. Miała tylko nazwy obu linii: „Klejnoty Pacyfiku” i „Egipskie Światła”.

Postawiła sobie cel podobny do założeń matki: zrewolucjonizować kolorystykę mody. Partnerzy Billie, z którymi na ten temat rozmawiała, zgodzili się poczekać do czerwca. I to nie do końca miesiąca, lecz do początku. Miała zaledwie niecałe pięć tygodni.

Dzisiaj biedziła się nad odcieniem niebieskiego, który pojawiał się tam, gdzie morze łączy się z niebem, kolor tak żywy, tak intensywny, że do tej pory nie udało się go oddać na płótnie czy papierze. Zieleń oceanu uchwyciła po długich godzinach wpatrywania się w wodę, aż nadchodził moment, gdy Pacyfik zmieniał kolor na jej oczach. Efektem tego była Zieleń Nilu.

W linii Egipskich Świąteł gotowe były dwa odcienie: właśnie Zieleń Nilu i Biel Egipska. Nad Złotem Kleopatry biedziła się podobnie

jak nad Błękitem Pacyfiku. Nie obejdzie się bez podróży do Sunbridge, na wzgórze. Musi dokładnie, zapamiętać zar tamtejszego słońca i połączyć go z barwami widywanymi tu, na Hawajach.

Z całej siły zacisnęła powieki. Nie obawiała się, że fabrykanci nie zdążą, lecz tego, czy starczy czasu jej i matce, aby odnieść sukces. Odczuwała coraz większy stres, jednak nie była w stanie uwolnić się od rosnącego z dnia na dzień napięcia.

Dzisiejszy dzień jest godny zapamiętania z wielu powodów, pomyślała zerkając na zegar. Po południu spodziewała się dostawy z Hongkongu: jedwabie, szyfony – nowe próbki. Obiecała też sobie, że w końcu przejrzy trzy reklamówki poczty. Jeśli czas na to pozwoli, zadzwoni do krewnych i do Valentine Mitchell. Była ona nadawcą co najmniej połowy listów. Maggie najchętniej zaniósłaby je na plażę i wrzuciła do wielkiego ogniska.

Zegar tykał, wskazówki ospale wędrowały po tarczy. Maggie chciało się krzyknąć. Zapaliła papierosa. Zatrzymała wzrok na próbce z odcieniem, który nazwała „fajerwerkową czerwienią”. Nie mieścił się w spektrum żadnej linii, ale wiedziała, że musi go jakoś wykorzystać, tak bardzo się jej podobał.

Miniaturowy Big Ben odmierzał czas niestrudzenie. Skończyła palić, napiła się kawy, wyplukała dzbanek wężem ogrodowym, zaparzyła następny. Wzięła ostatniego papierosa z paczki, sięgnęła po nowy karton.

Obie wskazówki pokazywały dziesiątą.

Porwała pudełko po butach i biegiem puściła się na plażę. Zanim wzięła pędzel do ręki, poćwiczyła palce i dziękowała opatrności za bezwietrzny poranek.

Nerwowo bawiła się tubką farby, nie odrywając wzroku od miejsca, gdzie niebo stapia się z horyzontem. Pracowała jak szalona, mieszała, łączyła farby, zlewała zarówno na papierze, jak i na płótnie. Za pięć

minut kolory się zmieniają.

Głośno wypuściła powietrze z płuc. Dotychczas nie uświadomiła sobie nawet, że przestała oddychać. Przez zmrużone powieki spojrzała w dal, na białą chmurkę, zmierzającą ku horyzontowi. Ponownie pochyliła się nad arkuszem. Błękit paryski. Błękit kobaltowy. Akwamaryna. Indygo. Chabrowy i, Boże Wszechmogący, błękit Pacyfiku!

Udało się! Ale czy będzie wyglądać tak samo po wyschnięciu? Tego dowie się dopiero po południu. Arkusz suchy i mokry różnią się, ale tym razem wiedziała, czuła, że osiągnęła zamierzony efekt, że uchwyciła połączenie dwóch kolorów. Tak samo, jak wiedziałaś, czułaś, że mąż cię zdradza? – zapytał wewnętrzny głos.

– Właśnie tak, do cholery – odpowiedziała sobie ochryple. – Nie myliłam się wtedy i nie mylę się teraz.

Wyjęła z pudełka aluminiową puszkę i umazanymi farbą palcami przykleiła wilgotne próbki taśmą. Wracała do garażu, ściskając puszkę pod jedną, pudełko pod drugą pachą. Tam ostrożnie rozwiesiła skrawki wśród innych. Zanim zapaliła papierosa i napiła się kawy, odtańczyła taniec radości. Jutro zacznie pracować nad barwnikiem.

Tysiące myśli przelatywały jej przez głowę, gdy błędziła wzrokiem od arkusza do arkusza. Miała wielką ochotę zadzwonić do matki i zdać relację z postępów. Czy ma dość odwagi? To poprawiłoby jej humor. Najgorsze, co ją może spotkać, to rozmowa z Thadem, który powie, że Billie odpoczywa. Albo nikt nie podniesie słuchawki. Wy tłumaczy Thadowi, że nie dzwoni, żeby płakać, uzalać się nad sobą czy... krzyczeć na matkę za to... za to, że umiera. Ostatnio los jej nie oszczędzał. Przeżyje, jeśli Thadnie spełni jej prośby.

Wróciła spojrzeniem do próbek. Jezu, wyglądają naprawdę dobrze! Sięgnęła po słuchawkę. Ku jej zdumieniu, odebrała matka, głosem słabym i drżącym, ale była to Billie we własnej osobie. Maggie zaczęła

mówić, bardzo szybko, zanim mama powie, że musi kończyć, albo Thad się włączy i uzna, że tyle wystarczy.

– Maggie, kochanie, to wspaniale. Bardzo mi się podobają nazwy obu linii. Opowiedz mi jeszcze raz, jak wygląda Złoto Kleopatry? – dopytywała się Billie cicho.

Maggie opowiadała.

– Mamo, co powiesz na delikatność babiego lata w połączeniu z metalicznym połyskiem? A może nie wyróżniać blasku, tylko złączyć wszystko w jedno? Jak myślisz? W tym tygodniu lecę do Teksasu. Bardzo bym chciała, żebyś zobaczyła całą linię Klejnotów Pacyfiku.

– Nie, nie ryzykuj z metalowym połyskiem. Zawsze miałaś doskonale wycucie koloru, Maggie. Będę sobie wyobrażała twoje odcienie. Kiedy skończysz i pokażesz mi je, zobaczymy, czy są takie jak je widziałam w wyobraźni. Tak się cieszę, że zadzwoniłaś, skarbie. Jak się czujesz?

– Dobrze, mamo. – Skłamała. – O tej porze roku w Vermont jest chyba przepięknie. Nie chce mi się wierzyć, że to koniec kwietnia. Uwielbiam kwiecień.

Właściwie uwielbiam wszystkie miesiące, ale najbardziej grudzień. – Plotła co jej ślina na język przyniosła. – Gdzie Thad?

– U fryzjera. Po drodze zrobi zakupy. Obiecał mi na kolację omlet z serem i pieczarkami. Nauczył się całkiem nieźle gotować. Oczywiście, ja nadzoruję. O, słyszę go, właśnie wchodzi do domu. Do usłyszenia, Maggie.

Spojrzała na głuchą słuchawkę. Czowała się gorzej niż przed rozmową z matką. Piekły ją oczy. Potarła je pięścią, lekceważąc ostrzeżenia producentów kosmetyków na temat delikatnej skóry pod oczami.

Co ona wyprawia? Co i komu usiłuje udowodnić? Nie znalazłszy odpowiedzi na te pytania, powędrowała do kuchni, gdzie się uraczyła olbrzymią kanapką z serem, szynką, salami i cebulą. Pogryzając

sandwicza, wytaszczyła siatki z korespondencją na *lanai*.

Podzieliła listy na cztery grupy: rachunki, krewni, rafineria i Valentine Mitchell.

– Jeśli nie zapłacę rachunków, odetną mi wodę i gaz – mruknęła pod nosem. Wszyscy domagali się uiszczenia należności. Zachnęła się. Coś takiego, nadal jest głodna. Pomaszerowała do kuchni po paczkę herbatników. Schrupała wszystkie, zanim zabrała się za pocztę rodzinną. Rozplakała się na widok zdjęć malutkiej Billie, uśmiechnęła patrząc na bliźniaczki Sawyer. Musi się poważnie zastanowić, czy wkleić fotografie do albumu, czy też je oprawić. Miałyby coś do roboty w deszczowy dzień.

Któregoś dnia.

Z listów wynikało, że wszyscy mają się dobrze. Z kartki pocztowej z wizerunkiem psa Snoopy’ego, od Susan, dowiedziała się, że Cary radzi sobie na tyle, na ile to możliwe w jego sytuacji, ale jest w depresji. Nie zmienił tego nawet fakt, że jest na liście oczekujących na przeszczep. Skrzywiła się machinalnie, czytając postscriptum: „Nie miałam żadnych wieści z Vermont, inni też nie, z tego Co wiem. Osobiście mam w nosie, czy dowiem się czegoś przed czy po fakcie”.

Maggie zacisnęła pięści.

– Susan, jesteś klasyczną dziwką pierwszej wody – oznajmiła na głos. – Powinni ci zawiązać cycki na supeł.

Cisnęła kartkę od siostry na stertę śmieci.

Czekało na nią osiemnaście listów z rafinerii, wszystkie zaadresowane do niej. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego. I tak Chesney odziedziczył część Randa, właścicielem zaś drugiej części był Cary. Odsunęła koperty na bok. Wkrótce prześle je do Anglii, do Chesney.

Wkrótce, pewnego dnia.

Zawahała się, patrząc na stertę pism od Valentine Mitchell. Jak na

prawnika, który już nie reprezentuje swego klienta, uprawiała bardzo obfitą korespondencję. Pewnie naprawia stare błędy, pomyślała. Cóż, błędy Val, nieważne jakie, nic jej nie obchodzą. Rozerwała pierwszą z brzegu kopertę. Nie znosiła suchego szelestu sztywnych kartek. Ciekawe, dlaczego prawnikom się wydaje, że muszą używać właśnie takiego papieru.

Testament Randa. Wylądował obok kartki od Susan.

Akt własności domu. Zawahała się, ale i ten dokument trafił do śmieci. Wystarczyło jedno spojrzenie na pozostałe koperty, by doszła do wniosku, że nie chce wiedzieć, co zawierają. Bez, otwierania cisnęła je na ziemię.

Weszła do domu po torbę na śmieci. Z zadowoleniem wzięła się pod boki, gdy wyniosła ją za garaż. – I po wszystkim – mruknęła.

Słońce już zaszło, zauważyła, idąc do kuchni. Przyda się deszcz, pomyślała szykując sobie następną kanapkę, tym razem z podwójną ilością cebuli. Zniosła ją do salonu. Tam wypisała czeki, regulujące zaległe rachunki. Zbuntowała się dopiero przy upomnieniach o składkach na ubezpieczenie.

– Najwyżej pochowacie mnie w tekturowej trumnie – wymamrotała, drąc czek na małe kawałeczki.

Poszła do skrzynki pocztowej, co chwila ocierając oczy. Chyba przesadziła z cebulą. Podniosła czerwoną flagę na znak, że jest poczta do wysłania.

Światło i woda zostały uratowane.

Reszta to przeszłość.

Rozdział dwunasty

Valentine Mitchell oparła wypchaną teczkę o stoisko z gazetami i gorączkowo przetrząsała kieszenie, żeby zapłacić za „The Wall Street Journal” i „Business Week”. Po przeliczeniu drobnych wzięła jeszcze paczkę krakersów z masłem orzechowym i opakowanie owocowych cukierków. Przynajmniej będzie miała co podjadać podczas lotu do Los Angeles. Nie uśmiechała się jej ta podróż, jednak nie miała innego wyjścia; będzie się wdzięczyć, składać obietnice w imieniu nowych właścicieli, zapewniać, że w razie jakichś nieporozumień wkroczy osobiście do akcji.

W ostatnim miesiącu nieraz chciała już rwać sobie włosy z głowy, takie panowało zamieszanie. Na tyłu przyjęciach, ile wydano na jej cześć, nie była przez wszystkie lata pracy zawodowej. Koktajle, uroczyste kolacje, wykwintne lunche, a wszystko po to, by uczcić jej zaangażowanie i wybitne osiągnięcia zawodowe.

Teraz wszystko ucichło. Jeszcze jeden dzień i będzie wolna jak przysłowiowy ptak. Nie poszło tak łatwo, jak się spodziewała, bo nikt się nie kwapił wyłożyć jedenastu milionów dolarów na pożyczkę dla jej wspólników. Nie pomogło nawet ujawnienie ksiąg rachunkowych. Wbrew sobie, zawarła umowę z Rileyem i Cole’em. – Sfinansujecie moich wspólników, a ja dopilnuję sprawy dotyczącej pożyczki dla Cary’ego od ColeShad – zaproponowała podczas konferencji telefonicznej. Kłócili się i targowali, ale koniec końców wszyscy osiągnęli to, na czym im zależało.

Czas na nią. Chociaż nie, ma jeszcze dwadzieścia minut do wejścia na pokład.

Zobaczyła ją, myjąc ręce w damskiej toalecie. Maggie otaksowała jej kostium od Scaasi. Ona zlustrowała malinowy komplet Maggie od Carolyn Roehm. Obie przyglądały się sobie z ukosa.

– Val – powiedziała Maggie zamiast powitania. Wycierała dłonie w papierowy ręcznik.

– Maggie. – Val uruchomiła suszarkę do rąk. Posunęła się o krok dalej. – Doszły mnie słuchy, że jesteś w mieście. Dlaczego nie odpowiadasz na moje listy? – Szybko zadała następne pytanie: – Lecisz do Los Angeles?

Maggie obciągnęła spódnice. Starannie wywinęła kołnierzyk jedwabnej bluzki.

– Tak, i dalej, na Hawaje. A ty?

– L. A. Nie odpowiedziałas na pierwsze pytanie. – Val malowała usta szminką.

– Wiem. – Maggie odwróciła się na pięcie.

– Możemy porozmawiać w samolocie. Przypuszczam, że lecimy o tej samej godzinie.

– Mam dużo pracy – rzuciła Maggie przez ramię.

– Ja też. Wiesz, nawet na Hawaje dostarcza się nakazy sądowe. Mogą cię zmusić do powrotu. A w samolocie załatwimy wszystko w czterdzieści pięć minut. Zastanów się.

– Nie możesz mnie zmusić do powrotu – zirytowała się Maggie. – Nie przez takie głupstwo jak testament.

– Ja może nie, ale urząd podatkowy – tak. Podatek spadkowy to dla nich nie lada gratka. Przemyśl to sobie. Mam miejsce w przedniej części kabiny. – Z tymi słowami odeszła.

Rand panicznie się obawiał urzędu podatkowego. Przejęła od niego ten lęk. Nigdy z nimi nie zadzieraj, zwykł mawiać.

– W porządku – powiedziała. – Patrzyli na nią wszyscy, ale Val się nie odwróciła.

Maggie weszła na pokład samolotu.

Kiedy pilot oznajmił, że osiągnęli pułap trzydziestu tysięcy stóp, odpięła pas i poszła szukać Val. Usiadła koło niej.

– Samolot jest prawie pusty – zauważyła prawniczka. – Niewiele osób lubi ranne loty. Ja woleje od późniejszych.

– Ja też. Nienawidzę tracić czasu. Wracam dzisiaj wieczorem.

– Przed tobą długi dzień – stwierdziła Maggie obojętnie.

– Gdybyś czytała pisma, które ci wysyłałam, wiedziałabyś, że przestałam już pracować dla waszej rodziny. Wyjeżdżam. Sprzedałam moje udziały wspólnikom. To już załatwione. Muszę jeszcze złożyć podpis w wykropkowanym miejscu. Nagle słowo „emerytura” nabiera złowieszczonego znaczenia, którego nie miało, kiedy się na to decydowałam.

– Więc dlaczego? – zapytała zimno Maggie.

– Mam pięćdziesiąt cztery lata. Żyłam tylko prawem. Mam tego dosyć. Kupię mały domek w sennym miasteczku, zasadzę kwiatki, sprawię sobie kota, będę chodziła na kościelne pikniki, nauczę się robić na drutach i gotować. Niekoniecznie w tej kolejności.

– To zapowiada się okropnie. – Maggie się skrzywiła.

– To prawda, dlatego może zajmę się pracą *pro bono*. Nie wiem, mam czas do namysłu.

– Jesteś doskonałym prawnikiem, Val. Nie powinnaś z tego rezygnować. *Pro bono* to wspaniały pomysł, ale powiedziałabym, że w twoim stylu są wielkie sprawy i spektakularne wygrane.

– Czyżbyśmy nadawały na tych samych falach? – uśmiechnęła się Val.

– Mogłybyśmy, gdybyś powiedziała mi prawdę – rzuciła Maggie oziębło.

Val była przerażona widząc pustkę w jej spojrzeniu. Bardziej niż kiedykolwiek była przekonana, że postąpiła słusznie, okłamując siedzącą obok kobietę.

– Może po prostu udzielię ci upoważnienia na dysponowanie majątkiem Randa? To sporo ułatwi, prawda?

– Owszem. Thad i Billie byli wykonawcami testamentu. Upoważnili mnie do działania w ich imieniu. Sędzia Freize to potwierdził. Przejrzałam wszystkie dokumenty, ale szczegółami zajmą się moi współnicy. Będą się z tobą kontaktować. Zgadzasz się na taki układ, Maggie?

Obojętnie skinęła głową. Opuściła składany stolik, podpisała dokument, nawet go nie czytając. Zwróciła go Val i wstała.

– Do widzenia. Dobrej zabawy na emeryturze.

– Poczekaj, Maggie. Co ty będziesz robiła?

Powiedziała to tak, jakby ją to obchodziło, zauważyła Maggie.

– Powoli, krok po kroku, staję na nogi. Pracuję dla Billie Limited. Udaje mi się nie mieć wolnego czasu. I nadal ci nie wierzę – dokończyła zaczepnie.

– Wiem o tym. Przykro mi – powiedziała Val szczerze.

Maggie wróciła na swoje miejsce. Oba sąsiednie fotele były puste. Poprawiła spódnice, ułożyła się wygodnie. Zasnęła w ciągu paru minut.

Val podniosła stolik, który opuściła Maggie. Przesunęła się na miejsce przy oknie, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Chmury wyglądały jak wata cukrowa albo jak mięciutkie poduszeczki. Colemanowie zawsze mieli takie poduszeczki, żeby łagodziły ciosy zadawane przez życie. Ona tymczasem musiała się zadowolić kodeksami, procesami, apelacjami i rosnącym kontem w banku. Ani jednej poduszeczki. To mój wybór, przyznała.

Co się stanie z Maggie? Co się stanie z całą rodziną, kiedy zabraknie Billie? Riley, Cole i Sawyer sobie poradzą. Mieli rodziny, dzieci, małżonków i pieniądze. Susan zachowywała się jak kot po walerianie. Czarna owca. Nie wiadomo, co zrobi. Cary, jak to powiedziała Maggie, będzie szedł do przodu, krok po kroku. Ogarnął ją smutek, gdy przypomniała sobie, że wstrzymał budowę ośrodka upamiętniającego działalność Amelii. Nie będzie, jak planował,

uroczystego otwarcia w lipcu. Jeżeli Val ma choćby mgliste pojęcie o miłości i oddaniu, Thad zamknie się w skorupie i w przeciągu roku umrze. Po dziecinnemu zacisnęła kciuki, życząc mu jak najlepiej.

Nerwowo grzebała w torebce w poszukiwaniu krakersów z masłem orzechowym. Drżącymi rękami rozerwała opakowanie z celofanu. Ivy. Rozsądna Ivy. Solidna Ivy. Wiedziała, dlaczego właśnie jej Billie powierzyła swój testament. Wzdrygnęła się na wspomnienie wymizerowanej twarzy na kasecie. Podejrzanie zapiekły ją oczy.

Colemanowie będą musieli stanąć oko w oko z własną śmiertelnością. Po odejściu Billie nie będzie nikogo, kto by ich dzielił od nieuniknionego.

Na zewnątrz chmury przybierały fantastyczne kształty. Pieczenie pod powiekami nie ustępowało.

Za żadne skarby świata nie chciałaby być na miejscu Ivy. Teraz żałowała, że udzieliła młodej kobiecie takiej, a nie innej rady, rady sprzeczej z wolą Billie.

Była bezstronna, obiektywna, widziała, jakie to będą skutki, i dlatego kazała Ivy powiedzieć o wszystkim Rileyowi już teraz. Nalegała także, by Ivy dała jej kasetę na przechowanie, sądzi jednak, że Ivy nie posłuchała. Gdyby było inaczej, Riley chciałby zobaczyć kasetę.

Zjadła ostatniego krakersa akurat wtedy, gdy stewardesa rozdawała paczki orzeszków ziemnych.

– Dwie, proszę – zwróciła się do niej. – I szklankę soku pomidorowego.

Rozerwała małą torebkę. Doprawdy, mogliby dawać trochę więcej orzeszków. Dobrze, że wzięła dwie paczki. Nie znosiła, gdy zaczynała coś jeść, rozsmakowała się, i w tym momencie okazywało się, że pochłonęła wszystko. Ciekawe, czy wymyślili orzeszki ziemne bez tłuszczu i cholesterolu?

Co ją obchodzi los Colemanów? To tylko klienci. Reprezentujesz

klientów, zgarniasz forszę i tyle. Ale nie w przypadku Colemanów. Nie wiadomo kiedy przywiązała się do nich, pozwoliła im znaleźć drogę do swego serca, gdzie wygospodarowali dla siebie kącik. A teraz... nie, nie ma ich na głowie, to brzmi okropnie, ale czuje się za nich odpowiedzialna. Choć zerwała umowę i zrzekła wszelkich uprawnień, nadal była z nimi związana.

Jak może wyjechać do Oxmoor, zacząć nowe życie, skoro ciągle myśli o tej rodzinie?

Tak naprawdę nie ma żadnych niezłaławionych spraw Colemanów. Ivy przysłała do niej po przyjacielską poradę. Czy będzie jej potrzebny sojusznik? Postanowiła, że da młodej kobiecie swój nowy adres i poprosi o dyskrecję. – Co za gówniana sprawa – mruknęła do siebie. Złamała żelazną zasadę każdego dobrego prawnika – zaangażowała się osobiście. Rozerwała paczkę cukierków owocowych, starannie oddzieliła te, które lubiła, od niedobrych. Cytrynowe i kokosowe wylądowały w serwetce, mandarynkowe i melonowe trafiły do ust.

Co robi Maggie? O czym myśli? Co czuje?

Życie toczy się dalej. Schrupała wszystkie landrynki. Co teraz?

– Przepraszam! – zawołała energicznie do stewardesy. – Czy mogę dostać więcej orzeszków?

W ślad za tłumem innych pasażerów spieszyła po bagaż, cały czas wypatrując kostiumu od Carolyn Roehm. Rozglądała się na wszystkie strony. Na próżno. Wzruszyła ramionami. Ona i Maggie Nelson nigdy nie będą przyjaciółkami, więc po co sobie zawraca głowę, martwiąc się o nią? Bo, odpowiedziała, Maggie sprawiała wrażenie osoby bardzo kruchej, wrażliwej. Usiłowała skoncentrować się na czekającym ją spotkaniu, na którym wręczy klientowi rachunek opiewający na zawrotną sumę.

Jeśli czas jej na to pozwoli, pójdzie na spacer wzdłuż Rodeo Drive i

kupi upominki dla pracowników biura. Miała to zrobić już dawno, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie.

Zeszła z ruchomego chodnika. Nadal ani śladu po Maggie. Mogłaby się dowiedzieć, z którego stanowiska odlatuje samolot na Hawaje, jednak nie zrobiła tego. Poszła dalej, wypatrując kierowcy z planszą z jej nazwiskiem. Zobaczywszy go, stała się znowu prawnikiem i zapomniała o bożym świecie.

Lotnisko w Los Angeles należy chyba do najbardziej zatłoczonych na świecie, pomyślała spoglądając na umęczonych podróżnych. Wielu taszczyło ogromne torby i walizy, inni nieśli na rękach dzieci i niemowlęta. Wszyscy wyglądali na wyczerpanych. Ona także była zmęczona, ale w inny sposób. Spojrzała na swój talerz: smażone krewetki, smażone paluszki serowe, smażone plastry cebuli. Szanse, że nie popłami sobie kostiumu, są jak jeden do miliona. Zrezygnowała z jedzenia. Za to zamówi drugi kieliszek białego wina.

Przy sąsiednim stoliku usiadła młoda kobieta z trójką dzieci. Najstarsze miało najwyżej sześć lat. Val przetarła oczy ze zdumienia, kiedy nad ramieniem matki zobaczyła główkę malucha siedzącego w nosidle na plecach. Zrobiło się jej żal młodej kobiety.

Była bardzo ładna. Złotorude loki opadały na plecy miękką falą. Bobas w nosidle z całej siły pociągnął ją za włosy, wygiął głowę do tyłu. Uspokoila go cichym, łagodnym głosem. Trójka przy stoliku naradzała się szeptem:

– Frytki, hamburgery, cola, lody.

– Mówiłam wam – wtrąciła się młoda kobieta. – Możecie wziąć frytki na spólkę. Weszliśmy tu tylko po to, żeby podgrzać butelkę dla małego. Nie mam pieniędzy, żeby zapłacić za obiad, jasne?

Val widziała kątem oka, jak dzieci smutno kiwały główkami.

Skinęła na kelnerkę, poprosiła o rachunek. Idąc za nią do kasy,

spytała:

– Widzi pani rodzinę przy tamtym stoliku? Zapłacę za ich zamówienie. – Podała kelnerce banknot pięćdziesięciodolarowy. – Reszta dla kobiety, okay? <

– Jasne.

Podeszła do kiosku z gazetami. Pobieźnie przejrzała „Timesa”, cały czas obserwując młodą kobietę, jak kręci głowę, rozgląda się po restauracji, w końcu zgadza. Uradowane dzieci klaskały w ręce, a Val uśmiechnęła się od ucha do ucha. Kupiła powieść Toma Clancy’ego, dwie paczki krakersów z masłem orzechowym, dwie rolki miętusów, trzy paczki ciasteczek i dwie rolki dropsów. Usiadła w poczekalni, czekając, aż wywołają jej lot. Księgowy zatrze ręce z radości, gdy zobaczy czek, który ma w torebce.

Z każdym dniem przyszłość rysowała się lepiej. Jutro nie będzie pracować, po raz pierwszy od tylu lat... Kręciło się jej w głowie na samą myśl o tym.

W południe następnego dnia Val zatrzasnęła teczkę, po raz ostatni rozejrzała się po gabinecie, który już do niej nie należał, i podeszła do drzwi. Wiedziała, co się stanie, gdy je otworzy: pracownicy rzucą się na nią krzycząc: „Niespodzianka!” Odpowie tym samym i wręczy prezenty, które dwie godziny temu dostarczono pocztą kurierską.

– Światła przeciwmgielne! – dziwiła się po paru minutach. – Wycieraczki z moimi inicjałami! Puchowy śpiwór! Nie, nie powiecie chyba, że w następnej paczce jest namiot! – Parsknęła śmiechem.

Przemówił najstarszy pracownik kancelarii:

– Mówiłaś, że wsiądziesz w rangę rovera i pojedziesz przed siebie. Kiedy tu rozmawiamy, fachowcy instalują na twoim samochodzie specjalne zderzaki. Na wszelki wypadek, gdybyś zderzyła się z krową albo co.

Nie mogła opanować łez.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Moja mama zawsze mówiła, że jeśli nie wiesz co powiedzieć, najlepiej jest milczeć. Uśmiechnij się, tak jak tylko ty potrafisz. – Jej sekretarka uściskała ją serdecznie. – Dzięki za zegarek – szepnęła. – I za premię.

– Będę za wami tęskniła – wykrztusiła Val.

– Pamiętaj, mamy darmowy numer telefoniczny, więc możesz dzwonić na nasz koszt! – zawołał ktoś.

– A żebyście wiedzieli, że tak zrobię! – odcięła się.

– Mamy dla ciebie jeszcze jeden prezent, Val – wtrącił się najstarszy pracownik. – Dużo o tym rozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że będziemy się o ciebie martwić, że jeździsz sama, więc... więc postanowiliśmy... co tam, otwórz drzwi! – polecił sekretarce stojącej najbliżej kuchni.

Val opadła szczęka. Z jej oczu popłynęła następna fala łez.

– Oto Samantha. Reaguje na „Sam”. Zwróć uwagę na obrozę i smycz od Gucciego.

– Och. – Opadła na kolana, przytuliła policzek do psiego pyska. – Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

– Hau.

– Brzmi nieźle. – Uśmiechnęła się. – Czy jest nauczona czystości? – Nie zapomniała wkładu Isaaca w wystrój jej wnętrza.

– Oczywiście. Miała zostać psem przewodnikiem ociemniałych, ale ją odrzucono. Podobno jest zbyt beztroska. Należy do ciebie, Val.

– Wspaniale. Słuchajcie, na mnie czas. Odezwę się niedługo. Dam znać, kiedy gdzieś zatrzymam się na dłużej. Dzięki za wszystko.

Na parkingu, z dala od ciekawskich oczu, spuściła psa ze smyczy. Nagle poczuła się jak beztroski dzieciak, którym nigdy nie było jej dane być. W biegu zrzuciła z nóg pantofle na wysokich obcasach. Biegła

zygzakiem, a Sam goniła ją, radośnie machając ogonem. Ganiały się dookoła samochodów, aż wreszcie zdyszana Val oparła się o drzwi rangę rovera. Sam wspięła się na tylne łapy, oparła przednie na ramionach swojej pani. Szczeknęła cicho, patrząc jej w oczy z uwielbieniem.

– Kocham cię – Val potarła policzkiem o jedwabisty łeb. – Chodź, jedźmy stąd. Możesz usiąść z przodu albo rozwalić się na tylnym siedzeniu. – Otworzyła drzwiczki. Suka usadowiła się w fotelu pasażera. Val z trudem wcisnęła się za kierownicę. Najwyraźniej wąskie spódnice od wytwornych kostiumów nie pasują do samochodów z napędem na cztery koła, stwierdziła. To nic, zaraz to zmieni. W domu czekały dzinsy, bluza i adidas.

Wycofała samochód z miejsca zastrzeżonego dla niej. Spojrzała na swoje nazwisko wygrawerowane na metalowej tabliczce, zaszutowała i nacisnęła pedał gazu. Jechała ostrożnie ze względu na pasażerkę na przednim siedzeniu.

– Musimy się na chwilę zatrzymać, zanim wyruszymy w drogę – poinformowała ją. – Nie martw się, to w tym samym budynku. Złożymy komuś wizytę, a w tym czasie spakują nasze bagaże. Chciałabym cię komuś przedstawić. – Pies spojrzał na nią pytająco. – No dobra, zatrzymamy się dwa razy. Po żarcie dla ciebie. Ojej, chyba nie potrzebujesz takiego ekwipunku jak Isaac? To mięczak. Ma nawet szczoteczkę do zębów. Na to się nie zgodzę. – Uśmiechnęła się; prawie straciła panowanie nad wozem, gdy kudłata łapa dotknęła jej ramienia. – To chyba znaczy, że mnie lubisz – odgadła radośnie. Miała ochotę śpiewać, ale nie знаła słów żadnej piosenki. Zamiast tego włączyła radio. Nie, nie Lionel Ritchie. Kręciła gałką, dopóki nie usłyszała Carly Simon. Pogodnie nuciła pod nosem.

W garażu Wieżowca Assante Sam wyskoczyła z samochodu, jakby wiedziała, że przyjechały do domu. Do domu na następne pół godziny.

W mieszkaniu zadzwoniła po portiera, żeby pomógł zanieść bagaże. Obserwowała, jak Sam bada nowe otoczenie. Ze szczególnym zainteresowaniem obwąchiwała nogę od krzesła, które ochrzcił Isaac. Val zerknęła na zegarek. Za pół godziny, równo o dwunastej, odetną telefon i elektryczność. Za tydzień wprowadzi się nowy właściciel, dentysta, który miał swój gabinet na piętnastym piętrze. Oby był tu szczęśliwszy niż ona.

– Teraz jestem szczęśliwa – mruknęła, sięgając po telefon. Ucieszyła się, kiedy Cary Assante podniósł słuchawkę. – Wpadnę się pożegnać i przyprowadzę przyjaciela, nie masz nic przeciwko temu?

– Skądże – odparł.

– W porządku, do zobaczenia za chwilę.

Sam była przy drzwiach, zanim naciśnięto dzwonek. Cofnęła się, kiedy Val poszła otworzyć. Warknęła ostrzegawczo. Val pokazała portierowi cztery torby i trzy kartony dokumentów, które miał zanieść do samochodu. Wręczyła mu dziesięć dolarów i zamknęła drzwi.

– Po drodze kupimy hamburgery – obiecała psu. Pochyliła się, żeby zawiązać sznurowadła. – Nie cierpię butów. Chodź, chcę, żebyś poznała mojego przyjaciela. No, prawie przyjaciela. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Wchodź! – krzyknął Cary. – Drzwi są otwarte.

Val rozejrzała się uważnie. Od śmierci Amelii nic się nie zmieniło. Domyślała się, że w szafach nadal są jej sukienki, na toalecie leżą jej kosmetyki, na drzwiach łazienki wisi jej szlafrok. Cary nie lubił zmian.

Pocałowała go w policzek.

– To jest Sam, pożegnalny prezent od współpracowników. Złoty retriever. – Uśmiechnęła się, gdy Sam położyła Cary'emu łapę na kolanach.

– Jest taki jedwabisty. Czyjego sierść błyszczy?

– Jej, nie jego. Tak, można się niemal przegłądać w jej grzbiecie. Nigdy nie miałam psa. Kocham ją. Jak leci, Caiy?

– Kiepsko. Całymi dniami przesiaduję na tarasie. Słucham telewizora. Su. san czyta mi na głos. Mam dużo kaset z książkami, ale nigdy nie rwałem się do lektury. Dwa razy w tygodniu chodzę do lekarza. Jestem na liście oczekujących na przeszczep. Przyjaciele do mnie dzwonią. Wstrzymałem budowę Pomnika Pamięci. Nie mam na nic ochoty.

– Ułynęło niewiele czasu – zauważyła miękko.

– To zależy od punktu widzenia. Mamy lipiec. Ośrodek miał być gotowy.

– To tylko małe opóźnienie, Cary. Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić przed wyjazdem?

– Na przykład?

– Na przykład? Nie wiem. Dlatego pytam.

– Trochę się martwię o spłatę hipoteki – wyznał cicho.

– Nie masz powodu. Przygotowując dokumenty, miałam na uwadze twój stan. Nie zwracaj sobie tym głowy. Samolot będzie gotowy, nim dojdzie do pierwszej płatności. Sawyer mówi, że prace posuwają się błyskawicznie i, tu pozwolę sobie ją zacytować, wszystko wygląda jak najlepiej. Nie krzyw się, Cary. Wiem, co mówię. Zaufaj mi.

– Gdyby mówił to ktokolwiek inny niż ty, Val, zamartwiałbym się na śmierć, że się porwałem z motyką na słońce. Powiedz lepiej, jaki masz plan?

Westchnęła.

– Jechać przed siebie. Na zachód. Zatrzymywać się w przytulnych miejscach i ruszać dalej, dopóki nie znajdę najlepszego. Dam ci znać, kiedy osiądę gdzieś na stałe. W samochodzie mam sterty akt. Będę trzymała rękę na pulsie.

– Miałas jakieś wieści od Billie czy Maggie?

– Właściwie nie. Spotkałam Maggie w samolocie do Los Angeles, ale nie mam pojęcia, co u Billie. Przypuszczałam, że Susan będzie coś wiedziała. Myliłam się?

– Tak. – W jego głosie rozbrzmiewała gorycz. – Susan nie przyjmuje nic do wiadomości. Ma do matki pretensje, że umiera. Nie wiem, co na to powiedzieć. Ona mnie zagłaskuje na śmierć, Val, Szczerze lubię Susan. Z jednej strony chciałbym, żeby wyniosła się do diabła, ale z drugiej, bojąc się samotności, wołałbym, żeby została. Rozumiesz to?

– Tak. Czemu z nią nie porozmawiasz?, – Jest w kiepskiej formie psychicznej. Aleja także. Nie chciałbym, żeby... Obawiam się, że się za bardzo do mnie przywiązała. Jak jej o tym powiedzieć?

– Delikatnie. Czy powinnam z nią porozmawiać przed wyjazdem? A przy okazji, gdzie ona jest?

– Poszła do fryzjera i na manicure. Która godzina?

– Dochodzi dwunasta.

– Wróci lada moment. Może zajrzała na targ. Lubi gotować. Twierdzi, że powinienem więcej jeść. Możliwe, że naprawdę jadałbym więcej, gdybym nie wiedział, że ktoś obserwuje, jak połowa dania ląduje mi na koszuli, Boże, Val, nie wiem, co robić.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy mam z nią porozmawiać? Pewnie w to nie uwierzysz, ale potrafię być delikatna. Jednak ty będziesz musiał pociągnąć to dalej. Co ty na to?

– Nie. Słuchaj, nie zwracaj sobie mną głowy. Prawie pogodziłem się z losem. Mam za sobą fazę negocjowania, gniewu, rozpaczy. Teraz próbuję dobrnąć do fazy akceptacji. Przede mną długa droga. Nie jestem jeszcze gotowy.

– Życie toczy się dalej, Cary. Ostatnio tyle razy słyszałam ten slogan, że odnoszę wrażenie, że wymyślono go specjalnie dla mnie. Amelii nie przypadłoby do gustu to, co teraz robisz. Kazałaby ci ruszyć

tyłek z fotela i zabrać się do roboty. Takie jest moje osobiste zdanie. Wiem, że nawet długoletnia znajomość nie upoważnia mnie do wygłaszania takich poglądów. Przestań rozpaczać. Przepędź Susan i ujmij sprawy w swoje ręce. Koniec przemówienia. Nie muszę wyjeżdżać dzisiaj. Mogę poczekać kilka dni, żeby się przekonać, czy wszystko załatwiono należycie.

– O czym myślisz?

Uśmiechnęła się. W jego głosie, dotychczas zrezygnowanym i obojętnym, pojawiły się nuty zaciekawienia.

– Na przykład... Sam. Najlepszy przyjaciel człowieka. Podobno miała być tresowana na psa przewodnika ociemniałych, ale odrzucono ją ze względu na beztroski charakter. Mając takiego psa, mógłbyś wychodzić z domu. Jeśli tylko zechcesz, w każdej chwili przyjadą do ciebie fachowcy z pewnej fundacji w Austin. Nauczą cię gotować, pomogą odpowiednio posegregować naczynia. Następnie musimy pamiętać o Braille’u.

– To... beznadziejne. Zrobienie tego, o czym mówisz, byłoby równoznaczne z poddaniem się. – Wstrząsnął nim dreszcz. Sam zawyla niskim głosem, usiłując polizać go po twarzy.

– Wcale nie – sprzeciwiła się łagodnie. – Dzięki temu miałbyś coś do roboty. Coś, co pomogłoby ci przetrwać najgorsze chwile. Nie możesz nadal wegetować. Minęło już pięć miesięcy.

Uspokoił się. Sam dopominała się o pieścizoty. Posłusznie podrapał ją za uszami.

– Zastanowię się nad tym. – Muszę... wziąć się w garść. Boję się, Val. Boję się jak cholera. Na dodatek czuję się bezradny i wściekły. Boże, nadal nie mogę się pogodzić ze śmiercią Randa i ... z... Billie. Wszystko wali mi się na głowę. Jeśli nie będę nadstawiał karku, tylko siedział cichutko, nic złego mnie nie spotka. Obiecuję, że przemyślę, co mi powiedziałaś. I nie, nie musisz zostawać. Zacznij nowe życie.

Odezwił się od czasu do czasu, żeby wiedział, jak ci leci.

Objęła go serdecznie.

– Dzięki, Cary, że o nic nie pytasz.

– Nauczyłem się dawno temu, że pytania tylko szkodzą. Zresztą, nie leży w moim charakterze osądzanie ludzi. Chyba o tym wiesz.

– Tak. Słuchaj, Sam i ja uciekamy, zanim zacniemy ci szlochać na dywan. Uważaj na siebie, Cary. Będziemy w kontakcie. Sam, pożegnaj się. – Pies zaszczekał radośnie.

– Powodzenia, Val.

– Wzajemnie.

Nagle Sam pognała do drzwi, uderzyła łapami w malowane drewno.

– Susan wróciła – domyślił się Cary z kwaśną miną.

Val uniosła brwi w zdziwieniu. Zawołała psa. Sam posłusznie usiadła przy jej nogach.

– Podobno psy doskonale znają się na ludziach – szepnął Cary. – Zobaczymy, co Sam sądzi o Susan.

– Wróciłam – zaszczebotała Susan, zamykając drzwi biodrem. Zastygła w bezruchu, zobaczywszy Val i Sam. Postawiła na stole siatkę z zakupami. – A kogóż my tu mamy? – Ruchem głowy wskazała psa, który warczał gardłowo.

– Susan, poznaj Samanthę, w skrócie Sam. Moja nowa współlokatorka. Właśnie miałam wyjść. Dobrze wyglądasz, Susan – rzuciła zaczepnie Val.

– Bo mam się dobrze. Nigdy w życiu nie miałam się lepiej. – Spoglądała to na Cary'ego, to na Val.

– Na miłość boską, mało brakowało, a bym cię nie poznała w tym przebraniu. – Susan z dumą poprawiła spódnicę eleganckiego kostiumu, oczywiście oryginalnego modelu Billie. – Naprawdę masz na nogach adidas? – powiedziała to słowo, jakby mówiła coś wulgarne.

Val uśmiechnęła się pod nosem.

– L. A. Gear. Noszę bieliznę od Jockeya i dzinsy Levi's. Za to obroża i smycz Sam są od Gucciego. To kwestia priorytetów.

Cary parsknął śmiechem. Sam zawtórowała mu radosnym szczekaniem. Nie przestając się śmiać, uściskał dużego psa. Val była zachwycona, Susan wcale.

– Nie lubię psów. Roznoszą zarazki, linieją, brodzą i na dodatek trzeba z nimi chodzić na spacer.

– To fatalnie, Susan, bo będę miał psa – odezwał się Cary. – Val obiecała, że to załatwi. Chyba dowożą... Val, czy można zamówić psa z dostawą do domu?

– Jasne. Jeśli chcesz, zajmę się także innymi sprawami, o których rozmawialiśmy.

– Chcę – padła krótka odpowiedź.

– Jakimi sprawami? – dopytywała się Susan podejrzliwie. – *Jakimi sprawami?*

– Pomoc domowa na stałe, pielęgniarz mężczyzna, który pomoże przetrwać Cary'emu najgorszy okres, zanim fundacja wszystko zorganizuje. No i pies, oczywiście.

– Cary nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy. Ma mnie. Gotuję mu i opiekuję się nim. Wszystko układa się znakomicie. Cary, powiedz jej, że nie chcesz nikogo innego. Przecież po to ja tu jestem, dlatego zostałam. Caryyyyyy, powiedz jej – jęknęła Susan.

– Val ma rację, Susy. Muszę zacząć samodzielne życie – powiedział stanowczo. – Nauczę się... alfabetu Braille'a. Zacznę sam wychodzić z domu. Nauczę się sam o siebie troszczyć.

– Ale nikt nie zadba o ciebie tak jak ja. Będą cię wykorzystywać. Na rany boskie, przecież jesteś *niepełnosprawny!* – krzyknęła przez łyż.

– Nie lubię tego słowa, Susan – warknął.

Sam położyła uszy po sobie i szczeknęła ostrzegawczo.

– Sprawa chyba załatwiona – mruknął Cary. – Fajnie, że wpadłaś, Val. Trzymaj się. Wezmę prysznic i pójdę na spacer. Do zobaczenia, mała poklepał Sam po grzbiecie.

– Poczekaj, przyniosę ci mydło i ręcznik – wtrąciła się Susan. – Zaplanowaliśmy spacer na wieczór. Cary, nie możesz tak po prostu burzyć porządku dnia.

– Wiem, gdzie są cholerne ręczniki i mydło. I mogę sam sobie otworzyć drzwi kabiny prysznicowej. I chcę iść na spacer teraz. – Z tymi słowami wyszedł z pokoju, po omacku znajdując drogę.

– Przygotuję ci ubrania – zaproponowała Susan.

– Sam to zrobię.

– Ale nie będą pasowały jęknęła.

– Kogo to obchodzi? Ludzie z fundacji nauczą mnie, jak segregować ubrania, żeby potem do siebie pasowały. Kiedyś o tym czytałem. Na razie, Val. W kółko to powtarzam, prawda?

Sam podbiegła do Cary’ego, otarła się o jego nogi.

– „Kocham Paryż na wiosnę!” – zanucił. – To ulubiona piosenka Amelii – krzyknął przez ramię.

– Co ty chcesz osiągnąć? – syknęła Susan. – Co zrobiłaś? Wszystko zepsułaś. Najpierw zrujnowałaś życie Maggie, teraz chcesz zniszczyć moje. Jesteś zazdrosna, zawsze byłaś. Wiem o tobie i Randzie. Gdyby nie ty, żyłby nadal.

– Susan, żyjesz powietrzem, które kradniesz innym. Nie chodzi o to, co ja zrobiłam, lecz co ty robisz. Przywłaszczyłaś sobie życie Cary’ego. Nię potrafisz żyć na własny rachunek. Wolisz się stać dodatkiem do kogoś. Jesteś pasożytem, Susan. Najwyższy czas dorosnąć. Nie zniżę się i nie skomentuję twojej ostatniej wypowiedzi.

– Suka! – wrzasnęła Susan.

Sam spięta się, obnażyła białe zęby. Nigdy wżyciu Val nie czuła się tak bezpieczna. Z głębi mieszkania dochodził szum wody. Val cofnęła

się w stronę korytarza.

– Cary miał rację. Dał sobie radę pod prysznicem. Idę o zakład, że znalazł mydło i ręcznik.

– Spierdalaj, Val! – bluznęła Susan. Val ze śmiechem wsiadała do windy.

– Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę to powiedziała. Panna Świątoszka. Widzisz, Sam, to znaczy, że pierwsze wrażenie jest najczęściej prawdziwe. Od początku nie lubiłam Susan. Mamy jeszcze trochę pracy – pociągnęła psa za ucho. – Jeśli odłączyli już nam telefon, musimy zmienić plan działania.

W swoim mieszkaniu od razu podniosła słuchawkę, błagając opatrność o sygnał. Cisza.

– Cholera – mruknęła. – W porządku, zadzwonimy do Ivy z garażu. Chodź, mała, spadamy stąd.

Nie obejrzała się za siebie, nie czuła smutku przekraczając próg mieszkania. Ta część jej życia należy do przeszłości.

W garażu wpuściła Sam do samochodu, otworzyła okno.

– Zostań tu – poleciła stanowczo. Pies posłuchał. – Cheeseburgery za godzinę – obiecała.

Ivy odebrała po drugim dzwonku. Val opowiedziała jej o wizycie u Cary’ego i spotkaniu z Susan.

– Nie, nie zrobiłaś tego?! – parsknęła śmiechem Ivy.

– Ależ tak. Odłączyli mi telefon, więc chciałam cię prosić, żebyś zajęła się tym, co obiecałam Gary’emu. Byłabym ci bardzo wdzięczna.

– A od czego ma się przyjaciół? Zaraz się za to zabieram. Val, uważaj na siebie. Dzwon od czasu do czasu, dobrze?

– Tak. Lecę po cheeseburgery. Na razie, Ivy.

– Do zobaczenia, Val – Jesteśmy wolne jak ptaki – oznajmiła wsiadając do samochodu. Przystudiowała mapę i trasę, którą zaznaczyła kolorowym flamastrem. Po chwili przekreśliła kluczyk w stacyjce,

pogłaskała psa po głowie, włączyła magnetofon i wyjechała z garażu na zalaną słońcem ulicę.

– Sześć cheeseburgerów z keczupem, musztardą i korniszonem! Co za smak!

Susan ukryła twarz w dłoniach, ale łzy i tak płynęły ciurkiem. Niech piekło pochłonie Valentine Mitchell. Zawsze wtyka nos w nieswoje sprawy. Cary należy do niej. Poświęciła mu tyle czasu, tyle uwagi, uprzedzała każde jego życzenie, jego sprawy były dla niej najważniejsze. Z jej gardła wyrwał się rozpaczliwy szloch.

Zerknęła na niego kątem oka. Owinął się w taliu jaskrawoczerwonym ręcznikiem. Wyprostowała ramiona, chcąc zachować resztki godności, dopóki nie przypomniała sobie, że on i tak nie widzi. Wstała z trudem.

– Chyba znowu namieszałam – przyznała ze skrucą. – A chciałam pomóc. – Wiem, ja też nie jestem bez winy. – Zatrzymał się w progu. – Pozwoliłem, byś wszystko za mnie robiła. Prawda jest taka, że ty działałaś, a ja się poddałem. Doceniam, co dla mnie zrobiłaś, ale oboje wiemy, że Val ma rację. Muszę wziąć moje życie we własne ręce. Czy możemy się umówić, że zadzwonię, jeśli będę potrzebował pomocy?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Oto historia mojego życia. Jasne. W takim razie już pójdę. Zakupy stoją na stole. Jak myślisz, dasz radę je rozpakować, czy chcesz, żebym ja to zrobiła?

– Wyrzucę wszystko na stół i jakoś sobie poradzę. Jeśli kupiłaś wędlinę, nie umrę z głodu. Jestem mistrzem kanapek z szynką. Umycie selera chyba nie przekracza moich możliwości. Jabłka nie stanowią problemu. Ser to betka. Nie martw się o mnie, Susan. I obiecaj, że nie będę musiał martwić się o ciebie.

– Czy mogę do ciebie dzwonić? – chlipnęła.

– Oczywiście. Rezygnujesz z pracy dla Billie Limited? Maggie na pewno przydałaby się siostrzana pomoc.

– Czy mam to rozumieć jako „Spadaj, Susan?”

– Możesz to rozumieć, jak ci się podoba ~ powiedział spokojnie. – Susan, potrzebny ci ktoś, kto ci pokaże właściwą drogę, a ja nie jestem ku temu odpowiednią osobą. Mam tyle własnych problemów, że nie mogę ci pomóc. Powinnaś pomyśleć o... terapeutce, o kimś bezstronnym.

Mówił tak ciepło, że rozplakała się na nowo.

– Innymi słowy, uważasz, że potrzebny mi psychiatra, że mam nie po kolei w głowie.

Trzymając się ściany, poszedł do kuchni, skąd wyszedł ze szczotką. Używał jej jako laski. Zbliżył się do Susan.

– Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś porozmawiać z kimś innym, nie ze mną. Mogę słuchać, ale nie mogę nic poradzić.

– Chyba się w tobie zakochałam, Cary. Przeczaco potrząsnął głową.

– Nie, współczujesz mi i litujesz się nade mną tak samo, jak litujesz się nad sobą. Widzisz we mnie część siebie. Gdybyśmy dalej mieszkali razem, oboje bylibyśmy nieszczęśliwi. Amelia była, jest i będzie jedyną kobietą, którą darzę uczuciem.

– Zdradziłeś ją, miałaś romans z Julie. Nie wmawiaj mi, że Amelia była jedyną kobietą w twoim życiu! – wrzasnęła.

– Susan, to był cios poniżej pasa, ale chyba na to zasłużyłem. Wiem jednak, że Amelia mi wybaczyła, i to czyni moje życie odrobinę znośniejszym. Użalałem się nad sobą, a Amelii to by się nie podobało. Przyklasnęłaby każdemu słowu Val. Lubiła ją, podobnie jak ja. Val jest realistką. Nie szuka usprawiedliwień. I nie ma w niej krzty zła. Dużo jej zawdzięczasz, Susan.

– Płacono jej za to – syknęła.

– Są rzeczy, których nie możesz kupić. Popatrz tylko, ile dla mnie

zrobiła w ciągu piętnastu minut. Boże, czuję, że żyję. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę bałaganic w kuchni. Będę wyglądał jak dureń? Będę żył w bałaganie, dopóki się wszystkiego nie nauczę? Co z tego, Susan? Pytam, co z tego? , Kiedy wychodziła, śpiewał na całe gardło „Pretty Woman”. Zatrzasnęła drzwi z taką siłą, że mosiężna wizytówka upadła na ziemię.

– W takim razie, radź sobie sam. Nic mnie to nie obchodzi.

W apartamencie Colemanów uważnie rozejrzała się dookoła. Nikt tu nie mieszkał. Zatrzymywali się tu goście albo członkowie rodziny, jeśli nie mieli ochoty albo siły wracać do domu. Spartańskie, hotelowe meble. Susan opadła na obszerną kanapę pokrytą szorstkim materiałem w kolorze piasku. Całe wnętrze było utrzymane w odcieniach ziemi. Deprymujące. Zerwała się z miejsca, podeszła do okna, szarpnęła zasłony, żeby wpuścić słońce. Włączyła i zaraz z powrotem wyłączyła telewizor. Herbata. Spojrzała na pudełko: „Niebiańskie Rozkosze”. Nazwa sugeruje coś, co ci zapewni błyskawiczny orgazm, pomyślała. Cisnęła pudełkiem w stronę zlewu. Listki rozsypały się po całej kuchni.

Jest bezdomna. W dosłownym tego słowa znaczeniu. Chyba że wróci do Minnesoty i zamieszka w domu, który kiedyś dzieliła z Ferrisem. Mogłaby zrezygnować z jego sprzedaży. Albo pojechać do Anglii. Nie znosiła Anglii i paskudnej angielskiej pogody. Bezdomna. W wieku czterdziestu ośmiu lat.

W napadzie szata chwyciła telefon stojący na stoliku przy kanapie. Pomyliła się dwukrotnie, wybierając numer matki, W końcu odebrał Thad.

– Chcę rozmawiać z moją matką i to natychmiast – powiedziała. – Jeśli nie oddasz jej w tej chwili słuchawki, wsiadam w pierwszy samolot do Vermont. Jeśli ją wywieziesz, znajdę was. No, zawołaj ją!

Ostry głos Thada osadził ją na miejscu:

– Nie życzę sobie, żebyś denerwowała matkę. Powiedz mi, o co chodzi, a zastanowię się, czy Billie może rozmawiać na ten temat.

– Zastanowisz się! – zachnęła się. – Bóg cię pokarze za to, co robisz. Mówiłam, że muszę z nią porozmawiać. To wszystko jej wina. Ilekroć jej potrzebuję, nie ma jej albo jest cholernie zajęta. Jest tak cholernie zajęta umieraniem, że nie ma czasu, żeby ze mną porozmawiać, tak? – Odpowiedziało jej szczęknięcie odkładanej słuchawki.

– Ty sukinsynu! – Zadzwoiła ponownie. – Ty draniu, wyłączyłeś aparat!

Straciła kontrolę nad sobą. Miotła się po apartamencie w poszukiwaniu jakiejś broni. W kuchennej szufladzie znalazła drewniany młotek. Rozbijała wszystko, co się nawinęło pod rękę: ściany wykładane lustrami, porcelanową umywalkę, kafelki na ścianach. W kuchni waliła w sprzęty tak długo, aż pojawiły się na nich wyraźne wgłębienia. Z tej samej szuflady, co młotek, wydobyła także ostry nóż. Cięła i szarpała, aż strzępy tkanin fruwały po całym pomieszczeniu. Wyczerpana aktem niszczenia, osunęła się na podłogę, uprzednio cisnąwszy w telewizor porcelanowym wazonem.

Natychmiast poczuła odrazę do siebie po tym, co zrobiła. Boże drogi, kto za to zapłaci? Chyba traci rozum. Ma czterdzieści osiem lat, jest bezdomna i do tego szalona. Ferris powiedział kiedyś mimochodem, że wszystko z tobą w porządku, dopóki wydaje ci się, że wariujesz. Dopiero kiedy nie przyznajesz się przed sobą że coś jest nie tak, zaczynają się kłopoty. Nie wierzyła w ani jedno słowo Ferrisa.

Dzwonek rozbrzmiał w jej uszach jak eksplozja. Spojrzała na telefon przez łzy. To na pewno pomyłka, ale przynajmniej usłyszy ludzki głos. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

Musiała się uważnie wsłuchiwać, żeby zrozumieć ciche słowa.

– Mamo! To ty, mamo? Mamo, przepraszam, że nakrzyczałam na Thada. Mamo, potrzebuję cię. Jestem bezdomna i chyba tracę rozum. Myślisz, że zwariowałam? – Nie przerywała, momentami mówiła bardzo głośno, by za chwilę zniżyć głos do szeptu. – Chciałam mu pomóc, być przy nim. Powiedział, że powinnam iść do jakiegoś pieprzonego psychiatry, więc już dwie osoby są zdania, że mi odbiło. On i ja, – Przerwała, pojękując płaczliwie.

– Kochanie, nie zwariowałaś, chociaż uważam, że fachowa pomoc dobrze by ci zrobiła. Susan, potrzebujesz przyjaciół.

– Nie miałam czasu, żeby ich znaleźć, mamo.

– Teraz masz. Jest tyle grup samopomocy. Powinnaś się czymś zająć, zacząć nowe życie, a to ci sienie uda za sprawą kogoś innego. Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że chciałaś w życiu Cary’ego zająć miejsce Amelii. Nikt, o czym obie wiemy, nie jest w stanie tego dokonać. Jesteś zdenerwowana tym, co się stało z Amelią i co się dzieje ze mną i dlatego potrzebujesz pomocy specjalisty. Nie porzuciłam cię, Susan. Postąpiłam tak, jak uważałam że będzie dla ciebie najlepiej. Jeśli się myliłam, przepraszam. Rodzice nie zawsze... nikt nie jest nieomylny.

– Zawiodłam cię, tak? Przykro mi, mamo. Powiedz mi, co robić, dokąd pójść. Nie jestem w stanie podjąć żadnej decyzji.

Słyszała, jak w tle Thad ostrzega:

– Masz minutę i ani chwili dłużej, Billie. Wyłączę telefon. – I cichy, łagodny głos matki: – Cicho, Thad. Moja córka chce ze mną porozmawiać. Odpocznę, kiedy skończymy.

– W porządku, mamo. Thad ma rację. To bardzo samolubne z mojej strony. Przepraszam, że zawracam ci głowę.

– Skarbie, wcale nie zawracasz mi głowy. Chciałabym ci pomóc, ale najważniejsze, żebyś ty sama chciała sobie pomóc.

– Powiedz mi, co mam zrobić.

– Jeśli ci powiem, posłuchasz mojej rady?

– Na Boga, tak. Myślisz, że lubię siebie taką, jaką teraz jestem?

– Dobrze, więc pierwszy krok już za nami. Masz pod ręką papier i coś do pisania?

– Tak, tuż koło telefonu. Mamo, zdemolowałam cały apartament. Rozwaliłam wszystko młotkiem i nożem.

– Więc musisz zapłacić za remont. Skoro coś robisz, musisz ponosić tego skutki. Zapisz to.

Bazgrała posłusznie, gdy matka dyktowała cichym, wątłym głosem.

– Przecież już to mówiłaś – poskarżyła się nagle.

– Tak, ale teraz masz to czarno na białym. Masz to przed oczyma. Traktuj to jako drogowskaz ku... ozdrowieniu. Obiecasz, że wcielisz to w życie?

– Zrobię co w mojej mocy. – Po chwili namysłu dodała: – Jak się czujesz, mamo?

– Cóż, po naszej rozmowie nie udam się na milowy spacer, ale Thad się mną wspaniale opiekuje. Mam się znośnie.

– To dobrze. Do widzenia. Mamo, powiesz mi, że mnie kochasz?

– Najdroższa Susan, oczywiście, że cię kocham. Kocham cię, odkąd cię zobaczyłam. Będę cię kochać wiecznie.

Billie płakała. Do Susan dotarło, że ona to sprawiła. Chciała powiedzieć, że ona też ją kocha, ale słowa nie przeszły jej przez gardło. Odłożyła słuchawkę.

– Tak, pewnie, że mnie kochasz. Musiałam cię prosić, żebyś mi to powiedziała. – Zniosła się złym, gorzkim płaczem.

Czterdzieści osiem lat. Bezdomna. Szalona. Niekochana.

Rozdział trzynasty

Lipcowe słońce ospale chowało się za oceanem. *Lanai* nikło w tajemniczym półmroku. W powietrzu wisiał upojny zapach plumerii. Na plaży leżały ręczniki kąpielowe, wiaderka, łopatki, foremki, rozwrzeszczane dzieci i rodzice gotowi rwać sobie włosy z głowy.

– Jesteś przekonana, że tego chcesz? – upewniała się Sawyer.

– Oczywiście. Dam sobie radę z dziewczynkami. Potrzebują trochę dyscypliny. Poradzę sobie. Możecie lecieć z Adamem do Japonii i o nic się nie martwić. Sprawdzę się w roli babci. Dużo czytałam na ten temat. Żeby zacytować Adama: wystarczą ciasteczka, lizaki i silna ręka. Nauczę je pływać, będziemy budować zamki z piasku i tak dalej.

– A co z *Billie Limited*? – niepokoila się córka.

– Słuchaj, *Billie Limited* to ja. Wezmę sobie parę dni wolnego. Kłopoty się skończyły, odkąd postanowiłam, że produkcja będzie się odbywać w Stanach. Niedawno widziałam metki. Aż mnie ciarki przeszły. *Madę in the USA*. Kolory przyszłego sezonu są gotowe. Kiedy małe pójda spać, pokażę ci szal. Mówię ci, jest boski. Mój pierwszy wyrób, pierwszy odcień. Nie mogę się doczekać, kiedy poślę go mamie. Miałaś jakieś wieści, Sawyer?

– Dzwoniłam przed wyjazdem, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawiłam wiadomość. Ty przynajmniej miałaś okazję z nią porozmawiać kilka miesięcy temu. Boże, nie mogę uwierzyć, że to już połowa lipca. Gdzie się podział ten czas? – jęknęła.

– Nie myśl o przeszłości, tylko o terażniejszości, czyli o tym, że pora wykapać dzieciaki, i kto ma to zrobić – burknął Adam.

– Dziś twoja kolej, wiesz o tym dobrze – odcięła się Sawyer. – Kąpałam je rano, w domu, i po południu, kiedy zasnęły na plaży. I na dodatek umyłam im włosy. Są półprzytomne, więc nie będą się szamotać i zatapiać cię. Błagam, Adam. Nie mam siły ruszyć się z

miejsca.

Kiedy ojciec i córki zniknęli z pola widzenia, Sawyer zerwała się na równe nogi, przyniosła puszkę lemoniady i ciasteczka i usadowiła się wygodnie.

– A teraz opowiedz, co u ciebie. Maggie roześmiała się szczerze.

– Naprawdę nic. Wiesz, że na jakiś czas wróciłam do Teksasu, rozmawialiśmy o tym. Niedawno dzwoniła Ivy, opowiadała mi o Carym. Podobno ma wspaniałego psa, którego uwielbia. Sam wychodzi z domu. Pomaga mu uroczy starszy pan, wolontariusz, współpracujący z fundacją. Cary powiedział Ivy, że wszystko to dzięki Val.

– A Susan?

– Nie odzywała się do mnie. Wiem od Ivy, że zatrzymała się w apartamencie rodziny. Odwiedza Cary’ego, ilekroć znajdzie dla niej wolną chwilę. Zdaniem Ivy Susan wkrótce wyjedzie do Anglii. Wcale mnie to nie dziwi.

– A ty, Maggie? Co u ciebie? – zapytała Sawyer miękko.

– Żyję. Nie było mi łatwo. Miewam lepsze i gorsze dni. Dzisiaj jest dobry. Cieszę się, że postanowiliście zostawić dziewczynki pod moją opieką. Prawie ich nie znam. Nie powinno tak być. Chciałabym być dobrą babcią. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę córeczkę Cole’a. Obiecał, że przyjadą do mnie z Sumi i małą pod koniec miesiąca. Wydaje się bardzo szczęśliwy – stwierdziła Maggie z zadowoleniem.

– Bo jest. Ciągłe widzę jego i Rileya, jak się bawią pieniędzmi. Zdradzę ci sekret, jeśli dasz słowo, że nikomu nie powiesz.

Maggie skinęła głową. W jej oczach jaśniały iskierki zainteresowania.

– Cole i Riley myślą, że o niczym nie wiem, ale niechcący podsłuchałam ich rozmowę, kiedy na wiosnę wszyscy byliśmy w Sunbridge. Wtedy akurat... no cóż, popisałaś się i zapanował ogólny zamęt. W każdym razie, to oni finansują Mirandę. Valentine Mitchell

wszystko załatwiła. Cary sądzi, że to jakaś firma z Anglii. Tym sposobem Cole zabezpieczył przyszłość Mirandy na wypadek gdyby z samolotem coś poszło nie tak. To spryciarze – stwierdziła z uczuciem – koniec końców można na nich liczyć. Myślałam, że pięknę, kiedy to usłyszałam. Mogłam o tym powiedzieć tylko Adamowi. Skomentował to krótko: „A nie mówiłem?” Możesz być dumna z Cole’a.

– Val to zorganizowała?

– Tak. Maggie, ona zrobiła dużo dobrego dla naszej rodziny. Żałuję, że nie będzie nas reprezentować. Zawsze można było na nią liczyć. Do nikogo się ostatnio nie odzywała.

– Na początku byłam pewna, że mnie okłamała. Teraz już nie mam takiej pewności. Sama nie wiem dlaczego.

– Ja też nie, Maggie. Czy to takie ważne?

– Myślałam... myślę... że tak, może, nie mam pojęcia. Nie chcę o tym myśleć, ciągle sobie znajduję jakieś zajęcie. Pozbyłam się wszystkich mebli. Najpierw z sypialni i pokoju Chesney, potem z gabinetu. Wydawało mi się, że wszędzie czuję zapach jego wody po goleniu, jego obecność. Nigdy mi nie powiedział, że przepisał swoją część domu na mnie. Tego dnia, gdy dostałam od Val list z tą informacją, wpadłam w histerię. Przypomniało mi się, jak dostałam akt własności Sunbridge. Byłam wtedy pijana jak bela, ale wytrzeźwiałam błyskawicznie. Od tego czasu nie tknęłam alkoholu. Nie chcę o tym mówić.

– W porządku. O czym chcesz mówić?

– O mamie. O twoim samolocie. O czymkolwiek.

– Nie, nie o babci. Nie chcę więcej płakać. Jestem bardzo rada, że Adam się zgodził na przeprowadzkę. Sumi szuka dla nas domu do wynajęcia. Dziewczynkom dobrze zrobi odmiana. Będą miały towarzystwo: tylu kuzynów i kuzynek! Idę o zakład, że w mgnieniu oka nauczą się japońskiego, a tamci – angielskiego. Sumi obiecała znaleźć

mi opiekunkę do dzieci. Adam będzie miał pełne ręce roboty. Zaproponowano mu książkowe wydanie jego komiksów, w wydawnictwie Random House. Nie myśl jednak, że zaniedbamy dzieci! Będziemy nadal spędzać z nimi dużo czasu. To straszne urwisy, Maggie.

– Nie wątpię. Jeśli za bardzo dadzą mi się we znaki, Addie sprowadzi pomoc w osobach kilku uczennic. Nie spieszcie się. Więc mówisz, że niedługo ruszy produkcja?

– Tak. Nad wszystkim czuwamy. Za rok samolot wzbije się w powietrze. Cały czas nie mogę się przyzwyczaić, że Coleman Aviation przekształciło się w ColeShad Aeronautics. Zdaniem Cole'a powinniśmy wyjść z akcjami na rynek. Co ty na to?

Maggie wzruszyła ramionami.

– Nie znam się na tym, ale na twoim miejscu zaufałabym Cole'owi. Val pomoże ci... to jest chciałam powiedzieć, ktoś... musisz porozmawiać z jakimś prawnikiem. – Unikała wzroku córki.

– Czy byłaś... czy jesteś zazdrosna o Val?

– Cóż, jeśli nie ma lepszego słowa, żeby to nazwać... Podziwiałam ją. Wszystko zawdzięcza sobie samej. Nieważne, jak to zdobyła; osiągnęła cel. Ivy dużo mi o niej opowiada. Uważają za prawdziwą przyjaciółkę, wiesz, taką od serca. Podobno w Austin nie było kancelarii prawnej, klubu czy stowarzyszenia, które nie wydałoby pożegnalnego przyjęcia na jej cześć. W gazecie wydrukowano jej zdjęcie z pożegnalnymi listami od sędziów, prawników i klientów. Wszystko zawdzięcza sobie samej i tego jej zazdrościć. Spójrz na siebie, Sawyer. Ty także odniosłaś sukces. A ja? Co osiągnęłam? Nic. Ograniczyłam się do brania. Nie byłam odpowiednią partnerką dla Randa. Miałam dużo czasu, żeby przemyśleć wiele spraw. W ciągu ostatniego roku Rand spędzał dużo czasu poza domem. Mówił, że jedzie do Maui. Mówił, że jedzie na Hilo. Mówił, że wybiera się do

Anglii. Mówił, że leci do Hongkongu na spotkanie z Chesney. Mówił wiele rzeczy. Wydaje mi się, że ze mną i Randem było tak jak z Susan i Cary, z tego co opowiadała Ivy. Pasożytowałam na nim. Jaki był mój wkład? Spacerowałam po plaży. Czasami gotowałam. Pływałam. Chodziłam na aerobik. Robiłam zakupy. Czytałam. Mój Boże, co to za życie? Najgorsze, że nie widziałam powodu, dla którego miałabym cokolwiek zmienić. Rand na pewno nudził się jak mops. Ożywał, kiedy Chesney wracała ze swoich podróży.

– Nie rób tego... mamo. – Sawyer objęła ją serdecznie. – Nie myśl o tym. Sama mi to powtarzałaś. Żyj każdym nowym dniem, jaki nadejdzie.

– Łatwo ci mówić – Adam z ulgą opadł na leżak. – Potwory śpią, wypucowane na medal. Zazwyczaj wstają razem ze słońcem, a zdarza się, że nawet wcześniej.

– Dobrze, że mnie uprzedziłeś. Ja też jestem rannym ptaszkiem – stwierdziła Maggie.

– Wymagają dużo uwagi – ostrzegł Adam.

– To paskudne potwory – poprawiła Sawyer. – Jeśli jedna na coś nie wpadnie, z całą pewnością wymyśli to druga, po czym obie wcielą pomysł w życie. Gdybym wiedziała, że w twojej rodzinie zdarzają się bliźnięta, nie wyszłabym za ciebie.

Sprzeczali się, początkowo żartobliwie, potem zupełnie poważnie. Maggie obserwowała i słuchała. Unosili się nad byle głupstwem. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek dyskutowała z Randem równie intensywnie, z taką pasją.

– Rozwałę ci czaszkę jednym ciosem! – odgrażała się Sawyer. – Przyznaj się, Adam, zapomniałeś zabrać moje czekoladki!

– Spróbuj tylko, a powyrywam ci wszystkie włosy – odciął się. – Jezu, padam z nóg. Kochanie, chodźmy do łóżka.

I już po burzy, czy jak to tam nazwać. A może w ten sposób młodzi

ludzie się porozumiewają?

Sawyer cmoknęła męża w policzek.

– Całuję cię teraz, bo kiedy dotrzemy do łóżka, nie będę miała na nic siły. Nie pogniewasz się, jeśli już pójdziemy, prawda, Maggie?

– Skądże. Oboje wyglądacie na bardzo zmęczonych. O której macie samolot?

– O wpół do jedenastej. Musimy stąd wyjechać o dziewiątej. Dobranoc, Maggie – mruknęła Sawyer niewyraźnie. Adam pomachał jej ręką.

– Słodkich snów! – zawołała za nimi.

Poszła nad brzeg oceanu. Mokry piach łaskotał ją w stopy. W ich życiu wszystko się układa. Ona nikomu nie jest potrzebna. Tydzień opieki nad dziewczynkami się nie liczy. Cary wracał do siebie. To znaczy, że tylko obie z Susan mają kłopoty. Może powinna zadzwonić do siostry? I co jej powiedzieć? Zaprosić ją tutaj? To kiepski pomysł, Maggie. Ale zaproponuj. Wiesz, że odmówi.

Mama. Nie myśl o mamie. Wystarczy jedna myśl o mamie, a stracisz cały spokój, jaki stał się twoim udziałem w ciągu ostatnich miesięcy. Maggie otoczyła kolana ramionami.

Zamki z piasku.

Zerwała się na równe nogi, pobiegła do kuchni, skąd przyniosła wiaderko, porcelanową miskę i plastikową szklaneczkę.

Babcie budują zamki z piasku.

Pracowała wytrwale, nosiła wiadra wody do wysoko położonego skrawka plaży. Zależało jej, by zamek przetrwał do rana w nie naruszonym stanie. Modelowała i rzeźbiła kubeczkami z Burger Kinga i drogą porcelanową miską. Skończyła o czwartej nad ranem. Cofnęła się o krok, z dumą podziwiała swoje dzieło. Zamek miał wieżyczki, okienka, baszty i fosę. Dziewczynki oszaleją ze szczęścia. Był wspaniały. W tej chwili przypomniała sobie, że zamek nie jest

zamkiem, jeśli brakuje mu chorągwi na szczycie. Pognała do garażu. Jej wybór padł na próbkę jednego z odcieni Klejnotów Pacyfiku. Skrzywiła się. Na co komu flaga bez drzewca? W kuchni znalazła idealny drzewiec – trzonek od młotka. W garażu posmarowała go szybkoschnącym klejem i owinęła skrawkiem tkaniny. Następnie wystrzępiła nożyczkami koniec chorągwi.. ; , Doskonałe.

Pobiegła z powrotem na plażę, zatknęła chorągiew na prawo od mostu zwodzonego piankowej tacki, na której sprzedają udka kurczaka. Odczuwała satysfakcję niemal tak wielką jak tego dnia, gdy uchwyciła błękit Pacyfiku.

Pod prysznicem przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Susan. Chciało się jej śpiewać, , sama nie wiedziała dlaczego.

Włożywszy kostium koloru nieba nad Hawajami, zasiadła na *lancii* ze słuchawką w ręku.

– Susy, to ja, Maggie.

– Wcześniej wstałaś, co? – W głosie siostry kryło się oskarżenie. Chyba ma depresję, przemknęło Maggie przez głowę.

– Właściwie – Maggie się roześmiała – w ogóle się nie kładłam. Nie spałam całą noc, budowałam zamek z piasku dla dziewczynek. Są tu, u mnie. Będę się nimi opiekować, wyobrażasz sobie? Nie wiem, jak długo. Adam i Sawyer będą szukali domu w Japonii. Przenoszą się tam na jakiś czas, ale zapewne o tym wiesz?

– Nie, nie wiem – warknęła Susan. – Nikt mi o niczym nie mówi.

– Od Sawyer słyszałam, że z tobą rozmawiała – poprawiła spokojnie Maggie. – Czy coś jest nie tak? – To oczywiste. W życiu siostry zawsze coś jest nie tak. Tą rozmowa niczego nie zmieni, najwyżej również i ją wpędzi w depresję. Nie daj się, przykazała sobie.

– Dzwoniła do mnie przed kilkoma tygodniami i wspominała, że to rozważają. Zresztą, ja się nie liczę. Co porabiałaś od... wszystko u ciebie w porządku? – zapytała Susan bez cienia zainteresowania.

– Niedawno skończyłam pracę nad nowymi odcieniami. Na wiosnę wypatruj Klejnotów Pacyfiku i Egipskich Świąteł. Jeśli chcesz, wyślę ci szaf. Bardzo chcę, żeby mama zobaczyła moje dzieło. Miałaś od nich jakieś wieści, Susan?

– Nie, a ty?

– Ostatnio nie. Jak się ma Cary?

– Świetnie. Cary ma się tak cholernie świetnie, że go nigdy nie ma w domu. Ma się tak świetnie, że nawet nie oddzwania. Tak świetnie, że poradził mi, żebym się czymś zajęła. Nienawidzę mężczyzn, Maggie. Poświęciłam mu kilka miesięcy mojego życia, robiłam co w mojej mocy, byle mu uprzyjemnić czas. Mógł na mnie liczyć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Teraz ma psa, w kółko przychodzą do niego ludzie, którzy go uczą... uczą go, jak sobie radzić. Byłam gotowa robić za niego wszystko. Był wdzięczny, dopóki nie przysłała ta suka i wszystkiego nie zepsuła. Nastawiła go przeciwko mnie. Wykręciła mi ten sam numer co tobie, Maggie. Odebrała ci Randa i ... Zawsze namąci, a potem znika z horyzontu! To dziwka, szmata i nic niewart śmieć!

Nie pozwolę, by zepsuła mi humor. Nie pozwolę i już – powtarzała Maggie w myślach. Głośno powiedziała:

– Przypuszczam, że myślisz o Valentine Mitchell?

– Oczywiście. Czy znamy jeszcze kogoś, kto postępuje jak ona? Zawsze nam zazdrościła, choć w przeciągu lat zapłaciłmy jej setki tysięcy dolarów.

– Susan, ugryź się w język i zastanów nad tym, co przed chwilą powiedziałaś. Nie tak dawno zjawiała się na moim progu, mając w kieszeni... ile to było? Osiemdziesiąt dolarów. To granica ubóstwa. Teraz opływasz w luksusy. Dzięki Val. Nie neguj jej zasług. Chyba jeszcze nie zapomniłaś, że właśnie Val wyciągnęła cię z tarapatów, kiedy twój pierwszy mąż odstawił taki sam numer jak drugi? Może

powinnaś krytycznie przyjrzeć się sobie samej, Susan. Wiesz, zadzwoniłam, żeby się dowiedzieć, co u ciebie słychać. Jesteśmy siostrami i zależy mi na tobie, ale masz w sobie tyle goryczy, pretensji do świata. Powinnaś skakać z radości, że Cary jest aktywny, że spotyka się z ludźmi, że nie siedzi w domu jak warzywo. A ty się wściekasz. Pod względem psychicznym Cary jest zdrowszy od ciebie. Pomyśl o tym. Jeśli do mnie zadzwonisz i odezwiesz się radosnym głosem, może z tobą porozmawiam. Dobranoc, Susan. – Rzuciła słuchawkę na widełki.

– To był błąd – mruknęła pod nosem, wsypując kawę do ekspresu.

– Płatki z cuklem – powiedział cieniutki głosik na wysokości jej kolan. Odwróciła się na pięcie.

– Płatki z czekoladą powiedział drugi głosik.

– Nie. Jajecznicza. Tosty. Sok.

Bliźniaczki energicznie potrząsnęły główkami.

– O, tak! – powiedziała twardo Maggie. – Siadajcie. – Nie! – odparły zgodnie.

– Cóż, w takim razie zjem sama. Idźcie nazrywać kwiatków dla mamy. – Obserwowały ją uważnie, zaskoczone jej stanowczością. Nie spuszczały jej z oka, gdy stawiała na stole jeden talerz. Obie ssały kciuki. – To mój talerz – poinformowała je. – No, biegnijcie po kwiatki.

– Płatki z cuklem – powiedziała Kąty.

– Płatki z czekoladą – powiedziała Josie.

– Jajecznicza – powiedziała Maggie.

Rozplakały się jednocześnie, w tej samej chwili wygięły usta w podkówki. Maggie nałożyła sobie jajecznicę na talerz i usiadła przy stole. Zaczęła jeść. Bliźniaczki szlochały. Maggie nie zwracała na nie uwagi.

– Chcecie trochę?

– Lody jęknęła Josie.

– Ciasteczko! – błagała Kąty.

– Jajecznicza – powiedziała Maggie.

– Pielnik – Josie, przywódczyni, nie dawała za wygraną.

– Cukielki – zawtórowała Kąty, – Jajecznicza – powiedziała Maggie.

Dziewczynki spojrzały na siebie. Przestały płakać, jednocześnie wyjęły kciuki z ust. Jednocześnie też wdrapały się na krzesła.

– Jajecznicza – powiedziały.

– Wiedziałam, że się ze mną zgodzicie – Maggie się uśmiechnęła. Maluchy błyskawicznie pochłonęły swój e porcje i wypiły po szklance mleka.

– Ciasteczka?

– Jabłka. – Maggie wytarła im buzie papierowym ręcznikiem. – Chodźcie, nazrywamy kwiatków i zrobimy *lei* dla mamusi. To taki naszyjnik z kwiatów. Musimy się pospieszyć, bo niedługo się obudzi.

Z igłą i nitką w ręce, zaprowadziła je do ogrodu na tyłach domu.

– Wy zbierajcie kwiatki, a ja je nawłokę.

Pulchne łapki rzucały jej do stóp wonne kwiaty. Zręcznie nawlekała je na nitkę.

– Dla mamusi.

– Dla tatusia – wyraziły zgodne życzenie.

– Dobrze, dla tatusia też zrobimy. – Maggie pracowała coraz szybciej. – A dla Josie i Kąty? – Włożyła im na szyje malutkie *lei*, – Zanieście wianki rodzicom. No, szybciutko!

– Nagłoda.

– Jak wrócicie, pokażę wam coś pięknego. To niespodzianka. – Odprowadzała je wzrokiem. W co ona się wpakowała? Zresztą, kogo to obchodzi? Jeśli przeżyje, będzie zachwycona każdą spędzoną z nimi sekundą.

– Pięknie pachną – stwierdziła Sawyer zaspanym głosem. – Co za cudowne przebudzenie. Dziewczynki mówiły, że usmażyłaś nam

jajecznice. Umieram z głodu. – Błąd. Usmażyłam jajecznicę dla dziewczynek. Zrobić ci?

– Bardzo proszę. I zjadły?

W odpowiedzi Maggie wskazała puste talerze na stole.

– Spójrz, Adam, zjadły jajecznicę.

– Co prawda nie znam się na wychowywaniu dzieci, ale czy zastanawialiście się chociaż raz, ile cukru one zjadają? Prawdopodobnie dlatego są ciągle pełne energii.

– Pepsi – zażądała sobie Josie.

– Pepsi – zawtórowała jej Kąty.

– Sok – zaproponowała Maggie.

Sawyer nie wierzyła własnym oczom, patrząc, jak córeczki bez słowa protestu opróżniają szklanki soku.

– Niespodzianka?

– Najpierw zrobię śniadanie dla mamusi i tatusia. Nazrywajcie więcej kwiatków.

Nie do wiary. Posłusznie wykonały polecenie babki.

– Proszę bardzo – Maggie nałożyła na talerz Sawyer kopiastrą porcję. – Muszę już iść. Adam, potrafisz zrobić tosta, prawda?

– Tak, tak. Dokąd się tak spieszysz?

– Nie kładłam się spać. Zbudowałam zamek na plaży. To właśnie jest niespodzianka. Z niewiadomych przyczyn, w poniedziałkowe ranki jest większy ruch. Radzę wam wyruszyć piętnaście minut wcześniej – zawołała przez ramię.

– A ty miałaś jakieś obawy! – Adam podjadał żonie jajecznicę – Kiedy wrócimy po potwory, nie zechcą z nami wyjeżdżać. W takim wypadku zostawimy je tutaj i będziemy odwiedzać na święta.

Sawyer rzuciła w niego serwetkę.

– Nie mogliśmy zrobić dla Maggie nic lepszego – powiedział. – A teraz chodźmy pod prysznic. W naszych *lei*.

– Mój drogi, to bardzo kusząca propozycja. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ... – Nie dokończyła. Pognała do sypialni. Adam rzucił się za nią.

Ledwie Sawyer i Adam zniknęli z pola widzenia, Maggie wzięła dziewczynki za rączki i zaprowadziła na plażę. Josie, bardziej wygadana i rezolutna, ogłosiła się wyłączną właścicielką zamku, trzeba więc było wybudować drugi, dla Kąty.

Koło południa Maggie dała znak, że muszą przerwać pracę. Zdawało się jej, że ktoś ją woła od strony garażu. Nie miewała gości, Addie miała tego dnia wolne. Wpadła w panikę. Prawdopodobnie zupełnie niepotrzebnie, to chyba tylko człowiek z elektrowni przyszedł odczytać stan licznika.

– Jestem tu, nad wodą! – krzyknęła.

Jaki wielki, pomyślała. Ponad sześć stóp wzrostu. W czarnej Czuprynie srebrzyły się siwe pasma na skroniach. Miał na sobie drelichowe spodnie i białą koszulę, rozpiętą pod szyją, o podwiniętych rękawach. Opalenizna, jeżeli to była opalenizna, miała piękny brązowy kolor. Białe skarpetki niknęły w starych tenisówkach. Najwyraźniej gość, kimkolwiek jest, nie ulega dyktaturze mody, oceniła. Wyglądał na człowieka zadowolonego ze swego ubrania i z siebie samego. Początkowo wydawał się bardzo brzydki, ale kiedy podszedł bliżej, zmieniła zdanie. Patrzyły na nią oczy koloru roztopionej czekolady.

Otrzeпаła dłonie z piachu. Cały czas miała się na baczności.

– Pani Nelson?

– Tak.

– Nazywam się Henry Tanaka. Adwokat pani pasierbicy zwrócił się do mnie z ofertą sprzedaży jej dziesięciu procent udziałów w rafinerii. Jestem ciekaw, czy rozważała pani sprzedaż również swojej części. Wczoraj rozmawiałem z panem Assante. Zaproponował, bym się z

panią skontaktował osobiście. Pan Assante poinformował mnie o swoim stanie zdrowia. Chce się pozbyć swoich udziałów, sprzedać je albo pani, albo mnie. Zechce pani zapewne sprawdzić te informacje, ale ja już teraz chciałbym pani złożyć ofertę.

– Nie zastanawiałam się nad tym, panie Tanaka. Jak pan widzi, mam pełne ręce roboty. Kiedy życzy pan sobie usłyszeć moją odpowiedź?

– Ja się nie spieszę, w przeciwieństwie do pani pasierbicy. Proszę wszystko spokojnie przemyśleć. Minęło już wiele lat, odkąd ostatnio budowałem zamki z piasku. – Uśmiechnął się melancholijnie. – Budowaliśmy je z żoną dla wnuka. Potem syn postanowił się przenieść na kontynent. Moja żona umarła dwa lata temu. Przez pewien czas budowaliśmy je dla siebie...

Jaką ma smutną minę, zauważyła Maggie.

– Przyda się nam dodatkowa para rąk do pracy, jeśli nie ma pan innych planów. Ten zamek budowałam przez całą noc. Zapomniałam, jak zaborcze są bliźnięta, więc teraz pracujemy nad drugim. Przy okazji, to jest Josie, a to Kąty. Zostały pod moja opieką. Na kilka tygodni.

– Z chęcią. Pozwoli pani, że najpierw się przebiorę. W samochodzie mam kąpielówki, – Proszę bardzo, łazienka jest za kuchnią. Naprawdę się pan na tym zna? – Puściła do niego oko.

– Jestem specjalistą. Możemy urządzić konkurs. Pani pracuje z jedną dziewczynką, ja z drugą.

– Przed czy po lunchu?

– Jeśli to zaproszenie, przyjmuję. Wracam za chwilę. – Wyglądał na bardzo zadowolonego.

Ledwie zniknął jej z oczu, ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli to zbrojeniec? Albo seryjny morderca?

– Fajny – oceniła Josie.

– No, fajny – zgodziła się Kąty.

– Chyba macie rację – stwierdziła Maggie. – Ale i tak zadzwonię do Cary’ego.

– Cieszy się doskonałą opinią usłyszała. – Podobno jest bogaty jak Krezus. Z tego co mówił, wywnioskowałem, że jest gotów zapłacić gotówką, jeśli się zdecydujesz sprzedać. Decyzja należy do ciebie, Maggie. W moim stanie nie mogę nadzorować pracy. To Rand wiedział wszystko o rafinerii, nie ja. Zaakceptuję to, co postanowisz. Jesteś na *lanail* Konkurs budowania zamków z piasku? – zapytał tęsknie. – Nadal rosną u ciebie te piękne różowo-fioletowe kwiaty?

Odruchowo rozejrzała się dokoła.

– Tak. Słuchaj, zadzwonię później i powiem ci, kto wygrał, w porządku? – Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Sprawdza mnie pani? – zapytał Henry Tanaka.

– Tak. Cary powiedział, że jest pan tym, za kogo się podaje. Mam sama podjąć decyzję. Na lunch będą kanapki z serem i zupa. – Zaprowadziła go do kuchni. – Łazienka jest tam.

Flytki – zaproponowała Josie.

– Dżem – dorzuciła Kąty.

– Zupa i kanapki – poprawiła Maggie. Słyszała, jak Tanaka śpiewa w łazience.

– Fajny – powiedziała Josie.

– Fajny – zachichotała Kąty.

– Najpierw pozmywamy naczynia – postanowiła Maggie. – Ja przygotowuję lunch, a wy nazrywajcie kwiatków dla pana Tanaki. Może wam pomoże.

Jeżu, ale on jest duży, dziwiła się w duszy. Była ciekawa, czy jest z pochodzenia Hawajczykiem. Zapytała.

– Moja matka i mój dziadek byli wyspiarzami, to tłumaczy mój wzrost. Spędziłem tu całe życie, niecałe dwie mile stąd. Jesteśmy

sąsiadami. Znałem pani męża. Niezbyt dobrze, oczywiście. Bardzo mi przykro z powodu jego odejścia.

– Dziękuję.

– Nie jest tupani bardzo samotna? Boja tak. Po śmierci żony podróżowałem po całym świecie. Myślałem, że nigdy tu nie wrócę, a jednak... Teraz wiem, że nigdy stąd nie wyjadę. Tak naprawdę nie mogłem się doczekać powrotu. Trzeba się nauczyć żyć wśród wspomnień. To niełatwe.

– Kwiatki. – Josie złapała go za rękę. Kąty uwiesiła się drugiej dłoni.

– Powiedziały, uwaga, to będzie dosłowny cytat: „Fajny”.

– Jestem zachwycony.

– I słusznie. – Maggie się roześmiała.

Wyszli. Od razu pobiegła do łazienki. Starannie poprawiła fryzurę. Nie mogła się umalować, to byłoby zbyt ostentacyjne. Nie mogła użyć perfum, z tego samego powodu. Dzięki Bogu, ma na sobie ładny kostium. Kręciło się jej w głowie, kiedy wracała do kuchni, ale dobry humor minął tak szybko, jak się pojawił. Henry Tanaka chce kupić rafinerię. Nic dziwnego, że jest miły. I co z tego? skarciła się. Jest bardzo sympatyczny i można z nim porozmawiać. Przełożyła kanapki na talerze. Pokroiła porcje wnuczek na małe kawałeczki i wlała im zupy do masywnych kubeczków.

– Lada chwila – stwierdził Henry Tanaka po upływie pół godziny – pani podopieczne zasną z buziami w talerzach.

Wydawał się tak rozczarowany, że zaproponowała:

– Zaniesiemy je na *lanai*, a potem zaczniemy budować. Pomogą nam po drzemce. Na pewno może nam pan poświęcić tyle czasu?

– Mam go aż nadto.

– Ale przecież chce pan kupić rafinerię. Nie pracuje pan?

– *No, Maggie, bardziej obcesowo nie mogłaś tego załatwić.*

– Nie, nie pracuję. Jak mówi moja synowa, nabywam.

– Rozumiem.

Tanaka parsknął śmiechem.

– Moja żona w kółko tak mówiła. Zazwyczaj znaczyło to, że czegoś nie aprobuje. Ojej, lepiej zanieśmy małe na posłanie, zanim nam pospadają z krzesel.

– Nie pojmuję tego. Sawyer mówiła, że nigdy nie śpią po południu. Mówiła także, że buszują po nocach i nie chcą jeść – dziwiła się Maggie. – Jezus, Maria, chyba się nie zatrufy?

– Moim zdaniem są po prostu zmęczone. Słońce i piasek powalą najsilniejszego. Poza tym, buzie im się nie zamykają. Szkoda, że ich pani nie słyszała, kiedy zrywaliśmy kwiaty. Ta mała – wskazał Josie – to kawał urwisa.

– Druga też. – Maggie się uśmiechnęła. – Jak pan myśli, przykryć je kocem?

– W tym upale? Czy po raz pierwszy się pani nimi opiekuje?

– To widać, co? Ale sprawia mi to wielką przyjemność. Obiecałam, że nauczę je pływać. Teraz nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Josie boi się fal.

– Zapraszam do mnie. Mam basen. W stajni stoją trzy konie i dwa kuce. Jeździ pani konno, pani Nelson?

– Proszę mi mówić „Maggie”. – Opowiedziała mu o Sunbridge i o stadninie. – Nie chcę sprawiać kłopotu. Ale dziękuję za zaproszenie.

– Jutro rano. Przyjadę po was i pojedziemy do mnie. W stodole okociła się kotka.

– Jeśli naprawdę uważa pan, że nie będziemy przeszkadzać, w porządku, przyjmujemy zaproszenie.

– Czy zastanawiała się pani, jakim cudem nauczy pani pływać dwoje dzieci jednocześnie? Przy maluchach w ich wieku trzeba mieć oczy z tyłu głowy.

– Tak, wiem, o co panu chodzi. Pan się zajmie jedną, ja drugą.

– Maggie, proszę posłuchać: nie zależy mi na rafinerii. Jeśli zechce pani sprzedać, w porządku. Jeśli nie, też w porządku. Nie chcę, żeby pani myślała, że się przymilam, żeby wpłynąć na pani decyzję.

Uwierzyła mu.

– Coś takiego przyszło mi do głowy.

– Lubię szczerłość u kobiet. Lubię panią, Maggie Nelson.

– Dziękuję. – Zarumieniła się. Do kogo zadzwoni, żeby o tym opowiedzieć? Zagłębili się w rozmowie do tego stopnia, że zapomnieli o zamkach z piasku.

– Więc to pani jest „Billie Limited” – nie ukrywał zdumienia.

– Wie pan coś na temat Billie Limited? – Teraz ona była zdumiona.

– Ja nie, ale moja żona wiedziała bardzo dużo. Nie nosiła niczego innego prócz kreacji z tej kolekcji. O, to jest firma, którą bym chętnie nabył.

– Za późno. Przejęłam prowadzenie. Chce pan zobaczyć nową linię kolorystyczną? Mam pracownię w garażu. – Opowiedziała mu i o tym.

Znali się już jak starzy przyjaciele i mówili do siebie po imieniu, kiedy po kilku godzinach Henry ogłosił się zwycięzcą konkursu.

– Zwycięzca zabiera damy na kolację. Lody, hamburgery i cola.

– Warzywa, owoce, kurczak i mleko. Spojrzał na dziewczynki.

– Ona tu rządzi. Przyjadę po was za godzinę.

Bliźniaczki klasnęły w dłonie z radości. Maggie też. Teraz może się umalować. I uperfumować. I włożyć sukienkę. Dzięki, Panie Boże.

– W porządku, będziemy gotowe – zapewniła.

Prasowanie dwóch sukieneczek w groszki i czyszczenie dwóch par sandałów zajęło jej tyle czasu, że ledwo zdążyła wziąć prysznic i przebrać się. Włożyła przewiewny komplet ze słomianym paskiem opadającym na biodra. Wsunęła stopy w sandały i sięgała po kosmetyki, kiedy zerknęła na zegarek. Nie ma czasu na makijaż, ale

zdaży przynajmniej skropić się perfumami.

Spojrzała na dwa aniołki siedzące grzecznie na łożku.

– Mamy randkę – oznajmiła. – Co więcej – opadła na kolana, ściszyła głos – jeśli to dobrze rozegramy, załatwimy sobie dużo więcej.

Randek, oczywiście. – Dziewczynki z powagą kiwały główkami.

Zerwały się z łożka, usłyszawszy klakson samochodu.

Miała randkę. W pewnym sensie. W każdym razie, to był początek.

Rozdział czternasty

Słaby wietrzyk szeleścił cicho w koronach drzew. Niebieskie sójki usadowiły się wśród gałęzi. Obserwowały fontannę i karmnik na środku podwórza. Pod ich uważnym wzrokiem mężczyzna wsypał do karmnika okruszki ciasta i garść tłustych robaków ze szklanego pojemnika.

On i Billie wspólnie zaprojektowali zbiornik na wodę. Przed laty chodzili na zajęcia z garncarstwa.

– Niech będzie olbrzymi, dla setki ptaków, niech pomieści całe galony wody – powiedziała wtedy. Tak właśnie się stało. Thad odkręcił kran i sprawdził palcem temperaturę wody. Letnia. Po wypełnieniu zbiornika miał ochotę wskoczyć do niego, a przynajmniej skierować strumień na spocone ciało. Co za głupi pomysł. Połał sobie stopy.

Jeśli wierzyć prognozie pogody, był to najgorętszy dzień roku. Termometr na tarasie wskazywał dziewięćdziesiąt sześć stopni Fahrenheita.

Thad przeciągnął szlauch pod dwustuletni klon. Stały tam dwa wiadra, z których piły wiewiórki składające im wizytę. Nie zapomniał także wypełnić drewnianej skrzynki żołądziami i zwierzęcymi smakołykami. Na końcu wyłożył na metalowej tacy sałatę i marchewkę, poczęstunek dla rodziny królików, która zamieszkała pod szopą.

Dobrze, że ma coś do roboty. Coś, co pozwala zapomnieć o Billie. Ledwie wróci na taras, a ona zaraz podejmie dyskusję, którą przerwali, bo musiał nakarmić zwierzaki. Robił co mógł, byle opóźnić moment powrotu. Wiedział, że zrobi, o co go prosi, bo nie było na świecie rzeczy, której by jej odmówił. Gdyby sobie życzyła gwiazdki z nieba, szukałby drabiny na tyle wysokiej, aby móc dosięgnąć firmamentu.

Starannie zwinął gumowy wąż, odwiesił go na haku za domem. Zauważył, że przykrywka na pudle z żołądziami nie jest dostatecznie szczelna. Zreperować to teraz, tym samym odwołując powrót na taras,

czy zaczekać do jutra?

Wiedział dokładnie, co Billie powie. „Thad, czemu jesteś taki uparty?” Przekleństwa cisnęły mu się na usta. Miał ochotę wykrzyzczeć wszelkie bluźnierstwa, które usłyszał w marynarce wojennej. Cholera, powinien się modlić, a nie kląć, chociaż z drugiej strony robił już i jedno, i drugie. Nic nie pomagało. Co ma być, to będzie. Nic, co zrobi lub powie, tego nie zmieni. Wtedy zaczął kląć, wypuł z siebie wszelkie plugastwa, jakie pamiętał, i jeszcze trochę wymyślonych naprędce. Skończywszy, mruknął: – Wybacz mi, Boże, ale musiałem to zrobić.

Starał się ze wszystkich sił ukryć gniew i wrócić na taras z uśmiechem, choćby bladym i sztucznym. Zaraz się zacznie, pomyślał, siadając na leżaku obok Billie. *Thad, czemu jesteś taki uparty?*

– Czemu jesteś taki uparty, Thad? – zapytała cicho.

– Bo zdrowie nie pozwala ci na żadne wycieczki. Chcesz odbyć pielgrzymkę. Nie.

Uśmiechnęła się słabo.

– Nigdy mi niczego nie odmawiałeś. Chcę to zrobić. Muszę to zrobić. Rozmawiałam na ten temat z doktorem Blake'em. Powiedział, że nie widzi przeciwwskazań, jeśli czuję się na siłach. Jesteś strasznie uparty. Rozumiem, dlaczego się sprzeciwiasz, i doceniam to, ale jeśli ze mną nie pojedziesz, wynajmę limuzynę z kierowcą. No, decyduj się – ponaglała go. – Ale uprzedzam lojalnie, że nie chcę słyszeć odpowiedzi odmownej.

– Więc chyba nie mam wyboru – burknął. – Kiedy chcesz wyruszyć?

– Dlaczego nie zaraz? Nasze bagaże są spakowane od dziesięciu dni. Aż tyle czasu zmarnowaliśmy na głupie kłótnie, Thad. Zrezygnowałam z Hongkongu, bo jestem świadoma, że to byłoby zbyt duże obciążenie. Jednak podróż do Filadelfii w Pensylwanii to co innego. Jeśli trzeba, możemy robić postoje co godzinę.

Gapił się na nią bezmyślnie.

– Mamy Wsiąść do samochodu i wyjechać... natychmiast?

Uśmiechnęła się.

– Właśnie tak. Musimy tylko zamknąć drzwi. Och, Thad, proszę!

– Marudzisz, Billie.

– Nie, wcale nie marudzę, tylko cię zaklinam. Proszę, Thad.

– No dobrze, dobrze. Idź do łazienki. Pójdę po samochód. Nie mieści mi się w głowie, że to robię. – Udawał, że jest zły. – Domyślam się, że nasze spakowane bagaże są w szafie?

– Thad, twoja bystrość zadziwia mnie co dzień na nowo – oznajmiła w drodze do łazienki.

Obserwował ją kątem oka. Była chuda jak patyk, z trudem trzymała się na nogach. Wziąwszy drewnianą laskę, dała mu znak, żeby zajął się swoimi sprawami.

– Poradzę sobie – mruknęła.

– Nie chcę, żebyś się potknęła o moje stopy – zażartował, zmuszając się do uśmiechu.

– Roztkliwiasz się nade mną, a obiecałeś, że nie będziesz. Rusz się, Thad, czas na nikogo nie czeka.

W łazience ciężko oparła się o zamknięte drzwi. Dlaczego to robi? Dlaczego nalega, żeby ją zawiózł do Filadelfii? Chciała odbyć podróż szlakiem wspomnień ze względu na siebie czy na Thada? Na Thada – odpowiedziała sobie na głos. Niech się czymś zajmie, niech nie myśli wyłącznie o niej. Zostało mi niewiele czasu – szepnęła. , Musi skorzystać z ubikacji, a nie ma dość siły, by... Taka nieskomplikowana czynność stanowiła dla niej przeszkodę nie do pokonania. Daj mi siłę, modliła się.

– Hej, kobieto, co tak długo? – zainteresował się Thad.

– Jeśli się łudzisz, że ci powiem, to jesteś w błędzie! – odcięła się. Zachwiała się nagle. Zauważyła, że jej ręce wyglądają jak szpony. Z

trudem otworzyła drzwi. – Pomóż mi, Thad.

– Po to tu jestem. – Wziął ją na ręce. Ważyła nie więcej niż czterdzieści kilo. Może nawet nie tyle. – Zaraz wrócę po laskę. Nie będzie ci zimno?

– Kochany, jest ponad dziewięćdziesiąt stopni. Mam na sobie chustę i sukienkę z długimi rękawami. Mamy sierpień, czyżbyś zapomniał?

– Chciałem się tylko upewnić. – Ostrożnie posadził ją na przednim siedzeniu. – Zapnij pas.

– Zrobione. – Posłusznie wykonała jego polecenie. – Dobra, idę po walizki. Chcesz jabłko?

– Tak. Przyniesiesz dużo owoców. I ciasteczka. Zawsze coś żujesz, kiedy prowadzisz. Weź też puszkę oranżady, na pewno wkrótce poczujesz pragnienie.

– To mi zajmie co najmniej dziesięć minut. – W tym czasie utnę sobie drzemkę.

– Radzę ci, nie śpij, kiedy wrócę. Skinęła głową.

Spokojny, że nic jej nie będzie, poszedł do domu. Zaniósł dwie nieduże torby na próg. Wpadł do kuchni po owoce, ciastka i napoje, co mu zajęło najwyżej minutę. Położył prowiant obok bagaży, wrócił do kuchni i podniósł słuchawkę.

Łudził się, że ten dzień nigdy nie nadejdzie, że nigdy nie będzie musiał wykonać tego telefonu. Modlił się, robił wszystko co w ludzkiej mocy, żeby jak najdalej odwlec tę chwilę. Z mocno zaciśniętymi powiekami wybrał numer, który znał na pamięć. Podczas rozmowy z Ivy nie tracił panowania. Dopiero po Odłożeniu słuchawki myślał, że się załamał.

Billie nie spała. Podał jej torbę z owocami, których, jak wiedział, nie tknie podczas podróży, a sam zapakował bagaże.

– Spójrz, czy nie pięknie? – zapytał, kiedy wyjeżdżali za bramę. Ze

ściśniętym sercem obserwował, jak się odwraca i chłonie widok. Jakby wiedziała, że już tu nie wróci. Mój Boże, ona to wie, uświadomił sobie nagle. Wyjeżdżamy, żeby nie... żeby nie umarła w domu, bo to by się wiązało ze smutnymi wspomnieniami dla mnie i dla całej rodziny. Boże, Boże.

– Co teraz? – zapytała przeciągle.

– Pojedziemy przez Connecticut. Jeśli będziesz bardzo zmęczona, przenocujemy w luksusowym hotelu i rano ruszymy dalej. Od granicy z Connecticut do Filadelfii są tylko trzy godziny jazdy. Chcesz nocować czy jechać prosto do Philly?

Zachichotała.

– Możemy sobie darować ten pięciogwiazdkowy hotel, chyba że, oczywiście, ty będziesz zbyt zmęczony, żeby jechać dalej. – Poganiała go; na swój jedyny w swoim rodzaju sposób dawała mu do zrozumienia, że liczy się każda chwila.

– Pewnie na kolację będziesz sobie życzyła tłustych hamburgerów i pływających w oleju frytek – zagadnął.

– Pewnie. A na deser szarlotkę, która smakuje jak tektura.

– Masz to jak w banku. Kiedy ostatnio jedliśmy te paskudztwa?

– Przed czterema dniami – odparła ze śmiechem. – Ale byłoby nie po amerykańsku jeść zdrową żywność podczas podróży.

Zasnęła minutę po skończeniu zdania. Thad ukradkiem otarł łzy. Billie prześpi ze trzy kwadransy i się obudzi, nieświadoma tego, że drzemała. Właśnie patrzył na zegarek, kiedy się odezwała:

– À propos Ameryki: Maggie przynosi tu produkcję. Prosiła o zgodę, którą wyraziłam, żeby na naszych produktach były metki „Made in the USA. „ Tak się cieszę, że przejęła firmę... w tych okolicznościach. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Złoto Kleopatry. Twierdzi, że opłacało się wpatrywać w słońce nad Sunbridge przez dziesięć dni i, jak to ujęła, nabawić się odcisków na oczach. W

przyszłym roku będzie się mówiło tylko o tych dwóch liniach. Zapamiętaj sobie moje słowa. Jestem z niej bardzo dumna.

– Wiem o tym. Ja też. Nie mogło jej spotkać nic lepszego niż praca dla Billie Limited.

– Tak się cieszę. Co chciałeś mi powiedzieć? A może znowu coś mi się pomyliło? – zaniepokoiła się. – Czy mogę dostać tabletkę?

O dwie godziny za wcześnie, ale jakie to ma znaczenie? – Oczywiście, skarbie, zaraz zjadę na bok. Bardzo cię boli? – Co za głupie pytanie.

– Da się wytrzymać. Myślałam, że w tym całym zamęcie w związku z naszym wyjazdem zapomniałeś o nich. Nie spiesz się, nie chcesz chyba spowodować wypadku?

– O, teraz. – Zjechał ze środkowego pasa na prawo, a następnie na pobocze. Wyjął z kieszeni fiolkę, wytrząsnął tabletkę na dłoń. – Musisz popić oranżadą, w porządku?

– Tak. No więc co chciałeś mi powiedzieć? Zastanawiał się przez chwilę, szukał neutralnego tematu.

– Sawyer przesłała mi pocztą ciekawy artykuł. Miałem zamiar przeczytać ci go dzisiaj po południu, ale zamiast tego ci opowiem. Przesłała także krótki liścik. Podejrzewa, że Cole inwestuje w „hotele dwudziestego pierwszego wieku na godziny”. Pokoje na godziny. Dwudziesty pierwszy wiek ma zapewnić całkowitą dyskrecję. Wszystko załatwia się automatycznie: rezerwacje, wybór pokoju, zameldowanie, zamawianie posiłków, regulowanie rachunków. Nikt nic nie wie. Gości witają nagrane na taśmę instrukcje i plan przedstawiający położenie wolnych pokoi. Dla stałych klientów wprowadzono nawet karty zniżkowe. Jakże dyskretny dzwoneczek przypomina, że czas minął. Za dwie godziny płaci się od trzydziestu do dziewięćdziesięciu dolców. Za dwie godziny, wyobrażasz sobie? Stali goście dostają zniżkę. Sawyer zadzwoniła do Cole’a z zapytaniem, czy

ma z tym coś wspólnego. W odpowiedzi tylko się roześmiał.

Thad zrobił to samo. Billie mu zawtórowała.

– Czy możliwe, żeby Cole naprawdę... ?

– Wcale bym się nie zdziwił. Seks zawsze przynosił duże pieniądze. – Na rany Boskie, Thad, nie mów tego krewnym.

– Ja nie, ale Sawyer uwielbia plotkować. Dam sobie rękę uciąć, że wszystkim wysłała kopie tego artykułu. Poza tym nic nie sprawia jej takiej frajdy jak dokuczanie Cole’owi, o czym doskonale wiesz. Jak się czujesz, skarbie?

– Prawie normalnie – odparła zmęczonym głosem. – Co mieliśmy dzisiaj czytać, Thad?

– Uparłaś się przy jakiejś powieści o feudalnej Japonii, choć ja wolałbym coś innego. Poczytamy wieczorem, przed snem.

Znowu drzemała. Łzy spływały mu po policzkach. Boże, co on bez niej zrobi? Jak może dalej żyć? Po co ma dalej żyć? Zamrugał powiekami. Skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Takie było życzenie Billie.

Po kwadransie poruszyła się przez sen i mruknęła:

– Czy naprawdę można dobrze zarobić na hotelach na godziny dwudziestego pierwszego wieku?

Thad odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. Billie spała dalej. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

Podczas gdy lincoln Thada pokonywał kolejne mile, a Billie spała, Ivy Coleman miotała się po pokoju z błędnym wzrokiem. Schowała kasetę pod poduszkę na kanapie. W chwilę później wyjęła ją i wsunęła pod fotel, tylko po to, by zaraz przenieść ją na regał, za książki. Przechadzała się nerwowo, dookoła niskiej sofy zarzuconej poduszkami, dookoła stolika, na którym stał bukiet stokrotek, dookoła fotela i podnóżka. Ze złością wróciła do regału, wyciągnęła kasetę,

położyła na środku stołu, najpierw zrzuciwszy na podłogę gazety. Przesunęła na bok kryształową popielniczkę. Kasetka patrzyła na nią jak wielkie prostokątne oko. Przeszył ją dreszcz. Spojrzała na zegar na półce. Za niecałe dwadzieścia minut przyjedzie jej matka, żeby zabrać Mossa na Florydę. Riley wróci do domu za godzinę.

O Boże! Teraz żałowała, że nie posłuchała rady Val. Trzeba było powiedzieć Rileyowi o kasecie. Nie zrobiła tego. Powiedziała jednak Sumi. Ona rozumiała. O Boże! Posłuchała innej rady Val i dała jej na przechowanie zapasową kopię. Na wszelki wypadek.

Piąta. O ósmej będzie tu cała rodzina. Wszyscy. O tym także Riley nie wiedział. Czy wybaczy jej, że wzięła sprawy w swoje ręce?

Tak trudno było do nich dzwonić, ale zrobiła to, by mu oszczędzić cierpienia.

Uspokoiła się, usłyszawszy głos matki. Przytuliła się do niej ze łzami w oczach. Starsza kobieta otarła je chusteczką.

– Musisz być silna – przypomniała Tess. – Wypełniasz wolę Billie. Jeśli tego nie rozumieją, to ich sprawa. To dotyczy także twojego męża.

– A co, jeśli będą się sprzeciwiać? Jeśli będą chcieli walczyć? Co mam wtedy zrobić?

– Powtarzać, że tego chciała Billie. Niech sami zobaczą to na kasecie. Czy ta prawniczka do ciebie dzwoniła?

– Jeszcze nie.

– Kochanie, nie mam czasu na rozmowę. Muszę wracać na lotnisko, bo się spóźnię na samolot. Moss jest gotowy?

Ivy wskazała na stertę bagaży przy drzwiach.

– Na Boga, skarbie, nie zabiorę tego. Coots szaleje, kupując wszystko, co mu wpadnie w ręce. – Gestem uciszyła wszelkie protesty. – Czuje, że się na coś przydaje. Kazałam mu kupić wszystkiego po jednej sztuce. Odwiózł mnie na lotnisko, ale widziałam, że aż się palił

do rozpoczęcia zakupów. Teraz daj mi tylko pieluchy, butelkę i ubranko na zmianę. Nic więcej.

– Dobrze, dobrze. Tutaj wypisałam...

– Ivy, damy sobie radę. Gdzie smoczek?

– Proszę.

– Ivy, gdybyś... gdybyś nas potrzebowała, zadzwoń.

– Dobrze, mamu. Ucałuj tatę. Proszę, to on, radość mojego życia. –

Uściskała synka na pożegnanie.

– Rozpuścimy go, Ivy.

– Wiem o tym. Uważajcie na niego. Tess skinęła głową.

– Nie daj się. Billie ci ufa. Nie spraw jej zawodu. Nie teraz. Powiedz wszystkim, jak bardzo mi przykro. Bardzo lubię Billie. Kiedyś byłam o nią zazdrosna, dopóki nie zrozumiałam, że o dobrych ludzi nie można być zazdrosnym. Można ich tylko lubić. Do widzenia, kochanie.

– Zadzwoń, kiedy dotrzecie do domu, dobrze?

– Oczywiście. Rozpłakała się po ich wyjściu.

Riley wrócił kwadrans po szóstej. Ivy słuchała wiadomości, cały czas wpatrując się w kasetę na stoliku.

– Cześć! – usiłował przekrzyczeć spikera. – Wyjeżdżamy gdzieś?

Ivy głęboko zaczerpnęła powietrza i ściszyła telewizor. Nie mogła się nadziwić, jak spokojnie brzmi jej głos, kiedy odpowiedziała:

– Nie. Moja mama przyjechała po Mossa. Zabrała go na Florydę. Spakowałam jego rzeczy, ale powiedziała, że tata robi zakupy... powiedziała, że chciał się poczuć potrzebny.

– Nie uważasz, że powinnaś była mi powiedzieć? – zapytał spokojnie.

– Tak, powinnam, ale okoliczności... Uznałam, że będzie lepiej, jeśli Mossa wyślemy na pewien czas. Jest w dobrych rękach.

– Nie wątpię w to, ale co masz na myśli mówiąc „będzie lepiej” i dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo... bo obiecałam, że nie powiem. To znaczy... usiądź, Riley. Chcę ci coś pokazać. To wszystko wyjaśni.

Patrzył, jak zmienia kanał, włącza magnetowid i wsuwa kasetę, która do tej pory leżała na stoliku.

Ivy nie spuszczała go z oka, gdy oglądał nagranie. Na koniec zapytała:

– Mam puścić jeszcze raz?

– Na Boga, nie! – krzyknął. – Jak długo to masz?

– Od marca.

– I pokazujesz mi dopiero teraz? – Nie ukrywał oburzenia.

– Obiecałam twojej babci. Prosiła, żeby nic ci nie mówić. Miałam nikomu o tym nie wspominać. Powiedziałam Val. Kazała mi ci powiedzieć. Chciałam, Riley, ale twoja babcia... jak mogłam nie zrobić tego, o co prosiła? Jeśli popełniłam błąd, przepraszam, ale uprzedzam cię, że postąpiłabym tak ponownie.

– To ja przepraszam, kochanie. Po prostu się łudziłem, że nigdy do tego nie dojdzie. Spodziewałem się tego w głębi duszy, ale miałem nadzieję, że... że mamy jeszcze rok, może trochę dłużej. – Był załamany.

Wzięła go za rękę.

– Rodzina?

– Dzwoniłam do wszystkich. Cole przyjedzie z Sawyer i Adamem. Sumi też, ma się rozumieć. Jej siostry zaopiekują się dziećmi. Po drodze wstąpią na Hawaje po Maggie. Przyjedzie z przyjacielem, niejakim Henrym Tanaką. Zgodziłam się. W takiej chwili Maggie bardziej się przyda przyjaciel niż krewni.

– A Susan i Cary?

– Będą koło ósmej. Osobno. Sama nie bardzo wiem, co to znaczy. Cary powiedział, że przywiezie go opiekun, ale musi u nas nocować, bo tamten musi jechać po innego... och, nie wiem, zgodziłam się, i już.

Susan poinformowała mnie, że z samego rana leci do Anglii. Jestem pewna, że zmieni zdanie. Powiedziała, i to będzie dosłowny cytat: „Te rodzinne spotkania robią się naprawdę upierdliwe, mogę się bez nich obejść”. Koniec cytatu.

– Ona sama jest upierdliwa – skomentował Riley. Ivy cofnęła kasetę.

– Ivy, chodźmy na wzgórze.

– Jesteś pewien, że tego chcesz?

Skinął głową.

– Więc weźmy sekatory i torby na śmieci. Ciotka Maggie była ostatnio zła. Powiedziała, że niczym nie można usprawiedliwić faktu, że wcale nie dbasz o wzgórze.

– Ma rację. Nie ma żadnego wytłumaczenia. Chodźmy.

To przynajmniej coś do roboty. Coś, co trzeba wykonać. Coś, co pozwoli zabić czas do przybycia krewnych.

Pracowali i rozmawiali: o rewolucyjnym projekcie Sawyer, o prototypie nowego samolotu, o postępach Cole’a w restrukturyzacji Cole Shad, o nowym przyjacielu Maggie, Henrym Tanace, o psie przewodniku Cary’ego i o tym, jak bardzo to wzgórze przypomina wiśniowy pagórek w Japonii. I oboje płakali.

Zeszli na dół w ciemnościach. Riley taszczył dwa worki, Ivy niosła narzędzia.

Myli ręce nad zlewem, kiedy zapytała szeptem:

– Riley, nie zrobiliśmy tego, bo... bo...

– Zrobiliśmy coś, co trzeba było zrobić od dawna. Masz mi zawsze przypominać, że na wzgórzu trzeba coś zrobić. Wstyd mi, że tyle czasu je zaniedbywałem. Jak myślisz, zdążymy wziąć szybki prysznic?

Spojrzała na zegarek.

– Tak.

Dziesięć po ósmej weszli razem do salonu. Cary zjawił się niemal

w tej samej chwili, Susan wkrótce po nim. Pozostali przybyli za dwadzieścia dziewięć. Ivy odciągnęła Henry'ego Tanakę na bok, żeby z nim spokojnie porozmawiać.

– Mam wrażenie, że znam was wszystkich od dawna – powiedział później, witając się z resztą. Uwagi Ivy nie uszła rezerwa, z jaką spoglądał na Susan.

– Jesteś Hawajczykiem? – zapytała Susan. – Mniej więcej.

– Czy to znaczy, że jesteś mieszkańcem? Roześmiał się.

– Powiedzmy, że tak. Czy to dla ciebie problem?

– Nie, nie dla mnie – warknęła. – Ale nie wiem, co sądzą inni. – Zamknij się, Susan uciszyła ją Sawyer.

Riley obserwował tę scenę z zaciśniętymi ustami. Susan wprowadzała ferment. Przez nią dojdzie do awantury.

– Nie mów mi, co mam robić! – burknęła Susan.

– Ktoś powinien ci to powiedzieć – wtrącił się spokojnie Adam. – Jeśli nie jesteś w stanie zachowywać się przyzwoicie, wyjdź. Ja bynajmniej nie zatęsknię za twoim towarzystwem, – Mam za sobą ciężki dzień, zmianę czasu i Bóg wie co jeszcze – wycedził Cole przez zaciśnięte zęby. – Nie spaliśmy od kilkunastu godzin i nie mamy ochoty na rodzinną kłótnię. Myślałem, że ten etap się zakończył podczas poprzedniego spotkania tutaj, w tym pokoju.

Są parami, zauważyła Ivy, tylko Cary i Susan nie mają nikogo. Wyobraziła sobie scenę jak z horroru: Susan traci rozum i zabija wszystkich pistoletem ukrywanym dotąd w torebce.

– Więc? – zapytał Riley.

– Co więc? – zaperzyła się Susan. – Zwołałeś to zebranie, więc mów. Mam dużo rzeczy do zrobienia.

– Mam nadzieję, że zadaniem numer jeden jest paść trupem – podsunęła Sawyer.

– Dość! – ryknął Riley. – Wiecie wszyscy, że Thad dzwonił

wczoraj. Dziś po południu zadzwonił ponownie. Rozmawiał z Ivy. Powiedział, że jedzie z babcią do Filadelfii, bo ona chce... jeszcze raz zobaczyć miasto, w którym dorastała. Powiedział też, że jego zdaniem... że ona... że nie wróci więcej do domu. Uważa, że babcia nie chce umrzeć na farmie, ze względu na niego i na nas.

– Powiedział Ivy – wpadła mu w słowo Susan. – Dlaczego zadzwonił do Ivy? Dlaczego nie do Maggie albo do mnie? My jesteśmy jej córkami, a ona tylko żoną wnuka.

– Cóż, Susan, z przyjemnością wytłumaczę ci, dlaczego nie zadzwonił do ciebie – nie wytrzymała Sawyer. – Ty jesteś równie rozhuśtana jak statek podczas sztormu. Mówiąc krótko, odbiło ci. Czy to ważne, do kogo zadzwonił? Wszyscy jesteśmy tutaj. Wszyscy wiemy. Pytanie, co mamy zrobić? Czego Thad od nas oczekuje?

– Thad chce, żebyśmy wszyscy byli razem, żeby... żebyśmy stanowili rodzinę, kiedy nadejdzie czas – wyjaśnił Riley. – Babcia powierzyła Ivy swój testament. Pokażemy go wam teraz. Thad tego nie widział; z tego, co mówiła babcia, wynika, że nie ma nawet pojęcia o jego istnieniu. Wierzę, że kiedy się dowiecie, czego... czego chce babcia, rozwieją się wszelkie wątpliwości.

Ivy uruchomiła magnetowid i usiadła u boku Riley'a.

Wpatrywali się w telewizor. W całym pokoju słychać było jedynie cichy szum urządzenia. Na ekranie pojawiła się twarz Billie. Uśmiechnęła się blado, spłotła ręce na brzuchu. Była chuda jak patyk. Jej oczy niknęły za przydymionymi okularami. Ivy wyobrażała sobie, ile wysiłku musiały kosztować Billie przygotowania do nagrania. Babcia Riley'a miała na sobie luźne zielone wdzianko i turban w identycznym kolorze. Zaprojektowała ten strój, by ukryć chorobliwą chudość, domyśliła się Ivy.

Przyciemnione okulary miały zasłonić podkrążone, zapadnięte oczy i złagodzić ostrą linię policzków.

Ivy płakała. Riley scałował łąę z jej policzka. Przytuliła się do niego.

Billie uśmiechnęła się i powitała wszystkich po imieniu, podziękowała, że zostawili wszystko i przybyli do Sunbridge.

– Jak mawia Thad: „posłuchaj rodzinę”. Miałam nadzieję, że uda mi się utrzymać moją chorobę w tajemnicy, ale stało się to niemożliwe po wypadku Cary ‘ego. W tajemnicy, żeby oszczędzić wam cierpienia. Może się myliłam. Jeśli tak, wybaczcie mi. Kocham was z całego serca. Kiedy się dowiedziałam, że jestem śmiertelnie chora, moim pierwszym odruchem było biec do was i płakać i słuchać słów pocieszenia w rodzaju: „to minie, to opinia tylko jednego lekarza, medycyna dokonuje postępów z każdym dniem”. Zrozumiałam, że sama się oszukuję.

Pewnie wszyscy macie łzy w oczach, a i mnie jest trudno nie płakać, kiedy tak mówię do kamery. Obiecałam sobie jednak, że będę silna, że odejdę z taką samą godnością, jak moi przyjaciele, którzy wyruszyli w tę podróż przede mną. Ciągłe się pytam, jak udało się Amelii odejść z godnością, a jednocześnie nie tracąc poczucia humoru? Doszłam do wniosku, że czerpała siłę z nas, z naszej miłości. Powiedziała mi... pod koniec zwierzyła mi się, że najbardziej martwi ją, co będzie z nami. Zapewniłam ją, że jesteśmy rodziną i że jeden zawsze może liczyć na drugiego. Powiedziała... przepraszam, poczekajcie, muszę wytrzeć oczy... powiedziała, że polega na mnie, i wierzy głęboko, że ja nie dopuszczę nigdy do żadnego rozłamu w rodzinie, i dziękowała mi za lata przyjaźni.

Shadaharu, wspomniały przyjaciel, na krótko przed śmiercią powiedział: „Życie toczy się dalej. „ I właśnie to chcę wam teraz powiedzieć. Nie chcę, byście mnie opłakiwali. Życie waszym życiem, wspominajcie mnie z miłością i co jakiś czas odwiedzajcie na wzgórzu. Wiem, że tam, na górze jest... jest jakiś zakątek, gdzie przycupniemy razem, Amelia, Shad i ja, i będziemy nad wami czuwać. Przykro mi,

jeśli to brzmi głupio czy naiwnie, ale pozwólcie mi na tę ostatnią słabość. Płacę. Przepraszam. To chyba wpływ lekarstw.

Nie mogłabym odejść, nie pożegnawszy się z wami. Maggie, najdroższa. Pamiętam dzień, w którym przyszłaś na świat. Byłaś taka malutka, różowa i doskonała. Wtedy po raz pierwszy zostałam matką. Nie zawsze było nam ze sobą łatwo, ale czy życie jest proste? Mimo przeciwności losu ułożyłaś sobie życie. Jestem z ciebie bardzo dumna. Wiem, że zostawiam Billie Limited we właściwych rękach.

Susan, kochanie, pamiętam również dzień twoich narodzin. Ty także byłaś różowa i śliczna. Wiem, że jesteś przekonana, że ja i twój ojciec porzuciliśmy cię. To nieprawda. Chcieliśmy dla ciebie tego, co najlepsze. Teraz, dzięki swojej pracowitości i talentowi, należysz do najszlachetniejszych pianistek na świecie. Nie wiem, która z nas była z ciebie bardziej dumna, Amelia czy ja. Susan, kocham cię całym sercem.

Sawyer, skarbie, Maggie i ja kochałyśmy cię razem. Podobnie jak Susan, miałaś dwie matki. Zawsze będę ci wdzięczna za twoją miłość. Bez ciebie nie przetrwałabym najgorszych lat. Kochaj Adama i dziewczynki tak, jak kochałaś mnie.

Cole, Riley – wymieniam was w kolejności alfabetycznej – jesteście młodym pokoleniem. Na waszych barkach spoczywa obowiązek utrzymania jedności w rodzinie. Jesteście jak promienie światła, wyprowadzicie rodzinę z ciemności ku słońcu. Wschód i Zachód... Zachód i Wschód... Oprócz waszych żon, kochałam Was najbardziej na świecie.

Ivy, Sumi – znowu w kolejności alfabetycznej – powierzam wam tych wspaniałych mężczyzn, moich wnuków.

Cary, drogi przyjacielu, zostawiam ci moją rodzinę, bo kochają cię tak, jak ja cię kocham. Amelia prosiła, bym się tobą opiekowała po jej śmierci. Robiłam co w mojej mocy. Teraz ja proszę, byś się zaopiekował moją rodziną. Thad... Thad nie będzie w stanie... Będziesz

mu potrzebny, Cary. Proszę ciebie i pozostałych, bądźcie dla niego oparciem, pomóżcie mu przetrwać... najgorszy okres.

Posłuchajcie uważnie tego, co teraz powiem. Nie chcę, by podłączono mnie do aparatury podtrzymującej życie. Wszystkie organy, nie zniszczone przez chorobę, mają iść do banku organów. Nie będzie pogrzebu przy otwartej trumnie, Thad by tego nie wytrzymał. Chcę, by odbyła się tylko skromna ceremonia, bez udziału obcych. Pochowajcie mnie na wzgórzu.

Zastanawiałam się, komu powierzyć tę kasetę. Jeszcze nie wiem, kto to będzie. Ale musicie wiedzieć, że osoba, która posiada kasetę, ma ostatnie słowo w kwestii moich życzeń.

Pożegnaj się teraz z wami. Proszę tylko o jedno. Zaopiekujcie się Thadem. Żegnajcie, moi drodzy. Byliśmy razem tak krótko. Teraz muszę was opuścić. Kocham was wszystkich. Wspomnienie o was będzie mi towarzyszyć po tamtej stronie, gdzie będę je dzielić z Amelią i Shadem. Wierzę, że niecierpliwie mnie wypatrują. Pozdrowię ich od was.

Nagranie dobiegło końca. Riley wyłączył magnetowid. W pokoju panowała idealna cisza. Niespokojnie poruszył głowę. Ivy stanęła obok niego.

– Jest jeszcze coś. Proszę, pamiętajcie, że Billie wybrała mnie jako osobę mającą dopilnować wykonania jej woli. Uznała, że nie bylibyście w stanie wypełnić jej poleceń. Obiecałam, że dopilnuję, by było tak, jak sobie życzy. Dzisiaj wieczorem omówiłam to z Rileyem po raz pierwszy. Zgadza się ze mną. Rozmawiałam z Billie w zeszłym tygodniu. Powiedziała... mam zadbać, by jej oczy trafiły do banluc organów. Biorcą ma być Cary. Nie ma czasu na dyskusje. Na lotnisku czeka samolot, żeby go zabrać do szpitala. Pan Tanaka był tak uprzejmy, że zgodził się wszystkiego dopilnować. Skoro Billie tego chce, ja, jako wykonawczyni jej testamentu, chcę tego również. Billie...

Billie będzie dla nas żyła nadal, poprzez Cary'ego.

Cole i Riley jednocześnie poderwali się z miejsc. Obaj zaproponowali, że będą pilotować samolot.

– Ja to zrobię – odezwał się spokojnie Henry Tanaka. – Jesteście zbyt zdenerwowani, a chcemy przecież, żeby Caiy dotarł na miejsce w jednym kawałku.

– Poczekajcie – Cary potrząsnął głową.

– Nie wiem, co powiedzieć. Powiniennem pewnie wymyślić coś pięknego i wzruszającego, ale brak mi słów. Nie mogę uwierzyć, że Billie pomyślała o mnie w takiej chwili.

– Billie przewidziała, że powiesz coś takiego – zwróciła się do niego Ivy. – Powiedziała, uwaga, cytuję: „Niech sienie zadręcza drobiazgami. Chcę przekazać Amelii dobrą nowinę, która wywoła uśmiech na jej twarzy. Świadomość, że Cary będzie postrzegał świat tak jak Amelia i ja, wystarczy mi za wszelkie podziękowania”. Koniec cytatu. Na twoim miejscu zbierałabym się do drogi, Cary.

Nie ukrywał wzruszenia.

– Naprawdę tak powiedziała?

Ivy się uśmiechnęła. – Słowo w słowo.

– A więc chyba czas w drogę.

Obejmowali się i całowali, ściskali sobie dłonie, klepali po plecach. Susan stała z boku. Nie chciała się do nich przyłączyć. Z jej oczu wyczierała nienawiść.

– Co za rodzina. – Z tymi słowami Caiy wyszedł z pokoju w towarzystwie Henry'ego Tanaki.

Rozdział piętnasty

Thada bolało serce, miał zawroty głowy i skurcze mięśni w nogach. Gula w gardle nie pozwalała przełknąć śliny. Czuł, że lada moment się rozplacze, nie opanuje narastającego napięcia. Odważył się kątem oka spojrzeć na Billie. Wyglądała przez okno z takim utęsknieniem, że przez chwilę miał ochotę wybiec na ulicę.

– Tu jest tak ładnie, dokładnie tak, jak zapamiętałam. Oczywiście, drzewa bardzo urosły. To wiązy – powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Jakim cudem jej się to udaje? Choć pozostało jej już bardzo niewiele życia, o czym oboje wiedzieli, nie poddawała się. Jeszcze nie. Jej miejsce jest w szpitalu. O tym wiedzieli także.

– To tutaj, Thad. Elm Street 479. O, pomalowali dom. Kiedyś był biały, a okiennice szare.

– Ten żółty odcień pasowałby do pokoju dziecinnego – skomentował ochryple – ale brązowe okiennice dobrze przy nim wyglądają. Moim zdaniem jednak białoszary był ładniejszy. Kiedy zamykam oczy, widzę ten domek taki, jaki był w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

– To było pięćdziesiąt lat temu, Thad. Gdzie się podział ten czas? Wydaje mi się, że nie dawniej jak wczoraj się stąd wyprowadziłam. Tego samego dnia, gdy poznałam Mossa, mama wynajęła mój pokój, bo nie mogłyśmy związać końca z końcem. Chyba nigdy jej tego nie wybaczyłam. Gdzie zatrzymamy się na noc?

– W hotelu Radisson. – Chciał powiedzieć, że w szpitalu, ale jeszcze na to za wcześnie. Billie nie była gotowa.

– Chodźmy do portu. To niedaleko, niecałe dwie mile. Tamtego dnia poszłam tam na piechotę z przyjaciółmi. Tim Kelly, jeden z nich, zginął na wojnie. Nadal go widzę, jakbyśmy się nie rozstawali.

– Oto kino Loews Theatre – wskazała budynek palcem. – Moss zabrał mnie tu kiedyś. Tego dnia, gdy się poznaliśmy, miałam iść z przyjaciółmi na popołudniowy seans.

Wbrew sobie, zadał jej pewne pytanie:

– Czy czasami żałujesz... jakichś fragmentów twego życia, Billie?

– Nie zmieniłabym nic, Thad. Nie wróciłam do Filadelfii przez pięćdziesiąt lat. To szmat czasu. Jak myślisz, dlaczego tak się stało? Powinnam była tu przyjechać. Nieraz miałam taki zamiar. Chciałam, ale nic z tego nie wyszło. Teraz, gdy jest już za późno... tu się wszystko zaczęło i tu musi się skończyć.

– Chyba tak – Thadowi serce pękało z bólu. – Oto budynek USO. Chcesz tam wstąpić?

– Nie. Wystarczy, że go widzę. Tamtego pierwszego wieczora tańczyłam z tobą. Pamiętam to. Zachwycił mnie twój akcent z Nowej Anglii. Moss zawsze cię nazywał swoim jankeskim przyjacielem. On cię kochał, Thad. Wtedy powiedziałaś, że wyglądam jak aniołek na choince. Uznałam to za najpiękniejszy komplement, jaki można powiedzieć ledwo poznanej osobie.

– A ty powiedziałaś, że wyglądam jak postać z plakatów werbujących do armii. Pamiętam wszystko, co ma związek z tobą Billie. Pokochałem cię od pierwszej chwili, ale wtedy należałaś do mojego najlepszego przyjaciela.

– O, proszę, jesteśmy na miejscu. Oto port.

Thad zagryzł dolną wargę. Nie znosił takich wspominek. Dlaczego Billie to robi? Żeby móc powiedzieć Mossowi, kiedy się spotkają że odbyła tę pielgrzymkę? Ta myśl zirytowała go do tego stopnia, że w ogóle nie mógł złapać tchu.

– Chcesz wysiąść?

– Nie, kochany. Tamtego dnia port pełnił życiem, były tu krążowniki, niszczyciele, transportowce. Olbrzymie dźwigi zdawały się

dotykać nieba. Moss podszedł od tyłu i zapytał, jak mi się tu podoba. Pokazał mi lotniskowiec, opowiedział o „Enterprise”. Miał oczy błękitne jak letnie niebo. Uległam jego urokowi bez reszty, już tego pierwszego dnia. Odwiózł mnie do domu samochodem, nashem rocznik 38, który od kogoś pożyczył. Wydawałam się sobie bardzo dorosła.

Thad odchrząknął z trudem.

– Coś jeszcze, pani Kingsley?

– Nie. Widziałam już dość. Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowała moja wyprawa w krainę wspomnień. Miałam uczucie, że muszę to zrobić.

– Hej, koniec końców to ja zdobyłem aniołka z choinki.

– Thad, bardzo cię kocham. Chyba pokochałam cię już tamtego wieczora w USO, tylko byłam za głupia, by to dostrzec. Moss był taki... przytłaczający. Przysłonił mi cały świat. Mimo wszystko bardzo długo go kochałam. Jak daleko jest stąd do hotelu?

– Niedaleko. To koło lotniska. Jeśli chcesz, możemy też przenocować w centrum miasta. Jesteś zmęczona, prawda? Cała drzysz.

– Zimno mi – wyznała szeptem.

Pot zalewał mu oczy. Przemoczona koszula nieprzyjemnie przywierała do pleców. Zamykając okno modlił się, by z gorąca nie zemdlął w dusznym samochodzie.

– Ile szczeniąt miała Duchess, Thad?

– Osiem, kochanie.

– Gdzie jest moja zielona sukienka, ta, którą włożyłam dla ciebie w Hongkongu?

– W domu, w szafie. W plastikowym worku – skłamał.

– Jak mogłam zapomnieć o czymś tak istotnym? – wymamrotała. Doskonale rozumiał, co miała na myśli. Wiedział także, że w rzeczywistości sukienka, starannie zapakowana, leży na dnie torby. Billie pomyślała o wszystkim. Otarł łzy i pot z twarzy.

– Czas na nas, Thad. Jak daleko stąd do Nowego Jorku? Właściwie powinnam to wiedzieć, prawda?

– Półtorej godziny, najwyżej dwie. – Także tym razem zrozumiał. W Nowym Jorku znajdował się Sloan Kettering. Zawrócił samochód i nacisnął pedał gazu.

Zmierzchało, kiedy zahamował na tyłach Sloan Kettering. Podniósł wzrok na jaskrawoczerwone litery OSTRY DYŻUR. Pomyślał, że ich odcień przypomina „czerwień fajerwerkową” Maggie.

– My się nią zajmiemy – młody sanitariusz spojrzał na Billie, zamrugał powiekami i powiedział: – Proszę zaparkować samochód. – W jego głosie było tyle współczucia, że Thad się rozplakał.

– Zaraz do ciebie przyjdę, skarbie – szepnął, pochylając się, by pocałować żonę. Ich łzy łączyły się w jeden strumyk. Usiłowała się uśmiechnąć, co wprawiło go w jeszcze większą rozpacz. W chwilę później zniknęła mu z oczu.

Musi odstawić ten pieprzony samochód na parking. Musi stąd wyjechać, zakręcić i zaparkować. Łatwiej byłoby zdobyć szczyty Himalajów.

W momencie gdy wyłączył silnik, stracił rozum. Przeklinał cały świat, walił pięściami w kierownicę, aż spuchły mu dłonie.

Całą wieczność później siedział w poczekalni. Podpisał wszelkie niezbędne dokumenty. Teraz czekał na wiadomość od lekarza Billie z Vennont. Czekał także na onkologa, który leczył ją od samego początku. Tępym wzrokiem wpatrywał się w swoje dłonie trzymające kubek mętnej kawy.

Czuł się jakby miał tysiąc lat, gdy szedł do budki telefonicznej. Nie miał siły szukać w kieszeni drobnych, a tym bardziej zastanawiać się, gdzie ukrył kartę telefoniczną. Zadzwoił na koszt odbiorcy.

– Riley. – Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Widział ich

wszystkich, jak siedzą smutni w wielkim salonie, z niepokojem oczekują telefonu. Ciekawe, czy tym razem dzwonek zabrzmiał inaczej niż zwykle? Ile czasu im zajmie dotarcie tutaj? Najwyżej trzy godziny. Cholera, przecież jest pilotem, powinien wiedzieć, ile potrzebuje Cole, żeby dostać zgodę na start i lądowanie, zatankować, wystartować... Powinien, ale nie wiedział. Nie był w stanie myśleć. Wpatrywał się w lurowaty napój. Billie zawsze parzyła wyśmienitą kawę. Ivy także. Pewnie teraz piją ją litrami. – Riley.

– Jestem, Thad. Wszyscy tu jesteśmy. To znaczy, z wyjątkiem Susan, dziś rano poleciała do Anglii. A wy?

– Jesteśmy w Nowym Jorku, w Sloan Kettering. Siedzę tu od kilku godzin.

– Zaraz ruszamy – powiedział spokojnie Riley.

– Dobrze. To bardzo dobrze. Będę na was czekał. Nie ruszę się stąd. Boże, Riley, pospieszcie się, błagam.

– Odłóż słuchawkę, Thad – poprosił Riley zduszonym głosem.

– Co? Mam odłożyć słuchawkę? Dlaczego? Musimy porozmawiać. Ja.

Billie zabrała ze sobą zieloną sukienkę. Aż do wczoraj nie miałem o tym pojęcia. Ona wiedziała. Dlatego ją zapakowała. Powinienem być domyślić się wcześniej. Powinienem być zajrzeć do jej torby, nie uważasz, Riley?

– Nie, nie. Zielony to ukochany kolor babci. Odkładam słuchawkę, Thad. Czekaj na nas.

– Będę czekał, Riley. Nigdzie się stąd nie ruszę.

Czekał.

Dwukrotnie pozwolili mu ją zobaczyć, w sumie przez dziesięć minut. Wołałby umrzeć niż patrzeć na urządzenia kontrolujące procesy życiowe. Powiedzieli mu, że jej stan jest krytyczny.

Pytał Boga, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Pił obrzydliwą kawę.

Olbrzymi zegar na ścianie poczekalni wskazywał dziesięć minut po północy, gdy zjawili się najbliżsi.

– Nie zniosę jej widoku w takim stanie – szepnęła Maggie do Sawyer. Córka tylko poklepała ją po ramieniu.

Sumi podeszła do Cole’a, który obejmował Rileya. Obaj mieli łzy w oczach.

– Podłączyli ją do aparatury podtrzymującej życie – powiedziała Ivy do Maggie. Desperackie brzmienie jej głosu skruszyłoby najtwardsze serce.

– Musimy to zrobić teraz, zaraz – zwróciła się Ivy do męża. – Billie prosiła, żeby nie zwlekać ani chwili dłużej niż to konieczne. – Mówiła silnym, zdecydowanym głosem.

– Jesteś w stanie to zrobić, Ivy?

– Tak, Riley. Dałam słowo. Thad jest w biurze.

– Cole, twoja głowa w tym, żeby Cary był gotowy na czas. Idę zrobić to, co do mnie należy. Ty zajmij się swoimi obowiązkami.

Siedzieli w poczekalni, łykając tę samą zimną kawę, którą wcześniej pił Thad.

Riley rozmawiał z nim spokojnie, opowiadał o kasecie.

– Nie róbcie tego, błagam, nie – Thad się rozplakał. – Nie odbierajcie mi jej.. Riley, zaklinam cię... – Odwrócił się do Ivy, szukał u niej pociechy i najmniejszego znaku, że zmieniła decyzję. Ona jednak tylko potrząsnęła głową.

– Jeśli naprawdę tego chciała Billie.... – W jego słowach kryło się zrezygnowanie. – Nieważne, czego my chcemy. Nieważne.

– Kiedy? – zapytała Sawyer.

– Teraz. – Nie poznawali głosu Ivy. Szybko oddalała się korytarzem. – Powiem im.

– Jedna osoba naraz – upomniał łagodnie lekarz.

Popatrzyli na siebie. Maggie zrobiła krok do przodu. Nie widziała nic przez łzy. Postać na szpitalnym łóżku wydawała się drobna i krucha. To nie jest jej matka. Matka jest pełna życia, zawsze się uśmiecha, ma w sobie ciepło i miłość. Nie mogła dłużej powstrzymać łez. Billie powinna mieć na sobie piękną suknię w ulubionym kolorze. Maggie rozwiązała bawełnianą tasiemkę, która przytrzymywała pod brodą szpitalny czepek. Z bólem w sercu patrzyła na miękkie, kruche włoski odrastające po chemioterapii. Wyjęła z torebki szal w odcieniu „złoto Kleopatry”. Zerknęła na metkę, którą własnoręcznie doszyła, a która głosiła dumnie: Madę in the USA. Zdecydowanym ruchem uniosła głowę matki i otuliła ją szalem. Starannie związała krańce pod brodą.

– Nie możesz iść na spotkanie z ciotką Amelią i Shadaharu w takim szpitalnym paskudztwie. Musisz jak zwykle pokazać klasę, mamó. – Pochyliła się, by ją po raz ostatni ucałować. – Żegnaj.

Wybiegła prosto w ramiona Ivy. – O, Boże... zapomniałam powiedzieć jej o Susan. Chciałam wytłumaczyć... Ivy, zrobisz to, kiedy będzie twoja kolej?

– Dobrze, dobrze, powiem jej.

– Jak sądzisz, Susan wróci na pogrzeb? – Maggie nie dawała za wygraną.

– Nie. Susan już nigdy tu nie wróci. Podoba mi się twój facet, Maggie.

– To nie jest mój facet. Nie przeczę, jest wspaniałym przyjacielem. Uparł się, że będzie mi towarzyszył. Cieszę się, że tu jest. Wszyscy go lubią. Mama też... mama też by go polubiła. To musiało być dla ciebie okropne, Ivy.

– Billie powiedziała kiedyś, że wybrała mnie, bo nikt inny nie byłby w stanie tego dokonać. Chyba nie miała racji. Tylko że to i tak nie ma znaczenia.

– Ivy, Billie postąpiła słusznie. Znam siebie. Musiałaby upłynąć cała wieczność, zanim zdecydowałabym się ją odłączyć od tych cholernych aparatów. Tak samo zachowywałaby się Sawyer. Może, choć w to wątpię, Cole i Riley byliby w stanie spełnić jej wolę. Thad nigdy by się na to nie zdobył. Jakim cudem zniesiemy widok Cary’ego, mając świadomość...

– Nie wiem, Maggie. Muszę iść, teraz moja kolej.

Siedzieli na dwóch brzydkich brązowych kanapach, stojących naprzeciwko siebie. Wszyscy patrzyli na Thada, gdy zniknął w pokoju Billie.

Czekali.

Thad przycupnął na krześle obok jej łóżka. Zniknęły gdzieś rurki, biegnące wcześniej do nosa i przegubów. Ujął wychudzoną dłoń. Ledwie słyszalnym szeptem opowiadał rzeczy, o których dobrze wiedziała, i sekrety, znane tylko im dwojgu. W pewnej chwili wydawało się, że poruszyła powiekami. Mówił szybciej, bardziej nerwowo. Głos mu się łamał, ale wziął się w garść. Odniósł wrażenie, że uścisnęła jego rękę.

– Nikt nigdy nie kochał cię tak jak ja, najdroższa. Idź, Billie. Wszyscy na ciebie czekają: Amelia, Moss, twój syn, Riley, twoja matka, Shadaharu. Oni... zaopiekują się tobą dopóki do ciebie nie dołączę. Idź, Billie – prosił łagodnie.

Wiedział, kiedy odeszła. Przytulił ją do piersi.

– Spoczywaj w pokoju, Billie – szepnął z ustami przy jej policzku. Ułożył ją na pościeli i powoli nakrył białym wykrochmalonym prześcieradłem.

– Shadaharu, Amelio, macie się nią opiekować, słyszycie? – mruknął. Na monitorze płaska linia zawirowała szaleńczo, nakreśliła kilka zygzaków i zamarła ponownie. – Dzięki. – Uśmiechnął się blado.

Na zewnątrz skinął głową w stronę lekarzy i pielęgniarek i podszedł

do rodziny. – Zostawiłem ją w dobrych rękach – powiedział, zmuszając się do uśmiechu. Zawiadomił ich też o płaskiej linii na monitorze. Przyjęli tę wiadomość z równie bladymi uśmiechami.

Billie Ames Coleman Kingsley zmarła o piątej pięćdziesiąt pięć rano. Cary’ego Assante przygotowano do operacji o szóstej czterdzieści pięć. Krewni nadal siedzieli w poczekalni.

W południe Henry Tanaka zaprowadził wszystkich do limuzyny, mającej ich zawieźć na lotnisko Kennedy’ego. Tam weszli na pokład samolotu korporacji ColeShad, którym wrócili do Sunbridge. W ładowni leżało ciało Billie.

Następnego dnia Billie Kingsley spoczęła na wzgórzu, obok Amelii Assante.

Kiedy schodzili z pagórka, Cole dogonił Riley’a.

– Poczulem zapach cygar, a ty? – Z zapartym tchem czekał na odpowiedź kuzyna.

– Owszem. I słyszałem, jak ciotka Maggie mówi, że czuje zapach perfum ciotki Amelii. Chyba przyszli oddać jej hołd – odparł Riley niepewnym głosem.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – wtrącił się Thad. – Idę o zakład, że w tej chwili nas obserwują. Jeśli w to uwierzymy, jakoś to potrafimy znieść.

Inni przytakiwali kiwając głowami.

– Co będzie na lunch? Może gulasz? – zainteresował się Adam.

– Zgadłeś. Do tego chleb domowej roboty – Ivy się uśmiechnęła.

– Muszę szybko wracać do domu – stwierdził Thad. Nie dość, że mam całą menażerię do wykarmienia, to muszę napisać co najmniej pięćdziesiąt listów... do wszystkich pisarzy, których książki przyniosły Billie tyle radości.

– To wspaniały pomysł. – Maggie oparła się na ramieniu Henry’ego.

– Tęsknię za dziewczynkami – mruknęła Sawyer.

– Moi rodzice przywiozą małego Mossa dziś wieczorem – oznajmiła Ivy z zadowoleniem. Riley uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Podobno małej Billie wyrznął się pierwszy ząbek. – Cole parsknął śmiechem. – Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.

– Ja też – Sumi mu zawtórowała.

Dochodzili do domu, gdy słońce zniknęło za chmurami. Kiedy wyrzało ponownie, było o wiele jaśniejsze.

– Mama nam daje znak, że wszystko jest w porządku. – Maggie się uśmiechnęła. – Możecie w to wierzyć albo nie.

Wszyscy byli zdania, że Maggie ma rację.

Epilog

Ozdobne litery na mosiężnej tablicy głosiły:

PAMIĘCI AMELII ASSANTEIBILLIE KINGSLEY.

Thad potrząsnął butelką szampana. Cary poszedł w jego ślady.

Obecnych było niewiele osób, tylko rodzina.

Cary wystąpił naprzód z uśmiechem na ustach.

– Twoje zdrowie, skarbie – krzyknął oblewając zebranych.

Radośnie klaskali w dłonie.

Thad powtórzył jego gest, co spotkało się z równie entuzjastycznym przyjęciem.

– Muszę usiąść – jęknęła Sawyer.

– Mówię wam, znowu będą bliźniaki. – Adam wybałuszył oczy w komicznym przerażeniu.

Sumi usiadła obok Sawyer. Zaraz zaczęły porównywać, która ma większy brzuch. Sumi zwyciężyła.

– Cole twierdzi, że tym razem będzie chłopiec. Albo dziewczynka, oczywiście. Ivy dołączyła do nich. Pogłaskała się po zaokrąglonym brzuchu.

– Riley mówi, że to będzie dziewczynka. Albo chłopiec.

– To cudownie! – Maggie zaniósła się beztróskim śmiechem. – Czy to nie wspaniałe, Henry? Ośmioro wnucząt!

– Czyli muszę kupić sześć kucyków i powiększyć basen. Ale dopiero po naszym ślubie, Maggie!

Cole wykrzywił się uśmiechu. – Najwyższy czas.

– Będę druhną honorową! – ożywiła się Sawyer.

– Sumi i ja zostaniemy druhnami! – podchwyciła lyy. – Josie, Kąty i malutka Billie będą rzucać kwiatki. A Moss zanieś obrączki.

– Załatwione. – Henry objął spojrzeniem całą rodzinę.

– Thad, staruszkule, mam teraz dużo wolnego czasu, co powiesz na

wspólną partyjkę?

– W każdej chwili, stary.

– Za trzy miesiące od dzisiaj! – Henry kuł żelazo, póki gorące.

– Za Maggie i Henry’ego. – Cary podniósł następną butelkę szampana. – Za najlepszą rodzinę, jaka może się trafić. – Ten toast Thad i Cary wzniesli razem.

– Na zdrowie! – zakrzyknęli jednogłośnie wszyscy.